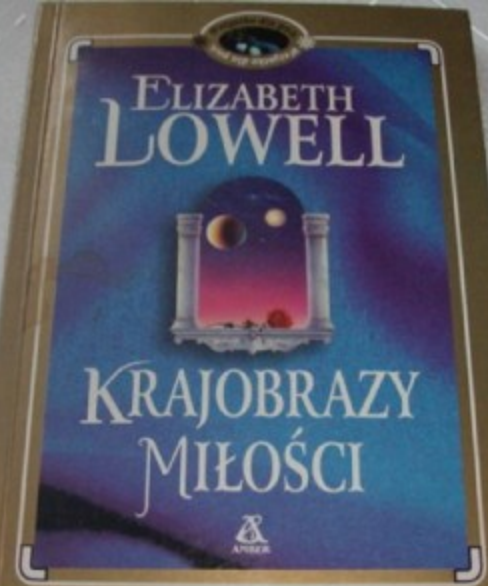


Po latach nieudanego małżeństwa, upokorzeń i zdrad młoda dekoratorka wnętrz Shelley Wilde urzeczywistnia swoje marzenie o domu, gdzie może żyć bezpiecznie, choć samotnie. Pojawienie się przystojnego geologa burzy jej spokój. Podróżnik, który zwiedził cały świat, niepokorny indywidualista, uosabia wszystko to, co zawsze dziewczynę niepokoiło... i pociągało. Cain Remington uświadamia Shelley jej zamiłowanie do przygody i przekonuje ją, że prawdziwym domem jest bezpieczna przystań w ramionach ukochanego.



WSZYSTKO DLA PAŃ

najnowsze bestsellery

Vera Cwie

*Klejnót bez skazy
Wspomnienia*

Janet Dailey

*Napiętnowana
Złudzenia*

Cathy Kelly

Druga szansa

Elizabeth Lowell

*Bez kłamstw
Krajobrazy miłości
Na koniec świata*

Fern Michaels

*Królowa Vegas
Przekleństwo Vegas
Żar Vegas*

Stevie Morgan

Szafirowy blues

Doris Mortman

Wybrańcy losu

Nora Roberts

Rafa

Danielle Steel

Lustrzane odbicie

ELIZABETH LOWELL KRAJOBRAZY MIŁOŚCI

Przekład
Maria Wojtowicz

AMBER

Tytuł oryginału
WHERE THE HEART IS

Redakcja stylistyczna
ANNA TLUCHOWSKA

Redakcja techniczna
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta
PAWEŁ STASZCZAK

Ilustracja na okładce
DUCAK

Projekt graficzny okładki
WYDAWNICTWA AMBER

Skład
WYDAWNICTWO AMBER

Informacje o nowościach i pozostałych książkach Wydawnictwa AMBER
oraz możliwość zamówienia możecie Państwo znaleźć
na stronie Internetu <http://www.amber.supermedia.pl>

Copyright © 1985 by Ann Maxwell
Copyright © i 1997 by Two of a Kind, Inc.
All rights reserved

For the Polish edition
© Copyright by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o. 1999

ISBN 83-7245-080-3

WYDAWNICTWO AMBER Sp. z o.o.
00-108 Warszawa, ul. Zielna 39, tel. 620 40 13, 620 81 62
Warszawa 1999. Wydanie I
Druk: Finidr, s.r.o., Cesky Tešín



statnią rzeczą, jaką Shelley Wilde spodziewała się znaleźć w pysz-
niącym się złoceniami i aksamitem wnętrzu domu swojej klient-
ki, był męzczyzna pokroju Caina Remingtona.

Wła podrabiane francuskie antyki wypełniające wnętrze Shelley
nie ponosiła żadnej odpowiedzialności. Zrobiła wszystko oprócz
użycia broni, by skłonić JoLynn do urządzenia domu w sposób harmonizują-
cy z surowym pięknem wybrzeża Pacyfiku, na którym wzniesiono budynek.

Widok był niezrównany. Bezchmurne niebo jarzyło się błękitem. Na za-
chodzie skaliste wzgórza zstępowały stromizną ku wodom Pacyfiku. Spalno-
południowym słońcem Kalifornii trawy, porastające górskie zbocza, marsz-
czyły się na wietrze niczym płowe odbicie spienionych fal oceanu.

Ta symfonia wody, wiatru i skał miała w sobie jakąś dzikość, której nie
mogły przesłonić nawet luksusowe rezydencje, rozkraczone na szczytach
wzgórz.

Przynajmniej architekt docenił walory krajobrazu, myślała Shelley. Stwo-
rzył dom o czystych liniach, który cudownie współgra z otoczeniem.

Jaka szkoda, że moja klientka nie ma tyle smaku.

Powietrze wewnątrz domu zostało przefiltrowane, ochłodzone i pozba-
wione wszelkiego zapachu. Zupełnie jak w luksusowym hotelu w dowolnym
punkcie kuli ziemskiej.

Na zewnątrz wiał gorący, porwisty wiatr, nasycony wonią karłowatych
dębów i innych tajemniczych zapachów spieczonej słońcem, nieujarmionej
ziemi. Shelley z trudem opanowała chęć rozgarnięcia ciężkich draperii
i otworzenia rozsuwanych, przeszklonych drzwi, które wiodły na zbity z pni
sekwoi pomost, skąd roztaczał się widok na morze.

Gdyby miała wolną rękę przy dekoracji wnętrza, wkomponowałyby do
projektu ten widok jako żywe dzieło sztuki, urzekające połączenie prostych
kolorów i pierwotnych sił natury.

Jednak Shelley miała związane ręce. Klientka chciała urządzić wynajęty dom wedle swego gustu. Nie było mowy o czymś oryginalnym czy zaskakującym - ani jednego drobiazgu, który mógłby nie uzyskać powszechnej aprobaty czy etykiety: „w dobrym guście”.

Jeżeli jakiś przedmiot podobnej metki nie posiadał, JoLynn nie wiedziała, co o nim sądzić.

A jednak mimo gorliwych starań ludzkich, pomyślała kpiąco Shelley, Pacyfik jak dotąd nie ma znaku firmowego wszędzie dyskretnie tam, gdzie ziemia styka się z wodą!

Tak więc, zamiast olejnych obrazów Ellswortha Kelley'a i mebli w stylu Saarinena, które wybrałaby sama Shelley, jej klientka postanowiła zapewnić wielopoziomowy, ultranowoczesny, przeszklony dom czcigodnymi wypukłościami i pretensjonalnymi zawijasami w stylu Ludwika XIV.

Ten wybór zdecydował o całej reszcie. Jedną z jego konsekwencji stanowiło zasłonięcie zapierającego dech w piersiach widoku oceanu draperiami z błękitnego aksamitu, a także sprowadzenie kryształowego żyrandola, który prezentował się dziwnie na okrytym belkowaniem suficie w jadalni.

Powiadają, że nie można mieć wszystkiego. Ale mało brakowało, żeby JoLynn swoimi minkami skłoniła właściciela nieruchomości do pomalowania belek na biało i złoto.

Z westchnieniem, skrywającym (dość zresztą łagodni) przekleństwo, Shelley odłożyła notatnik. Nie musiała w nim zapisywać nawet subtelnych oznak indywidualności swojej klientki, by wykończyć wnętrze. Jeśli JoLynn miała jakąś indywidualność, skrzętnie ją ukrywała.

Wystrój był niewątpliwie „w najlepszym guście”, ale bez cienia oryginalności. Nie brakowało przedmiotów naprawdę pięknych, nie było jednak niczego, co stanowiłoby klucz do poznania niepowtarzalnej przecież kompozycji nabytej wiedzy i osobistych doświadczeń, nadziei i obaw, marzeń i rozczarowań, które w sumie dawały całość zwaną JoLynn.

Sfrustrowana Shelley jeszcze raz rozejrzała się dokoła w nadziei, że dostrzeże coś, co uszło jej uwagi.

Nic jednak nie dostrzegła.

Wszystko, co JoLynn kazała memu współpracownikowi dostarczyć, przypomina drugorzędne eksponaty muzealne. Może natrafić na coś w następnym pokoju, pomyślała. Może tam Ludwik XIV nie zapanował jeszcze wszechwładnie!

Wglądało jednak na to, że zapanował.

Przemierzała pokój za pokojem, korytarz za korytarzem. Ani jednego odstępstwa od reguły. Nawet w pomieszczeniach dla służby nic, tylko złocenia i subtelny czar, elegancja i pozłotka. W tym błękitno-biało-złotym cacku można się było udusić!

Ozdoby i sprzęty są same przez się bez zarzutu, musiała przyznać Shelley. Umeblowanie w najlepszym gatunku, jak zresztą wszystko, co Brian wynajmuje naszym nadzianym klientom.

Ta doskonałość bez skazy kusiła, by zakłócić ją drobnym akcentem, przypominającym dyskretnie, że to dom mieszkalny, a nie filia muzeum.

Ziewnęła i odpędziła od siebie złudne marzenie o osobowości JoLynn. Było aż nadto widoczne, że jej klientka tak dalece nie umie mieć własnego zdania, że nie zniósłaby najdrobniejszej rysy na powłóce doskonałości, którą wycharował dla niej Brian.

Klientów tego pokroju najłatwiej zadowolić, ale nie ma się z tego żadnej satysfakcji. Wystarczy babie umeblować pokój jak ekspozycję muzealną, którą właśnie obejrzała, a uzna cię za geniusza!

Ma mniej indywidualności i odwagi niż ostryga.

Chyba umrę z nudów, zanim wykonam to, co do mnie należy. Chociaż w gruncie rzeczy to zupełna fikcja.

Shelley obejrzała się przez ramię, ale nie zobaczyła nikogo, kto ożywiłby monotonna doskonałość scenerii.

Brian i JoLynn pewnie nadal dyskutują o ogrodowych meblach i marmurowych posagach. Ma się rozumieć białych.

A może amorki będą pozłacane? - Aż się wzdrygnęła.

Niestety, to całkiem możliwe.

Szybko przeszła przez nienagannie umeblowany salon, w którym aksamitne zasłony zniekształcały dziki morski pejzaż. Bez większej nadziei skierowała się w stronę ostatniego skrzydła domu.

Pierwsze drzwi na końcu korytarza zostały niedawno odmalowane na biało ze złotymi ozdóbkami. Shelley wzruszyła ramionami i weszła do środka.

To, co ujrzała wewnątrz, zaparło jej dech. Ktoś z mieszkańców domu toczył tu walkę o przetrwanie w powodzi francuskiej doskonałości!

Shelley rozpromieniła się, a potem zaśmiała z cicha. Jakaś istota rozumna! Nareszcie!

Meble w stylu Ludwika XIV były prawie niewidoczne pod stertami rozrzuconych beładnie ubrań, rozmaitych gier i przedmiotów, których nie potrafiła zidentyfikować. Plakaty przedstawiające uzbrojonych po zęby fantastycznych barbarzyńskich herosów ktoś poprzyklejał do ścian w odcieniu złamanej bieli.

I to krzywo.

Dolną część aksamitnych draperii wetknęto bez najmniejszego szacunku za karnisz u góry. Nieprawdopodobnie piękny widok z okna potraktowano jako część życiowej przestrzeni, a nie jak wroga czyhającego za ozdobną, zatrzaśniętą bramą.

Dwie szuflady inkrustowanej komody nie domykały się, dzięki czemu stopy skarpet i koszulek wyległy na światło dzienne. Na łożu z baldachimem panował urzekający bałagan. Ktoś skopał jasnobłękitną aksamitną narzutę na puszysty biały dywan, gdzie przybrała postać imponującego wzgórka, na którego szczycie pyszniła się para mocno sfatygowanych i zzieleniałych od trawy butów z kołcami.

Żółt wielkości dużego talerza zażywał słonecznej kąpieli w błotnistym terrarium ustawionym na blacie pozłacanego stolika. W ciemnym kącie na podłodze stało drugie terrarium z uchylonym wiekiem.

Czuła, jak ogarnia ją coraz większe podniecenie. Znalazła kogoś, kto brał życie za rogi, nie odczuwając potrzeby mimikry, obowiązujących etykietek ani uników.

Był to jedyny pokój i jedyna osobowość, którymi zajmie się z przyjemnością!

Jak rzadko można spotkać kogoś takiego. Wszystko jedno, w jakim wieku!

Założę się, że osobnik, który tak „udekorował” pokój, to nastolatek. Najwyżej osiemnaście!

Spojrzała z uznaniem na pozbawiony ozdóbek, uroczo funkcjonalny komputer, który przytłaczał kruche biurczko. Dyskietki i pudełka z programami leżały na stosach komiksów i książek z gatunku *science fiction*. Do zablokowania drzwi rozwalonej szafy użyto mocno sfatygowanego świetlistego miecza z *Gwiezdnych Wojen*, który wyszczerbił się i powyginał w wielu kosmicznych bojach. Telewizor obrósł istnym gąszczem gier wideo, złączy, kaset i joysticków.

Największym jednak świętokradztwem była obecność w tym wnętrzu aparatury stereo z czarnymi kolumnami o mocy wystarczającej, by zwrócić uwagę Pana Boga.

Shelley zaczęła sporządzać w duchu listę rekwizytów, którymi chętnie wzbogaciłaby atmosferę tego pokoju. Na pierwszym miejscu znalazł się obraz wiszący obecnie w jej własnym domu: współczesna wersja potyczki świętego Jerzego ze smokiem. Pasowałby idealnie do barbarzyńców na plakatach i książkach. Obraz stanowił kwintesencję potęgi i tajemnicy, dobra i zła, życia i śmierci - krwawej fantazji, która fascynuje nastolatków.

Na widok samego smoka włosy stawały dęba! Potężne muskuły potwora przeżyły się i lśniły metalicznym blaskiem szczerego złota; oczy jaśniały jak diamenty; zęby i pazury połyskiwały morderczo ostrymi krawędziami. Nie było wątpliwości: świętego Jerzego czekała najtrudniejsza przeprawa w życiu!

Obraz pasuje idealnie do tego wnętrza, zdecydowała Shelley. Ale z Ludwikiem XIV trzeba się będzie pożegnać!

Bezapelacyjnie.

Co do gamy kolorystycznej... Niech zostanie wedle gustu JoLynn.

Zacząła snuć plany zmian nie kolidujących z życzeniem klientki. Połączenie błękitu, bieli i złota można tak zaadaptować, że francuską elegancję zastąpi barbarzyński przepych: wystarczy zwiększyć ostrość barw i dać złotu metaliczny połysk najnowszych zdobyczy współczesnej techniki.

Ten pomysł dodał jej nowych sił. Wsparłszy ręce na biodrach, z uśmiechem rozejrzała się po pokoju. Pokrzepiona witalnością emanującą z tej sypialni powróciła krótkim korytarzem do salonu, gotowa stawić znów czoło wymaganiom swojej klientki.

Ciszę domu zmaciły odgłosy świadczące dobitnie o tym, że Shelley nie jest już sama. Rozpoznała pięknie brzmiący, starannie modulowany głos

swego współnika, Briana Harrisa. Drugi głosik należał do JoLynn Cummings, która niedawno się rozwiodła i dysponowała taką ilością złota, o jakiej legendarnemu Midasowi nawet się nie śniło. Głos JoLynn był jakby lekko zdyszany, wysoki; snuł się na granicy pomiędzy szeptem a westchnieniem. Pasował jak ulał do mebli w stylu Ludwika XIV.

Shelley przeszła obok wielkiego lustra w złotej ramie, znajdującego się na końcu korytarza, nie zatrzymując się ani na sekundę, by w nie zerknąć. W dwudziestym siódmym roku życia nie miała żadnych złudzeń co do siebie, a także innych przedstawicieli rodu ludzkiego, nie wykluczając mężczyzn.

Zwłaszcza mężczyzn!

Pięć lat temu, po rozwodzie, zrobiła staranny obrachunek ze swoim życiem. Wyraźnie określiła, czego od niego oczekuje, i czego oczekuje od siebie samej. Teraz była właścicielką firmy, którą stworzyła dzięki własnym zdolnościom i żelaznej dyscyplinie. Swojego sukcesu nie zawdzięczała nikomu innemu.

A już na pewno żadnemu mężczyźnie!

- A, jesteś wreszcie! - odezwał się Brian. - JoLynn właśnie opowiadała mi o greckich posągach w Luvrze.

Wspólnik Shelley grał w firmie drugie skrzydło. Był wyższy od niej, ale prawie tak samo smukły. Natura obdarzyła go popielatymi włosami. Tego właśnie odcienia mnóstwo kobiet poszukuje przez całe życie na dnie buteleczek z różnymi farbami.

Brian odznaczał się również klasyczną urodą świeżo upadłego anioła i sprytem w interesach godnym tego władcy piekieł.

Shelley łączyło z Brianem miłe zawodowe koleżeństwo, odkąd jej wspólnik zrozumiał wreszcie, że znalazł w niej partnerkę do interesów, a nie do łóżka.

- Sarah Marshall - oznajmił Brian - zapewniła JoLynn, że tylko ty potrafisz wyposażyć domy swoich klientów w dzieła sztuki idealnie wyrażające ich osobowość.

- Przepraszam, że musieliście na mnie czekać - powiedziała Shelley. - Robiłam właśnie przegląd całego domu. Brian spełnił każde pani życzenie, prawda, pani Cummings?

- Och, proszę mówić do mnie „JoLynn”! Gdy tylko słyszę słowa „pani Cummings”, staje mi przed oczami matka mojego byłego męża. Okropna kobieta!

- Oczywiście, JoLynn - zgodziła się Shelley.

Wyciągnęła ku niej rękę i poczuła zdumiewająco silny uścisk drobnej dłoni.

Jednak nie zaskoczyła jej niczym innym. Okazało się, że jest dokładnie taka, jak można się było spodziewać po obejrzeniu wybranej przez nią dekoracji wnętrza domu.

Fizyczne walory JoLynn były owocem okazałego konta bankowego jej eks-mażonka. Miała najmodniejszą fryzurę, także ciuchy, makijaż, lakier do paznokci, rajstopy i pantofle - wszystko tworzyło jednolitą całość. Niestety, ta doskonałość miała pewną skazę: będzie się nadawała do wyrzucenia w chwili, gdy pojawi się następny numer magazynu mody.

Mimo to JoLynn była niewątpliwie urzekająco piękna. Miała miedziano-złote włosy, kremową karnację, zielone jak nefryt oczy oraz figurę, która wzbudziłaby zazdrość każdej gwiazdy filmowej.

- Pozwól, Cainie - powiedziała oglądając się - to jest...

Z okrzykiem zniecierpliwienia rozejrzała się dokoła. Zbyt późno zorientowała się, że w pokoju nie ma nikogo oprócz niej samej, Briana i Shelley.

- Gdzie też on się podział?! - mruknęła, po czym zawołała na cały głos: - Cain!

Shelley stała cierpliwie, nad słuchując, z której części domu dobiegnie odpowiedź.

Nikt się jednak nie odezwał.

Nagle oczy JoLynn stały się jeszcze większe. Spojrzenie jej pobiegło nad ramieniem Shelley.

- Nareszcie! - westchnęła. - Doprawdy, kochanie, jesteś okropny: stale gdzieś znikasz!

- Nieraz już to słyszałem.

Niski głos odezwał się tuż za Shelley. Zaskoczona odwróciła się raptownie.

Chociaż podłoga za jej plecami była z błyszczącej, twardej klepki nie przykrytej dywanem, Shelley nie usłyszała, jak nadszedł. Było to tym dziwniejsze, że przybysz nie miał na nogach miękkich tenisówek czy innych cichostępów. Jego wielkie stopy tkwiły w sięgających kolan sznurowanych butach, jakie noszą turyści w górach.

- Cainie - dokonała prezentacji JoLynn - to współniczka Briana, Shelley Wilde. Shelley, przedstawiam ci Caina Remingtona.

Shelley uprzejmie podała rękę nieznanemu.

Jego dłoń zdumiała ją tak samo jak bezszelestne wejście. Silna, pokryta szramami i odciskami ręka nie należała do takiego mężczyzny, jacy zazwyczaj kręcą się w pobliżu młodej rozwódki w typie JoLynn.

Cain Remington nie był żenująco młodym Adonisem, utrzymywany przez bogatą, starszą od niego kobietę, ani otyłym, podstarzałym biznesmenem, stanowiącym finansowe zaplecze kobiety znacznie od siebie młodszej. Prawdę mówiąc, nie pasował do żadnej ze znanych Shelley kategorii mężczyzn.

Jego ubiór, choć niedbały, był w dobrym gatunku. Głos miał niski, prawie szorstki, nie wyrażał się jednak ani prostacko, ani z przesadną elegancją. Choć był najwyraźniej w świetnej kondycji fizycznej, nie zawdzięczał jej chyba ćwiczeniom pod okiem trenera. Shelley wydał się pociągający, jednak - z wyjątkiem ust - miał rysy zbyt wyraziste i ostre, by zasługiwać na miano przystojniaka.

Był znacznie wyższy od Shelley, która miała metr siedemdziesiąt sześć wzrostu.

Kasztanowate włosy i zimne szare oczy, nieskazitelny zarys ust, wąsy pełne miedzianych iskier i uśmiech odsłaniający sam brzeżek ostrych zębów - podsumowała w duchu obserwację.

Spogląda na świat z obojętnym zainteresowaniem sytego drapieżnika.

Kolejna refleksja zbudziła w Shelley zarówno zaciekawienie, jak niepokój.

Gdyby to on grał rolę smoka, ze świętego Jerzego niewiele by zostało.

Cain nie wyglądał na wystarczająco głupiego, by mogły go zadowolić co prawda wyraźnie widoczne, ale dość ograniczone zalety JoLynn. Z drugiej jednak strony, dzięki swemu byłemu mężowi Shelley dowiedziała się wszystkiego o reakcjach przeciętnie inteligentnego samca na biustonosz w rozmiarze D w połączeniu z zająkliwym głosikiem „małej dziewczynki”.

- Bardzo miło mi panią poznać, pani Wilde - powiedział Cain.

Ścisnął jej rękę odrobinę dłużej niż to było konieczne, zupełnie jakby wy-czuł dość cyniczną aprobatę kryjącą się za uprzejmym uśmiechem Shelley.

- Panno Wilde - poprawiła go automatycznie Shelley.

- Na pewno nie pani?

- Jeśli mego rozmówcę interesuje ta kwestia, nigdy nie omieszkam poinformować go, że należę do wymierającego gatunku.

Wzrok Caina przesunął się całkiem jawnie po subtelnych okągłościach, rysujących się pod delikatną dzianiną kolorowego kostiumu Shelley. Gniewny błysk, który zamigotał w jej piwnych oczach pod wpływem tych obcesowych oględzin, zgasł równie szybko, jak zapłonął.

Cain zauważył go jednak. Wyraźnie oczekiwał podobnej reakcji. Jego usta wygięły się w prawie niedostrzegalnym śmiechu.

- „Wymierający gatunek”? - spytał. - Czy to ma znaczyć „stara panna”?

- Proszę powiedzieć, co pan przez to rozumie, a wówczas wyjaśnię, czy podpadam pod tę kategorię.

- Kobieta, która nie potrafi zatrzymać przy sobie mężczyzny.

- Strzała w dziesiątkę - odparła spokojnie, choć oczy zweziły jej się, jakby usiłowała odgrodzić się od bolesnych wspomnień. - W moim przypadku „stara panna” to rozwódka, która wróciła do rodzowego nazwiska.

Cain odpowiedział niedbałym skinieniem głowy.

- Założę się, że z pana zatwardziały kawaler - dorzuciła Shelley.

- Kawaler?

- Mężczyzna, który nie potrafi zatrzymać kobiety - wyjaśniła z uprzejmym uśmiechem Shelley.

Brian wtrącił się, wyraźnie zażenowany:

- Wiesz co, Shelley, może byśmy...

- Brianie - przerwała mu JoLynn - musisz koniecznie powiedzieć mi coś więcej o posagu frywolnego satyra, o którym wcześniej wspomniałeś. Znalazłam wymarzone miejsce na coś takiego!

Mówiąc to JoLynn pociągnęła go w drugi koniec salonu, gdzie słoneczne promienie z trudem przedostawały się przez zasłony. Zaczęła wyjaśniać swoim zdyszczanym głosikiem, jakie to marmurowe posagi pragnie ustawić w przedpokoju i na bocznym dziedzińcu.

Cain i Shelley jakoś nie zorientowali się, że zostali sami. Zaprzątnięci byli wzajemną niechęcią.

I nieoczekiwanym odkryciem...

- Prawdę mówiąc, zawsze uważałem się raczej za konesera - stwierdził Cain.

- Ach, tak - mruknęła Shelley. ~ Z pewnością chodzi o kobiety?
Zanim zdążył odpowiedzieć, spieszenie kontynuowała tonem konferansjera na pokazie mody.

- Chociaż nie grzeszy pan urodą, bez wątpienia poszukuje pan partnerek oszałamiającej piękności, doskonałych w każdym calu, żeby stanowiły imponujące trofeum.

Oczy Caina rozwarły się bardzo szeroko. Potem zwięźliły w szpareczki.

Shelley uśmiechnęła się i mówiła dalej, wyliczając na palcach poszczególne punkty.

- Bez wątpienia pańskie kobiety muszą być bardziej dekoracyjne niż greckie posagi, no i zdecydowanie ruchliwsze od nich w łóżku. Powinny także - dorzuciła od niechcenia - wyróżniać się inteligencją i spostrzegawczością ostrygi.

- Dowcipna i w dodatku piękna - zauważył Cain.

Jego uśmiech był szczery i bardzo męski; bez cienia wątpliwości - Shelley mu się podobała.

- Żeby uwierzyć w pański komplement, musiałabym stać na równi ze wspomnianymi ostrygami. Dobrze wiem, panie Remington, jak bardzo jestem „piękna”.

Roześmiał się z cicha.

- Mów mi Cain.

- Całkiem inteligentnie z pana strony, że ograniczył pan moją swobodę pod tym względem.

- Nazewnictwa?

-A jakże.

Shelley czuła jednak, że złość ją opuszcza, a do głosu dochodzi poczucie humoru. Iskrzący się w szarych oczach Caina uśmiech sprawiał, że nie wydawały się już takie zimne.

- Łotr spod ciemnej gwiazdy, co? - spytała uśmiechając się mimo woli.

- Zależy, co przez to...

Słowa Caina zagłuszył wysoki, przeraźliwy wrzask JoLynn. Oboje równocześnie odwrócili się i pognali w stronę, skąd dobiegał.

2

JoLynn znajdowała się na samym końcu salonu. Gdy Cain i Shelley podbiegli do niej, dostrzegli popielato-różowego węża, który leżał zwinęty w płamie słonecznej na podłodze.

JoLynn wrzasnęła powtórnie.

Płynnym ruchem Cain uniósł ją, okręcił i umieścił poza zasięgiem węża. Potem zawrócił, by rozprawić się z gadem.

I wtedy zastygł w osłupieniu.

Shelley pochylała się nad smukłym cielskiem. Nie wierzył własnym oczom: podniosła stworzenie z podłogi z takim spokojem, jakby to była wstążka upuszczona przez nieuważne dziecko.

Brian wydał z siebie dźwięk, który - gdyby pochodził z kobiecego gardła - zasługiwałby na określenie „zduszony pisk”.

-Sh...Shelley, co ty wyrabiasz?! - stęknął.

JoLynn wydawała jakieś nieartykułowane dźwięki, czepiając się ramion Caina. Ten nie spojrzawszy nawet na nią, przekazał ją Brianowi. Kiedy i wówczas nie chciała go puścić, strząsnęła z siebie jej rękę.

Całą uwagę skoncentrował na Shelley. Stała w powodzi słonecznego światła trzymając węża, którego zwinęła niedbałym ruchem.

- Spoko, Brian - powiedziała nie odrywając wzroku od gada. - To oswojone stworzonko.

- S...skąd ta pewność? - z niedowierzaniem spytał współnik.

- Nie zemdłał słysząc wrzaski JoLynn - wyjaśnił sucho Cain.

Shelley zmusiła się, by nie parsknąć śmiechem. W końcu dała za wygraną i tylko schyliła się niżej, żeby ukryć wesołość.

- Wszystko w porządku - udało jej się wykrztusić po chwili. - Zdumiewasz mnie, Brian! Ten okaz to śliczny, w dobrym humorze i syty różowy boa dusiciel.

JoLynn wrzasnęła raz jeszcze.

Cain od niechcenia zakrył swą wielką łapą jej perfekcyjnie wymalowane usteczka.

Brian z trudem przełknął ślinę. - Waż boa?! Przecież to ludojady!

- Tylko w idiotycznych filmach o przygodach w dorzeczu Amazonki - odparła Shelley. - Ten gatunek zdecydowanie woli suchy łąd i polne myszy.

Z wprawą okręciła sobie węża wokół ręki. Trzymała przy tym głowę różowego boa delikatnie, ale stanowczo.

Dla Caina było całkiem jasne, że wąż nie zmieni miejsca pobytu bez pozwolenia Shelley. Równie oczywiste było to, że gad czuje się zupełnie swobodnie.

Boa wysuwał raz po raz czarny, rozwidlony język, badając skórę Shelley swym niezwykłym narządem węchu. Uspokojony ciepłem jej ciała i fachowym podejściem, usadowił się wygodnie i przywarł do jej ramienia jak grzeszyny, oswojony wąż, którym zresztą był.

- Skąd on się tu wziął? - spytał Brian łamiącym się głosem.

- Przypuszczam, że z sypialni na końcu korytarza - odparła Shelley.

- Dlaczego? Może jest wygłodzony?!

- Chciał po prostu owinać się wokół czegoś ciepłego.

- Niegłupi wąż - zauważył Cain.

Shelley zignorowała go.

- Jestem cieplejsza od szklanej klatki w ciemnym kącie sypialni - wyjaśniła Brianowi - więc z przyjemnością okręcił się wokół mego ramienia. Nie żywi żadnych niecznych zamiarów co do reszty mego ciała.

- A jednak głupszy niż myślałem - zauważył Cain.
- Sądzę raczej, że to gadzi Einstein - odcięta się Shelley.
Powoli powiodła koniuszkiem palca po całej długości chłodnego wężo-
wego cielska. Było gładkie i giętkie, muskularne i sprężyste.

- Jest w doskonałej formie - oświadczyła z aprobatą. - Widać jego wła-
ściciel umie się obchodzić z gadami.

JoLynn wydawała jakieś wymowne, choć zdławione dźwięki.

Cain ostrożnie zdjął rękę z jej ust.

- Billy! - wykrztusiła JoLynn.

Nie pozostało w niej ani krztyny dotychczasowego naiwnie dziecięcego
wdzięku. Była śmiertelnie blada. Tym wyraźniej odcinały się na jej policz-
kach dwie gorejące plamy.

- Zamorduję tego podstępного sukinsyna! Zapowiedziałam mu, żeby
nie ważył się przyjeżdżać do mego domu z tym potworem!

Shelley próbowała wymyśleć j akąś taktowną uwagę. Przy szło jej do głó-
wy tylko to, że jeśli JoLynn jest matką chłopca, to określenie „sukinsyn” jest
niezwykle tramę.

Niezbyt to taktowne, pomyślała. Trzymaj buzię na kłódkę, przynajmniej
raz!

- Zabij go! - zażądała JoLynn zwracając się do Caina. - Zabij go od
razu!

Shelley cofnęła się i wyciągnęła drugą rękę, broniąc węża.

- To całkiem zbyteczne - wyjaśniła. - Waż nikomu nie zrobi krzywdy.

Trzasnęły drzwi frontowe.

- Mama, to ja, Billy! - odezwał się gromki głos. - Wróciłem z plaży.

Chłopiec skręcił w stronę salonu. Miał na sobie minimalne kąpielówki
i maksymalną powłokę piachu.

Najpierw ujrzał zbiełała ze strachu matkę.

Zaraz potem zobaczył swego ulubieńca owiniętego wokół ramienia ob-
cej kobiety.

Wargi chłopca ułożyły się w kształt słowa zastrzeżonego zazwyczaj dla
dorosłych.

Cain chrząknął w samą porę, by zagłuszyć przekleństwo.

- On nie zrobi pani nic złego! - zawołał Billy, wbiegając do pokoju. -
Słowo daję! Jest łagodny i czysty. I bardzo grzeczny!

- Na pewno to samica - odparła z uśmiechem Shelley.

- Gdzie tam! Samiec.

- Skąd ta pewność?

- Nie znosi lakieru do paznokci i tego kleju do włosów.

Shelley z trudem powstrzymała się od rzucenia okiem w stronę jego matki
o j askrawo pomalowanych paznokciach i włosach sztywnych od lakieru. Sta-
racząc się ukryć śmiech, znów w przyjemnością pogładziła delikatną różową
kompozycją łusek lśniących w promieniach popołudniowego słońca.

- Prawdziwy z niego dżentelmen - zauważyła, podkreślając przynależ-
ność węża do świata mężczyzn. - Jak go nazwałes?

- Duś, jakżeby inaczej?

Shelley uśmiechnęła się, a potem roześmiała na całe gardło. I śmiech,
i uśmiech były równie ciepłe, bezpośrednie, szczere.

Cain bezwiednie zrobił krok w jej stronę, jak zziębnięty człowiek przy-
bliża się do ogniska. Malujące się na twarzy Shelley zrozumienie i sympatia
zarówno do chłopca, jak węża, oraz jej poczucie humoru były dla Caina
stokroć bardziej pociągające od wszystkich starannie wyreżyserowanych
kobiecych sztuczek JoLynn.

- Duś! - powtórzyła Shelley, parszkając śmiechem. - To na pewno potrafi!

Na Billy'ego spadło nagłe oślnienie. Podszedł do Shelley i zagapił się na
nią. Był dokładnie tego wzrostu co ona, opalony, o piwnych oczach i ciem-
noblonde włosach, trochę zbyt poważny jak na swój wiek.

- Pani się go nie boi - powiedział, nie mogąc w to uwierzyć. - Ani trochę!

- Zawiedziony?

Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami, a potem uśmiechnął się radośnie.

- Nazywam się Billy - powiedział, wyciągając rękę. - A pani?...

- Shelley.

Podąła mu lewą rękę, bo prawa była pełna bardzo zadowolonego węża.

- O rany, pani dzieciaki to mają szczęście! - stwierdził Billy, energicz-
nie potraszając dłonią Shelley. - Kto by pomyślał? Matka, która się nie boi
węży!

Potrząsnął głową, pełen podziwu.

- Cain! - oświadczyła JoLynn załamującym się głosem. - Zabij tego
węża!

- Ojej, mamo! - chłopiec zwrócił się ku niej. - Chyba żartujesz?

- Ja ci pokażę żarty, do cholery!

Humor opuścił Billy'ego do reszty. Przez chwilę spoglądał na matkę
w osłupieniu, potem spojrzał na Caina. W końcu powoli, prawie już bez na-
dziei, zwrócił się do Shelley

Uniosła brwi i spojrzała Cainowi prosto w oczy. Choć nie wyrzekła ani
słowa, cała jej postawa świadczyła o tym, że Cain zdoła wydrzeć jej węża
jedynie siłą.

- To przecież tylko dwa miesiące, wujku Cainie! - przekonywał chłopiec.
Mówił do Caina i JoLynn, ale błagalny wzrok utkwił w Shelley.

- Nie mogę odwieźć go do domu, bo tata jest za granicą - wyjaśniał
pospiesznie - i nasza gospodyni nie zgodzi się, żeby Duś mieszkał tam bez
mnie. A ja przecież jestem tu, a nie tam.

- Nie zgodzę się na żadnego gada w moim domu! - odparła szorstko
JoLynn. - Ohydne stworzy!

Shelley aż się wzdrygnęła. Reakcja na węża wykraczała poza kunstow-
ną pozę „bezbrownego kobiecikatka”. JoLynn naprawdę była szara i spocona
ze strachu. Węże budziły w niej autentyczną grozę.

- Trzeba go zabić! - JoLynn aż się trzęsła. - Oślizły potwór! Jak możesz znieść jego dotyk?!

- Węże mają skórę suchszą niż my - wyjaśniła łagodnie Shelley.

Ton jej głosu świadczył o tym, że jest przyzwyczajona do węży i ich hodowców.

JoLynn poruszyła wargami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Naprawdę - zapewniła ją Shelley. - Czy dotknęłaś kiedyś węża?

Choć Shelley nie zbliżyła się do niej, JoLynn wydała jakiś dziwny dźwięk i cofnęła się szybko.

Brian otoczył opiekuńczym ramieniem kibić klientki.

- Zabij go, Cain! - domagała się JoLynn - Natychmiast!

Billy patrzył błagalnym wzrokiem i usiłował coś powiedzieć.

- Masz jakąś propozycję, Shelley? - spytał Cain.

Shelley wpatrywała się w niego przez chwilę, potem lekko uśmiechnęła się i skinęła głową. Spojrzała znów na Billy'ego.

- Zgodziłbyś się wypożyczyć mi Dusia, póki nie wrócisz do taty? - spytała,

- Nie przeszkadzałby pani?

- Wcale.

- Bo on je tylko żywe myszy... - powiedział Billy z wahaniem. Walczyły w nim prawdomówność i chęć ocalenia ulubieńca.

- Wiem.

Głos Shelley był łagodny jak dotknięcie jej palców, gładzących sploty odprężonego węża.

- Naprawdę? - spytał chłopiec. - A skąd? Czy hoduje pani węże?

- Nie, ale wychowałam się wśród nich. Mój tata był herpetologiem.

Ruszyła bez pośpiechu w stronę sypialni Billy'ego, chcąc wyciągnąć chłopca z salonu, a węża usunąć sprzed oczu JoLynn.

Billy szybko pobiegł za nią. Wolał, by jego wąż znalazł się jak najprędzej poza zasięgiem wzroku matki.

- Wiesz, kto to jest herpetolog? - spytała Shelley.

- Ktoś, kto obserwuje życie gadów.

- Zwłaszcza węży.

- Jadowitych też? - dopytywał się chłopiec.

- Mój tata zajmował się głównie jadowitymi.

Cain podązał za nimi zwinnym, bezszelestnym krokiem i przysłuchiwał się z uwagą ich rozmowie. Czuł się jak niegdyś w pewnej dzikiej krainie, gdzie spodziewał się znaleźć jakąś formację skalną, a natrafił na lśniąca żyłę szczeręgo złota. Nieoczekiwane odkrycie przeszło go niczym prąd elektryczny, wyostając wszystkie jego zmysły.

- Mojego tatę fascynowało coś, co nazywał „ekologią piasków” - mówiła Shelley.

- Co to takiego?

- Krótko mówiąc, łatwość, z jaką gady potrafią się przystosować do najsuchszych zakątków świata. A tak się składa, że większość pustynnych węży

jest jadowita. I to bardzo. Chyba jadowite węże to znak firmowy pustyni, podobnie jak brak wody.

- Na przykład na pustyni Mojave?

- Albo na Saharze czy na pustyni Negev lub Sonora - odparła Shelley, wchodząc do sypialni Billy'ego. - Kiedy byłam dzieckiem, mieszkaliśmy przeważnie na największych pustyniach świata.

- Zawsze chciałem mieszkać na pustyni!

- W południowej Kalifornii jesteś właściwie na pustyni. Bez importowanej wody nie wytrzymałobyśmy nawet miesiąca.

- Naprawdę?

- Naprawdę - potwierdził Cain niskim, wesołym głosem.

Shelley była tak zaskoczona, że obróciła się raptownie. Nie słyszała jego kroków, gdy szedł za nimi korytarzem.

- Jak na swoje rozmiary, ma pan zdumiewająco lekki chód - zauważyła cierpko.

- Ty jesteś jeszcze bardziej zdumiewająca.

Stanęła na palcach i spojrzała mu przez ramię. - A gdzie JoLynn?

- Mama nigdy nie wchodzi do mego pokoju - wyjaśnił Billy. - Okropnie jej się tu nie podoba.

- Ach, tak? - to było wszystko, na co Shelley mogła się zdobyć.

Chłopiec chciał zdjąć z jej ramienia trafnie ochrzczonego węża, ale gad bardzo polubił swą ciepłą grzędę.

- Mój pokój doprowadza mamę do szału - wyjaśnił Billy. Potem wzruszył ramionami. - Strasznie dużo rzeczy doprowadza mamę do szału. A najbardziej tata. No, zejdź wreszcie!

Pociągnął silnie ciepłe sploty ulubieńca.

Duś ani drgnął.

- Nie bądź taki, odczep się! - perswadował chłopiec. - Pora wracać do terrarium.

Duś oplótł się jeszcze mocniej, nie chcąc rozstać się ze źródłem ciepła, które uznał już za swoją własność.

Cain pochylił się bardzo nisko i szepnął tak cicho, że Billy go nie usłyszał: - Czuję w tym wężu bratnią duszę.

- Jako dusiciel?

Nawet wypowiadając te słowa Shelley zdawała sobie sprawę, że bliskość Caina bynajmniej nie przyprawia jej o klaustrofobię.

- Jako wielbiciel kobiecego ciepła.

- No, Duś! - krzyknął rozpaczliwie Billy. - Puszczaj!

- Chwileczkę - powiedział Cain.

Zbliżył się jeszcze bardziej do Shelley. Potem ujął głowę Dusia zrecznie i łagodnie jedną ręką, drugą zaś odplątał węża, zwój po zwoju.

Duś jednak wchłonął z ciała Shelley tak dużo ciepła, że był ożywiony i zdumiewająco szybki. Błyskawicznie owinał się wokół twardego, nagiego przedramienia Caina i zaczął badać nową grzędę. Rozwidlony język gada

wydawał się jeszcze ciemniejszy na tle połyskujących w słońcu złotych włosów na ręce mężczyzny.

Cain westchnął, ale nie zaprotestował przeciw tej poufałości.

- Ty też się go nie boisz - odezwał się Billy. - Studiowałeś herpetologię, wujku?

- Nie, ale byłem kiedyś chłopcem, który lubił węże.

Billy wznosił oczy w górę. Bardzo wysoko. - To musiało być strasznie dawno temu.

- Co najmniej kilkaset lat.

Shelley parsknęła śmiechem, który zamarł, gdy Cain zwrócił ku niej wzrok.

Jego oczy znajdowały się tak blisko, że mogła dostrzec drobniutkie prześwitujące błękitu i czarne punkciki w mroźnej szarości tęczy. Shelley zauważyła też nagłe rozszerzenie się źrenic i zmysłowe, prawie niedostrzegalne drgnienie nozdrzy, gdy poczuł zapach jej skóry.

Choć nawet jej nie dotknął, miała wrażenie, że otacza ją ze wszystkich stron. Ciepło oddechu Caina pieściło jej wargi, wdychała czystą, ostrą woń męskiego ciała, czuła bijący od niego żar - obietnicę bez słów.

Kiedy oczy Caina zatrzymały się na wargach Shelley, nagle uświadomiła sobie coś, co poraziło ją niczym prąd.

- Shelley! - odezwał się od drzwi Brian - jeśli naprawdę chcesz zabrać tego pier... - Urwał nagle i spojrzał na Billy'ego. - Jeśli chcesz zabrać tego... no, to stworzenie ze sobą, to musisz wezwać taksówkę.

Shelley skinęła głową bez większego zainteresowania.

- Nie wpuszczę do mego wozu tego pier... cholernego węża! - stwierdził stanowczo Brian.

- Chętnie pana wyręczę - wycedził Cain.

Ton jego głosu wprawił nerwy Shelley w dziwne drżenie. Oblizła dolną wargę.

Oczy Caina śledziły ruch wilgotnego, różowego koniuszka języka.

- Nawet pan nie wie, gdzie Shelley mieszka - zauważył Brian,

- To nie ma znaczenia. Zawiozę Shelley, dokąd tylko zechce.

- To mogłoby zaprowadzić pana zbyt daleko - odciął się współnik Shelley.

- Też tak sądzę.

Zapadło pełne napięcia milczenie. W końcu Brian wzruszył ramionami. Było w tym geście więcej irytacji niż obojętności.

- Świetnie - oświadczył. - Zabiorę JoLynn do „Pozłacanej Lili”, żeby sobie obejrzała, co Shelley ma na składzie. Zgoda, współniczko?

- Doskonały pomysł.

- Tak sądzisz? - droczył się z nią Brian. - Jesteś tego pewna?

Shelley niechętnie oderwała się od światełek połyskujących w oczach Caina, głębokich i tajemniczych jak jeziora o zmiernym.

- A dlaczego nie miałabym być pewna? - spytała.

Brian ponownie wzruszył ramionami i wykręcił się na pięcie.

- Pokaż JoLynn tylko to, co znajdzie w podręczniku historii sztuki dla szkół średnich - dorzuciła Shelley. - Tylko w tej sferze czuje się bezpiecznie.

Delikatnie zarysowane usta jej współnika wygięły się w dwuznacznym, zdecydowanie zmysłowym uśmiechu.

- Będę bardzo, ale to bardzo opiekuńczy - zapewnił ją. - Miała taki ciężki dzień.

Shelley obrzuciła Caina szybkim spojrzeniem, starając się dostrzec choć cień zazdrości.

Nie dostrzegła. Najwidoczniej nie obawiał się pozostawić roztrzęsionej JoLynn w zasięgu opiekuńczych ramion wytwornego Briana. Biorąc pod uwagę klasyczną piękność współnika Shelley, albo „wujek” Billy'ego naprawdę nie był zazdrosny o jego mamusię, albo też cechowała go zdumiewająca pewność siebie.

Albo i jedno, i drugie.

Nietypowa reakcja Caina w połączeniu z niedbałą zrezygnacją, z jaką poskromił Dusia, zaintrygowały Shelley. Mimo powszechnie panującej opinii, że tylko kobiety boją się węży, Shelley przekonała się, że bardzo niewielu mężczyzn chciało mieć do czynienia z gadem - chyba po to, żeby go zabić.

- To ładnie z twojej strony - pochwaliła z pewnym roztargnieniem współnika. - Spotkamy się w sklepie, kiedy zainstalujemy już Dusia u mnie w domu.

- Nie musicie się spieszyć - powiedział Brian, obserwując Caina tak samo bacznie jak Shelley.

- Nie zamierzamy - zapewnił go Cain.

Wspólnik Shelley mruknął coś pod nosem i odmaszerował korytarzem bez pożegnania.

- Narzeczony? - spytał Cain bardzo cicho.

- Jeszcze gorzej. Wspólnik.

- Macie wspólną sypialnię?

- Firmę.

Cain zawahał się przez sekundę.

- Niech będzie po twojemu.

- Jeśli nie wierzysz temu, co mówię, to po co pytasz? - Shelley zwróciła się do Billy'ego. - Terrarium w kącie należy do Dusia? - spytała.

- Tak. Pewnie dziś rano źle założyłem wieko. I tak już byłem spóźniony - dodał.

Shelley podejrzewała, że spóźnianie się jest stałym grzechem chłopca, Nie miała mu tego za złe. Upalne, wyłożone słońcem letnie dni w Kalifornii w niej także budziły żądę wędrówek i skłaniały do snów na jawie. Pamiętała podmuchy wszystkich dzikich wiatrów, które owiewały ją w dzieciństwie, wszystkie odległe krainy i ludzi zdolnych do znoszenia wszelkich trudów.

Jak zawsze, odpędziła od siebie wspomnienia i zdusiła niespokojną tęsknotę, która ostatnio coraz częściej ją nawiedzała.

Dokonałam wyboru mając dziewiętnaście lat, upomniała samą siebie. Wybrałam spokój i bezpieczeństwo.

Własny dom.

Potrzebowała miejsca na ziemi, które należałoby wyłączyć i niepodzielnie do niej. Jej życie musiało zależeć tylko od jej woli: czy zapraśnie wędrować, czy pozostanie w jednym miejscu - na co jej przyjdzie ochota.

A miała ochotę osiąść w jednym miejscu i zbudować sobie dom.

- W porządku, Billy - odezwała się dziarskim tonem. - Jak mam karmić tego stwora?

- Nie będzie głodny przez jakieś pięć dni. Nawet lepiej odczekać sześć.

- Jest na diecie?

- Nie, ale dopóki całkiem nie zgłodnieje, nie zwraca uwagi na biedną mysz. Wtedy wyjmuję ją z terrarium i zaprzyjaźniamy się, a potem muszę kupić następną, jak Duś poczuje prawdziwy głód.

Shelley mruknęła współczująco. Jej również było zawsze żal myszy. Ale było jej także żal dzikich ptaków, na które czyhał domowy kot, królików, oposów czy skunksów, i domowych zwierząt, które przejechał samochód. Życie jest obrzydliwe i nic na to nie można poradzić.

- W porządku - powiedziała. - Upewnię się, że Duś jest głodny. Wtedy będzie to szybkie i mniej okropne.

Billy rozpromienił się.

- Dziękuję. Wiedziałem, że pani zrozumie. - Zawahał się przez chwilę i dodał: - Fajnie by było, żeby pani dzieci czasem się z nim pobawiły. Duś zawsze się wokół mnie owija, kiedy odrabiam lekcje.

Na dźwięk słowa „dzieci” oczy Caina zwięziły się.

- Nie mam dzieci - odparła Shelley - ale wyjmę Dusia od czasu do czasu, żeby się nie nudził. Ty również możesz go odwiedzać, kiedy tylko mama ci pozwoli.

- Naprawdę? To by było fajnie!

Z szerokim uśmiechem zabrał się do wywlekania terrarium z sypialni.

- Trochę z nim będzie nieporęcznie na motorze - stwierdził Cain.

- Na motorze? - Chłopiec wyprostował się i spytał skwapliwie. - Przyjechałeś na motorze?

Cain chciał coś odpowiedzieć, ale się rozmyślił.

Młodziutka twarz Billy'ego zmieniała się w maskę: nie było na niej ani entuzjazmu, ani żarliwej prośby.

- Też mam motocykl-wyjaśnił- ale mama nie pozwoli mi na nim jeździć, póki tu jestem.

Shelley zauważyła, że Billy odczuwa ogromną potrzebę kontaktu z dorosłym mężczyzną i uwielbienia dla idola. Pod jej powiekami pojawiły się piekące łzy. Jej rodzice ciągnęli ją ze sobą po całym świecie, ale nigdy nie trafiła z ich winy do piekła, które rozwiera się przed dziećmi, gdy ich rodzice przestają się kochać i każde z nich idzie w swoją stronę.

- Słyszałem o twoim motocyklu - powiedział Cain szorstko. - Dlatego właśnie tu jestem. Doszliśmy z Davem do wniosku, że przyda ci się trochę towarzystwa, gdy on buja po Francji.

- To ty nie przyjechałeś... no... zobaczyć się z mamą? - spytał niepewnie Billy

- Przyjechałem do ciebie.

- Ona o tym wie?

- Nie.

- To lepiej jej nie mów. Mama nie zrozumie. Wścieka się na wszystko, co ma związek z tatą.

Cain usiłował znaleźć jakieś kojące słowa, by złagodzić gorycz wyraźnie słyszalną w głosie chłopca. W końcu położył po prostu rękę na jego ramieniu.

- Coś wykombinujemy - obiecał. - A na razie może nam pożyczysz swój kask?

- Ten? - Billy wskazał na mocno sfatygowany kask, ledwo widoczny zza zapiaszczonego plażowego ręcznika, który wisiał obok łóżka.

- Masz lepszy? - spytał Cain.

- Nie.

Billy schwytał kask, otrzepał i fachowym spojrzeniem zmierzył głowę Shelley.

- Będzie świetnie pasował na nią jak rozpuści ten głupi kok - stwierdził.

Lewa ręka Caina poruszyła się tak błyskawicznie, że Shelley nie miała czasu uchylić się ani zaprotestować. Poczowała mocny, badawczy dotyk jego palców sekundę przedtem, nim jej włosy rozsypały się nagle po plecach. Ukryta pod gęstwiną loków dłonią Cain musnął jej kark, a potem cofnął rękę, pozostawiając niespodziewanie rozkoszny dreszcz.

Billy włożył jej kask na głowę, poprawił i przyjrzał się uważnie swemu dziełu.

- Pasuje - orzekł.

Shelley skinęła głową z roztargnieniem. Myślała o sekretnej pieśczoce Caina.

- Co z Dusiem? - spytała.

- Jak umocujesz kask na głowie węża? - spytał Cain dobrodusznie.

Chłopiec parsknął śmiechem.

- Taśmą klejącą?

- To jest myśl.

Cain potarł twarz dłonią, na której został jeszcze ulotny zapach włosów Shelley. Nozdrza leciutko mu drgnęły. Wpatrywał się w nią, pragnąc znów poczuć jedwabisty ciężar jej włosów, zakosztować smaku jej ust.

Zastanawiał się, czy ona także odczuła instynktowny pociąg, jaki obudził się w nim, gdy tylko dotknął jej skóry.

Po chwili miał już pewność, że tak jest.

Widział niemal niedostrzegalne drżenie jej warg, gdy patrzyła na niego, i rozszerzone źrenice.

Wyteżył całą swą wolę, by nie opaść wraz z Shelley na podłogę i nie pogrzyźć się w niej, aż pamięć o nieugaszonej pragnieniu i samotności całego życia stanie się tylko wyblakłym wspomnieniem.

- ... przewieźć Dusia? - spytał Billy.

Cain usiłował zebrać rozszalałe myśli. Nie był jednak w stanie myśleć o czymkolwiek prócz tej słodkiej chwili, gdy jego ciało stanie się częścią Shelley, otulone szczelnie jej jedwabistym żarem.

- Powłoczka - powiedziała Shelley jakimś nieswoim głosem.

Nagle przymknęła oczy, nie mogąc dłużej znieść intymności spojrzenia Caina. Ciężko, z wysiłkiem wciągnęła powietrze, starając się uciszyć przerażającą burzę zmysłowych doznań, która sprawiała, że całe jej ciało było jak pod wysokim napięciem.

Nigdy dotąd nie reagowała tak na obecność mężczyzny, świadoma każdego oddechu, metalicznych błysków światła w gęstwinie jego włosów, płowo-kasztanowych wąsów ocieniających najpiękniejsze usta, jakie kiedykolwiek widziała: stanowcze, a zarazem pełne, skore do śmiechu, spragnione.

Przede wszystkim spragnione.

- Powłoczka - powtórzyła; głos jej był matowy, oczy nadal zamknięte.

- Co z powłoczka? - spytał chłopiec.

- Przewiozę Dusia w powłoczce.

- O! Fajny pomysł. Nie znoszę tego paskudztwa. Mama pewnie powiedziała dekoratorowi, że jestem dziewczynką.

Szybkim ruchem Shelley odwróciła się od Caina i ściągnęła powłoczke z jednej spośród leżących na łóżku poduszek. Od razu pojęła, czemu Billy tak chętnie się z nią rozstawał. Jasnyniebieska powłoczka przypominała raczej damską bielizną niż pościel.

Spojrzała z powątpiewaniem na trzymaną w rękę pianą koronek, próbując sobie wyobrazić w jej wnętrzu potężne sploty węża.

- Może lepiej... - zaczęła zwracając się do Caina.

Nie było jednak czasu na wątpliwości. Chłopiec i mężczyzna wyteżali wszystkie siły, by rozplatać prawie półtorametrowego węża, bardzo żwawego i przeciwstawiającego się zawzięcie. Mimo najlepszych chęci Billy raczej przeszkadzał, niż pomagał.

- Proszę - powiedziała Shelley wręczając mu powłoczke. - Trzymaj ją w pogotowiu.

Używając obu rąk odplątywała węża z ramienia Caina. Z konieczności czuła przy tym gładkość jego skóry i sprężystą siłę kryjących się pod nią mięśni. Najbardziej jednak zdumiewał ją żar bijący z jego ciała. Promieniował dosłownie witalną energią.

- Dziwne, że Duś nie upiekł się żywcem - mruknęła.

Cain pochylił się tak nisko, że szepnął jej prosto w brązowe włosy.

- Zabawne: pomyślałem to samo, gdy go ściągałem z ciebie. Dziwne, że nie wznecasz pożarów.

Dłonie jej opadły, potem chwyciła mocniej wijącego się gada. Połowę Dusia udało się odwinąć z ramienia Caina. Druga połówka nie poddawała się.

- Jestem gotów, a wy? - odezwał się Billy.

- Już do ciebie idę - odparła Shelley.

- Pilnuj węża! - ostrzegł Cain ze śmiechem. - Zamierza właśnie... Już się stało.

Duś z triumfem owinał się wokół jednego z ramion Shelley. Uwolniła się szybkim ruchem: trzy czwarte węża nie miało już żadnego oparcia.

Ostatnia ćwiartka zacisnęła się mocno, bardzo mocno wokół ramienia Caina.

- Co taka porządna panienska jak ty wyrabia z takim wężem jak ten?! - spytał Cain.

Spojrzała na niego podejrzliwie, dmuchnęła na wpadające jej do oczu włosy i energicznie pociągnęła węża.

Duś okręcił się nagle wokół jej ręki, odzyskując stracony teren.

- Mogło być jeszcze gorzej - pocieszył ją Cain.

- Niemożliwe!

- Gdyby to była ośmiornica.

Shelley roześmiała się, wypuściła węża i zaczęła operację od początku. Miała wrażenie, że Cain i Duś bawią się wyśmienicie, zwłaszcza wtedy, gdy jej ręce opadały.

- Jeśli przysuniesz się jeszcze bardziej - mruknęła do Caina - wleziesz mi do kieszeni.

- Poważnie?

Mówił tak cicho, że Billy go nie słyszał.

- Na pewno nie trzeba wam pomóc? - dopytywał się chłopiec.

- Ona świetnie sobie radzi - odparł Cain, nim Shelley zdążyła się odezwać. - Trzymaj tylko powłoczke w pogotowiu. Wetknij palce pod ten ostatni zwój na moim ramieniu. Nie ty, Billy! Shelley. Właśnie tak. Bardzo do brze.

- Łatwo ci mówić.

Cain spojrzał z uśmiechem prosto w jej oczy. - Możemy kończyć?

- To nie ja stwarzam problemy, tylko ten stwór!

- Będę to miał na uwadze. Przytrzymaj tego stwora obiema rękami.

Shelley wczepiła się w węża, Cain raptownie machnął ramieniem i Duś odpadł.

Billy rzucił się ku nim z powłoczka i zagarnął do niej całego luźno dynącego węża.

- Mam go! - oświadczył.

- Mogłeś to zrobić o wiele wcześniej - powiedziała z wyrzutem Shelley.

- Jak?!

- Nie ty, Cain. Tę sztuczkę z ramieniem.

- Dopiero teraz przyszło mi to do głowy - odparł z niewinną miną.

Zdradziły go jednak pełne śmiechu oczy.

Wiedziała, że powinna się na niego rozgniewać, ale tak bardzo przypominał Billy'ego, że nie mogła. Potrząsnawszy głową, odebrała Billy'emu powłoczkę i związała ją u góry w węzeł, by Duś nie mógł się z niej wydostać.

- To powinno wystarczyć - powiedziała z uśmiechem.

Jednak Billy'emu wcale nie było do śmiechu, gdy widział, jak jego ulubieniec miota się w koronkowej matni.

- Zaopiekujemy się nim jak należy - zapewnił Cain.

Chłopiec przytaknął z nieszczęśliwą miną. - Wiem... tylko, że on... był stale ze mną...

Wyraz jego twarzy dobitnie świadczył o tym, że Billy spragniony jest towarzystwa - i to nie tylko węża.

- Masz mnie odwiedzać - powiedziała Shelley. - Zapomniałeś?

- No jasne.

Oczy chłopca były równie wymowne jak ton głosu. Był przekonany, że to jesczejednaz obietnic, o których dorośli zapominająz następnego dnia.

- Mówię poważnie. Liczę na twoje odwiedziny.

Zanim Shelley zdążyła powiedzieć coś więcej, Cain uniósł jej brodę i kilka wprawnych ruchami zapiął pod nią rzemyk pożyczonego kasku. Shelley dostrzegła w jego oczach gniew, wiedziała jednak, że nie jest skierowany przeciwko niej. Cainowi też nie sprawiała przyjemności myśl o lecie, które Billy spędzi samotnie w domu JoLynn Cummings.

- No i jak? - spytał. - Nie za ciasno?

- W sam raz.

Pełen niepokoju Billy towarzyszył im w drodze przez korytarz i wyszedł wraz z nimi z eleganckiego domu.

Wysmukły motocykl stał na podjeździe.

- Ekstra! - jęknął chłopiec z podziwem.

Potężna, prosta, pozbawiona wszelkich ozdób maszyna przypominała Shelley dzikiego czarnego kota, sprężonego do skoku.

Cain dosiadł jej jednym płynnym ruchem i obejrzał się na Shelley. Dostrzegła w jego oczach wyraźne wyzwanie.

Uśmiechnęła się leciutko. Wsparta lewą ręką o jego bark postawiła nogę na podnóżku i siadła za Cainem z taką swobodą, jakby robiła to setki razy.

Tak zresztą było. W większości krajów, które poznała, motocykl można było spotkać znacznie częściej niż samochód.

Silnik zbudził się do życia, tętnił ujarzmioną siłą.

- Trzymaj mocno powłoczkę! - wołał za nimi Billy.

- I mnie! - dodał Cain.

- Będzie pod moją opieką - zapewniła chłopca Shelley.

- Wujek? On nie potrzebuje niczyjej...

- Duś! - przerwała.

- Czyżby? - spytał Cain zakładając kask.

- Trafiłam do domu wariatów!

- Nie, właśnie go opuszczasz - odparł Cain, oglądając się przez ramię. - Wybawiam cię od tego wszystkiego. Gotowa?

Nie!

Shelley nie zamierzała jednak głośno przyznać się do tego. Objęła jednym ramieniem twardy tors Caina i mocno go uchwyciła.

- Gotowa - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Z potężnym rykiem mężczyzna, kobieta, wąż i powłoczka z niebieskiej koronki pędzili coraz szybciej krętą drogą.

3

Qi padłam chyba na głowę! myślała Shelley. Sympatyczny, oswojony wąż w moim domu to jeszcze nic. Cain Remington to coś całkiem innego! Wjechał właśnie gładko na stromy podjazd. W chwilę później zgasił potężny silnik. Wszystkie jego ruchy były zadziwiająco swobodne i wyważone.

Shelley obserwowała go przez całą drogę. Odznaczał się świetną koordynacją ruchów i pewnością siebie. Prowadził motocykl umiejętnie, ze skupieniem. Zawsze zwracał uwagę na mijające ich cięższe pojazdy i był świadom nieprzewidywalności zachowania kierowców, którym się wydawało, że są sami na drodze. Shelley imponowała jego fachowa jazda, tak samo jak umiejętnie obchodzenie się z węzem.,

I na tym właśnie polegał problem.

Zanadto mi się podoba. Billy mówi do niego „wujku”, ale jakoś mi się nie wydaje, żeby był bratem JoLynn.

Wiele kobiet każe dzieciom nazywać swego kochasia „wujkiem”. Powstałe w ten sposób iluzja „szczęśliwej rodziny”, gdy o rodzinie nie ma mowy.

Myśl o romansie Caina z JoLynn nie sprawiała Shelley żadnej przyjemności.

Facet, który leci na JoLynn, to nie dla mnie towarzystwo. Popełniłam podobną omyłkę z moim byłym. Drugi raz nie dam się nabrać!

Na pewno?

Znów ogarała ją niepokój. Była zbyt uczciwa, by nie zdawać sobie sprawy z tego, że nie ma ochoty słuchać wewnętrznego głosu, który ją ostrzega. Nawet wówczas, gdy myślała o tym, jak by się sparzyła na znajomości z Cainem, uświadamiała sobie, że jest dla niej bardzo atrakcyjny: czuła ciepło jego mocnego torsu, śledziła grę potężnych mięśni na plecach, gdy sięgał po kask, dostrzegała każdy szczegół - od złocistego brązu włosów po szerokie bary.

Nagle zdała sobie sprawę, że nadal opasuje go ramieniem, choć przejazdka się skończyła. Gwałtownie cofnęła ramię.

Jeśli nawet Cain zauważył, z jakim pośpiechem odsunęła się od niego, nie poruszył tego ani słowem. Ze swobodą i oszczędnością ruchów, widoczną podczas jazdy, zsiadł z motocykla i zawiesił kask na kierownicy.

Shelley poczuła się w porównaniu z nim okropnie niezgrabna, gdy zsuwała się sztywno z siodełka. Duś wcale jej tego nie ułatwiał. Powłoczka podskakiwała i wzdymała się, gdy muskularny wąż protestował przeciw więzieniu go w pianie koronek.

- Uspokój się - mruknęła Shelley. - Czy ci to odpowiada, czy nie, dotarłeś już do celu.

Duś nadal próbował znaleźć wystarczająco dużą dziurę w koronce. Albo ją wywiercić.

Trzymając ciągle w garści miotającą się powłoczkę Shelley borykała się w dodatku ze sprzączką przy kasku.

Mocna, opalona ręka odsunęła jej niezręczne palce. Cain muskał grzbietem dłoni jej szyję, gdy powoli, bardzo powoli odpiął klamerkę. Zdjął kask - także bez pośpiechu - i przez cały czas nie odrywał od niej wzroku, spoglądając jej prosto w oczy szarym jak dym wzrokiem.

Stwarzało to uczucie wzajemnej bliskości tak silne, jakby Shelley rozbierały dłonie kochanka.

Nie spuszczać z niej oczu, Cain zawiesił kask przy swoim. Kiedy troskliwie odgarniał do tyłu jej brązowe włosy w nieładzie, nawet nie próbowała protestować.

Jego twarz była coraz bliżej.

- Nie wrzeszczysz na widok węża - powiedział cicho Cain. - Bez mruknięcia okiem siadasz na motocykl. Jakich jeszcze konwenansów nie przestrzegasz, Shelley Wilde?

Zdrowy rozsądek wrócił jej, zanim Cain zdążył ją pocałować. Cofnęła się o krok,

- Nie całuję się z nieznajomymi, jeśli o to ci chodzi - odparła szorstko.

Szare oczy Caina zwięziły się. Potem znów się odprężył, ale intensywność spojrzenia nie zmalęła.

- Wydaje mi się, że bardzo dobrze cię znam - stwierdził. - A i ty na pewno nie uważasz mnie za obcego.

Pogładził jej policzek opuszkami palców.

Shelley ujęła pieścizotliwą dłoń i wetknęła w nią węzeł podskakującej powłoczki.

- Pogłaszcz Dusia - poradziła mu. - Jemu wszystko jedno, obcy czy nie obcy.

Cain roześmiał się i nie próbował wymóc na niej pocałunku, którego wyraźnie pragnął. Ujął powłoczkę jedną ręką, wziął Shelley pod ramię i skierował się ku domowi.

Od strony podjazdu była widoczna tylko niewielka część budynku. Podobnie jak wiele domów wzniesionych na wzgórzach Kalifornii, zbudowano go z myślą o walorach widokowych, a nie o ruchu ulicznym. Ponieważ piękny widok roztaczał się na tyłach domu, architektowi nie zależało specjalnie na tym, by wejście od frontu było imponujące.

Od strony ulicy budynek wyglądał jak typowy dla Kalifornii długi, parterowy domek weekendowy: dach kryty był odpornym na ogień cedrowym gontem, ściany stanowiły olbrzymie tafle szkła termicznego, poprzedzielane drewnem sekwoi. Wąski dziedziniec zdobiły dobrze utrzymane rośliny, odcinające się intensywną zielenią od widocznych w tle płowych traw i karłowatych dębów. Prywatności bocznych dziedzińców strzegło dwumetrowe ogrodzenie, również z sekwoi,

- Uważaj na schody - ostrzegła gościa Shelley. - Jedna z górnych desek obluźnowała się. Ciągłe zamierzam to naprawić, ale...

Cain prawie nie słyszał, co mówiła. W chwili gdy w ślad za właścicielką wszedł przez drzwi frontowe do wnętrza budynku, zorientował się, że dostrzegł dotąd zaledwie czubek góry lodowej, jeśli tak można określić zbudowany ze szkła i sekwojowego drewna dom Shelley.

Wkomponowana w zbocze wzgórza konstrukcja opadała trzema kondygnacjami poczynając od znajdującej się na samej górze, przy dość ruchliwej ulicy, aż do absolutnie niedostępnej dla obcych grupy pomieszczeń sypialnych, znajdujących się o dobre dziesięć metrów niżej. Architekt wykorzystał naturalny, półkolisty występ zbocza i usytuował na nim basen pływacki, patio, rodzaj jadalni z rożnem na świeżym powietrzu i ogród kwiatowy.

Basen nęcił grą światła na wodzie, obietnicą ochłody i miłego relaksu. Lekki wietrzyk, dolatujący z głębi znajdującego się znacznie niżej dzikiego parowu, przesycony upajającą wonią kwiatów, roztaczał ją po całym domu. Niezrównane słońce południowej Kalifornii wlewało się przez okna jak rwa-ca, choć bezgłośnie, rzeka złota.

Cain stanął w centrum pierwszej kondygnacji domu i powoli obracał się dokoła, starając się objąć całość wzrokiem. W żadnym zakątku świata nie czuł się równie swojsko jak tu. Wszystko, począwszy od łagodnego lśnienia drewnianej posadzki pod stopami aż po gładkie, kremowe ściany i belkowania sufitu, radowało jego wzrok. Dom Shelley stanowił równocześnie wykwit cywilizacji i część dzikiej przyrody. Kwintesencją owej dzikości był roztaczający się wokół krajobraz, wykorzystany w zamyśle architektonicznym. Wzgórza wznosiły się tak wysoko, że w każdym innym zakątku świata zasługiwałyby na miano gór. Ich skaliste zbocza porośnięte były karłowatymi dębami o szeleszczącym sucho listowiu i tak pocięte parowami, że ostały się, mimo trawiącego wielkie Los Angeles ustawicznego głodu przestrzeni mieszkalnej. Strome stoki i głębokie wąwozy były więc nadal siedzibą zwierząt nie ujarzmionych dotąd przez człowieka.

Na Caina działał bardzo silnie urok dzikiej natury. Tego właśnie poszukiwał, wędrując po całym świecie. Obrął Los Angeles na swą bazę wy-

padową między innymi dlatego, że w pobliżu miasta istniały nadal dzikie zakątki.

Najwyraźniej Shelley miała podobne upodobania. W odległości kilkudziesięciu metrów od drogi wiodącej do jej domu rozciągała się kraina, która nie uległa zmianie od dnia, gdy pewien hiszpański kapitan mylnie uznał kontynent za legendarną wyspę i nadał Kalifornii jej miano.

Cain w milczeniu rozglądał się po okolicy. Dom Shelley i sąsiadujące z nim budynki tworzyły coś w rodzaju błyszczącego diademu ozdabiającego szczyty stromych wzgórz. Głęboko w dole cienka wstążka wiodącej do nich drogi pojawiała się to tu, to tam, gdzie zza rzadszej dąbrowy widoczne były nagie skały.

Rzędy domów ozdabiały również inne wzgórza, wyrastające wzdłuż linii wznoszącej się od oceanu coraz wyżej, aż do położonych w głębi łańcuch potężnych gór. Pasma wzgórz rozdzielały tu i ówdzie podłużne doliny, w których tłoczyło się ludzkie mrowie, starając się zagarnąć każdą piędź ziemi.

Inaczej było jednak na wzgórzu Shelley. Tutaj szmat wolnej ziemi oddychał jeszcze i przeżył się w słońcu jak żywa, dzika istota.

- Fantastyczne - powiedział Cain.

Nie oczekiwał odpowiedzi. Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że powiedział to na głos. Był niezwykle skupiony. Wchłaniał w siebie naturalną harmonię krajobrazu i domu.

Stopniowo docierały do niego inne wrażenia, odciągając uwagę od skalistych, pociętych wąwozami zboczy. Pokój wypełniony był meblami pozornie niezbyt efektownymi, które dzięki kolorystyce i teksturze stanowiły jakby odbicie krajobrazu. Tu i ówdzie w wielkim, zalanym słońcem pokoju widniały dzieła sztuki.

Cain uśmiechnął się i skinał lekko głową. W odróżnieniu od JoLynn Shelley wybierała meble i ozdoby ze względu na uczucia, jakie w niej budziły, a nie dla doskonałości ich form.

Cudowny dywan z Kaszmiru, jarzący się nieczym stos klejnotów, zajmował jedną trzecią pokoju. Na pozostałej przestrzeni tak rozmieszczono mniejsze kobierce, że skupione wokół nich grupy mebli stwarzały warunki do przyjacielskiej pogawędki. Bardzo piękny japoński parawan z XIX wieku, na którym polatywały kremowo-białe żurawie, ustawiono pod wdzięcznym kątem w prawym rogu pokoju. Inne, mniejsze parawany zostały rozmieszczone w ten sposób, że dzieliły przytłaczające nieco swymi rozmiarami wnętrze na szereg kącików, zacisznych, lecz nie wywołujących klaustrofobii.

Shelley w milczeniu obserwowała Caina, który przechadzał się po pokoju, zapomniawszy ze szczętem o Dusiu, dyndającym w powłoczce zaciśniętej w jego mocnej garści. Choć nie odezwała się ani słowem, ciekawa była, co Cain myśli, gdy zatrzymał się przed oprawnym w złotą ramę szkicem przedstawiającym tancerkę z Bali: była to uwieczniona w kilku płynnych liniach kwintesencja kobiecości i siły.

Ciekawe, czy Cain dostrzeże pod prymitywną formą posążku eskimo-skiej staruszki jej odwagę i siłę? pomyślała.

Czy zauważy, że ten egipski skarabeusz to nie tylko drogocenny zabytek, ale i symbol strachu przed śmiercią i czci dla bóstwa?

Gdy przystanął, a potem dosłownie wrósł w ziemię przed szklaną gablotką, Shelley zaparło dech. Wewnątrz znajdował się jeden z jej najcenniejszych skarbów, jaguar wyrzeźbiony przez niemieckiego artystę w ogromnym opalu, który tkwił nadal w łożu rodzimej skały. Był to opal australijski, przelewały się w nim nieustannie błękit i zieleń, ognisty oranż i złote iskierki - potrzaskana tęczą uwięziona na wieki w przejrzystym, srebrno-białym obłoku.

Twórca tak umieścił jaguara we wnętrzu rodzimej skały i opalu, że podkreślił nie tylko niezwykłą witalność dzikiego kota, ale i jego krwiożerczość. Skała miała odcień bardzo głębokiej, połyskliwej szarości, graniczącej z czernią. Odnosiło się wrażenie, że na dzikiego kota padają cienie dżungli, w których częściowo kryje się jego śmiertelne piękno.

Rzeźba ta była dziełem niezwykłym, wartym z pewnością zawrotnej sumy, którą Shelley za nie zapłaciła. Jednak szczegółem, który sprawił, że stało się ono dla niej czymś bezcennym, pociągającym ją nieodparcie, był rubinowy motyl, który przysiadł na jednym ze szczerozłotych pazurów jaguara. Motyl rozkładał właśnie skrzydełka, pożyłkowane najciemniejszymi niteczkami złota, i najwyraźniej nie lękał się niczego.

Jakimś cudem artysta zdołał nadać jaguarowi wyraz miłego zaskoczenia, jakby kot nie mógł pojąć, jak do tego doszło, ale w pełni aprobował tę kruszynkę piękna, ufnie trzepocącą skrzydełkami na jego łapie.

Cain miał prawie identyczną minę w chwili, gdy ujrzał, jak Shelley podnosi węża, który wywołał u JoLynn atak hysterii.

Kącikiem oka Shelley dostrzegła jakiś ruch.

Płynnym, skradającym się krokiem, gotów w każdej chwili do skoku, sunął po lśniącej posadzce kot rasy Maine coon*.

Nie odrywał ani na chwilę złotych, drapieźnych oczu od powłoczki, która tak intrygująco podskakiwała w ogromnej pięści Caina.

Shelley w dwóch susach podbiegła do mężczyzny, wyrwała mu z ręki powłoczkę i uniosła wierzgający kłęb koronek wysoko nad głowę. Pośliznęła się przy tym i omal nie upadła na szklaną gablotę z jaguarem. Kiedy Cain ją podtrzymał, chroniąc przed rozbiciem i ją, i gablotkę, Shelley objęła go wolnym ramieniem, chcąc odzyskać równowagę.

Przez sekundę miała wrażenie, że jedzie znów na motocyklu, trzymając mocno Caina w pasie. Była jednak pewna różnica. Cain stał zwrócony do niej twarzą, a cała ich przywierała do siebie na całej długości..

Ta różnica spowodowała, że opanowanie Shelley znikło. Policzki jej zaczerwieniły się.

* *Maine coon cat* - dosł. kot-szop z Maine - rasa potężnych kotów o długiej, puszystej, różnobarwnej sierści. Koty te zawdzięczają swe miano imponującym ogonom, istotnie podobnym do ogona szopa - przyp. tłum.

Jeśli nie dwa razy.

Hope nie pozwoliła sobie na rozmyślanie o tym. Ciężarówka przeto-
czyła się przez wzniesienie i zbliżała się do studni imienniczki.

Rio tam był. Czekał na nią.

Rozdział 4

Hope zahamowała, wzbijając tumany kurzu i powłócząc nogami, szła do pustego poidła. Bydło wyczuło wodę w Behemocie i zaczęło się tłoczyć wokół cysterny, zagrządzając dostęp do zbiornika.

Rio bez słowa wskoczył na siodło i rozgonił bydło. Jego klacz pracowała zręcznie, precyzyjnie, z wdziękiem, obracając się na tylnych nogach, odpędzając krowy od ciężarówki z właściwym dla dobrze wyszkolonego konia kowbojskiego posłuszeństwem. Jeździec był równie zręczny. Prowadził żwawo obracającą się klacz, balansując ciałem, aby ułatwić koniowi pracę. Jego plecy poruszały się płynnie w rytm ruchów konia.

Dzięki niemu i jego rączemu koniowi Hope mogła zaparkować ciężarówkę tuż przy zbiorniku. Poidło było duże, wielkości przydomowego basenu kąpielowego. Siedząc w kabinie, zajrzała do zbiornika.

Był pusty.

Nasłuchiwała odgłosu generatora i słyszała tylko pomruk silnika Behemota. Jej serce zawahało się, a potem zamarło. Najwyraźniej generator samoczynnie się wyłączył. To znaczy, że przez pompę przepływało za mało wody. Co prawda wiatrak się obracał, ale z hydrantu wypływał strumień tak cienki jak jej mały palec. Ledwie wyciekał z rury z lanego żelaza do zbiornika; zwierzęta wysysały każdą kropelkę wilgoci.

Hope patrzyła, jak wielki różowy krowi język liże wilgotny metal. Serce jej się krajało. Studnia, która stanowiła jedyne źródło wody na ranchu, już prawie wyschła.

Wyczerpanie, któremu do tej pory tak usilnie starała się nie ulec, wzięło nad nią górę. Na kilka sekund zamknęła oczy i walczyła z paraliżującym lękiem. Nie mogła stracić rancha!

Wzbierała w niej determinacja, wypierając lęk i rozpacz. Drzwi kabiny zaskrzypiały i zatrzasnęły się, kiedy zeskoczyła na ziemię tuż obok pustego zbiornika, wyminęła stłoczone bydło.

Przechodząc, rozejrzała się po stadzie, automatycznie, wprawnym okiem sprawdzając jego kondycję. Herefordy były chude i kościste. Zbyt chude. Zbyt kościste. Powinny być gładkie i spokojne jak bydło Turnera. Ale jej bydło musiało wędrować wiele mil w poszukiwaniu paszy, a potem wracać na rancho do poidła. Z każdym dniem krowy musiały iść coraz dalej, żeby zaspokoić głód, a potem przebyć coraz dłuższą drogę powrotną, żeby zaspokoić pragnienie.

Uklękła pod metalowym brzuchem Behemota i przystąpiła do pracy. Kleła po cichu, usiłując przykręcić lekko wykrzywioną, zdecydowanie zardzewiałą złączkę do zaworu. Ręce jej drżały, a ramiona chwycił skurcz, ostrzegając, że ciało znajduje się u kresu sił.

Wyczuła za plecami lekkie poruszenie. Potem zobaczyła u swego boku Ria. Wyjął szlauch z jej zmęczonych rąk. Z wdzięcznością opuściła ramiona i patrzyła, jak mężczyzna zmaga się z upartą złączką.

- Jeden gwint jest wykrzywiony - powiedziała, kiedy usiłował dojść, w jaki sposób przykręcony jest waż. - Wiem, jak go nakierować na właściwy tor. Jeśli mi potrzwasz ten szlauch, to resztę już zrobię.

Zanim dokończyła zdanie, przesunął waż tak, że jego mosiężne złącze było już tuż przy ciemnej paszczy zaworu. Wyciągnęła ręce ponad jego ramionami, żeby połączyć gwinty w zaworze i szlauchu. Było to znacznie prostsze dzięki temu, że ciężar mokrego węża nie osuwał metalowej końcówki w dół. Po kilku nieudanych próbach udało jej się na tyle przykręcić waż, żeby nie trzeba było przytrzymywać mosiężnych elementów jedną ręką i obracać drugą.

Głęboko wciągnęła powietrze, zbierając siły do ciężkiego zadania zaciśnięcia upartej złączki tak, żeby od razu nie odpadła pod nagłym naporem wody.

Rio poczuł, że pierś Hope otarła się o jego ramię. Kiedy spojrzał na dziewczynę stwierdził, iż nie zdawała sobie sprawy, że ich ciała się zetknęły. Zmęczona i przestraszona, całą uwagę skupiła na upartej złączce.

Zauważył ślady potu na jej twarzy, drobinki kurzu, intensywny rumieniec i jedwabście gładką skórę. Spod kapelusza Hope wysunęły się pasemka włosów i falowały na jej twarzy jak ciemne płomyki. W piwnych oczach już nie dostrzegł zieleni, którą było widać w piekącym słońcu, kiedy spotkali się przy studni Turnera. Teraz jej oczy były ciemne, zbyt ciemne, podobnie jak jej usta były zbyt blade na tle zarumienionych policzków.

Rio zastanawiał się, ile razy pokonała drogę od studni Turnera do własnej wysuszonej ziemi i spragnionego bydła. Musiała być bardzo zmęczona. Delikatnie nakrył jej ręce swoimi. Odsunął jej palce od złączki i sam zabrał się do zaciskania metalowych elementów.

- Mimo że twoje meble pochodzą z wielu różnych części świata i że niektóre warte są parę groszy, a za inne zapłaciłaś kilka tysięcy dolarów, tworzą harmonijną całość. Ten pokój nie jest ani męski, ani przesadnie kobiecy, ani ultranowoczesny, ani staroświecki. Po prostu bardzo ludzki.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo,

Cain odwrócił się nagle, dostrzegłszy przychylną w orzechowo-złoty oczach Shelley.

- No więc jak zarabiasz na życie? - spytał.

- Połączaniem lili.

Krzywy uśmiezek zmienił linię jego ust.

- Możesz mi to bliżej wyjaśnić?

- Pewnie. Moimi klientami są bogaci ludzie, którzy często zmieniają miejsce pobytu. Wynajmują dom najwyżej na kilka miesięcy, ale pragną cieplejszej atmosfery i wnętrza bardziej odpowiadającego ich gustom niż luksusowy apartament w hotelu.

- Jeśli mają tyle forsy, to czemu nie kupią domu?

- Bo musieliby się potem o niego troszczyć. Większość z nich nie chce kupować niczego, nawet mebli - wyjaśniła Shelley. - No, pora już umieścić Dusia w bezpiecznym miejscu. Zaprowadzę cię,

Bardzo dobrze się złożyło, że Shelley nie mogła zobaczyć typowo mejskiego uśmiechu na twarzy Caina, kiedy się odwróciła. Gotów był iść *ra* koniec świata wpatrzony w ponętny zarys jej bioder. Wiedział jednak, że gdyby napomknął o tym choć słowem, Shelley zamknęłaby się znów w swej skorupie.

- Więc wynajmujesz domy bogatym włóczykijom? - spytał.

- Nie. Wynajmem nieruchomości zajmuje się pośrednik. Ja nadaję domowi ostateczny szlif.

- Jesteś dekoratorem wnętrz?

Rozglądał się uważnie dokoła, dostrzegając dalsze szczegóły urządzenia domu.

- Niezapełnione - odparła Shelley. - Nie zawracam sobie głowy farbą, obiciami i tak dalej. Większość moich klientów chce wypożyczyć wszystko, od wschodnich dywanów na podłodze do obrazów Picassa i ściennych obić. To działka Briana: ściany i meble. Lilia w stanie surowym, że tak powiem.

- A potem ty ją złócisz.

Shelley skinęła głową.

- Mam spis rozmaitych dzieł sztuki i wyrobów artystycznych, które wykorzystuję, żeby uczłowieczyć te wynajęte domy i meble i tchnąć w nie życie na kilka miesięcy.

- Ale sama prowadzisz inny tryb życia.

- Ja mam własny dom.

Lekki nacisk na słowie „dom” bardzo wyraźnie zdradzał jej uczucia.

- A jednak - powiedział powoli Cain - rozumiesz, że można wędrować z miejsca na miejsce, a mimo to pragnąć namiastki domu, choćby nie udało się pozostać w nim na dłużej.

- Przez całe dzieciństwo marzyłam o domu, własnym miejscu na ziemi, pewności, że gdy kiedyś w środku nocy wezwę...

Shelley nagle urwała, zdając sobie sprawę, że omal nie powiedziała mu o wszystkim. To był jej prywatny koszmar, najstraszliwsze wspomnienie. Była chorym, przerażonym dzieckiem, które nie mogło porozumieć się z nikim w obozie, gdyż matka zachorowała również, a ojciec obserwował węże gdzieś na pustyni.

- Tak - odparła bezbarwnym głosem. - Rozumiem tęsknotę za czymś więcej niż wynajęte pokoje.

- Mówisz to tak, jakbyś sama w nich mieszkała.

Odwróciła się bez słowa.

Nie zadawał już żadnych pytań na temat wynajętych pokoi i własnych domów. Po co? Był pewny, że Shelley nie odpowiedziałaby na nie.

Nie podobało mu się to, ale nic nie mógł poradzić.

Na razie.

4

Cain w milczeniu zszedł za Shelley po wewnętrznych schodach. Jego oczom ukazała się kolejna kondygnacja. Shelley poprowadziła gościa przez jadalnię i połączoną z nią kuchnię. Z obu pomieszczeń rozciągał się malowniczy widok na wzgórze i odległe centrum miasta. Zdumiewająco silne pragnienie poznania jak najbliżej tej niezwykłej kobiety kazało Cainowi rozglądać się uważnie po jej domu, rejestrować każdy ślad jej upodobań i pasji. Niewątpliwie sprawiało jej przyjemność gotowanie. Doniczki ziół stały w trzech rzędach na zalanym słońcem parapecie okiennym. Wielka biała misa pełna świeżych cytryn zajmowała środek stołu. Nad kuchnią wisiły w zasięgu ręki garnki i rondle. Były starannie wymyte, ale na ich ściankach pozostały ślady częstych i długich kontaktów z ogniem.

Shelley najwyraźniej wolała przygotowywać posiłki we własnej kuchni niż stołować się w restauracjach, których w Los Angeles nie brakowało. Cain doskonale ją rozumiał. Znał prawdziwą satysfakcję gotowania, czy to na obozowym ognisku (jak często mu się zdarzało), czy w dobrze wyposażonej kuchni, takiej jak u Shelley.

Łączyło ich jeszcze jedno podobieństwo. Oboje cenili sobie prywatność. Im bardziej Cain zagłębiał się we wnętrzu domu, tym wyraźniej dostrzegał, że wystrój pomieszczeń jest odbiciem jej osobowości. Odnosił wrażenie, że prawie nikt nie ma prawa wstępu na niższe kondygnacje.

W tej całkiem prywatnej części domu panowała cisza, która mu bardzo odpowiadała. Schody wyściełane rdzawą tkaniną z grubej wełny prowadziły na trzeci poziom. Na jasnokremowych ścianach wisiały obrazy, którym chętnie przyjrzałaby się bliżej, ale Shelley szła dalej, nie miała więc możliwości zatrzymania się i dowiedzenia o niej czegoś więcej.

Pokój był trochę zatłoczony, ale sprawiał przyjemne wrażenie: stały w nim miękkie fotele kryte zamszem i obszerna kanapa, która kusiła Caina, bynawet odpocząć. Shelley jednak nie zwołała kroku. Nie zatrzymała się nawet przy otwartych drzwiach pokoju, wyglądającego na bibliotekę. Wypełniały go całe rzędy półek z katalogami i książkami z dziedziny sztuki, nie zabrakło tam również powieści, a nawet aparatury stereo, niemal takiej, jaką posiadał Billy. Na najdalszej ścianie zmagali się w śmiertelnej ciszy święty Jerzy i złocisty smok.

Cain zatrzymał się. Nie mógł ominąć tego pomieszczenia zerknąwszy tylko do wnętrza. Ruszył do malowidła, zafascynowany lśniącym, złowrogim potworem.

Kiedy zorientowała się, że nie idzie za nią, odwróciła się i spojrzała przez ramię.

- Cain!

- Tutaj jestem.

Wróciła więc do biblioteki-pomieszczenia, które najbardziej lubiła. Stała wpatrując się w świętego Jerzego- najlepszy dowód, jak silne wrażenie wywierał ten przerażający, odwieczny bóg ze smokiem. Shelley spojrzała na powłoczkę. Cain najwidoczniej całkiem zapomniał o jej istnieniu. Koronka wyrzuszała się i energicznie podskakiwała.

- Duś się niecierpliwi - zauważyła.

Z trudem oderwał wzrok od obrazu.

- Zawsze chciałem mieć własnego smoka- wyjaśnił, wróciwszy do Shelley.

- Ten byłby raczej trudny do oswojenia.

Na ustach Caina pojawił się leniwy i bardzo męski uśmiech: -1 na tym polega cały urok smoków.

Zdażył dostrzec błysk uśmiechu wyrażającego całkowite zrozumienie, zanim odwróciła głowę, żeby ukryć swą reakcję. Ta odpowiedź na jego emocje, widoczna w wygięciu jej warg, rozpałała mu krew jak potężny łyk czystej whisky.

Razem zawrócili na korytarz wiodący do ostatniej grupy pomieszczeń. Zapach kwiatów był tu silniejszy i łączył się z ostrzejszą wonią spieczonej słońcem trawy i dębowych liści. Ta kompozycja bujnego lata i pełnej tajemnic dzikiej natury pociągała Caina nieodparcie. Przypominała mu kobietę, która szła obok niego, równocześnie kusicielską i pełną rezerwy.

- Chyba jest tu! - odezwała się Shelley.

Cain nie zapytał, co to ma być i gdzie się znajduje. Wchłaniał całą piersią wonie napływające przez żaluzjowe okna pokoju, do którego weszła Shelley.

Byłatojej sypialnia.

Przez moment, między jednym a drugim uderzeniem serca, Cain wyobraził sobie, czym byłaby dla niego spędzona tu noc. Potem usiłował zmusić się do myślenia o czymś innym. Czuł tak wielkie podniecenie, jakby był zgłodniałym seksualnych przeżyć nastolatkiem, a nie dorosłym mężczyzną.

Skoncentruj uwagę na pokoju, upominał samego siebie, a nie na kobiecie.

Po kilku głębokich wdechach zdołał tego dokonać.

Zachodnia ściana pokoju była prawie cała ze szkła, co stwarzało iluzję pobytu na wolnym powietrzu. Wspaniały widok odbijał się w lustrzanych, rozsuwanych drzwiach szaf pokrywających przeciwległą ścianę.

Za oknem kwitnęły fuksje we wszelkich możliwych odcieniach - od bladego różu do królewskiej purpury - wylewały się z wiszących skrzynek kaskadą czystych barw. Bujna zieleń pokrywała zbocze wzgórza po obu stronach kamiennych schodów. Sztuczny wodospad zasilał basen tak zaprojektowany, że przypominał naturalny zbiornik wodny o nieregularnym kształcie. Otaczały go donice pełne roślin, wykładane kamiennymi płytkami patio i wielopoziomowe drewniane pomosty.

Szum spadającej wody był zarazem kojący i zmysłowy. Brzmiał jak wypowiadana kusicielskim szeptem zachęta do zanurzenia się w ciepłej wodzie, leniwego pływania wśród upajających woni kwiatów, mięty i dziko rosnącej dębiny.

Na samą myśl o pływaniu wraz z Shelley pod nocnym niebem Cainowi zaparło dech. Gwałtownie odwrócił się w inną stronę.

Pierwszą rzeczą, którą tam ujrzał, było łóżko. Pokrywała je narzuta w żywych kolorach, będących odbiciem barw ogrodowych kwiatów i wody. Łóżko stało bezpośrednio pod górnym oknem.

Cain wiele by dał, żeby leżeć tu z Shelley w objęciach i patrzeć w gwiazdy.

Powłoczką podskakiwała i obijała się o nogi. Uprzytomnił sobie, z jakiego powodu znalazł się w tym pokoju z najbardziej niezwykłą kobietą jaką spotkał od wielu, wielu lat.

Powód całkiem niewłaściwy, pomyślał.

Ale miejsce i kobieta jak najbardziej właściwe. Powiedzmy, że sytuacja w dwóch trzecich jest nienajgorsza. Pomyśl lepiej o czymś innym. O byle czym.

Zmierając do szafy Shelley otarła się o Caina. Wzdrygnęła się, jakby zaskoczona tym, że w pokoju oprócz niej znalazł się ktoś jeszcze.

- Przepraszam - powiedziała odruchowo.

Nie przepraszaj, pomyślał. Cała przyjemność po mojej stronie!

Powiedział jednak tylko: - Nic nie szkodzi.

Zmrużywszy oczy przyglądał się, jak Shelley otwiera lustrzane drzwi szafy. Odgarnęła wieszaki na bok i pochyliła się, żeby wyciągnąć wielkie akwarium schowane na dnie. Szklany pojemnik był ciężki i wyraźnie uparty.

Cain sprawdził węzeł na koronkowej powłoczce i umieścił ją na łóżku.

- Leż spokojnie! - mruknął do przesiębiornego węża.
Koronka sprężyła się i zafalowała.
Rzuciwszy ostatnie niespokojne spojrzenie w jej stronę Cain podszedł do szafy.
- Bardzo przepraszam - powiedział.
- O co chodzi?
Zamiast odpowiedzi odsunął Shelley, wydobyl z wnętrza szafy akwarium i postawił je na dywanie.
- Zamierzasz hodować rekiny? - spytał ze spokojem.
- Chyba tylko one wyżyłyby w towarzystwie Packa.
- Amator sushi, co?
- Tylko takiego, co jeszcze rusza płetwami. To akwarium było pełne przepięknych rybek... - westchnęła.
- Co się z nimi stało?
- Packowi zachciało się kąpeli.
Cain parsknął śmiechem.
- Te rybki, którym udało się przeżyć, nie mogły otrząsnąć się z szoku - wyjaśniła Shelley. - Podarowałam je dzieciakowi z sąsiedztwa, opróżniłam akwarium i wepchnęłam je do szafy.
- Chcesz tam umieścić Dusia?
- W akwarium, nie w szafie. Za zimno tu dla niego.
Rozejrzała się w zamyśleniu po pokoju. Potem wskazała na północny kąt sypialni, gdzie na masywnym regale leżały książki poświęcone sztuce.
- Tam - zdecydowała. - Będzie mu ciepło, ale nie za gorąco. Nie chciałabym, żeby się biedaczek usmażył.
- Pacek?
- Duś.
Przyciągnął Shelley do siebie i delikatnie objął ramionami.
- Cain!...
- Przecież zgodziłaś się ze mną, że nie jesteśmy sobie obcy.
- Ale nie tak blisko spokrewnieni, żeby się całować z byle okazji.
- Jesteś tego pewna? - spytał muskając wargami jej usta. - Może sprawdzimy nasze drzewa genealogiczne?
Zanim zdążyła zaprotestować bardziej stanowczo, wypuścił ją z objęć. Jakby nigdy nic, podniósł nieporęczne, ciężkie akwarium i skierował się w stronę regału.
- Poczekaj! - powstrzymała go Shelley.
Wyprzedziła go i zaczęła wyrzucać z regału książki.
- Gotowe. Sprawdź, czy się zmieści.
Cain podniósł akwarium i wsunął je na środkową półkę. U góry było akurat tyle wolnego miejsca, by Shelley miała dostęp do wnętrza, ale tym razem Pacek z pewnością nie zdołałby się w nim wykapać. Ani do niego dotrzeć.
- Idealnie - orzekła. - Teraz trochę piasku i kamieni.

Otworzyły się drzwi sypialni i zniknęła za boczna ściana domu.

Zaintrygowany wziął akwarium pod pachę i wyrwał za róg. Znajdowała się tam szopa z narzędziami ogrodniczymi. Oprócz torfu i zwykłej ziemi leżały w niej worki z piaskiem. Shelley przesypywała go do wiaderka.

Cain postawił akwarium na patio i obserwował ją, zastanawiając się, dlaczego chce przetranszportować piasek do wielkiej szklanej klatki wiaderko po wiaderku, zamiast sypnąć od razu z worka.

Gdy wiadro było już pełne, Shelley zaparła się stopami w ziemię i dźwignęła je. I nagle Cain zrozumiał. Jego ramię wystrzeliło do przodu i ujęło druciany pałąk.

- Zapomniałaś, że jestem zwierzęciem pociagowym? - spytał. - Ty masz tylko główkować nad tym, jak mnie wykorzystać.

- Ja?

- Wiedziałem, że to do ciebie dotrze.

Wyszedł na patio i wysypał piasek z wiaderka do pustego akwarium. Potem wrócił do szopy i chwycił worek z piaskiem.

- Poczekaj! - zawołała Shelley.

Cain obejrzał się.

- Jak wspaniale pełno piasku, będzie za ciężkie - ostrzegła go.

- Regał nie wytrzyma?

- Ty nie doniesiesz.

- Widać, że jesteś przyzwyczajona do życia w pojedynkę - stwierdził.

- Co to ma znaczyć?

- Rozumujesz w kategoriach własnych możliwości.

Omam się uśmiechnął, gdy zobaczył, jak Shelley marszczy czoło i usiłuje pojąć, o co mu chodzi.

- Podnieś akwarium - powiedział.

- Nie ma mowy.

- Właśnie to miałem na myśli.

- Co takiego? - spytała.

- Zdołałabyś jakoś wtaszczyć puste akwarium na regał.

Shelley skinęła głową.

- Pełne jest dla ciebie stanowczo za ciężkie - stwierdził. - Ale dla mnie to pestka.

- Chodzi ci o to, że jesteś ode mnie silniejszy? Też mi nowina!

- Chodzi mi o to, że nawet ci nie przyszło do głowy, że mógłby to zrobić ktoś silniejszy.

- I co z tego?

- To, że najwyraźniej nie masz na podporządkowaniu mężczyzny do ciężkich robót.

Shelley zawahała się, spojrzała w jego jasne, szare oczy, a potem odwróciła się bez słowa. Budziła w niej niepokój łatwość, z jaką wnikał w tajniki jej życia.

I jej myśli.

Nie była przyzwyczajona do towarzystwa ludzi, których obchodziło coś więcej niż ich własne potrzeby. Nie wiedziała też, czy takie zainteresowanie jej odpowiada. Cain stanowił niekontrolowany czynnik, mogący zamącić spokojny tok jej życia.

Spokojny? zastanawiała się. Chyba raczej monotony? Aż zbyt monotony.

Może właściwsze byłoby określenie „nudny”? Brian bóg wie ile razy określał tak swoje życie.

Ale sposoby walki z nudą stosowane przez Briana nie różniły się bardzo od metod JoLynn.

Kiedy Cain napełnił akwarium piaskiem, Shelley poszła do ogrodu i przyniosła stamtąd kilka gładkich, płaskich, ozdobnych kamieni wielkości pięści. Bez słowa ułożyła je na piasku.

Z krótkiej wyprawy do kuchni wróciła z glinianą miską. Wkopała ją w piasek i wlała trochę wody.

- Gotowe - powiedziała. - Przyda ci się pomoc, gdy będziesz to windował na regał?

-Zobaczymy.

Pochylił się, chwycił akwarium i zaniósł je do sypialni.

- Na razie jakoś to wytrzymuję - stwierdził.

- Żarty sobie stroisz!

- Ja? Nie miałbym na to sił. To jest stanowczo za ciężkie.

- Jeszcze się odegram!

- Poważnie? - zapytał.

Kątem oka spostrzegła jego leniwy uśmieszek i ugryzła się w język, wytracona z równowagi tym, że kpił sobie z niej z taką niewinną miną.

Nie było to zresztą całkiem niemiłe uczucie. Przypominało rausz po dobrym szampanie, musującym, słodkim i piekącym równocześnie.

Może Brian miał słuszość, pomyślała. Może istotnie moje życie jest trochę nudne.

A właściwie było. W obecności Caina trudno się nudzić.

Z drugiej strony, święty Jerzy był pewnie tego samego zdania o smoku.

Przysłuchiwała się, jak Cain ustawia akwarium na regale. Siła jego ramion i pleców objawiała się w każdym płynnym ruchu mięśni i ścięgien. Podwinał rękawy niebieskiej bawełnianej koszuli. Wrażenie brutalnej siły łagodził nieco połysk pokrywających przedramię złotych, spłowiałych od słońca włosków.

Shelley przypomniała sobie, jak bez wysiłku kierował ciężkim, potężnym pojazdem i jak delikatnie ją obejmował. To połączenie siły i powściągliwości przemawiało do jej zmysłów podobnie jak łączące się ze sobą wonie dąbrowy i kwiatów.

Ogarnęła ją prawie nieprzewyciężona pokusa, by przesunąć czubkami palców po opalanej męskiej skórze i połyskujących na niej włoskach.

Nienajlepszy pomysł, pomyślała.

Ale sama w to nie wierzyła.

Niebezpieczny pomysł..

W to już uwierzyła. Przejęła się tym jednak mniej niż należało.

Pospiesznie zwróciła wzrok w stronę łóżka. Niebieska powłoczka falowała i wydymała się, zupełnie jak żywa.

- Weź, nie irytuj się! - pocieszyła go. - Zaraz wyjdiesz na wolność. Albo prawie.

Odwiązała węzeł po włóczki i chwyciła Dusia za szyję tuż pod różowopopielatą głową, którą natychmiast wytknął.

- Mam cię. Siedź spokojnie.

Waż nie miał takiego zamiaru. Był ciężko obrażonym gadem. Wepchnięto go do koronkowego worka, wożono po zatłoczonych drogach, rzucono na jakieś łóżko i zupełnie o nim zapomniano! Wyraźnie rozglądał się za czymś, w co mógłby wbić zęby.

Shelley zdawała sobie z tego sprawę. Postępowała z nim bardzo ostrożnie: wcale nie chciała, żeby na niej wyładował swoją frustrację.

- Może byś się jednak uspokoił? - zaproponowała.

Waż nie posłuchał.

- No to niech będzie po twojemu.

Uniosła zwierzę nieco wyżej i pozwoliła mu samodzielnie wygramolić się z czarującej powłoczki.

- Wezmę go za drugi koniec - zaofiarował się Cain.

- Akwarium gotowe? - spytała.

- Mam nadzieję.

- No to liczę do trzech. Raz. Dwa. TRZY!

Razem troskliwie ulokowali Dusia w jego nowym domu.

Cain obserwował, jak waż przez pewien czas szybko przemyka po wnętrzu szklanej klatki, badając wszystko, czego mógł dosięgnąć swym czarnym, rozwidlonym językiem.

- A jak go zabezpieczysz, żeby stąd nie wyłaził?

- Wiekiem.

- Jakim znów wiekiem?

Shelley wydała okrzyk zdumienia i podbiegła do szafy.

Na oczach Caina wyfrunęły na środek pokoju dwie pary pionierek i złoty płaszcz przeciwdeszczowy, a za nimi śpiwór i turystyczny komplet lekkich aluminiowych naczyń. Sama Shelley tak uwieźniała we wnętrzościach szafy, że widać było tylko uroczo zaokrągloną pupę.

Cain, oparty o regał, ze skrzyżowanymi ramionami, napawał się widokiem.

Bardzo był ciekaw, czy w dotyku jest równie przyjemna jak na oko?

Gdyby chodziło o inną, po prostu przeszedłby przez pokój i przesunął dłońmi po tych okrągłościach. Shelley jednak różniła się od reszty kobiet. Wybrała z rozmysłem samotne życie. W jej domu nie było ani śladu mężczy-

zny, który goliłby się nad jej umywalką, a zwłaszcza zadomowił na tak długo, by wyręczać ją w cięższych domowych pracach.

Dlaczego? zdumiewał się Cain.

Nie był to brak temperamentu. Shelley odwzajemniła jego pocałunek w sposób, który doprowadził do wrzenia całej jego krew. A jednak zaraz potem umknęła mu i w jej czystych piwnych oczach dostrzegł zdumienie i strach.

Ten splot sprzeczności, który nazywał się Shelley Wilde, intrygował Caina w najwyższym stopniu. Na pierwszy rzut oka, podobnie jak jej dom, nęciła elegancją urokiem. Pod tą po włóka jednak kryła się nieujarzmiona dzikość, która działała na jego zmysły silniej niż wszystko, z czym miał do czynienia w dotychczasowym życiu. Czuł, że twardnieje od samego patrzenia na nią.

Jeśli się zaraz nie wyprostuje, będę miał z tym kłopot, pomyślał i uśmiechnął się krzywo. Cholera, ależ ona ma śliczny tyłek!

Shelley wycofała się z szafy z zaczerwienioną twarzą. Potem wyciągnęła triumfalnie prostokątną taflę z grubego szkła i odwróciła się w stronę Caina.

- Znalazłam! - oznajmiła.

Cain uśmiechnął się patrząc, jak zwinnie zerwała się na nogi. Wyobraził sobie, że leżą razem w szklanej klatce. Długie nogi Shelley splatają się z jego nogami, jego ciało zwiera się szczelnie z jej ciałem.

Podobne myśli wcale nie ostudziły krwi. Nagle uświadomił sobie, że sypialnia Shelley przypomina szklane akwarium, tyle że zamiast piasku na podłodze leży dywan, który osłabiłby nieco impet atakujących się nawzajem ciał.

Spodnie stały się zdecydowanie zbyt ciasne.

Przeklinając w duchu własną głupotę, próbował skupić myśli na poszukiwaniach złóż mineralnych w Andach na wysokości czterech i pół kilometra. Zimno. Bardzo, bardzo zimno.

Nie zaproponował Shelley, że pomoże jej umocować szklane wieko na akwarium. Nie mógł sobie pozwolić w tym momencie na podobne zbliżenie. Mocowała się więc z wiekiem, aż osadziła je tak, że pozostała niewielka szparka, umożliwiająca cyrkulację powietrza.

- Jakim cudem Pacek dobrał się do rybek? - odezwał się wreszcie. - Zapomniałaś przykryć akwarium?

- Skądże! Widzisz ten zawiasek pośrodku?

- Widzę.

- Jakoś go podważył, wepchnął łapę pod spód i zrzucił wieko na podłogę.

Cain uniósł brwi w niemym podziwieniu.

- Silny kot. I niegłupi.

- Przede wszystkim rybożerny,

Cain roześmiał się.

- Cóż, nie będzie w stanie dobrać się do Dusia na regale.

- O to mi chodziło.

Ustawiała z powrotem kilka tomów po obu stronach akwarium, tak aby ściśle do siebie przylegały. Resztę książek ułożyła w stosik z boku na podłogę.

dze. Zrobiła krok do tyłu, przekrzywiwszy głowę przyjrzała się akwarium i cicho się roześmiała.

Ten dźwięk poraził Caina jak srebrna błyskawica.

- Nikt by w to uwierzył! - powiedziała. - Z jednej strony *Sztuka japońska na przestrzeni wieków*, z drugiej *Wcieniu Tiffany'ego: studium na temat szkła artystycznego* - a pośrodku różowy wąż boa!

- Odkąd cię poznałem, gotów jestem uwierzyć dosłownie we wszystko.

Shelley otwierała już usta, żeby go zapytać, co przez to rozumie, ale się rozmyśliła. Nie była pewna, czy jest gotowa wysłuchać odpowiedzi Caina.

A Cain z pewnością pospieszyłby z wyjaśnieniem.

- Lepiej już chodźmy - powiedziała odwracając się. - JoLynn zacznie się zastanawiać, czy nie zrobiłam ci jakiejś krzywdy.

- Odniosłem wrażenie, że Brian potrafi rozwiązać wszelkie wątpliwości JoLynn, a ona w nagrodę nauczy go tego czy owego.

- Wątpię, czy zdoła.

Shelley powiedziała to sucho, ale pod jej słowami kryła się pewność, że w dziedzinie seksu Brian już od dawna przestał zadawać pytania i zna wszystkie możliwe odpowiedzi.

- W takim razie stanowią dobraną parę - stwierdził Cain. - Zupełnie jak my.

Shelley odwróciła wzrok, dostrzegłszy potwierdzenie tych słów w jego oczach koloru dymu.

- Zgadza się - odparła. - Jedyna para poskramiaczy węży w Los Angeles.

- Nie to miałem na myśli.

- Cain...

- Uspokój się - przerwał jej z krzywym uśmiechem. - Nie mam zamiaru owinąć się dokoła ciebie jak Duś i dławić, aż przestaniesz mi się opierać. Nie pamiętasz już?

Shelley przypomniała sobie delikatność jego pocałunku i powściągliwość, jaką okazywał mimo swej siły i pożądanego.

W dodatku to pożądanie nadal było wyraźnie widoczne.

Shelley zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

- Idealna z nas para - ciągnął gładko Cain. - Mnie przyda się trochę pozłoty, a ty jesteś najlepszą specjalistką w tej dziedzinie.

- Jakoś mi nie przypominasz kwiatu lili.

-- Zauważyłaś to? - powiedział odsuwając się od regału,

Shelley natychmiast się cofnęła.

Cain nie podszedł bliżej. Po prostu stał i czekał, aż dziewczyna zorientuje się wreszcie, że jest przy nim bezpieczna.

Shelley odetchnęła głęboko i uspokoiła się.

- No widzisz! - powiedział. - Jestem całkiem nieszkodliwy.

Popatrzyła na jego wysoką sylwetkę, szerokie bary, grę sprężystych mięśni widoczną przez materiał koszuli, wielkie silne dłonie i długie mocne nogi.

- Całkiem nieszkodliwy - powtórzyła i uśmiechnęła się mimo woli. - Och, Cain, gdybyś ty mógł siebie zobaczyć! Nieszkodliwy!!

- Nie wyglądam na to? - spytał ze smutną miną.

- Ani trochę.

- No to może godny zaufania?

Już miała zaprzeczyć, ale zorientowała się, że minęłaby się z prawdą. Mimo że znajdowała się w sypialni z potężnym, właściwie obcym mężczyzną, nie odczuwała strachu. Instynkt podpowiadał jej, że chociaż Cain czuł do niej zgoła pierwotny męski pociąg, to będzie zabiegał o jej względy w sposób cywilizowany.

- Tak - odparła nieswoim głosem.

- W porządku. Jeśli mają nas łączyć interesy, powinniśmy sobie ufać.

Shelley zamruwała.

- Interesy?

- Oczywiście. Obiecałaś mi pozłacanie lilii, nie pamiętasz?

-Jakoś nie.

- Opowiem ci o tym, a przy okazji przygotuję dla nas świeżą lemoniadę. Te duże żółte kulki, które zauważyłem w białej misce na górze, to cytryny, prawda? Shelley gapiła się na niego.

- Lemoniadę?

- Chyba że wolisz grejpfruty. - Wyciągnął rękę. - Gotowa?

Spojrzała na jego rękę, przypomniała sobie jej silny chwyt i ciepło zgrubiałej dłoni. Szramy na kłykciach odcinały się jaśniejszym nieco brązem na pokrytej lśniąco, spłowiałymi włoskami skórze.

- Nie! - powiedziała bardzo dobitnie, niskim głosem.

Szare oczy zwięzły się na sekundę. Potem twarz Caina odprężyła się.

- Czy to dotyczy wszystkich mężczyzn, czy tylko mnie?

Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

- Ja nie jestem... to znaczy, ja nie chcę...

- Nie chcesz mieć do czynienia z mężczyznami? - przerwał jej. - Zdumiewające, byłbym przysiągł, że Brian to mężczyzna, mimo tych modnych fatałaszków.

- W sprawach zawodowych owszem. Ale nie życzę sobie żadnych innych kontaktów.

Cain uśmiechnął się leniwie.

- Niech ci będzie.

Shelley przymknęła oczy. Wiedziała, po prostu wiedziała, że on w tej chwili przypomina sobie, jak się całowali.

I to całowali się nawzajem! Nie spoczywała biernie w jego ramionach, pragnąc się uwolnić z narzuconego jej uścisku.

Właśnie to ją przerażało. Od lat nie czuła nic do żadnego mężczyzny. I wcale tego nie chciała. Zbyt długo musiała walczyć, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Tylko tego brakowało, żeby jakiś nieznajomy wdzierał się do jej domu i wywracał wszystko do góry nogami!

. Im prędzej Cain Remington zniknie z jej życia, tym lepiej!

Shelley otworzyła oczy i chciała mu to zakomunikować, ale ujrzała już tylko jego plecy. Wchodził po schodach po dwa stopnie na raz, długimi, swobodnymi krokami. Potem doleciał do niej z góry jego głos.

- Gdy życie ofiarowuje ci cytryny, rób z nich lemoniadę! Czy twój tata nie mówił ci tego?

- Owszem, ale tylko wtedy, gdy życie nie szczędzi także cukru! - odparowała z irytacją.

Cain przystanął. Przez chwilę panowała cisza, potem rozległ się głęboki, męski śmiech. W końcu obejrzał się przez ramię.

- Dopóki będziesz w pobliżu, o cukier możemy się nie troszczyć.

5

A a to zrobię - powiedział Cain.

Shelley odruchowo zaczęła protestować, ale się rozmyśliła. Po wyjściu z chłodnego, pełnego świeżości wnętrza domu, podczas długiej jazdy na motorze pod upalnym słońcem miała wrażenie, że J'J kask ochronny to piekarnik. Co gorsza, sprzączka pod brodą była oporna jak z cementu.

Skoro tylko opuściła rękę, Cain zabrał się do roboty. Shelley stała cierpliwie, podczas gdy jego długie palce przekonywały sztywny rzemyk, żeby wysunął się z klamerki. Shelley czuła świeży zapach cytryny, którym przepełnione były dłonie Caina. Ledwo zdołała opanować rozkoszny zmysłowy dreszczyk.

Cain zabrał się do wyciskania soku ze świeżych cytryn gołymi rękami i robił to z taką szybkością i energią, że Shelley była zdumiona. Nie uważała się bynajmniej za chucherko, ale siła Caina dosłownie zapierała jej dech.

Podobnie jak jego uśmiech.

- Prawie gotowe - oznajmił.

- Nie poganiam cię.

- Wiem. To jeszcze jedno, co mi się w tobie podoba.

Zdjął jej kask z głowy, odgarniając na boki delikatne pasemka włosów. Nie spieszył się z tym; sprawiał mu przyjemność jedwabisty dotyk i ciepło włosów, prześlizgujących się przez jego palce.

Wciągnął głęboko powietrze. Z delikatnym zapachem ciała Shelley zmieszana się bardziej intensywna woń cytryny. Po lemoniadzie, którą Shelley piła tak chciwie, zostały jej nad górną wargą jasnożółte „wasy”.

Cain uśmiechnął się. Wiedział, że gdyby zliżał ten srebrnawy osad, poczułby na języku słodycz cukru i pikantny smak kobiety.

Na widok uśmiechu Caina Shelley przebiegł dreszcz.

Najwyższy czas z tym skończyć, pomyślała. Pozwalam mu zbliżyć się za bardzo i za szybko.

Jednak w głębi duszy pragnęła, by Cain znalazł się blisko, jeszcze bliżej - tak blisko, jak tylko być mogą mężczyzna i kobieta.

Nagle odwróciła się i zaczęła szukać w torbie szczotki do włosów. Kiedy znów podniosła głowę, Cain zawieszał jej kask koło swojego na kierownicy motocykla.

Uderzyło ją to, jak bardzo nie na miejscu wydawał się czarny motocykl zaparkowany obok srebrnego mercedesa 450 należącego do Briana i szkarłatnego ferrari, będącego własnością JoLynn. W motocyklu nie było nic z elegancji, nic na pokaz. Jego opony, wielkie i chropowate, przystosowane były do jazdy po każdym terenie. Wycięte błotniki i ani śladu chromu - nic dziwnego, że wydawał się tu intruzem.

Podobnie jak jego właściciel, motocykl obywatel się bez jakichkolwiek ozdóbek. Jego moc, wytrzymałość i szybkość nie wymagały krzykliwej reklamy.

Cain przeciągnął się. Potem rozejrzał się ciekawie dokoła. Rzadko zapuszczał się na Beverly Hills. Przesadnie drogie towary i przesadnie wystrojone damulki nie były w jego guście.

Spojrzał na eleganckie wejście do „Pozłacanej Lili”, a następnie na równie elegancką kobietę o włosach ciemnych i aksamitnie gładkich jak gorąca, słodko-gorzka czekolada. Pozazdrościł szczotce, która rozgarniała lśniące pasemka.

- To tu zajmujesz się złoceniem lili? - spytał.

- Twój motocykl nie potrzebuje żadnej pozłoty. Jest równie potężny, jak piękny.

Na mgnienie oka Cainowi odebrało mowę ze zdumienia. Gdy się wreszcie odezwał, jego słowa zaskoczyły ich oboje.

- Od tak dawna cię szukałem.

- Trzeba było zajrzeć do „Architectural Digest” - odparła Shelley, odkładając szczotkę. - Ogłaszam się w nim regularnie.

Cain roześmiał się. Instynkt podpowiadał mu, że jego czysto męskie zainteresowanie budzi w Shelley niepokój, ale że w jej obawie nie ma nic z osobistej niechęci do jego osoby. Prawdę mówiąc, podejrzewał, że udało mu się zbliżyć do Shelley znacznie bardziej niż jakimkolwiek mężczyźni, i to od dłuższego czasu.

Kto cię tak skrzywdził, Shelley Wilde? myślał. Kto zburzył w tobie wiarę w siebie i zaufanie do mężczyzn?

Nie powiedział tego na głos. Czuł, że osiągnął na razie wszystko, na co jest skłonna pozwolić. Gdyby nalegał na więcej, Shelley uśmiechnęłaby się z profesjonalną uprzejmością i wymknęła z jego rąk niczym promień słońca, pozostawiając po sobie jedynie mrok.

Podszedł za nią do oszklonych drzwi sklepu, który przypominał raczej galerię sztuki. Shelley wsunęła klucz i zaczęła mocować się z upartym zamkiem.

- Powinienem pomyśleć o tym wcześniej - zauważył Cain.

- O czym?

- O przejrzeniu ogłoszeń w „Architectural Digest”. Los Angeles wywarłoby wtedy na mnie znacznie lepsze wrażenie.

Shelley skoncentrowała się na zamku.

Cain odwrócił wzrok od jej smukłych palców i przyjrzał się systemowi przeciwwłamaniowemu, stanowiącemu ochronę sklepu. Okna, otoczone prawie niedostrzegalną siecią cienkich jak włos przewodów, były ze szkła tak grubego, że wytrzymałoby potężne ciosy młota. Nazwę firmy wypisano eleganckimi, smukłymi literami. Poniżej widniało dyskretne ostrzeżenie: „Wyłącznie na zamówienie”.

Zamek poddał się wreszcie z cichym, lecz wyraźnym szczękiem.

Cain wpatrzony w łagodne kołysanie bioder Shelley przestąpił próg „Pozłacanej Lili”. Całe wnętrze zajmowały obrazy, rzeźby i okazy sztuki dekoracyjnej rozmieszczone w sposób charakterystyczny raczej dla prywatnej rezydencji niż sklepu. Także meble ustawiono jak w domu mieszkalnym. Tworzyły niewielkie, luźne zgrupowania, skłaniające do swobodnej konwersacji i wypoczynku.

Kiedy Shelley odwróciła się do Caina chcąc mu coś powiedzieć, zobaczyła, że przygląda się wnętrzu sklepu z takim samym skupieniem jak jej domowi. W milczeniu przechodził od jednego obiektu do drugiego; zatrzymał się dłużej przy steatytowych posążkach ptaków z Ziemi Baffina i satelitarnym zdjęciu Sahary.

Fotografia ukazywała samą istotę pustyni: czystość linii i kontrast światła i cienia graniczyły niemal z surrealizmem. Cain wpatrywał się w zdjęcie przez dłuższy czas.

Inne dzieła sztuki obrzucił zaledwie przelotnym spojrzeniem. Prace minimalistów nie wzbudziły w nim zainteresowania. Podobnie było z awangardowymi eksperymentami w rodzaju łączenia ze sobą różnych technik lub gryzących się kolorów. Tego rodzaju dziełom poświęcał najwyżej jedno chłodne spojrzenie.

Shelley doszła już do wniosku, że nie lubi sztuki abstrakcyjnej, gdy zatrzymał się przed dużą drewnianą rzeźbą. Powierzchnia jej była niezwykle gładka. Miała miękki aksamitny połysk zamiast twardej skorupy lakieru. Włókna drewna wyraźnie rysowały się w szeregu długich, ciemnowych skrętów. Rzeźba miała kształt zdecydowanie abstrakcyjny - nie przypominała niczego, co istniało w realnym świecie. A jednak jej płynne krzywizny o jedwabistej teksturze aż kusiły, by ich dotknąć.

Przez kilka chwil przebiegał koniuszkami palców z jednej krzywizny na drugą. W końcu obiema dłońmi przeciągnął po aksamitnych bokach rzeźby.

Jawna zmysłowość jego reakcji sprawiła, że Shelley zapało dech. Widziała już wiele osób gładzących posąg. Teraz jednak po raz pierwszy pozazdrościła gładkiemu drewnu.

Przesunąwszy raz jeszcze leniwie dłońmi po powierzchni drewna, Cain zerknął na umieszczoną pod spodem tabliczkę z nazwą: *Ja też cię Kocham*. Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął radosnym śmiechem.

Śmiech Caina ucieszył Shelley tak samo, jak fakt, że docenił urok figury. Była ona jednym z jej ulubionych dzieł sztuki: stanowiła połączenie zmysłowości i poczucia humoru.

- Czy można ją wypożyczyć? - spytał.

Shelley zawahała się; rzeźba była bardzo użyteczna jako sprawdzian reakcji klientów. Wiele osób pragnęło ją wypożyczyć. Shelley zawsze odmawiała, podsuwając w zamian inną, również miłą w dotyku. Teraz jednak przykro jej byłoby rozczarować Caina.

- Zazwyczaj stoi tutaj - wyjaśniła, - Wymaga ciągłych pieszczot. Dzięki nim jaśnieje takim blaskiem.

Kąciki ust Caina uniosły się w leniwym uśmiechu. Kasztanowate włosy, zjaśniałe od słońca, rozblęły, gdy pochylił się niżej nad kuszącymi, wypolerowanymi krzywiznami.

- Zupełnie jak kobieta - stwierdził, przesuwając znów dłonią po powierzchni.

- Chcesz powiedzieć, że mężczyźni nie lubią, by ich pieścić? - odcięła się Shelley.

- Jesteś kobietą, więc wiesz lepiej.

Shelley ugryzła się w język i nie wypowiedziała słów, które ją dławiły.

Mój były mąż nie życzył sobie pieszczot. Przynajmniej moich. Z cynamonem cizią poderwaną w barze było pewnie całkiem inaczej.

Z łatwością wynikającą z długotrwałego nawyku Shelley pokryła bolesne wspomnienia maską obojętności i równie chłodnym tonem.

- Zadałeś pytanie niewłaściwej osobie. Już zapomniałeś? Jestem z tych, co nie potrafią zatrzymać przy sobie mężczyzny.

Cain gwałtownie podniósł głowę. Wpatrywał się w Shelley z takim napięciem, jakby była zmysłową rzeźbą, oczekującą aprobaty.

W tej chwili przypominała raczej posąg z lodu niż żywą kobietę. Jej piwne oczy spoglądały z rezerwą, nieufnie-jak ślepiec kota, który zaznał więcej kuksańców niż pieszczot.

Nie po raz pierwszy Cain pożałował złośliwej uwagi, którą zranił Shelley, gdy spotkali się w domu JoLynn. Tak się fatalnie złożyło, że cierpliwość jego wystawiono tego dnia na ciężką próbę. I to nie raz.

Niech szlag trafi JoLynn! To babsko wyprowadziłoby z równowagi nie jednego świętego, ale wszystkich dwunastu apostołów!

- A ja jestem mężczyzną, który nie potrafi zatrzymać przy sobie kobiety, już zapomniałeś? - spytał.

- Wątpię, czy ci kiedykolwiek na tym zależało.

Shelley odwróciła się. Skończyła z tym tematem.

I z nim.

Jednym susem Cain przesadził przepaść, którą pomiędzy nimi wykopała.

- A tobie? - spytał.

- Co mnie?

- Czy kiedyś ci zależało na zatrzymaniu przy sobie mężczyzny?

- Raz. Kuracja okazała się bardzo skuteczna.

- A mianowicie?

- Wydorosłałam.

Głos Shelley brzmiał ostro; w jej oczach Cain dostrzegł twardy połysk metalu.

- Co przez to rozumiesz?

Gwałtownie odwróciła się ku niemu. - Jestem teraz panią własnej woli. Urządziłam swój dom i swoje życie tak, jak mi się podoba.

- I nie ma w nim miejsca dla kogoś innego, nawet na chwilę?

- Zwłaszcza na chwilę. Tymczasowe domy, tymczasowi partnerzy, tymczasowe życie... To nie dla mnie, panie Remington. Nie jestem do wynajęcia.

- A na sprzedaż? - spytał uprzejmym tonem.

- Co to ma znaczyć?

- Małżeństwo. Uczciwy zakup z gwarancją „póki śmierć nas nie rozłączy”.

- Chyba że dojdzie przedtem do rozwodu. Oboje dobrze wiemy, że to nieuchronne. Prawda?

- Więc to tak! Mąż cię porzucił.

- Taktowny do szpiku kości, co? - zauważyła,

- Zrobił to?

- Co takiego?

- Porzucił cię.

- Jak ostatniego śmiecia. Starczy ci?

- Nie.

Wyraz twarzy Caina uległ zmianie, gdy spojrział w pełną gniewu, napiętą twarz Shelley, a potem na wdzięczne kobiece linie jej ciała - żywa rzeźba, która aż się prosi, żeby ją pogładzić!

- Na pewno mi to nie wystarczy.

- Poszukam JoLynn. Jestem pewna, że okaże się warta zainwestowanych w nią pieniędzy.

Wielka ręka zacisnęła się wokół nadgarstka Shelley.

- Nie chcę JoLynn. Chcę ciebie,

- To nie na twoją kieszeń! - rzuciła szorstko.

- Podaj swoją cenę.

Shelley wsłuchiwała się w chłodny, pewny siebie ton jego głosu i rozgorzał w niej gniew. Jej eks-mąż też był taki pewny!

I też się przeliczył.

- Miłość to nie pieniądze, panie Remington.

Przez jego surową twarz przeleciał cień jakiejś emocji. Potem zakryła ją znów maska uprzejmej obojętności.

- Miłość to nietrwały towar - stwierdził.

- Więc to tak? - spytała drwiąco, przedrzeźniając jego wcześniejsze słowa. - Pokochałeś jakąś kobietę i porzuciła cię!

- Uosobienie taktu, co?

- Do szpiku kości.

Spojrziała wymownie na wielką łapę zacisniętą wokół jej przegubu.

- Bardzo przepraszam - mruknęła. - Mam jeszcze wiele do zrobienia.
- Ja też. Twój mąż zranił cię do żywego, prawda?
Mówiąc to Cain gładził kciukiem wewnętrzną stronę jej nadgarstka.
Połączenie twardego chwytu ręki i delikatnej pieścioty sprawiło, że gniew Shelley zgasł. Pozostał tylko kryjący się pod nim ból. Przełknęła z trudem ślinę. Bardzo chciała odwrócić się od wszechwiedzących oczu Caina, ale duma jej na to nie pozwoliła.
- Dzięki niemu dowiedziałam się, jaka jest cena dzielenia się z kimś swoimi marzeniami.
- Utrata złudzeń?
- Mówisz z własnego doświadczenia?
- Można powiedzieć, że pozbyłem się złudzeń. - Głos Caina był spokojny, ale oczy przybrały barwę lodu. - A poza tym" byłem tak wściekły, że go-tów byłbym zabić.
Oczy Shelley rozwarły się szeroko. Czuła, że za żadne skarby nie chcia-łaby ściągnąć na swą głowę niepohamowanego gniewu Caina.
- Aż tak? - spytała, zanim zdążyła się opamiętać.
- Byłem wściekły na siebie, nie na nią. Nie była warta, żeby dla niej zabijać.
Shelley cisnęło się na usta następne pytanie, ale go nie zadała. Pod gniewem Caina dostrzegła przeblysłk cierpienia, które przypominało jej własny ból.
- Mój mąż też nie był tego wart - przyznała.
Dotknęła ramienia Caina; spłowiełe od słońca włoski lśniły na opalanej skórze.
- Przepraszam - powiedziała po prostu, - Nie miałam prawa wtykać nosa w twoje sprawy.
Uśmiechnął się krzywo.
- Sam się o to prosiłem. Robiłem, co mogłem, żeby wyprowadzić cię z równowagi, od chwili gdy dostrzegłem twój ironiczny uśmiezek. Spojrza-łaś na dekolt JoLynn i zaraz potem na mnie.
- To było aż tak widoczne?
- Tylko dla kogoś, kto nie spuszczał z ciebie oczu.
- Tak jak teraz?
Cain uśmiechnął się, a serce Shelley na sekundę zamarło, Kciuk Caina sunął po wewnętrznej stronie jej nadgarstka powolną, łagodną, badawczą pieściotą.
- Tak jak ja teraz - przytaknął.
- Ależ dlaczego? - spytała zdumiona. - Nie jestem seksowną laską, za którą każdy mężczyzna musi się obejrzeć!
- W rodzaju JoLynn?
- Właśnie. Jest zabójczo seksowna!
- Jest zabójczo nudna.
- Przecież...
- Kiedy zobaczyłem, że podnosisz tego węża i tulisz go delikatnie jak kociątko, zapragnąłem cię poznać. Bardzo chciałem dowiedzieć się, jakim

cudem przedstawicielka „wyższej cywilizacji” umie obchodzić się wężami i samotnymi dziećmi.

Shelley nie wiedziała, co odpowiedzieć. Gdyby nawet wiedziała, i tak nie byłaby w stanie wydobyć głosu. Doznania, jakie wywoływał w niej pieściotliwy kciuk Caina, odbierały jej mowę.

Uśmiech Caina stał się jeszcze szerszy i serdeczni ej szy.

- Apotem bez mrugnienia okiem wsiadłaś na motocykl wjedwabiacz i eleganckich pantofelkach, trzymając tego węża w powłoczce z hiszpańskiej koronki.

Gorący kciuk nadal sunął wolnym, hipnotycznym rytmem po jej skórze, tuż nad bijącym pulsem.

- Kiedy wszedłem do twego domu, przystani cywilizowanej, a zarazem pierwotnej istoty, zrozumiałem, że muszę cię poznać! Ale nieustannie mi się wymykałaś...

- Cain, ja...

- I nadal mi się wymykasz. Przestań, proszę! Nie chcę cię ani skrzywdzić, ani przestraszyć. Pragnę cię tylko poznać. - Jasne, szare oczy wpatrywały się w jej twarz. - Zgoda?

Shelley czuła, że słowa Caina przemawiają do jej umysłu równie silnie, jak zmysłowe pieścioty działały na jej ciało. Nie miała też wątpliwości, że mówi szczerze. Nie zamierzał jej skrzywdzić.

- Zgoda - odparła cicho.

Cain uniósł jej nadgarstek i przycisnął usta do delikatnej skóry, którą przed chwilą pieścił. Dotyk jego warg i jedwabistych wąsów sprawił, że w ciele Shelley rozdygotały się wszystkie nerwy. Te, które od dawna były uspio-
ne. Te, o których sama zapomniwała.

I te, których istnienia w ogóle nie podejrzewała.

Cain znów gładził jej przegub. Łagodny zarys rozchylnych ze zdumienia ust i szalejące pod dotykiem jego warg tętno sprawiły, że przeszło go jak piorun gwałtowne pożądanie.

- Co zjemy dziś na kolację? - spytał. - Owoce morza czy coś z francuskiej kuchni? A może portugalskiej? Hinduskiej? Meksykańskiej? Chińskiej?

- Cain, Janie...

- .. jadam kolacji? - dokończył za nią. - Nie bądź śmieszna. Oczywiście, że jadasz.

- Ale...

- Jakże inaczej poznasz mnie na tyle, by wybrać odpowiednią pozłotkę dla mojej lilii? Powiem ci prosto z mostu: nie zgodzę się na żadne muzealne śmiecie, takie jak w domu JoLynn. Chcę mieć coś, co mnie samemu odpowiada, a nie to, co jakiś dekorator uważa za szczyt elegancji - czy to w stylu klasycznym, czy nowoczesnym.

- Naprawdę masz dom i chcesz, żebym ci go urządziła?

- Oczywiście. Cóż innego mógłbym mieć na myśli, gdy ci zaproponowa-
łem złocenie lilii?

Niewiele brakowało, a Shelley przeprosiłaby Caina, że tak opacznie zrozumiała jego najczystsze intencje.

Stoi tu sobie, obcałowuje mój nadgarstek jakby nigdy nic, i to z miną niewiniątka, skrzywdzonego niecnym podejrzeniem!

Ten facet to śmiertelna pułapka.

To, że prawie mu się udało wpuścić ją w maliny, stanowiło najlepszy dowód, jak łatwo jego niezwykły urok przenikał przez jej bariery ochronne. Bardzo trafnie go określiła: łotr spod ciemnej gwiazdy!

Wyjątkowo seksowny.

Wyraz skrzywdzonej niewinności na twarzy Caina przerodził się w uroczy, szelmowski uśmiech, gdy dostrzegł oblewający Shelley rumieniec.

Próbowała go zignorować. Okazało się to niewykonalne. Dała więc za wygraną i roześmiała się na cały głos.

- Więc się zgadzasz? - spytał.

- Jakże mogłabym oprzeć się takiej łotrowskiej lilii?

Zarówno oczy Shelley, jak jej głos były pełne śmiechu i wyzwania- i świadomości warg, które błądziły po jej skórze.

- Zazwyczaj zachowuję się całkiem przyzwoicie - stwierdził Cain. - To ty mnie prowokujesz swoim wcale nie cywilizowanym uśmiechem!

- A ty mnie swoim ostrym językiem! - odcięła się Shelley.

- Ostrym? Jesteś tego pewna?

Delikatnie przesunął koniuszkiem języka po żyłkach na przegubie Shelley. Potem uniósł głowę chcąc dostrzec jej reakcję.

Intymność tej chwili i gestu wzbudziła w niej większy niepokój niż chciałaby przyznać,

- Jeśli nie przestaniesz, wycofuję się ze wszystkiego i złość sobie lilie sam!

Cain dostrzegł determinację i strach kryjący się pod pozornym opanowaniem. Rozluźnił chwyt. Dłoń Shelley wysunęła się pomiędzy jego palców - co samo w sobie było nową pieszczotą.

- Zdecydowałam się już, gdzie zjemy kolację? - spytał spokojnie.

- To nie jest wcale konieczne.

- Mylisz się.

Ten stanowczy sprzeciw tak zdumiał Shelley, że zamilkła.

- Wiem, co mówię - ciągnął dalej Cain. - Musisz mnie lepiej poznać, zanim się zorientujesz, co mi się podoba, a co nie. Urządzanie domu to proces bardzo... intymny.

- Nie do tego stopnia.

Cain lekko się uśmiechnął. - Będę grzeczny, norko. Słowo honoru. Ściśle oficjalne więzi, chyba że sama zechcesz to zmienić.

- „Norko”?

- Miękkka i dzika - wyjaśnił. - Po prostu norka.

- I to ma być według ciebie ściśle oficjalny ton?

- Czyżbym cię dotknął?

- Nie, ale wyciągasz po mnie łapy!

- 50 -

Śmiech Caina bynajmniej nie uspokoił jej rozedrganych nerwów.

- Bez przerwy dowiadujesz się o mnie czegoś nowego, prawda? - spytał. - A to przecież należy do interesu. - W uśmiechu łuk śnieżnobiałych zębów błysnął spod brunatnych wąsów. - Wpadnę po ciebie o siódmej.

Shelley w oszołomieniu stała i wpatrywała się w Caina, który wyszedł z „Połączanej Lili” i wsiał na swój czarny motocykl. Nawet pancerne szkło w oknach wystawowych nie zagłuszyło żywiołowego ryku motoru. Shelley wzdrygnęła się.

Nie ze wstrętu! przyznała w duchu. Motocykl i jego właściciel nie kryją się z tym, czym naprawdę są.

A już z pewnością nie udają istot cywilizowanych!

To spostrzeżenie zaniepokoiło ją znacznie mniej niż powinno. Łagodna pieszczota Caina nadal tętniła w jej krwi.

- Okropny gruchot! - odezwał się nad uchem Shelley zdyszany głosik JoLynn. - Za to jego właściciel to całkiem coś innego!

- Są bardzo do siebie podobni. Istoty pierwotne.

- Zupełnie jak ty, Shelley - zauważył Brian podchodząc do kobiet.

- Jak ja? - spojrzała ze zdumieniem na swego współnika.

- Kochana - wycedziła JoLynn - żadna cywilizowana kobieta nie wzięłaby do ręki oślizłego węża!

- Kochana - odparła Shelley - ryby są oślizłe. Węże ani trochę.

JoLynn zadygotała.

Shelley uśmiechnęła się. Nie był to przyjacielski uśmiech.

Brian odchrząknął.

- Może byś pokazała Shelley, JoLynn, co wybrałaś z katalogu? - podsunął.

- Niech przedtem umyje ręce po tym wężu! - odparła szorstko JoLynn.

Shelley spojrzała na swoje czyste ręce i policzyła w duchu do dziesięciu. Nie na wiele się to zdało.

- Nie umyłam rąk po Cainie - oświadczyła dobitnie - a o n w dotyku bardzo przypomina Dusia. Silny, ciepły i twardy. Okropnie twardy. - Spojrzała na JoLynn niewinnym wzrokiem. - Sądysz, że powinnam umyć ręce po Cainie?

Jej rozmówczyni wydała zdławiony jęk.

- Masz słuszność -- odparła milutko Shelley. - Powinnam to zrobić. Mało który mężczyzna jest równie schludny jak wąż.

6

Nawet po upływie kilku godzin, gdy Shelley przebierała się na kolację z Cainem, na wspomnienie miny JoLynn na jej wargach pojawił się wcale nie cywilizowany uśmiech. Brianowi ładnych kilka minut zajęło uspokajanie pięknej klientki, zanim była w stanie przystąpić do interesów. Gdy Shelley wró-

ciła z łazienki, wycierając energicznie ręce papierowym ręcznikiem, JoLynn uspokoiła się na tyle, że mogła już wskazać znajdujące się w sklepie przedmioty, którymi chciała ozdobić wynajęty dom.

Jak można było przewidzieć, nie wybrała niczego, co nie należało do ekspozycji któregoś z większych muzeów świata.

Ubolewając nad ograniczoną inteligencją niektórych klientek, Shelley podeszła do szafy. Zanim zaczęła przeglądać różne stroje, wepchnęła do niej z powrotem sprzęt turystyczny. Wkrótce przekonała się, że zaprowadzenie jakiegoś takiego ładu w sypialni to pestka w porównaniu z podjęciem decyzji, w co się ubrać.

- Mógłby przynajmniej powiedzieć, do jakiego lokalu chce mnie zabrać - pozaliła się Packowi.

Kot poruszył uchem słysząc głos Shelley, ale nie odrywał oczu od szklanej klatki Dusia, stojącej wysoko na regale.

- Albo wspomnieć, czy pojedziemy znowu na motorze. Ale on ani myśli ułatwiać mi życia!

Tym razem Pacek nawet uchem nie ruszył.

- Nocóż, będę chyba musiała włożyć te cholerne portki „na każdą okazję”.

Shelley wyciągnęła czarne spodnie i zmierzyła je krytycznym wzrokiem. Dzianina z grubego jedwabiu będzie wystarczająco mocna, by znieść jazdę na motocyklu, nie wywoła niepotrzebnej sensacji w barze z hamburgerami i całkiem nieźle będzie się prezentowała w eleganckim lokalu, jeżeli tam właśnie trafią.

- Są nawet czyste -- i takie pozostaną, jeżeli nie będę się zadawać z linijącym kotem wielkości kuca!

Pacek nadal wpatrywał się w Dusia.

Shelley wyciągnęła cienki jedwabny sweterek w kolorze wina, który nadawał się także na wszystkie okazje. Równie uniwersalny był naszyjnik z drobnutkich dżetów i ametystowych paciorków. Czarne sandały na wysokim obcasie dopełniły stroju.

Gdy Shelley ubrała się, automatycznie zaczęła układać włosy w gładki węzeł na karku. Potem przypomniała sobie o motocyklu.

- Jeżeli będę musiała włożyć kask, o koku nie ma mowy. Nie mogłeś mi o tym wcześniej przypomnieć, Pacek?

Kot zignorował pytanie.

Po chwili namysłu uczesała się w gładki francuski warkocz. Wplotła błyszczące paciorki we włosy, zamiast włożyć je na szyję. Kiedy skończyła się czesać, jej fryzura dorównywała toalecie; nie rzucała się w oczy i była wystarczająco elegancka na każdą okazję, może z wyjątkiem największej gali.

Z górnej kondygnacji dobiegł dźwięk dzwoneczków. Pacek zerwał się na równe nogi i popędził w stronę głównego wejścia.

- Ładnie pilnujesz domu! - ofuknęła go Shelley. - Całe wojsko mogłoby koczować na naszych schodach, a ty byś dalej gapił się na Dusia, póki by ci nie zatrąbili pobudki w kosmate ucho!

Podeszła do domofonu i nacisnęła guzik. - Tak?

- Cieszę się, że jesteś w takim zgodnym nastroju.

- Łudź się, łudź!

Uśmiechała się jednak. Głębokiego głosu Caina nie zdołał zniekształcić nawet domofon. Nacisnęła kolejny guzik, zwalniając elektroniczny zamek w drzwiach frontowych.

- Wejdz. Zaraz będę gotowa.

Chwyciła ciemnobrazowy cienki zakiet i przebiegła lekkim krokiem dwie kondygnacje schodów.

Znalazła swego gościa tuż za frontowymi drzwiami. Cain przysiadł na piętach i drapał energicznie Packa w szyję.

Kot wygiął się w łuk i prężył jak wszyscy jego krewniacy, bez względu na rozmiary. Mruczenie przypominało odgłos silnika na pełnym chodzie.

Cain wyprostował się z uśmiechem, poklepawszy po raz ostatni kota. Pacek grzmotnął go głową w kolano, domagając się dalszych pieszczot. Cain roześmiał się z cicha.

- Jeśli powiesz „zupełnie jak kobieta”, poszczuję na ciebie Dusia! - ostrzegła Shelley.

Poruszył wąsami, starając się ukryć uśmiech.

Przyglądała się jego ustom, zdając sobie po raz nie wiedzieć który sprawę z ich doskonałego kształtu. Nie były ani zbyt wydatne, ani za cienkie - mogły z powodzeniem wyjść spod dłuta Michała Anioła.

Wydawać by się mogło, że usta Caina - wcielenie zmysłowej pokusy - zupełnie nie pasują do twardej płaszczyzny jego twarzy ani do nieujarzmionej grzywy gęstych włosów - a jednak pasowały!

Shelley doszła do wniosku, że to bijąca z szarych oczu Caina inteligencja łączy w harmonijną całość sprzeczne elementy: zmysłowość warg i kanciaste rysy twarzy.

- Czyżby mi się wąsy przekrzywiły? - spytał z leniwym uśmiechem.

Shelley nagle uświadomiła sobie, że gapi się na niego, jakby był dziełem sztuki, które zamierzała nabyć.

- Przepraszam - powiedziała. - Masz bardzo niezwykłą twarz.

- Niezwykłą? - parsknął krótkim śmiechem. - Chcesz przez to powiedzieć, że brzydal ze mnie?

Była tak zaskoczona, że odruchowo wypowiedziała pierwszą słowa, które jej przyszły do głowy.

- Boże święty, to określenie zupełnie do ciebie nie pasuje! Masz najpiękniejsze usta, jakie kiedykolwiek widziałam, czy to u mężczyzn, czy u kobiet!

Tym razem zdumiał się Cain. Otworzył szeroko oczy, gdy pojął, że nie jest to kokieteria ani pochlebstwo. Powiedziała szczerze, co myśli.

- Dziękuję - odparł po prostu.

Potem uśmiechnął się znowu. Uśmiech ten był jak zaproszenie do ryzykownej gry i wzbudził dreszcz niepokoju w sercu Shelley.

- Powiedziałbym ci, co sędzę o twoich ustach - stwierdził Cain - ale skoczyłabyś mi do oczu, że nie zachowuję należytego dystansu.

Shelley nie zaprzeczyła.

- Wobec tego wyjaśnię ci to empirycznie.

Bez dalszych ostrzeżeń objął ją i dotknął wargami jej ust. Dopasowały się do siebie idealnie w delikatnym pocałunku. Potem koniuszkiem języka obrysował kontur jej ust, wyrażając tą pieszczotą taki podziw dla ich piękna, jakiego nie zdołałby wypowiedzieć słowami.

Poczuła dreszcz pożądania, który go przeniknął, i usłyszała głęboki, zgłodniały jęk, gdy przywarł do wilgotnego wnętrza jej dolnej wargi. Zapomniała o gorzkich doświadczeniach z byłym mężem, zapomniała, jak mało jest atrakcyjna dla mężczyzn, zapomniała o wszystkim poza tą olśniewającą chwilą, gdy czuła pożądanie i była pożądana.

To niebezpieczne! mówiła sobie, a krew tętniła w niej coraz gwałtowniej. Bardzo niebezpieczne!

Ale co za pokusa!...

- Cain...

Głos Shelley był zdławiony, trudno byłoby uznać to za stanowczy protest, choć może ona sama łudziła się, że tak jest. Cain-dostrzegł zmianę tonu i wykorzystał ten moment, by wtargnąć językiem między rozchylone wargi, zwiększając jeszcze intymność pocałunku.

Bez pospiechu badał jej wnętrze, od drobnych, ostrych zębów po zmysłową szorstkość języka i jedwabistą delikatność wewnętrznej strony warg. Wiedział, że powinien odsunąć się, zanim w Shelley zbudzi się strach, ale smak i dotyk jej ust były tak cudowne, że nie mógł się od nich oderwać.

Pocałunek stawał się coraz bardziej zaborczy, aż ogarnął całe wnętrze jej ust. Świat przestał istnieć dla Caina - pozostał tylko leniwy rytm jego języka, ślizgającego się po języku Shelley, ciepło jej ciała, przenikające w jego ciało, jej miękkość, stapiająca się z jego siłą tak bez reszty, jak ich zwarte ze sobą wargi.

Zanim Cain odczuł dreszcz, który przeniknął Shelley, usłyszał gardłowy jęk. Brzmiało w nim nie tylko pożądanie, ale i strach. Wówczas z wysiłkiem oderwał się od niej. Gdy jednak odezwał się, przeplatał słowa drobnymi muśnięciami jej warg.

-- Zanim zaczniesz na mnie wrzeszczeć, że nie zachowuję należytego dystansu - powiedział - pomyśl, jak wiele się dzięki temu o mnie dowiedziałeś.

Shelley z trudem zaczerpnęła powietrza i usiłowała przywrócić światu jego dawne, bezpieczne proporcje. Nie było to łatwe. Jej myśli nadal krążyły wokół pieszczot Caina. Smak, dotyk i zapach jego pocałunków przepełniały jej zmysły.

Cain miał słuszość. Ten pocałunek powiedział jej o nim bardzo wiele. Był mężczyzną niezwykle zmysłowym.

Jeśli chodzi o doznania fizyczne, pieszczoty Caina okazały się bardziej intymne i podniecające od wszelkich dotychczasowych doświadczeń seksu-

alnych Shelley - czy to w okresie małżeństwa, czy kiedy indziej. Jeśli zaś chodziło o doznania duchowe, pocałunek ten dał jej poczucie jedności z partnerem, jakiej nigdy dotąd nie zaznała.

Cain zatracił się w pieszczocie bez reszty, co z początku zdumiało Shelley, a potem ją roznamiętniło. Mimo to panował nad swymi reakcjami, by nie czuła się przytłoczona ani urażona brutalną natarczywością.

Choć pełen delikatności, stał się dla niej istną opoką, gdy jej ciało przemieniło się nagle w roztopiony, gorący miód lgnący do jego ciała.

- Lepiej stąd wyjdźmy, zanim całkiem zapomnę, że miałem być grzeczny - powiedział zdławionym głosem.

Shelley dosłyszała kryjące się za tymi słowami milczące pytanie. Wróciła do przytomności.

- Będzie mi potrzebny kask? - spytała.

Ona także mówiła zmienionym głosem. Jego dźwięk sprawił, że całe ciało Caina drgnęło.

- Nie. Przyjechałem samochodem.

- Wezmę torebkę.

W milczeniu podeszła za Cainem do klasycznego czarnego jaguara, zaparkowanego na podjeździe. Smukła karoseria samochodu wydała jej się równie pociągająca jak sylwetka jego właściciela. I maszyna, i człowiek przypominali zwierzę, które zachowuje się powściągliwie, choć nie jest bynajmniej oswojone.

Silnik pamiętał lepsze czasy, ale zapalił od razu. Jego odgłos przypominał melodyjne, gardłowe warczenie. Shelley wsiadła do wozu, pogładziła z przyjemnością skórzaną tapicerkę i zapięła pas bezpieczeństwa.

Kierowany potężnymi dłońmi Caina wóz mknął po wąskiej drodze, wijącej się zboczem, ze zwinnością swego imiennika.

- Przechowujesz go w kapsule czasu? - spytała Shelley.

- Prawie. Kiedy wyjeżdżam za granicę, zostawiam jaguara pod opieką znajomka, który ma hopla na punkcie klasycznych modeli.

„Wyjeżdżam za granicę”.

Słowa te rozbrzmiewały echem w głowie Shelley.

Powinam się tego domyślić! Cain nie ma w sobie nic z domatora, pomyślała.

- Więc spędzasz życie w podróży - powiedziała bezbarwnym głosem.

Cain rzucił jej przelotne spojrzenie. Potem znów skoncentrował się na drodze.

Twarz Shelley była taka sama jak jej głos; obojętna, daleka, zamknięta w sobie. Miał ją w zasięgu ramion, ale była równocześnie odległa o całe lata świetlne i dystans pomiędzy nimi zwiększał się z każdym oddechem, z każdym uderzeniem serca.

Gdy Cain odezwał się, głos jego był spokojny. Nie zdołał jednak ukryć całkowicie zdumienia i gniewu, jaki wzbudziła w nim reakcja Shelley.

- Zabrzmiało to jak oskarżenie.

- Nie oskarżam, stwierdzam po prostu fakt. Bezsporny, jak śmierć.
- Życie też jest faktem.

Shelley wzruszyła ramionami, odgradzając się pancierzem obojętności. Potrzebowała takiej osłony przeciwko ogromnej sile przyciągania jego ducha i ciała.

Widziałam przecież, jak mama traci najlepsze lata usiłując stworzyć dom dla męża-obieżyświata, pomyślała bezlitośnie. Powinno mnie to nauczyć rozumu!

Nie nauczyło jednak. Sama wyszła za włóczykija. Łudziła się, że gdy stworzy mu prawdziwy dom, nie będzie już jej opuszczał.

Myliła się.

Włóczykij nie potrafi docenić domu ani kobiety, która go stworzyła i czeka, czeka, czeka - dopóki ostatecznie nie zgaśnie w niej nadzieja.

Ile jeszcze razy będę brała od życia ciągi, zanim nabiorę rozumu?!

Grzebała zawzięcie w dużej skórzanej torbie, wsłuchując się w wewnętrzny głos, który dawał jej dobre rady. W końcu wyjęła notatnik i cienki złoty długopis. Całkiem już opanowana, usadowiła się wygodnie. Szybko i wyraźnie napisała „Cain Remington” na jednej ze stron u góry.

- Jak długo zazwyczaj bawisz w kraju? - spytała,,-

Ton jej głosu był całkowicie profesjonalny, wyprany z wszelkich emocji. Nie był to głos kobiety, która przed chwilą w zmysłowym żarze jego pocałunku topniała jak gorący miód.

Cain zaklął w duchu i gwałtownie zjechał na bok. Jaguar ryknął. Było to gardłowe, gniewne warknięcie.

Podniosła wzrok znad notesu, nie czuła jednak paniki. Cain prowadził potężny wóz tak samo jak motocykl: z łatwością, sprawnie, nie tracąc ani na chwilę kontroli nad pojazdem.

Po prawej stronie drogi były tylko chaszcze zarastające dawno nie używaną boczną ścieżką. Po lewej rosło jeszcze więcej krzaków: istny gąszcz karłowatej dębiny, opadający po stromym zboczu w głąb bezmiennego wąwozu.

Opony zapiszczały przeraźliwie, gdy wóz gwałtownie skręcił. W tym momencie uświadomiła sobie wściekłość Caina. Jakimś cudem wyczuł, że odgrodziła się od niego nieprzebytą zaporą.

Czyta we mnie jak w książce, pomyślała z niechęcią. Tym cięższe będzie dla nas obojga to zadanie.

Właśnie - zadanie. Cain życzy sobie po prostu, żeby mu ktoś urządził jego bazę wypadową.

Shelley powiedziała sobie, że szlag jąprędzej trafi, nim zostanie jednym z wynajętych czasowo przez Caina rekwizytów.

Mijana w pędzie dąbrowa przypominała brązowo-złocistą chmurę.

- Co masz przeciw ludziom, którzy często podróżują? - Głos Caina był równie twardy jak stalowe spojrzenie jego oczu.

- Absolutnie nic - odparła spokojnie, - Gdyby nie oni, zostałabym bez pracy.

Tymczasowe domy, tymczasowi partnerzy, tymczasowe życie...

- Jak długo zabawisz tym razem w kraju? - spytała.

Ton jej głosuje jeszcze dobitniej niż słowa świadczył o tym, że jej zainteresowanie ma charakter zawodowy. W żadnym wypadku osobisty!

Cain zacisnął usta.

Przez długie minuty panowało milczenie. Czarny jaguar mknął po krętej, wąskiej drodze.

Wieczorne światło zalało wnętrze wozu. Twarz Caina stanowiła teraz kompozycję brunatnych płaszczyzn i ostrych kątów, złagodzonych nieco aksamitnym cieniem. Jego włosy i wąsy żarzyły się złotem, ale ten ciepły blask nie udzielił się jego spojrzeniu. Oczy Caina - całkiem jak lód - wchłaniając światło przetworzyły je na przejrzyste odcienie błękitu i szarości, spokojne i głębokie jak arktyczny zmierzch.

Nagle jaguar zjechał na pobocze. Przed maską wozu zarosły krzakami kanion stanowił jeszcze jedną plamę ciemności. Cain zgasił silnik i odwrócił się do Shelley.

- Nie jestem szpiegiem! - warknął.

Zaskoczona zrobiła półobrót w jego stronę.

- Wcale cię o to nie podejrzewałam.

Przez chwilę rozważał, czy mówiła szczerze. W końcu skinął głową. Jego rozdrażnienie było jednak widoczne w kurczowym zaciśnięciu rąk na kierownicy i w opryskliwym tonie głosu.

- W porządku. Kim więc jestem, według ciebie?

- Obieżyświatem.

- Bardzo wiele osób ma taką pracę, że ciągle musi podróżować. Czy to hańba?

- Wcale nie powiedziałam, że to...

- Czyżby?! - przerwał jej. - Gdy tylko usłyszałaś, że często wyjeżdżam, zamknęłaś się jak ostryga. Po prostu: „Bywaj zdrów”.

Cholera! Dlaczego on musi być taki spostrzegawczy?! Większość mężczyzn niczego by nie zauważyła, a przynajmniej nie wypaliłaby mi tego bez ogródek!

- Od kiedy to rozstania stanowią problem dla obieżyświatów? - spytała. - Dziś, jutro, czy za dwa miesiące - co za różnica? Cześć, na razie, może się jeszcze kiedyś spotkamy.

Wsłuchiwała się we własny głos, opanowany i chłodny.

Zbyt chłodny.

Czuła jednak, że jeśli na pancerzu obojętności pojawi się choćby najdrobniejsza rysa, zacznie wrzeszczeć na Caina. Żadne z nich nie zasłużyło przecież na podobny wybuch. Nie było winą Caina, że tak bardzo ją pociągał, a równocześnie był dla niej absolutnie nieodpowiednim partnerem. Włóczykij.

Mężczyzna, który dziś jest, a jutro znika. Tylko jej uczucia nie znikną. Pozostaną, by nadal ją dręczyć.

- Z pewnością rozstania to dla ciebie nie nowina - powiedziała. - A może chodzi o to, że nie ty pierwszy chcesz się pożegnać?

Cain zaczerpnął głęboko powietrze i opanował gniew. W tym, co mówiła Shelley, było dużo racji. Był rzeczywiście przyzwyczajony do pożegnań.

I naprawdę przywykłem, przyznał w duchu, że to ja mówię „do widzenia”.

Jeden do zera na rzecz zdrowego rozsądku.

Nie miał jednak wcale zamiaru rozstawać się z Shelley Wilde!

Po kilku minutach udało mu się nieco uspokoić. Umiał wczuć się błędnie w psychikę innych osób. Teraz instynkt ostrzegł go, że z Shelley należy postępować bardzo ostrożnie i ograniczyć się do kontaktów zawodowych.

Zatem na razie nie ma mowy o miódowych pocałunkach, o miękkiej bliskości kobiecego ciała, uprzytamniającej mu, jak bardzo był dotąd zgłodniały i samotny, o pożądaniu wypełniającym żarem całe jego wnętrze, sprężającym całe ciało, przyspieszającym aż do bólu uderzenia serca.

Niech szlag trafi zdrowy rozsądek! pomyślał z goryczą.

Potem zrobił jeszcze jeden głęboki wdech i uruchomił silnik jaguara. Potężny, choć niezbyt donośny warkot prawie go uspokoił.

Ale nie całkiem.

- Masz rację - przyznał głosem dziwnie podobnym do pomruku silnika. - Rozstania to dla mnie nic nowego. Pora coś zjeść.

Płynnym ruchem wyprowadził samochód z powrotem na drogę.

Kierowany stanowczą, pewną ręką jaguar mknął znów w zapadającym złotawym zmierzchu.

Restauracja należała do typu „przytulnych francuskich lokali”, które cieszą się takim powodzeniem w Zachodniej Dzielnicy Los Angeles. Nie była - jak na przykład „Polo Longue” - miejscem przeznaczonym specjalnie dla turystów, polujących hałaśliwie na autografy. Nie roiło się tu również od hollywoodzkich snobów, którzy dawali napiwki kelnerom, by donośnie wzywali ich do telefonu, rzekomo od kogoś z bonzów filmowego światka.

„La Chanson” wyróżniała się nowoczesną kuchnią, starymi winami i cenami zapierającymi dech w piersi. Dyskretna elegancja obrusów, stołowego srebra i kryształów stanowiła idealne tło dla tak samo dyskretnej i eleganckiej konwersacji stałych bywalców lokalu, którzy równie często dyskutowali o literaturze, sztuce i teatrze, jak o notowaniach giełdowych, rynku nieruchomości czy internecie.

W gruncie rzeczy jednak literatura, sztuka i teatr to także biznes. Stali bywalcy „La Chanson” nieraz inwestowali w intelekt.

- Często bywasz w Los Angeles? - spytała Shelley otwierając menu.

Cain spojrzał na nią podejrzliwie, ale tym razem jakoś nie wyjęła swego notatnika.

Dzięki Bogui za to! pomyślał niewesoło. Jeśli znów wyjmie to paskudztwo, złapię za świecę i podpale!

Od dawna nikt nie wytracił z równowagi aż tak, jak to uczyniła Shelley kryjąc się za oficjalną maskę. Cain był pewien, że na widok notesu straci resztki opanowania i dojdzie do awantury. - Przyjeżdżam do Los Angeles, kiedy tylko mogę - odparł.

- Lubisz to miasto?

Cain poczuł odrobinę nadziei. W głosie Shelley autentyczna ciekawość zastąpiła obojętny ton, jakim przemawiała od chwili, gdy odkryła, że jest obieżyświatem.

Kąćki jego ust uniosły się lekko pod płowo-brązowym wąsem.

- Lubię - odparł. - To wyznanie nie przynosi mi szacunku, prawda?

Mimo woli odpowiedziała mu uśmiechem. Nikt za żadne skarby nie chciał przyznać się do tego, że lubi Los Angeles. Należało zapewnić, że nie znosi się tego miasta, jeśli chciało się uchodzić za człowieka obdarzonego dobrym gustem. Wszystkie słynne osobistości nienawidziły Los Angeles i były z tego dumne!

Ale kogoś takiego jak Cain nie obchodzi, co sądzą i czują inni, przypominała sobie. Przekonała się o tym w chwili, gdy nazwał ją „starą panną”, a potem określił jako „kobietę, która nie potrafi zatrzymać przy sobie mężczyzny”.

Cain mówił, co chciał, i tyle.

I bardzo trzymie oceniał sytuację.

- Co ci się podoba w Los Angeles? - spytała.

- Swoboda. Nowoczesna technika. Dobra kuchnia. Księgarnie. Ruch uliczny.

- A co cię tu razi?

- To samo co wszystkich. Korci właśnie wtedy, gdy się spieszę. Obłoki spalin, kiedy mam ochotę podziwiać góry. Ludzie, gdy wolałbym być sam. Hałas, kiedy marzę o ciszy.

- I wtedy bierzesz nogi za pas?

Zabrzmiało to nie jak pytanie, ale oskarżenie.

- Inni znajdującą drogę ucieczki nie ruszając się z miejsca. Nazywa się to „emigracja wewnętrzna”.

- Nie pracuję dla „innych”, tylko na twoje zamówienie. A ty uciekasz w sposób najbardziej typowy.

W głowie Shelley zabrzmiało echo jej własnych słów. Nie były ani beznamienne, ani ściśle profesjonalne.

- Przepraszam - powiedziała przywołując na usta oficjalny uśmiech. - Nieładnie to wyszło. Każdy lubi różnorodność. Podobno mężczyźni bardziej niż kobiety.

Z tymi słowami odłożyła menu i wyjęła swój oprawny w skórę notatnik.

Cain hamował się resztką sił.

Szczęk cienkiego długopisu rozległ się w ciszy bardzo donośnie.

Cain zacisnął zęby.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytał z pozornym spokojem.

- Zapisać twoje upodobania i fobie - odparła nie podnosząc wzroku. - Te notatki pomogą mi odświeżyć je w pamięci, gdy będę wertowała katalogi.

- Ach tak? - mruknął, po czym dodał z rosnącym gniewem: - Wobec tego zanotuj sobie, że nie znoszę oprawnych w skórę notesów i szcękających długopisów!

Ręka Shelley zastęła w połowie ruchu, a głowa nagle uniosła się. Jej piwne oczy były szeroko otwarte, pełne zdumienia, prawie złote w blasku świateł. Pieczołowicie schowała do torebki notatnik i długopis.

- Chyba lepiej zrobisz powierzając komuś innemu upiększenie twego tymczasowego locum.

Cain roześmiał się szorstko. Komuś innemu?! Pragnął w tym momencie Shelley tak bardzo, że aż bolało. Nie przyznał się jednak do tego. Nie chciał, by obdarzyła go jeszcze jednym obojętnym uśmiechem, a potem wstała i odeszła z jego życia. Był przeświadczony, że tak by właśnie zareagowała - podobnie jak poprzednio miał pewność, że rozwścieczyła ją, nazywając kobietą, która nie potrafi zatrzymać przy sobie mężczyzny.

Jeśli całowała swojego męża równie namiętnie jak mnie, musiał być ostatnim durniem goniącym za „rozmaitością”, jak to określiła!

Odchrząknął, powstrzymał się od bębnienia palcami po stole i wziął do ręki menu.

- Przepraszam, Trochę mnie poniosło - powiedział łagodniejszym tonem. - Zawsze jestem w podłym humorze, gdy zgłodnieję.

- Więc zamówmy coś.

Cain rzucił okiem na menu. Żeby nie wiem jak długo wczytywał się w nie, nie znajdzie tam przysmaku o nazwie „Shelley Wilde”. Z westchnieniem rezygnacji przygotował się na długie czekanie.

- Coś na zakąskę? - spytał.

- Nie mogę się zdecydować: nadziewane grzyby czy ostrygi w kokilce?... Shelley oblizwała wargi w niecierpliwym oczekiwaniu.

Patrzył na połyskliwy ślad, jaki pozostawił koniuszek języka na jej ustach. Przypomniał sobie, jakie były gorące i słodkie. Potem zwymyślał się w duchu i skoncentrował na spisie potraw,

Zanim zjawił się kelner, Cain wiedział już, co zamówi.

Oboje mieli podobny gust.

- Młody łośoś z nadzieniem z krewetek - powiedziała Shelley do kelnera.

- Na co jeszcze miałaś ochotę? - spytał Cain. - Może na krewetki w maśle z cytryną i z ziołami?

- Skąd wiesz?

- Też mam na nie ochotę - odparł sucho. Zwrócił się do kelnera. - Jeden łośoś dla pani i jedne krewetki dla mnie. Weźmiemy też zieloną sałatkę i zupę rybną a la Nowa Anglia. Na zakąskę poprosimy porcję nadziewanych grzybów i porcję ostryg.

-- Nie zjem tyle! - zaprotestowała Shelley.

- Aleja tak.

Spojrzała na jego masywną, barczystą postać i doszła do wniosku, że mógłby zjeść swoją porcję, jej porcję i jeszcze by się rozglądał za deserem.

- Przypuszczam, że wolisz wytrawne wino od słodkiego?

Shelley skinęła głową.

- Chardonnay?

- Chętnie.

- Francuskie czy kalifornijskie?

Pomyślała o „odrobinie” czosnku i „szczypcie” szalotki, wspomnianych przy opisie obu zakąsek.

- Kalifornijskie, jeśli ci to odpowiada - stwierdziła. - Czasem francuskie Chardonnay jest zbyt lekkie i przegrywa w starciu z czosnkiem.

Cain zamówił wino, oddał menu kelnerowi i zwrócił się z uśmiechem do Shelley.

- Pozwolę ci choćby Codziennie zamawiać dla mnie dania. Mam wrażenie, jakbym sam je wybierał.

- W takim razie byłoby to nudne.

- Nic podobnego. Czasami zaskakuję samego siebie. - Spojrzył z zachwytem na jej usta. - Założę się, że i ty także.

Shelley spuściła oczy, niemal czarne rzęsy przesłoniły ich szelmowski błysk. Cain nie dostrzegł go, lecz instynktownie wyczuł. Przyglądała się jej bardzo uważnie. Przy każdym ruchu ametystowe paciorki, wplecione w ciemne włosy, połyskiwały jak odległe konstelacje na nocnym niebie.

- W jaki sposób zarabiasz na życie? - spytała cicho.

Głosej się załamywał. Czują na sobie jego skupione spojrzenie i traciła z trudem zdobytą samokontrolę. Oblizwała ponownie wargi. Nerwowy odruch, który nie na wiele się zdał.

Nadal czuła na ustach smak pocałunku Caina. Słodkawy i słonawy zarazem, niepowtarzalny.

Jeden pocałunek i nie potrafię już nawet oblizywać warg, żeby o nim nie wspomnieć! pomyślała niemal z rozpaczą.

Muszę z tym skończyć!

- A jak ci się zdaje? - zapytał Cain.

Nutka wrogości w jego głosie zakoczyła Shelley. Spojrzała na jego ręce, stwardniałe, pokryte szramami, silne, czyste, delikatne i wrażliwe.

- Nie wiem - odparła. - Ale jestem pewna, że robisz to lepiej niż inni.

Teraz on się zdumiał.

- Skąd taki wniosek?

- Bo nie należysz do tych, którzy robią coś połowicznie.

Na przykład całują, dodała w duchu.

Kelner wrócił z winem, zanim Cain zdążył odpowiedzieć. Skosztował trunku z obojętną miną, a potem - wbrew ustalonym zwyczajom - podsunął kieliszek Shelley, by poznać jej opinię.

Upiła tyk, rozkoszując się aromatem wina i nie zapominając o tym, że usta Caina dotykały przed sekundą tego samego kieliszka. Gdy mu go oddała, ręka drżała jej prawie niedostrzegalnie.

Cain jednak zauważył to drżenie. Nic, co dotyczyło Shelley, nie uszło uwagi jego szarych oczu, nawet wstrzymany na ułamek sekundy oddech. Odebrał od niej kieliszek i opróżnił go jednym haustem, typowo po męsku. Potem dal znak cierpliwie czekającemu kelnerowi, by nalał im wina i oddalił się.

- Za drugim razem smakowało o wiele lepiej - orzekł Cain. - Było cieplejsze.

Shelley pojęła, że Cain mówi o jej wargach, a nie o charakterystycznej zalecie Chardonnay, którego aromat stawał się mocniejszy po lekkim podgrzaniu. Nie mogła jednak oskarżyć go o jakieś zbyt osobiste aluzje: musiałaby przy tym zdradzić własne myśli.

Niestety, większość wypowiedzi Caina można było rozumieć dwójako: pod pozornie obojętną uwagą krył się zdecydowanie zmysłowy podtekst.

A może ja to wszystko sobie wmawiam? Jestem pewnie przewrażliwiona.

Cain znów napił się wina i uśmiechnął do Shelley. Jego uśmiech, podobnie jak słowa, był wieloznaczny i kusicielski.

Wypiwszy kolejny łyk, rozsiadł się wygodnie. Miał minę człowieka, który podjął ważną decyzję i już od niej nie odstąpi - bez względu na konsekwencje.

- Jestem geologiem.

- Ropa naftowa? - spytała Shelley.

- Wszystko, tylko nie to.

Skinęła głową, jakby potwierdził jej przypuszczenia.

- Co znaczy ten ruch?

- Większość petrologów pracuje dla wielkich kompanii. Ty jesteś zbyt niezależny, by wiązać się z jakąś korporacją. - Uśmiechnęła się lekko. - Chyba że należałaby do ciebie.

- Owszem, mam własne przedsiębiorstwo. Nosi nazwę „Podstawowe Zasoby”. Podejmujemy się wyceny złóż mineralnych, interpretacji zdjęć satelitarnych, konsultacji górniczych. Zajmujemy się też planowaniem i projektowaniem wydobywania oraz konserwacją. - Jego szare oczy zwięźli się. - I mimo wszelkich aluzji kochanej JoLynn nie jestem ani szpiegiem, ani tajnym agentem rządu.

Na twarzy Shelley odbiło się przelotne zdziwienie. Nie byłaby zaskoczona, gdyby Cain okazał się „tajnym agentem rządu”. Cechowała go pewność siebie, inteligencja i fizyczna wytrzymałość. Mógł z powodzeniem działać w pojedynkę.

- JoLynn powiedziała mi na twój temat tylko tyle: „motocykl to gruchot, ale jego właściciel to coś całkiem innego”.

Uśmiechnął się niechętnie.

- Dobrze, że się nie rozgadała - powiedział.

- Czemu?

- Bo podła z niej suka.

- Nie przypuszczałam, że jesteś w stanie to zauważyć.

Oczy Caina zwięźli się w szparki twardo połyskującego srebra.

- Raczej trudno tego nie zauważyć - odparł. - Gdy wróciłem dziś po południu do jej domu i poprosiłem o pozwolenie zabrania Billy¹ ego na przejażdżkę motocyklem, JoLynn oświadczyła mi, że uważa za lepszy pomysł piknik we dwoje... przy czym żadnym z tych dwojga nie miał być Billy.

- Ach tak...

- Powiniennem może odmówić grzeczniej, ale nie miałem już cierpliwości do tej zabawy w ciuciubabkę. Przypomniałem jej, że jestem przyrodnim bratem Dave'a i że jeśli będę musiał, to wystaram się o orzeczenie sądu zapewniające mi opiekę nad Billym w czasie podróży Dave'a po Europie.

- Więc jesteś... - zaczęła Shelley, ale Cain mówił dalej, wyrzucając z siebie słowa, jakby pozostawał mu po nich obrzydliwy smak w ustach.

- Zapewniłem JoLynn, że postaram się o decyzję sądu w taki sposób, że będzie to dla niej wyjątkowo kompromitujące i odstraszy każdego podstarzałego kochasia, który miałby ochotę płacić jej rachunki.


Uśmiech Caina był równie drapieżny jak błysk jego oczu.

- JoLynn od razu zrozumiała, jak sprawy stoja- wycodził. - Osobiście wolałbym nie włączyć się po sądach, ale dla dobra chłopca nie cofnąłbym się przed tym. Ze swoją przeszłością JoLynn nie ma najmniejszych szans na wygrana. I sama dobrze o tym wie.

Shelley była całkiem zbita z tropu, niemal przerażona porywczością, kryjącą się pod uśmiechem Caina.

- Dave Cummings - spytała - ojciec chłopca?... Więc ty jesteś naprawdę wujkiem Billy'ego?

7

 czywiście, że jestem jego wujkiem! Pocóżbym... - Nagle zrozumiał. - Cholera, pewnie Billy rzeczywiście mówi „wujku” do kochasiów JoLynn.

- Taki jest zwyczaj.

- Ale ja jestem stuprocentowym wujkiem, nawet jeśli ostatnio rzadko widywałem Billy'ego. A Dave to stuprocentowy dureń!

- Bo pozwolił odejść JoLynn?

- Bo wierzył, że JoLynn jest równie porządna jak on naiwny.

- Atyjąznałeś, no...

- Przed Davem?

Skinęła głową.

- Spotkałem JoLynn dwanaście lat temu, raz tylko rzuciłem na nią okiem i powiedziałem do Dave'a: - To lepszy numer. Jeśli ci się podoba, prześpij się z nią, na zdrowie! Ale na litość boską, nie żeń się! Z tandetnych butów nie będzie długiego pożytku, zwłaszcza że mocno przechodzone.

Niedbale rzucona, brutalna wypowiedź Caina o kobiecie, która wyraźnie była w nim zadurzona, zaszokowała Shelley.

Czy on stosuje te zasady do wszystkich kobiet? Jak masz ochotę, to się prześpij, ale na litość boską, nie żeń się! Czyżby należał do tych zakompleksionych facetów, którzy ożenią się tylko z dziewczcą, bo boją się, że wypadną niekorzystnie w porównaniu z poprzednimi amantami?

- Nie rób takiej zgorzonej miny - powiedział Cain. - JoLynn zasługuje na wszystko, co o niej powiedziałem.

- Bo nie była dziewczcą, gdy wyszła za twojego brata?

- Nie, do cholery! Bo odkąd za niego wyszła, obsłużyła więcej facetów niż babka klozetowa!

- Cain!

- Bardzo mi przykro. Nie, nie jest mi przykro! Przykro mi tylko, że prawda¹ tak się właśnie przedstawia. JoLynn to patentowana, nie do zdarcia...

Urwał raptownie. Przesunął ręką po gęstych, spłowiałych od słońca włosach i wzruszył niecierpliwie ramionami.

- Jak mam ją inaczej określić? - spytał z ironią. - Przecież chciała uzależnić moje spotkania z Billym od tego, czy się będę widywał także i z nią... w łóżku.

Shelley nie mogła ukryć oburzenia. Ani wstrętu. Pomyślała o tym, jak Billy błagał matkę, by nie zabijała Dusia. Stał jej wyraźnie przed oczami pokój chłopca, stanowiący odbicie jego indywidualności. Przypomniała sobie, jak wprawnie nakładał jej kask, dobrze zapamiętała jego szczerzy uśmiech i serdeczność.

- To nie matka, ale skorpion!

- Nie obrażaj skorpionów.

- Przepraszam! - powiedziała pospiesznie Shelley. - Nie mam prawa osądzać JoLynn.

- Czemu nie? Okazałaś Billy'emu w ciągu godziny więcej serdeczności niż ona przez cały rok. A jednak ten dzieciak ją kocha.

- Nic dziwnego. Przecież to jego matka.

- Mógłbym jej wybaczyć tych wszystkich facetów, ale nie krzywdę, jaką wyrządza chłopcu! - Z gorzkim uśmiechem dorzucił: - Właściwie jakim mam prawo nazywać Dave'a durniem? Ożeniłem się z taką samą dziwką jak JoLynn. Jeżeli nie leżała pod jakimś chłopcem, wszystko jedno jakim, choćby całkiem obcym, nie czuła, że żyje. Chwała Bogu, że nie mieliśmy dzieci: rozszarpalibyśmy je między sobą!

Shelley z trudem przełknęła ślinę. Gdy się odezwała, mówiła prawie szeptem. - Twoja żona musiała być bardzo nieszczęśliwa.

- Spodziewam się! A już na pewno zarażała tym nieszczęściem wszystkich dokoła. Jak JoLynn.

- Jeśli JoLynn tak bardzo chce być kochana, czemu nie zwraca uwagi na swojego syna?

- Po co? Przecież ma go w garści. Dopiero jak Billy dorośnie i odejdzie w swoją stronę, JoLynn zacznie się za nim uganiać, póki znów nie stanie się pępek jego świata.

Shelley pomyślała o uczuciach Billy'ego i smutno potrząsnęła głową. - Co za szkoda. Jaka straszna szkoda!

- Biedna, mięciutka norka! - powiedział łagodnie Cain. - No, nie patrz tak smutno. JoLynn to nie twój problem, tylko mój. Dlatego właśnie rzuciłem moją robotę nad Jukonem i wróciłem do Los Angeles.

- Ale co z Billym?...

- Za kilka miesięcy skończą się problemy Billy'ego z JoLynn. Dave znalazł sobie cudowną Francuzkę. Wraca razem z nią do Ameryki na Dzień Dziękczynienia. Wkrótce Billy będzie miał prawdziwy dom, pełen miłości. A na razie ja zrobię, co w mojej mocy.

Shelley poczuła w oczach piekące łzy, gdy usłyszała z ust Caina określenie „dom pełen miłości” - to był zawsze dla niej nieosiągalny szczyt marzeń.

- Ciesz się - odparła. ~ Inaczej wykradłabym Billy'ego i wyładowała-bym w kiciu za kidnaping.

- Wyciągnąłbym cię stamtąd, a potem zarzucił sobie na ramię - i powędrowalibyśmy w świat.

Te słowa były jak kubeł zimnej wody. Shelley wróciła do rzeczywistości.

- Dziękuję, nie skorzystam - odparła z goryczą. - Ze światem znamy się od dawna.

- Dotarłaś już wszędzie?

- Gdzie tylko bywają węże.

- I to nie w twoim guście?

- Węże są w porządku.

- A co nie jest?

- Brak domu.

Słowa zabrzmiały tym dramatyczniej, że Shelley wymówiła je szeptem.

- Przecież cały świat był twoim domem - przekonywał Cain. - Każdy z jego cudownych zakątków.

- Czyli żaden.

Ton Shelley wyraźnie mówił, że temat został wyczerpany. I kropka.

Cain zgrzytnął zębami. Zabrzmiało to podobnie jak szczęk złotego długopisu. Przez chwilę chciał zmusić Shelley do dyskusji o tym, co to jest prawdziwy dom, ale wystarczyło jedno spojrzenie, by pojął, że frontalny atak położyłby kres rozmowie. I randce.

Uniósł kieliszek i obracał go w palcach, aż zawirował złocisty płyn, a intensywny aromat uderzył w jego nozdrza.

- Czy twoi rodzice byli ze sobą szczęśliwi? - spytał.

- Dziwne pytanie.

Cain wzruszył ramionami.
- Byli czy nie byli?
- Bardzo się kochali. Inaczej ich związek dawno by się rozpadł.
- Z jakiego powodu?
- Ciągłe byliśmy w drodze. Mama tak się starała, żeby tam, gdzie się zatrzymywaliśmy, stworzyć prawdziwy dom... ale nigdzie nie zagraliśmy miejsca. Kiedy byłam już na tyle duża, by pojąć, że nigdy nie będziemy mieli domu, przyglądałam się staraniom mamy i zbierało mi się na płacz.

- A jej?

- Co jej? Chciało się płakać?

Shelley usiłowała sobie przypomnieć, czy mama płakała, wyjmując pudła i zabierając się znów do pakowania.

- Nie pamiętam - odparła w końcu. - Ale ja płakałam. Z początku.

- A co było potem?

- Zrozumiałam, że nieustannie wędrujemy z miejsca na miejsce, więc przestałam zapuszczać korzenie. A przynajmniej próbowałam... - Wzruszyła ramionami. - Długo trwało, zanim nauczyłam się mieszkać nie przywiązując się do swego otoczenia. Chyba nigdy nie udało mi się to w zupełności.

Cain sączył wino i rozważał, jak sformułować następne pytanie.

- Ile miałas lat, kiedy się usamodzielniasz?

- Osiemnaście - odparła.

- To niewiele.

- Być może. Wiedziałaś jednak, czego chcesz.

- Domu.

- Zrozumiałam, że jeśli chcesz go mieć, muszę go sama stworzyć.

- I udało ci się?

- Widziałeś go dzisiaj.

- Nie to miałem na myśli - odparł. - Jak wyglądał twój dom między osiemnastym a... Ileż ty masz lat?... dwudziestym trzecim rokiem twego życia?

- Mam dwadzieścia siedem lat. Bardzo stara panna.

Cain wzdrygnął się.

- Nigdy mi tego nie zapomnisz?

- Powiedziałaś szczerą prawdę. Niezbyt to było pochlebne, ale prawdziwe.

- Wolałabyś określenie „kobieta niezależna”?

- Za żadne skarby! Okropny epitet! Od razu widzę spoconą, muskularną chłopczycę z krzywymi zębami. Sto razy wolę być „starą panną”.

Cain uśmiechnął się. Chciał zadać Shelley mnóstwo pytań, zwłaszcza na temat mężczyzny, którego poślubiła. Zanim jednak znalazł właściwe słowa, kelner przyniósł nadziewane grzyby i ostrygi.

Przez jakiś czas przy ich stole słychać było tylko trzask lodu pod muszlami, z których wyjadali soczyste małże. Nie mogąc się zdecydować, który z kuszących kasków nabić na widelec, Shelley spojrzała na swego towarzysza.

- A jakie było twoje dzieciństwo? Spokojne? Niespokojne? Bez troskie?

Trudne?

- Takie i owakie.

- Cóż za wyczerpujące sformułowanie! Uprzedzam, że jeśli będziesz w ten sposób odpowiadał, udekoruję ci dom chromowanymi manekinami i plakatami heavy-metalowców!

- Nie ośmielisz się!

Shelley pokazała w uśmiechu wszystkie zęby.

- Widzę, że nie miałabyś oporów. - Na ustach Caina pojawił się uśmiech rezygnacji. - Starałem się po prostu odpowiadać jak najwięcej, żebyś nie musiała robić notatek.

Shelley dziobnęła widelcem ostrygę z takim impetem, że omal nie przebiła muszli. Jej notes był tarczą, która chroniła ją przed zbytnim zaangażowaniem. Cain jakimś cudem to wyczuł.

W milczeniu jadła ostrygi, klnąc w duchu przenikliwość Caina. Nawet rodzice nie rozumieli jej tak dobrze jak on! Nie mogli pojąć jej tęsknoty do stałego miejsca zamieszkania, ustabilizowanego trybu życia, ciągłych kontaktów z tymi samymi osobami.

- Postaram się powstrzymać od robienia notatek - oświadczyła chłodno, usiłując odgrodzić się od niego tonem głosu.

Cain zrozumiał jego wymowę i powstrzymał się od komentarzy. Zamiast tego zrobił coś, na co nie zdobywał się prawie nigdy: zaczął opowiadać o sobie. Tylko w ten sposób mógł dotrzeć do Shelley.

- Miałem rodzinny dom w Nowym Meksyku i uporządkowane życie; wszystko było niezmiennie niczym obroty planet.

Shelley wydała jakiś zduszony odgłos, zaskoczona zgodnością, z jaką biegły ich myśli.

- Miałem kolegów, z którymi chodziłem do tej samej szkoły i którzy wiedli życie całkiem podobne do mojego - ciągnął Cain. - Tak było do dwunastego roku życia.

Cain przerwał.

- Co się wtedy stało? - spytała Shelley.

- To co zwykle.

- Przeprowadziliście się?

- Moi rodzice się rozwiedli.

Piwne oczy Shelley pociemniały: ich źrenice rozszerzyły się. Wydała jakiś dźwięk miękki, pełen współczucia.

Cain uśmiechnął się niezbyt wesoło.

- To była prawdziwa ulga - wyjaśnił bez ogródek. - Mama i tata żarli się ze sobą jak pies z kotem. Bez przerw i bez wyjątków. Chociaż tak jesteś o tym przekonana, przebywanie w kręgu tych samych ludzi, pod tym samym dachem, i uczęszczanie do jednej i tej samej szkoły nie gwarantuje posiadania prawdziwego domu.

W milczeniu potrząsnęła głową.

- Kiedy dwoje ludzi się kocha, ich dom jest wszędzie tam, gdzie się znajdują - mówił dalej, wbijając w nią stalowo-szary wzrok - żeby nie wiem

jak często przenosili się z miejsca na miejsce. Jeżeli się nie kochają, to nie ma mowy o domu, choćby mieszkali w tym samym budynku do końca świata. Nie wierzysz mi, ale taka jest prawda.

Shelley starannie wybrała jeden z nadziewanych grzybków, unikając wzroku Caina.

- Zrozumiałem, co to prawdziwy dom, dopiero wówczas, gdy mama wyszła po raz drugi za mąż - ciągnął dalej. - Dzięki Sethowi (to mój ojczym) przekonałem się, ile może zmienić w życiu kobiety odpowiedni mężczyzna. Mama śmiała się teraz, zamiast płakać, okazywała miłość, zamiast zamykać się w sobie i uśmiechała się nawet wtedy, gdy myślała, że jest sama w pokoju.

Ręka z widelcem zatrzymała się w połowie drogi do ust.

- Potem od Seta dowiedziałem się też - kontynuował Cain - że i w życiu mężczyzny właściwa kobieta może wszystko zmienić na lepsze. Moja matka i ojczym budzili w sobie nawzajem najlepsze uczucia, a nie szkodliwe emocje.

Mimo woli Shelley spojrzała na Caina zdumiona pewnością bijącą z jego słów. Wpatrywał się w nią, a płomyki świec rozgrzewały chłodną szarość jego oczu. Namoment zatonała w ich czystej głębi, głucha i ślepa na wszystko poza pragnieniem i tęsknotą emanującymi z człowieka, który siedział tak blisko. Potem usłyszała znów jego niski, gardłowy głos i to, co mówił, przyciągnęło całą jej uwagę.

- Seth był inżynierem. Jeździł po całym świecie i realizował swoje projekty. Anas zabierał ze sobą.

Shelley wstrzymała oddech.

- Dave jest synem Seta z poprzedniego małżeństwa, o cztery lata młodszym ode mnie. Mama i Seth postarali się o dwoje następnych dzieci, córki. Śliczne, bystre i wyszczekane jak diabli. Teraz obie są już zamężne. Nie mogą się doczekać, kiedy zjawią się na świecie siostrzenice, pewnie tak samo przemądrzałe jak ich mamusie.

Takiego uśmiechu Shelley nie zauważyła dotąd u Caina: był pełen rozbawienia i pobłażliwej czułości. Podobnie można się uśmiechnąć na widok figlujących kociać. Ten uśmiech dziwnie na nią podziałał: uczucie ciepła i radości przeniknęło wszystkie jej nerwy.

Potem uśmiech Caina zgasł i pozostały tylko przykre wspomnienia. Usta zacisnęły się w ponurą linię.

- Szkoda, że Dave nie jest nawet w połowie tak bystry jak nasze dziewczynki - stwierdził. - Cóż, JoLynn była najbardziej seksowną laską, jaką kiedykolwiek widział. Uparł się, że musijamieć. No i miał. Arazem z nią cholernie dużo problemów - dodał ciszej.

Shelley przyglądała się, jak mocne białe zęby zaciskają się na grzybku. Widać było, że Cain chętnie zmiądzzyłby tak JoLynn. Był zapewne bardzo opiekuńczy w stosunku do tych, których kochał. A niewątpliwie kochał swego przyrodniego brata i jego synka.

Cain machnął widelcem i odsunął od siebie wszelkie myśli o JoLynn. Skoncentrował się na Shelley. Chciał przekonać się, jaki efekt wywarły na niej jego słowa.

- Mój ojczym był obieżyświatem, jak to określasz.

Shelley wzdrygnęła się.

- Od tego obieżyświata - powiedział cicho Cain - dowiedziałem się więcej o miłości, rodzinie i domu, niż zdołałem się nauczyć przez dwanaście lat spędzonych pod jednym dachem wśród nieszczęśliwych ludzi. Czy się właśnie zjawiał, czy odjeżdżał, zostawał na dłużej, czy był w ciągłych rozjazdach, Seth dobrze wiedział, co to miłość. A bez miłości nie ma prawdziwego domu.

- Lepiej nikomu tego nie powtarzaj - powiedziała obojętnie Shelley, udając, że je grzybki. - Zostałabym bez pracy.

- Napewno nie!

Cain powiedział to z takim przekonaniem, że Shelley musiała na niego spojrzeć. Jego szare jak dym oczy wpatrywały się w nią niezwykle intensywnie.

- To, co robisz, jest wyrazem twojej miłości i zrozumienia dla innych - powiedział. - Wiesz, jak ważne jest dla twoich klientów, by ich otoczenie stanowiło odbicie ich indywidualności. Gdy kończysz pracę, powstaje dom, który naprawdę jest częścią jego właścicieli.

Shelley bezwiednie skinęła głową.

- Nawet w przypadku żałośnie głupiej JoLynn - stwierdził szorstko Cain. - Pozostawisz jej dom równie bezosobowy, jak go zastałaś, bo wiesz, że tylko w takim będzie się dobrze czuła. Dasz jej to, co jest w stanie zaakceptować, i najwyżej będzie ci żal, że nie możesz tej płyciutkiej duszyczki obdarować czymś więcej.

Wielkimi oczami wpatrywała się w człowieka, który jakimś cudem rozumiał ją lepiej niż ona sama siebie!

Minęły przecież lata, zanim uświadomiła sobie, czemu wybrała taką właśnie pracę. Znajomość z Cainem trwała niecały dzień - a poznała ją już do głębi. Gdyby nie przekonała się, jak bardzo jest delikatny, jego zdolność poznawania ludzi byłaby przerażająca.

Nawet i teraz była wstrząśnięta.

- Jesteś niesamowicie spostrzegawczy - odezwała się wreszcie. - Z pewnością bardzo ci to pomaga w interesach.

Oczy Caina zwięziły się na sekundę; usłyszał w jej głosie nutkę strachu.

- Nieraz udało mi się ocalić własny tyłek dzięki temu, że wyczułem w kimś fałsz albo porywczosć -- przyznał. - Ale moja spostrzegawczość często mi przeszkadzała, kiedy miałem ochotę na miły relaks między jedną harówką a drugą. Czasem lepiej nie wiedzieć za wiele o przygodnych partnerach.

- Święte słowa!

Choć Shelley powiedziała to bardzo cicho, widać było, że zgadza się z nim w całej pełni.

Cain uśmiechnął się.

- Miałaś podobne problemy? - zagadnął.

- Nigdy nie zależało mi na przygodnych partnerach, ani do łóżka, ani do interesów. Masz jednak całkowitą słusność, Ponieważ potrafię dostrzec, co kryje się pod powierzchnią, musiałam zrezygnować z awansów ze strony wielu skądinąd atrakcyjnych mężczyzn.

- Na przykład Briana Harrisa?

- Brian jest wykształcony, dobrze wychowany, bogaty, bystry i seksowny jak diabli.

- No więc?

- Po prostu nie jest w moim typie. Nie wystarczy mu do szczęścia jedna kobieta. Często spotyka się takich mężczyzn.

- Wieczne małolaty.

- Co takiego?

- To cecha małolatów. Dorośli mężczyźni wiedzą zbyt dużo o sobie samych, o życiu i o kobietach, by pozwolić, żeby rządziły nimi hormony.

Jedna z gładkich, ciemnych brwi Shelley uniosła się z powątpiewaniem.

- Dość nietypowy pogląd.

Cain wzruszył ramionami.

- Podzielają go wszyscy dorośli mężczyźni, jakich znam.

Shelley otwierała już usta, żeby odpowiedzieć, gdy zjawił się kelner.

Przez pewien czas rozmowa obracała się wokół jedzenia.

Kiedy Cain ni stąd ni zowąd dał Shelley krewetkę do spróbowania, chwyciła ją wargami z jego widelca, zanim zdała sobie sprawę z intymności tego gestu. Przypomniało jej się nagle dzieciństwo, kiedy rodzice ze śmiechem częstowali się nawzajem kęskami ze swoich talerzy. Nawet w obozie na pustyni, gdy wszyscy jedli to samo: daktyle, figi i chleb, podsuwali jedno drugiemu kawałeczki swoich porcji.

- Gdzie przebywasz myślami? - spytał cicho.

- W Tinrhert Hamada, we wschodniej części Sahary.

- W Algierii?

- Tak - uśmiechnęła się lekko. - Wolę nazwy geograficzne od terminów geopolitycznych. Pewnie odziedziczyłam to po tacie-naukowcu.

- A dlaczego przypomniało ci się nagle Morze Piasku?

- Przez jedzenie z twojego widelca. Mama i tata bez przerwy tak się zachowywali.

- Podsuwali sobie nawzajem różne kąski?

Shelley skinęła głową. Oczywiście miała nieprzytomne, wpatrzone w przeszłość. Widziała wyraźnie niewiarygodnie rozległą przestrzeń, zwaną Morzem Piasku, na której mogły przetrwać tylko organizmy najsilniejsze i najprzemysłniejsze. Nadal od czasu do czasu nawiedzało Shelley wspomnienie tej surowej, wspaniałej krainy.

Morze piasku sięgające złotymi falami aż po linię horyzontu, poruszone wiatrem diuny, na których aksamitne cienie kładły się jak tygrysie pręgi. I milczenie - milczenie bezkresne jak sama pustynia. Nieziemskie cisza, któ-

ra przerywał jedynie wiatr, osypując z szelestem drobinki piasku z powierzchni diun...

Zapadło długie milczenie. Cain przyglądał się Shelley i obserwował, jak ulotne obłoki i cienie wspomnień przelatują po jej wyrazistej twarzy. Czuł kryjącą się w głębi jej istoty tęsknotę za dzikim pięknem ziemi. Dobrze znał to uczucie. Zawiodło go ono do niejednego ustronnego, niebezpiecznego, cudownie pięknego zakątka,

Shelley zamrugała oczami i powróciła do rzeczywistości.

- Podobała ci się Sahara? - spytał cicho.

- Tak. Jest w niej piękno, które...

Urwała i wyciągnęła rękę w bezradnym geście. Nie potrafiła słowami wyrazić uczuć, jakie budziła w niej Sahara.

- Tak - odezwał się szeptem Cain. - Krajobrazy duszy.

Shelley zaskoczona raz jeszcze łątwością, z jaką Cain odgadywał jej uczucia, wpatrywała się w niego bez słowa. Potem zorientowała się, że końce jej palców spoczywają w jego dłoni. Zatopiona we wspomnieniach bezwiednie wyciągnęła ku niemu rękę, pragnąc instynktownie znaleźć się w kręgu jego serdeczności, jego życia.

Krajobrazy duszy.

Szybko cofnęła rękę, zatrwożona głębią tego, co ich łączyło.

To przelotny ptak. Chętnie skorzysta z tego, co mogą mu zaofiarować.

Potem odfrunie.

Nie zamierza mnie skrzywdzić, ale zniszczy wszystko, co z takim trudem zbudowałam. Nie da się utrzymać równocześnie włości i domu.

A dom był wszystkim, co Shelley posiadała.

Opanowała się, ujęła ponownie widelec i zmieniła temat rozmowy.

- Ile miałeś lat, kiedy wyruszyłeś na pierwszą samodzielną wyprawę? - zadała neutralne pytanie.

Cain wpatrywał się w swoją rękę, której dotknęła Shelley. Powoli zaciśnął dłoń, jakby chciał zatrzymać ciepło ich bliskości. Kiedy się jednak odezwał, jego głos był równie rzeczowy i obojętny jak głos Shelley, mimo że głód przeorywał mu duszę ostrymi pazurami.

- Ruszyłem w świat zaraz po ukończeniu college'u - odparł. - Pracowałem dla kompanii dokonującej wyceny złóż mineralnych, póki się nie ożeniłem. Mojej żony nie pociągały podróże, więc zostałem w domu.

- I wcale ci to nie odpowiadało?

- Było to bardzo kształtujące doświadczenie.

- Czyżby?

- Ajakże. Dowiedziałem się, że nieobecność męża wcale nie zmusza żony do wiarołomstwa, a jego bliskość nie stanowi gwarancji jej wierności małżeńskiej.

Shelley nie wiedziała, co powiedzieć.

- Nie były to całkiem zmarnowane lata - wyjaśnił. - Założyłem wtedy własne przedsiębiorstwo.

Shelley otworzyła usta, by spytać go o to przedsięwzięcie, i zupełnie nieoczekiwanie zapytała o coś całkiem innego.

- Kochałeś ją?

- Byłem zbyt młody, by dostrzegać różnicę między pożądanym a miłością. A ty go kochałaś?

- Kogo?

- Mężczyznę, z powodu którego nienawidzisz włóczykiów.

Shelley powoli, bardzo dokładnie żuła kawałek łososia. Żałowała, że poruszyła temat miłości, małżeństwa i wędrujących po świecie mężczyzn. Musiała jednak odpowiedzieć na pytanie Caina.

On przecież odpowiedział na jej pytanie.

- Wtedy sądziłam, że go kocham.

- A teraz?

- Teraz zdaję sobie sprawę z tego, że trzeba dwojga ludzi, by powstał rodzinny dom. Jemu się zdawało, że będę szczęśliwa bawiąc się w panią domu, gotując obiady i strojąc dzieci jak lalki.

- Mieliście dzieci?

- Nie. Z początku mówiłam sobie, że chcę najpierw ukończyć studia...

- Nie ufałaś mu - powiedział bez ogródek Cain.

- Szybko wyciągasz wnioski. Całkiem słuszne zresztą.

- Wobec tego nie kochałaś go. Nie może być miłości bez zaufania. Ile miałaś wtedy lat?

- Dwadzieścia.

- A on?

- Dwadzieścia dziewięć. Był reprezentantem jednej z wielkich firm.

Nie dodała - bo rozumiało się to samo przez się - że jej eks-mąż ciągle był w rozjazdach.

Cain wypił łyk wina, odstawił kieliszek i zabrał się do jedzenia.

Kiedy sądziła, że przesłuchanie już skończone, Cain zadał od niechcienia następne pytanie.

- Od jak dawna byłaś sama, bez rodziców, gdy wyszłaś za mąż?

- Od dwóch lat.

- Czułaś się bardzo samotna?

- Jak diabli - odparła ze ściśniętym gardłem.

- Mieszkałaś w wynajętych pokojach i przyglądałaś się innym, marząc o własnym domu?

Widelce Shelley upadł z donośnym brzękiem na porcelanowy talerz.

- Po co zadajesz pytania, skoro znasz odpowiedź? - spytała szorstko.

Długie, silne palce pogładziły leciutko jej zaciśniętą pięść.

- Mnie też bardzo dokuczała samotność, zanim się ożeniłem - powiedział Cain. - Tak samo jak ty chciałem mieć własny dom. I popełniłem tę samą co ty omyłkę. To nie było uczucie, na którym można budować wspólne życie.

Potem równie cicho zapytał: - Dasz mi kawałek łososia?

Shelley odruchowo podsunęła mu kęs ryby, który właśnie nabijała na widelec. Cain rozchylił wargi, a potem gładko ściągnął nimi rybę z zębów widelca. Shelley poczuła lekki, drażniący zmysły opór, gdy wyciągała mu widelec z ust. Srebro lśniło, wylizane do czysta, a oczy Caina wpatrywały się w nią.

- Twój tata miał rację - powiedział gardłowym głosem.

- Pod jakim względem?

- Z damskiego widelca lepiej smakuje.

- Cain!...

- To była tylko rzeczowa obserwacja. Widzisz teraz, że twój tata i ja mamy podobne upodobania. Może to zapiszesz w swoim notesie?

Nagle Shelley poczuła się osaczona, przerażona i wściekła.

- Jeszcze nie obiecałam, że na pewno zajmę się twoim domem. Mam innej roboty po uszy!

Żrenice Caina rozszerzyły się tak, że jego oczy ściemniały. Więcej w nich było stali niż srebra.

- Musisz zająć się moim domem - oświadczył stanowczo.

- Czemuż to?

- Bo ja potrzebuję domu, a ty pragniesz go dla mnie stworzyć.

Nie była w stanie oderwać wzroku od jego ciągle zmieniających barwę oczu: to przezroczystych jak woda, to szarych jak dym, to srebrnych, to prawie czarnych. Z oporami uświadomiła sobie, jak bardzo pragnie zająć się urządzeniem jego domu. Cain był zbyt skomplikowaną, zbyt nietypową indywidualnością, by można go zbyć kilkoma tuzinkowymi rzeźbami i olejnym malowidłem w ramie. Zaspokojenie wymagań kogoś takiego stanowiło podniecające profesjonalne wyzwanie.

Jemu chodzi o romans, a nie o dom, mówiła sobie w duchu, ale nie będzie pierwszym klientem, któremu się marzyło, że razem z łóżkiem wynajmie i mnie. Zastawiali przecież na mnie sidła zawodowi podrywacze w rodzaju Briana i mojego byłego - tacy, co są przekonani, że tylko seks włada światem.

Mówiąc słowami Caina; nie były to lata zupełnie stracone, tylko kształcące doświadczenia.

Shelley wyniosła z nich przekonanie, że woli położyć się do łóżka z katalogiem Sotheby'ego niż ze spoconym facetem.

Nagle doszła do wniosku, że gotowa jest borykać się z Cainem, by utrzymać go w bezpiecznej odległości, jeśli musi zapłacić tę cenę za najambitniejsze zadanie w całej swej karierze zawodowej: jak urządzić satysfakcjonujący pod każdym względem - estetycznym i emocjonalnym - dom dla człowieka, którego obchodzi naprawdę tylko to, co kryje się za horyzontem.

- Podejmuję się - oświadczyła.

W uśmiechu Caina było tyle żywiołowej radości, że Shelley pożałowała swej decyzji. Omal jej nie odwołała - powstrzymała ją jednak duma i zdrowy rozsądek.

Dałam już słowo, nie złamię go. A poza tym jestem całkiem bezpieczna: Cain to włóczykij z krwi i kości. Nie zabawi tu aż tak długo, by zdążyć złamać mi serce.

O dziwo, ta refleksja nie bardzo ją pocieszyła.

8

astępnego dnia Shelley obejrzała pole bitwy. Cain mieszkał I w obszernej mansardzie na dachu wieżowca Century City- Widok z jej okien był ograniczony tylko linią horyzontu - i od czasu do czasu miejskim smogiem.

Tego dnia wiał wiatr od Santa Ana, wnosząc czyste powietrze pustyni do mrocznej niecki, w której leżało Los Angeles. Z okien mieszkania Caina miasto wyglądało jak lekko sfałdowany zielono-biały gobelin, rzucony pomiędzy jasnobłękitny, lśniący przestwór oceanu a cynamonowy masyw gór San Gabriel.

Widok z okien stanowił niestety jedyny urok mansardy. Jej wnętrze było urządzone luksusowo, ale bez cienia indywidualności. Było niewątpliwie dziełem dekoratora, który wykonał to zadanie fachowo, ale bez zaangażowania. W gamie kolorystycznej salonu dominowała martwa biel, grafitowa czern i dziwna, złamana czerwień.

- Sam wybierałeś te odcienie? - spytała Shelley.
- Nie. Zapowiedziałem tylko dekoratorowi, że jeśli zobaczą jakieś pastelowe kolory, to dostanie o połowę mniej forsy.
- Przecież u mnie w domu nie raziły cię pastelowe barwy.
- U ciebie w ogóle ich nie było!
- Kremowy, ugier złoty, piaskowy, beż, złamana biel... - Shelley szybko wymieniała odcienie. - Znajdziesz je u mnie wszędzie, to tu, to tam.
- To nie są pastelowe kolory.

Shelley odwróciła się nagłym ruchem. Cain patrzył na nią z wyrazem anielskiej cierpliwości.

- Kiedy używasz określenia „pastelowy”, co masz na myśli?
- Słodki różowy, niebiesciutki, lila - całe to świństwo.
- Landrynki.
- Dokładnie.

Shelley uśmiechnęła się.

- Masz rację. Takie kolory zupełnie do ciebie nie pasują.
- Serdeczne dzięki.
- A to pasuje? - szerokim ruchem ręki wskazała salon.
- Jak ci się wydaje?

- Wydaje mi się, że gdybyś pobył tu kiedyś dłużej niż kilka tygodni, kazałbyś to wszystko wyrzucić i zacząć od nowa.

Cain uśmiechnął się krzywo.

- Może znasz dobrego dekoratora wnętrz? Działa mi to na nerwy, zanim się jeszcze przyzwyczaję do zmiany czasu.

Shelley ze zmarszczonym czołem wyliczała w duchu wszystkich znanych jej dekoratorów wnętrz. Każdy z nich był doskonały w swoim rodzaju, ale żaden nie pasował jakoś do Caina. Westchnęła i postanowiła złamać swoją żelazną zasadę: „Nigdy więcej nie będę zwracała sobie głowy dobieraniem farb i próbkami dywanów!”

- Mogę sama się tym zająć - powiedziała. - Jeśli oczywiście powierzysz mi to zadanie. Nie przeszłam żadnego oficjalnego przeszkolenia.

- Powierzyłbym ci wszystko, co posiadam.

To spokojne oświadczenie zaskoczyło ją. Zamiast rozglądać się po wnętrzu, zwróciła wzrok na Caina. Jak zwykle, pociągnął ją przede wszystkim zmienny kolor jego szarych oczu. Na tle matowej czerni, bieli i czerwieni pokoju, jego oczy wydawały się przesycone światłem - jak mgła, spoza której zaraz wyjrzy słońce.

Jest, cholera, stanowczo zbyt pociągający, uświadomiła sobie po raz nie wiedzieć który.

Cain uśmiechnął się łagodnie, jakby odczuł jej nagły niepokój i pojął jego przyczynę.

- Chcesz obejrzeć resztę? - spytał.

Shelley przyjęła z wdzięcznością zmianę tematu. - Prowadź!

Idąc za nim przez wszystkie pokoje mansardy rozważała w duchu kilka różnych rozwiązań kolorystycznych. Gdy znaleźli się znowu w salonie, Shelley dokonała już wyboru: tło o stonowanych barwach, odznaczające się różnorodnością tekstury. Będzie stanowiło naturalną oprawę dzieł sztuki, które umieści w tych wnętrzach, nadając im wyraźny, indywidualny charakter.

- Marszczysz czoło - zauważył Cain. - Czyżby sprawy stały aż tak źle?

- Myślałam właśnie o tych dziwnych turkusowych kafelkach w łazience. Jacuzzi jest wspaniałe, a wpuszczona w podłogę wanna tak ogromna, że można w niej pływać! Nie chciałabym narażać cię na niewygodę i wydatki związane z przebudową tylko dlatego, że kolor mi nie odpowiada...

- Rób co chcesz. *Ten* odcień turkusu mnie także nie przypadł specjalnie do gustu. Proszę cię tylko o jedno: dopilnuj, żeby wszystkie prace zostały wykonane pod moją nieobecność.

Shelley odwróciła głowę, zanim Cain zdążył dostrzec, że kąciki jej ust nagle opadły.

- Kiedy wyjeżdżasz? - spytała spokojnie.

- Sam nie wiem. Zostawiłem nad Jukonem nienajgorsze piekło.

- Co się tam działo?

- Dwóch moich inżynierów górników kłóciło się zęb za zęb o wszystko: interpretację zdjęć satelitarnych, wskazania map i wyniki próbek rudy. Obaj zdrowo popijają, w grę wchodzi także kobieta - dodał przeczesując palcami gęstą czuprynę.

- Też alkoholiczka?

- Nie, a lew gruncie rzeczy to o nią się pozarli. Choć, jak się lepiej zastanowić, Lulu też lubi sobie popić.

- Brzmi to rzeczywiście dość... interesująco.

- Można to i tak określić.

Cain westchnął i znów zmierzwił palcami włosy.

- W porównaniu z Lulu, JoLynn to aniołek - przyznał. - No i ktoś musiał się zaopiekować Billym. W przeszłości Dave zawsze chronił go przed humorami JoLynn. Ale teraz Dave jest we Francji, więc postanowiłem tu przyjechać. Zostanę tak długo, jak tylko będę mógł.

- A potem? - spytała Shelley zbliżając się do okna wychodzącego na zachód.

- Postaram się wrócić jak najszybciej.

Shelley wyglądała przez okno, nie dostrzegając wcale wspaniałego widoku.

- Zobaczyłaś już wszystko co trzeba? - spytał po chwili.

- Tak.

Wyraźnie wyczuł, że Shelley ma na myśli nie widok z okna czy rozkład mieszkania, ale styl jego życia.

- Shelley...

- Zadzwoń do mnie przed wyjazdem - przerwała mu obojętnym, rzeczowym tonem. - Jeśli zostawisz mi klucze, dopilnuję pod twoją nieobecność prac budowlanych,

- A jeśli nie wyjadę? Będzie mi wolno mimo to zadzwonić do ciebie? - spytał z przesadną uprzejmością.

- Oczywiście.

- Jak to miło z twojej strony.

- Chodzi o interesy, a nie o zalety towarzyskie.

Shelley wyciągnęła z torby notatnik i zaczęła w nim pisać.

- Będziesz musiał zaaprobować gamę kolorystyczną! próbki dywanów - powiedziała. - Pozostaje jeszcze problem umeblowania.

Wykonał dłonią gniewny gest, jakby coś przecinał.

- Zgadzasz się z góry na wszystko. Byle zostało dość wolnej przestrzeni, żebym mógł się swobodnie poruszać.

Shelley podniosła wzrok znad notatnika. Miała minę solidnego fachowca wysłuchującego życzeń klienta. Oczy pod osłoną ciemnych rzęs były prawie czarne.

- Zgadzasz się z góry na wszystko? - powtórzyła. Potem wruszyła dyskretnie ramionami. - Jak sobie życzysz. Ostatecznie, to twój dom.

- To mieszkanie, które zajmuję. Żeby powstał dom, trzeba miłości, a nie farb i próbek dywanów.

Cienki długopis błysnął złotem, gdy Shelley wykonała ręką szeroki, kołysty gest.

- Żeby mieć dom, trzeba w nim mieszkać - stwierdziła. - Tutaj nikt nie mieszka.

W ciszy, która zaległa po jej słowach, szcęk zamykanego długopisu rozległ się jak wystrzał. Shelley schowała pióro i notes do torby i podeszła do drzwi.

- Zadzwoń, kiedy wybiorę próbki, żeby je zademonstrować.

- Nie tak szybko, panno Wilde!

Shelley zawahała się, a potem odwróciła. Jedną ciemnobrązową brew uniosła niczym znak zapytania.

- O co chodzi, panie Remington?

- Przejdę przez to wszystko razem z tobą, krok po kroku. Odcienie farb, próbki dywanów, rodzaje tapet, kafelki, cały ten kram.

- Myślałam, że masz do mnie zaufanie.

- Ależ mam - odparł podchodząc do niej swym bezszelestnym krokiem. - Jestem przekonany, że poinformujesz mnie dokładnie, czego brakuje w moim mieszkaniu. Zaczniemy od razu.

Przez sekundę była pewna, że obejmie ją i udowodni raz jeszcze, jaki zamęt może wywołać jeden jego pocałunek. Nie zrobił tego. Uśmiechnął się tylko i podał jej ramię.

Poczuła ogromne rozczarowanie i bardzo ją to zaniepokoiło.

- Idziemy? - powiedział półgłosem.

Shelley pomyślała o niezliczonych zestawieniach różnych odcieni farb, o próbkach obić i dywanów. Uśmiechając się nieco sadystycznie włożyła rękę pod jego ramię.

- Tak cię to znudzi - zapowiedziała otwarcie - że na pewno zaśniesz.

- Nie wydaje mi się, żeby zaśnięcie przy tobie było nudne.

Na twarzy Shelley pojawił się leciutki rumieniec. Czuła, że musi jakoś ostudzić ten zmysłowy żar, który od niego aż buchał i wywoływał u niej takie idiotyczne reakcje!

- Wierz mi, że to nic ciekawego - odparła obojętnym tonem. - Możesz spytać mego eks-męża.

Ramię Caina napięło się, było teraz twarde jak drewno.

- Czy próbujesz mnie w ten sposób zniechęcić? - spytał.

- Uważaj to za przyjacielskie ostrzeżenie. Zajmę się twoim domem, ale jeśli liczysz na jakieś niezwykle atrakcje w łóżku, to zwróciłeś się do niewłaściwej kobiety. Czy to dla ciebie wystarczająco jasne, czy też mam to wyryć na tabliczce i powiesić na korytarzu przy drzwiach frontowych?

- A twój mąż wydawał ci się niezwykle atrakcyjny w łóżku?

Shelley wruszyła ramionami i nic nie odpowiedziała.

- Już nie pamiętasz? - podsunął.

Nagle Shelley przypomniała to sobie aż za dobrze, zbyt plastycznie. Ból i poniżenie odezwały się znów z zadziwiającą gwałtownością.

- Moje wspomnienia z okresu małżeństwa to nie twój interes.

- Krótko mówiąc, nudziło cię to jak diabli.

Shelley zamknęła oczy i próbowała określić innymi słowami swoją reakcję na nieczęste próby miłosnych zbliżeń ze strony byłego męża. Od samego początku ich związku jego złośliwe docinki na temat jej małego biustu i braku innych podniecających uroków sprawiły, że była spięta i prawie niezdolna do namiętnych uniesień. Później specjalista w dziedzinie problemów

mażeńskich tłumaczył Shelley, że jej były mąż poniżał ją, gdyż tylko w ten sposób bronił się przed lękiem, że to on nie sprawdza się jako mężczyzna.

Możliwe, myślała z rozpaczą. Wszystko jest możliwe. Także i to, że on miał rację, Pewnie nie jestem wiele warta jako kobieta.

Po rozwodzie nie kwapiła się, by sprawdzić w praktyce, kto miał rację: seksuolog czyjej mąż. Stroniła od mężczyzn i łączyły ją z nimi tylko kontakty zawodowe.

Dopóki nie zjawił się Cain i nie wzbudził w niej pożądania. Ale i ono napawało ją lękiem.

A jeśli mój mąż miał słuszność? Jeśli oddam się Cainowi i rozczaruję go? Albo mną wzgardzi?...

Tak jak jej były mąż.

- Tak cię znudziłem, że zasnąłaś, Shelley?

Otworzyła szeroko oczy.

Stał tuż obok niej.

Żar płynący z jego ciała był jak dręcząca pieszczota. Spoglądała na nią spod przymkniętych powiek, czujnym wzrokiem, w którym srebrzyły się skrywane emocje. Tryskająca z Caina męska siła wywoływała u Shelley gwałtowne pragnienie czegoś, czego nie potrafiłaby nazwać.

- Choćbyś chciał, nie potrafiłbyś znudzić kobiety - odparła gardłowym, pełnym smutku głosem.

- Powiedz to mojej eks-żonie.

Zmierzyła całą jego potężną postać, od stóp aż do bujnej kasztanowej czupryny.

- Twoja żona nie mogła się przynajmniej skarżyć na braki w podstawowym wyposażeniu partnera. Chyba że była z niej ślepa neurotyczka.

Cain spojrział na nią zdumiony, potem się nad czymś zamyślił.

- A twój mąż?

- Czy był neurotykiem? Jeśli chodzi o mężczyzn, używa się innego określenia. Podobno „potrzebował różnorodności”.

- Ślepy też był?

Shelley nie traciła czasu na wymijające odpowiedzi ani dopytywanie się, co Cain chciał przez to powiedzieć. Była absolutnie pewna, co miał na myśli.

Wiedziała już, że powie mu całą prawdę. Mąż nauczył ją, że nic nie gasi tak skutecznie żaru namiętności, jak prawda rzucona komuś prosto w twarz.

- Uskarżał się na braki w moim podstawowym wyposażeniu. - Z najwyższym wysiłkiem zdobyła się na obojętne wzruszenie ramion. - Nie bez racji. Nie nadaję się na rozkładówkę do „Playboya” czy innego piśmidła w tym rodzaju.

- Tylko to go podniecało? Wielkie cycki?

Obcesowość tego pytania sprawiła, że Shelley wzdrygnęła się. Wypowiedziana na głos prawda wydała się jeszcze bardziej brutalna, jeszcze bardziej poniżająca niż jej wspomnienia.

Zmroziła ją jak kubeł lodowatej wody.

- Tak - odparła,

- A on sprawdzał się jako mężczyzna?

Shelley nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Szorstkie stwardniałe palce przesunęły się po jej policzku. Zrobiła jakiś bezradny gest, żałując, że chciała użyć prawdy jako broni w walce z jego zmysłowością.

- Czy on się sprawdzał? - powtórzył Cain cicho.

- Nie w kontaktach ze mną. - Z twarzy Shelley odpłynęła cała krew. Była teraz taka, jak jej wspomnienia: zimna, trupio blada, martwa. - Mówiono mi jednak, że jest stałym klientem na targu żywego mięsa.

Uśmiech Caina był niemal okrutny.

- Ciekawe, czy spotkali się kiedyś z moją żoną? Myślę, że tak. Wydają się po prostu stworzeni dla siebie. Mam wrażenie, że los niedbale tasuje karty: coraz to kogoś uszczęśliwia nieodpowiednim partnerem w nieodpowiedniej chwili. Oboje chyba rzuciliśmy się w małżeńską przygodę całkiem bezbronni, prawda?

- I przerażająco głupi - dodała gorzko, wspominając własne naiwne marzenia.

Przez chwilę panowało milczenie. Potem Cain wybuchnął śmiechem. Przygarnął Shelley do piersi i kołysał się razem z nią, nie przestając się śmiać.

Nie potrafiła oprzeć się ani serdecznemu, opiekuńczemu uściskowi, ani głębokiemu śmiechowi Caina. Oba osaczały ją, przenikały przez bariery ochronne, które wzniosła przez wszystkie samotne lata. Śmiech, czułość i żar bijący z jego ciała docierały do głębi jej istoty, do kobiecości pogrzebanej pod górami wstydu, rozczarowania i strachu. Przytuliła się do Caina i śmiała do łez.

Potem już tylko płakała w jego objęciach.

- Nawet twoje łzy są słodkie - szepnął.

Z kocią zręcznością wargami i koniuszkiem języka zlizywał srebrne kropelki z jej policzków.

- Och, Cain!... Co ja mam z tobą zrobić?... - spytała między jednym a drugim westchnieniem, zupełnie bezbronna wobec człowieka, który kołysał ją w ramionach i wydawał jej się teraz najbliższy w świecie.

- Miałbym kilka propozycji, ale pewnie by cię zaszokowały.

Spojrzał na nią ze specyficznym męskim uśmiechem, który sprawił, że znów miała ochotę rozpłakać się. Roześmiała się jednak - śmiech jej był cichy i przerywany, jak przedtem płacz.

- Cain, Cain... - szeptała, obejmując go mocno, podczas gdy on ją kołysał. - Tylko cię rozczaruję.

A potem rozczaruję się sama, szepnęła w duchu. Mój włóczykiju, zupełnie do siebie nie pasujemy!

- Twoje pocałunki były jedyną rzeczą, która nie rozczarowała mnie od wielu lat - zapewnił ją.

Leciutko, powoli przesunął wargami po ustach Shelley. Językiem zlizął z nich wilgotny ślad łez.

- Jeśli doprowadzę cię do szału, pokażesz mi język? - spytał z wyraźną nadzieją.

Łzy przestały wreszcie płynąć, a Shelley roześmiała się cicho. Otarła się policzkiem o sprężyste mięśnie jego piersi.

- Łotr spod ciemnej gwiazdy! - powiedziała. - Ale wyjątkowo delikatny i inteligentny łotrzyk!

- Nikt mi dotąd nie wymyślał od „delikatnych”. Całkiem mi się to podoba,

Wargi Caina przesuwały się miękko po ustach Shelley, po wgłębieniach pod jej kośćmi policzkowymi, po lśniącej czerni jej rzęs, ciągle jeszcze wilgotnych od łez.

- Ubóstwiam twój smak - szepnął.

Jego ręce powędrowały niżej i objęły ją tak, że stykali się biodrami. Nie mogło być żadnej wątpliwości co do intencji Caina ani stopnia jego pobudzenia.

- Marzę o tym, żeby wydobyć cię z tych fatałaszków i poczuć smak całego twego ciała - powiedział. - Nigdy nie pragnąłem żadnej kobiety tak, jak ciebie.

Spojrzał w jej szeroko otwarte, zdumione piwne oczy, które patrzyły nań z niepokojem, ale i rosnącym pożądaniem.

- Wiem - powiedział otwarcie. - Uważasz, że na to jeszcze za wcześnie. Chcę jednak, byś wiedziała, jak na mnie działasz. Chcę, żebyś nie miała żadnej wątpliwości, jak bardzo jestem ciebie spragniony. Podniecasz mnie bardziej niż jakakolwiek inna kobieta. Zapomnij o tych wszystkich łgarstwach, których ci naopowiadał twój mąż. To już przeszłość. A teraźniejszość należy do nas. To wcale nie kłamstwo.

Pochylił ku niej głowę. Powolna, nieustępliwa pieszczota jego języka zawiądywała ustami Shelley. Tym samym leniwym rytmem kołysały się ich biodra.

Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, Shelley odwzajemniła pocałunek - z wahaniem, nieśmiało. Poczowała lekki dreszcz, który przebiegł przez ciało Caina, kiedy jej język dotknął jego języka. Świadomość, że aż tak na niego działa, uderzyła Shelley do głowy jak mocny trunek. Jej ręce uniosły się ku szyi Caina. Wspierała się na palce, pragnąc instynktownie zaspokoić jego głód miękkością swego ciała.

Cain dostrzegł zachodzącą w niej zmianę, wyczuł obietnicę kobiecej pieszczoty ust i ciała. Z gardłowym jękiem sięgnął dłonią ku jej piersi.

Shelley natychmiast zeszywniała.

- Nie! - powiedziała szorstko usiłując się wyrwać.

- Nie zaciągnę cię przemocą do sypialni - uspokoił ją, powoli głaszcząc talię Shelley. - Pragnąłem cię tylko dotknąć,

Powtrzymała gwałtownie jego dłoń. - Nie!

W jej głosie brzmiała prawdziwa panika,

- Co się stało? - spytał Cain.

- To, co tam mam, niewarte jest twojej fatygi. Uwierz mi na słowo.

Głos był równie stanowczy, jak wyraz mocno zaciśniętych ust.

- Coś mi się zdaje - zauważył Cain ponuro - że odezwały się echa przeszłości.

- Myśl sobie, co chcesz. Nie pozwolę i już!

Cofnęła się i uwolniła z jego objęć.

Cain mógł ją powstrzymać, ale nie zrobił tego. Otworzył już usta, by użyć perswazji, lecz zrozumiał, że to nic nie da. Zaciśnął zęby. Przyglądał się napiętej twarzy Shelley, słuchał jej nierównego oddechu i myślał o upajającej miękkości piersi, której zdołał dotknąć sekundę przedtem, nim mu się wyrwała.

- Czy będę miał okazję spotkać w najbliższej przyszłości twego eks-męża? - spytał jakby od niechcenia.

- Nie sądzę, chyba że się wybierasz na Florydę.

- Nie wybieram się - Cain machnął ręką. - Może to i lepiej. Pewnie bym nie wytrzymał i zrobił mu jakąś krzywdę.

To rzeczowe stwierdzenie wstrząsnęło Shelley równie mocno jak pocałunek. Drapieżny uśmiech, z którym spoglądał na swe silne dłonie, bynajmniej jej nie uspokoił.

- Cain?... - zaczęła niepewnie, niemal ze strachem.

Milczał. Potem odetchnął głęboko.

- Już dobrze, norko. Po prostu nie mogę znieść świadomego okrucieństwa, i tyle.

- Nie chciałam być dla ciebie okrutna!

Szare oczy Caina rozszerzyły się ze zdumienia. Jego twarz była teraz równie łagodna jak przed chwilą dzika. Palcem obrysował kontur ust Shelley. Uśmiechnął się, gdy poczuł, że wargi jej miękły pod wpływem pieszczoty.

- To nie ty byłaś okrutna - powiedział - tylko ten skurwieli, za którego wyszłaś. Zrobił wszystko, żeby cię zgnoić. A wiesz dlaczego?

Bez słowa potrząsnęła głową słysząc z ust Caina pytanie, które dręczyło ją od lat.

- Bo jesteś wcieleniem kobiecości, a twój mąż po prostu nie był mężczyzną.

Napływające łzy sprawiły, że jasne, promienne oczy Shelley były teraz ogromne. Czuła, że zaraz wybuchnie płaczem -~ a przecież nie płakała aż do dziś od tamtej upokarzającej chwili, gdy jej mąż podjął ostatnią, daremną próbę współżycia z nią.

- Chyba już czas - odezwał się Cain szorstko - żebyśmy obejrzelisię próbki kolorów. Inaczej zapomnę o wszystkich dobrych postanowieniach.

Shelley powstrzymała łzy i uśmiechnęła się.

- Chcesz przez to powiedzieć, że jeśli od razu nie podsunę ci pod nos tych próbek, wywiniesz się z obietnicy i nie będziesz sobie nimi więcej zawracał głowy?

Cain niespiesznie potrząsnął głową.

- Chcę cię ostrzec, że jeśli zaraz stąd nie wyjdziemy, wylądujemy razem na tym paskudnym dywanie i nauczę cię takich rzeczy o nas obojgu, o których ci się nawet nie śniło.

Shelley już miała powiedzieć, że tylko by się rozczarował, ale zdała sobie sprawę, że zabrzmiałoby to jak dopraszanie się o komplementy albo prowokacja. Wcale tego nie chciała, mimo że czuła, jak rozkwita w niej płomienny kwiat.

Cain ma rację -nie jestem jeszcze gotowa na niego... Na nas... -i nagle uprzytomniła sobie, że Cain to obieżyświat. Nie jestem w ogóle gotowa na coś więcej, jeśli chodzi o niego!

Nigdy.

Szybko otworzyła drzwi i wyszła z mieszkania, które miała przekształcić w jego prawdziwy dom.

- Pojedziemy moim wozem - stwierdziła bezapelacyjnie. --Zaparkowałam go po drugiej stronie ulicy.

- Wolę sam prowadzić.

- Twój jaguar nie byłby bezpieczny na publicznym parkingu. A do motocykla trudno przytrzymać próbki dywanów, farb i kafelków. Poza tym lepiej znam drogę. Mieszkam w tym mieście od lat. Ty wpadasz do Los Angeles tylko od czasu do czasu.

Cain poszedł za nią do samochodu. Nie zdziwił się, że Shelley radziła sobie z ruchem ulicznym równie dobrze, jak z poskromieniem Dusia: spokojnie i fachowo.

- Wolisz wynająć meble? - spytała podczas jazdy.

-Nie. Są takie bezosobowe, a ja chcę mieć prawdziwy dom.

- Ilekróć wpadniesz do Los Angeles.

Starała się mówić spokojnie, ale nie bardzo jej to wychodziło.

- Ilekróć tu wpadnę - przytaknął Cain, przypatrując się jej uważnie. - Jestem właścicielem kompanii, Shelley. Nie mogę być zawsze tam, gdzie mam ochotę.

- No i lubisz wędrować - zauważyła bezlitośnie obojętnym głosem, z oczyma utkwionymi w sznurze przejeżdżających pojazdów. - Mogę to zrozumieć. Daleko stąd jest bardzo wiele pięknych zakątków.

Cain wsłuchał się w jej głos, który bezwiednie złagodniał, gdy mówiła o pięknych zakątkach znajdujących się „daleko stąd”, i uśmiechnął się z triumfem.

- Ciebie także pociągają, prawda? - spytał.

- O czym mówisz? - zapytała, rzucając mu szybkie spojrzenie.

- O dzikich zakątkach świata. Jak Morze Piasku, pampasy, odległe wyspy, płaskowyż Tybetu, grzbiety gór sięgających samego nieba, albo wymarłe miasta, stare jak nasza Ziemia.

Słyszała tęsknotę w jego głosie, wiedziała, że piękno wspomnień wabiło go, wzywało do wymarszu.

Włóczykij.

- Bardziej kocham swój dom - odparła.

W głosie Shelley brzmiały splątane ze sobą rozpacz i lęk, tęsknota i pożądanie, samotność i nienasycenie. Uczuć tych było równie wiele, jak obrazów zakodowanych w jego pamięci.

Przeciwstawne uczucia. Sprzeczne ze sobą potrzeby.

- Tutaj jest jedyne miejsce, gdzie czuję się u siebie - powiedziała. - Tu jest mój dom.

Słowa jej stanowiły zarówno oskarżenie, jak wyzwanie.

- A skąd wiesz, że nie można posiadać równocześnie własnego domu i całego świata?

- Z życia - odparła zwięźle.

Mówiąc to zmieniła biegi i gładko zahamowała na czerwonym świetle.

- Nie wszystko, czego dowiadujemy się w życiu, musi być prawdą - przekonywał ją Cain. - Weźmy choćby tę historię z twoim mężem - uwierzyłeś w bzdury, które ci wmawiał, zupełnie bez sensu!

- Jak możesz być tego pewny? - spytała, czując się znów jak zaszczute zwierzę. Nie chciała o tym mówić!

- Moja żona wmawiała mi to samo.

- Co?

- Że nie sprawdzam się jako kochanek.

Shelley odwróciła się i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Cud prawdziwy, że nie pękłeś ze śmiechu, zanim złożyłeś papiery rozwodowe - stwierdziła w końcu.

Tym razem zdumiał się Cain. Potem uśmiechnął się leniwie.

- Dzięki. To nie lada komplement!

Shelley zaczerwieniła się i odwróciła głowę.

- To szczerza prawda i dobrze o tym wiesz - powiedziała z uporem.

- Wtedy o tym nie wiedziałem. Przeleciałem mnóstwo kobiet, żeby się upewnić, jak sprawy stoją. Ty jednak nie zrobiłaś tego.

- Nie przeleciałam wielu kobiet? - spytała kpiąco. - Jakoś mi to nie przyszło do głowy. Jestem beznadziejnie staroświecka pod niektórymi względami. Cain uśmiechnął się, ale nie dał się odwieść od tematu.

- Nie romansowałaś na prawo i lewo, żeby dowiedzieć się prawdy o sobie.

Było to raczej stwierdzenie faktu, ale Shelley potraktowała je jako pytanie i odparła: - Nie.

- Staroświecka czy płochliwa?

- Powiedz raczej: wybredna.

- I odrobinę przestraszona tym, czego mogłaby się dowiedzieć?

-Tak, do jasnej cholery! - odparła z pasją, znów pełna gniewu. - Masz, czego chciałeś!

- Do tego jeszcze daleko - odparł z lekkim uśmiechem.

Shelley przypomniała sobie namiętny, nie kończący się pocałunek, który ich połączył, i twardość pobudzonego ciała dotykającego jej brzucha. Zaciśnęła usta. Odwróciła wzrok.

- Taka już ze mnie pociecha, jeśli chodzi o seks: nikt z zainteresowanych nie ma tego, czego chciał.

- Mylisz się. To twój mąż nie miał pojęcia, jak postępować z prawdziwą kobietą.

Głos Caina był łagodny. Jego palec przesunął się lekko po napiętym policzku Shelley, potem po szyi, aż do miejsca, gdzie pod delikatną skórą bił zbyt gwałtownie puls.

- Cieszę się, że jesteś wybredna, norko, Bardzo się cieszę. Ja też od dawna nie gonię już za byle czym. Z tego się po prostu wyrasta.

Za nimi rozległ się klakson, uprzytamniając Shelley, że zapaliło się zielone światło. Minęła skrzyżowanie z rekordową szybkością. Policzki jej pały.

Postanowiła, że nie da mu już okazji do rozmowy na zbyt osobiste tematy, i bez zwłoki skierowała wóz do Centrum Wzornictwa, opowiadając przez całą drogę o różnych odcieniach farb, teksturze i kafelkach.

Cain przysłuchiwał się grzecznie, wtrącając od czasu do czasu słówko.

Dopóki nie patrzyła na niego, mogła wmawiać sobie, że prowadzi po prostu rzeczową dyskusję z klientem. Jednak na widok oczu i ust Caina odżywały w niej znowu czarowne i zdradzieckie uczucia, o których chciała zapomnieć.

Poczuła ulgę wjeżdżając na olbrzymi parking koło Centrum Wzornictwa. Był to wielki i długi przeszklony budynek, kryjący w swym wnętrzu zatrzaskającą obfitość i różnorodność mebli. Każdy projektant wewnątrz, który miał widoki na ogólnokrajową i międzynarodową sławę, dysponował własną przestrzenią wystawową w Centrum. Niektórzy z nich prowadzili tu również sprzedaż detaliczną swoich wyrobów. Większość tego nie czyniła. To jednak nie stanowiło dla Shelley żadnego problemu, gdyż posiadała licencję umożliwiającą zakup w hurtowniach.

- Bierzemy się do roboty! - oznajmiła zamykając wóz.

Cain był znacznie mniej zachwycony tą perspektywą.

Po upływie dwóch godzin zatrzymał się i oświadczył, że nie spojry już na żaden mebel. Obejrzał ich setki; każdy czymś się wyróżniał, każdy zasługiwał na uwagę, każdy reprezentował indywidualny system wartości estetycznych.

- Czuję się, jak podczas taniej wycieczki po Europie, gdy turystów pędzi się od jednego słynnego kościoła do drugiego - stwierdził. - Jeśli każesz mi obejrzeć jeszcze jeden fotel, zacznę wyć!

Shelley uśmiechnęła się szeroko.

- Cudownie! Teraz wreszcie będziemy mogli wziąć się do tego na serio.

- Nie słyszałaś? Jestem wykończony!

- Ależ słyszałam, słyszałam! A ty mnie nie?

- Czyżbym miał do czynienia z sadystką?

- Nic z tych rzeczy. To prosta i skuteczna metoda sprawdzenia twoich autentycznych upodobań. Jesteś teraz tak wykończony, że jeśli zwrócisz na coś uwagę, będziemy mieć pewność, że naprawdę zrobiło na tobie wrażenie.

Cain mruknął coś, co Shelley puściła mimo uszu. Westchnął i poszedł za nią do następnego pomieszczenia.

Do późnych godzin popołudniowych zwiedzili wszystkie ekspozycje przynajmniej raz. Do niektórych wracali kilkakrotnie. Shelley nie rozstawała się z notatnikiem i długopisem, ale Cain tym razem nie protestował. Wiedział, że trzeba odnotować nazwiska projektantów, kolory i terminy dostaw.

Musiał też przyznać, że metoda Shelley okazała się skuteczna, choć bardzo wyczerpująca. Po tych niekończących się godzinach zwiedzania wiedział już na pierwszy rzut oka, czy coś do niego przemawia, czy nie. Zorientował się też, które pomysły dekoratorskie wywierają tylko przelotne wrażenie, a które pozostają dłużej w jego pamięci.

Podobnie było z kolorami. Pewne zestawienia, w pierwszej chwili interesujące, za trzecim, czwartym czy piątym razem wyraźnie go nudziły. Inne zaś podobały mu się coraz bardziej.

Jego komentarze ograniczały się teraz do zdecydowanego „tak” lub „nie”, i były wyłącznie odbiciem jego indywidualnych, niepowtarzalnych upodobań.

- Litości! - jęknął w końcu.

- Masz szczęście. Właśnie zamykają Centrum. - Shelley zmarszczyła brwi. - Szkoda, że nie znam wymiarów poszczególnych pomieszczeń w twoim mieszkaniu.

- Z dokładnością do jednego cala?

- Niekoniecznie. Ale nie potrafię zdecydować, czy w salonie ustawić dwie, czy trzy grupy mebli, a co do wielkości sypialni...

- Sześć metrów na dwanaście - przerwał i ziewnął.

- Co takiego?

- To wymiary salonu. Sypialnia ma cztery i pół na dziewięć metrów. Mam podać resztę?

- Jasne. Interesują mnie wszystkie wymiary.

- Moje też?

- Bez takich aluzji, bo użyję swoich wpływów i dostaniemy zgodę na zwiedzanie po godzinach!

Cain zaczął podawać wymiary poszczególnych pomieszczeń mansardy. Bez zająknięcia. Shelley notowała korzystając z własnej stenografii. Gdy skończył, spojrzała na niego.

- To dokładne dane? - upewniła się.

- Jestem inżynierem i mam dobre oko do wymiarów. - Z uśmiechem obrzucił ją wzrokiem od stóp do głów.

Długopis drgnął w ręce Shelley: przypomniała sobie, jak upokarzająca może być dyskusja na ten temat.

- Rozmiar sukni: dziesięć - stwierdził Cain. - Chyba że kupujesz obcisłą kieckę na wielką galę. Wtedy pewnie osiem. To samo jeśli chodzi o pantofle. Inaczej mówiąc, nosisz ósemki.

- Co się tyczy tej wnęki na prysznic... - zaczęła Shelley.

Cain zignorował tę uwagę.

- Twoje wymiary to siedemdziesiąt pięć-sześćdziesiąt-siedemdziesiąt pięć. Może pomyliłem się gdzieś o pół centymetra. No i - wyciągnął rękę i spojrzał na nią, coś sobie przypominając - pasujesz idealnie do mojej dłoni. Wobec tego jest to ładny, okrągłutki typ B.

- Przestań!

- Dlaczego? Przecież to bardzo kształćące.

- Znam własne wymiary.
 --I dzięki temu już wiesz, że podałem ci dokładnie także wymiary pomieszczeń. - Uśmiechnął się zaczepnie. - Mam rację?
 Shelley zamknęła notatnik z głośnym trzaskiem.
 - Muszę złożyć zamówienie na część mebli. Może usiądziesz tutaj i poczekaś na mnie?
 Cain spojrzął przez ramię i zobaczył kopie średniowiecznych narzędzi tortur: koło do rozciągania stawów, dyby i „żelaznądziwicę”. Jakis żartowniś-projektant posłużył się tym makabrycznym sprzętem, by wykazać zwiędzającym, czego powinni unikać, jeśli zależy im na wygodnych meblach.
 -Przyznaję się - powiedział wznosząc ręce do góry. - Przyznaję się do wszystkiego! - Opuścił dłonie na ramiona Shelley i przyciągnął ją do siebie. - Z wyjątkiem kłamstwa. Nigdy nie kłamię, norko. Pasujesz idealnie do nojej dłoni.
 Jego pocałunek był delikatny i gorący, podobnie jak dotyczący sunących po jej plecach aż do pasa. Wypuścił ją objąć tak szybko, że nie zdążyła zaprotestować.
 - Nie marudź zbyt długo-uprzedził ją - bo spóźnimy się na kolację.
 - Na kolację? - powtórzyła Shelley.
 Była całkiem zbita z tropu, nie wiedziała, czy ma protestować, czy wyrazić zgodę. Nie potrafiła zdobyć się ani na sprzeciw, ani na entuzjazm.
 - Na plaży. Jesteśmy umówieni z Billym. Nie martw się - dodał ziewając. - JoLynn nie będzie.
 - Dałabym sobie z nią radę.
 - Nie wątpię.
 Zaczekał, aż Shelley odwróci się i zrobi kilka kroków. Dopiero wówczas odezwał się.
 - Bardzo się cieszę, że przypominam ci w dotyku Dusia: taki silny, ciepły i twardy.
 Shelley zatrzymała się. JoLynn musiała powtórzyć Cainowi, że został porównany do węża! Szybko odwróciła się i spojrzała na niego.
 Cain uśmiechał się, jakby przypominał sobie coś miłego.
 Shelley znów odwróciła się z impetem. Jej obcasy stuknęły energicznie, gdy szła przez korytarz. Kroki jej były coraz szybsze, podobnie jak bicie jej serca.
 Miała wrażenie, że jest ścigana - choć biegło za nią tylko wspomnienie jego uśmiechu.

9

JK

orze wdzierało się na piasek, który zachodzące powoli słońce barwiło na kolor starego złota. Migotliwe światło padające na plażę miało w sobie coś z magii. Najzwyklejsze przedmioty stawały się czymś niezwykłym i wspaniałym. Zapomniane przez dziecko plastikowe wiaderko, za-

grzebane do polowy w piasku, błyszcząco jak wielki półksiężyc z lapis lazuli, w oprawie z chropawego złota. Maleńkie, wyrzucone na brzeg meduzy przemieniły się w kamienie księżycowe, klejnoty ponadczasowe i bezcenne. Skary były teraz posagami z hebanu, których twarze to pojawiały się, to znów znikwały w mroku, zmieniając się z każdym lśnieniem fali, z każdym drgnieniem światła.

Przez cały upalny dzień tysiące stóp miesiły nadbrzeżny piach. Teraz czciciele słońca oddalili się już, ale ślady ich stóp nadal tworzyły maleńkie diuny, przegwane aksamitnym cieniem - miniatutki wspaniałych piaszczystych wzgórz Sahary. Błękit opalizującego morza był wprost tropikalny w swej intensywności.

Shelley przyglądała się śladom własnych stóp na piasku i obserwowała wyczyny Billy'ego i Caina, którzy stawiali czoło bijącym o brzeg falom.

Cain pozornie bez wysiłku przeskakiwał z fali na fale, tak w nich zanurzony, że z kremowej piany grzywaczy sterczały tylko jego potężne ramiona. Stojący obok Billy nadrabiał brak krzepy fizycznej determinacją i zwinnością smukłego ciała.

Shelley obserwowała z leniwym uśmiechem igraszki mężczyzn. Dla niej fale okazały się zbyt groźnym przeciwnikiem - przyznała to bez oporów. Przez godzinę pozwalała żywiołom, by nią miotają, po czym z przyjemnością wyciągnęła się na piasku, a szum oceanu ukołysał ją do snu.

Niedawno zbudziła się i poczuła głód. Zbliżała się pora kolacji, ale mężczyźni ani myśleli o przerwaniu zabawy.

W odległości kilku metrów od Shelley trzaskały płomienie ogniska, które właśnie rozpałała pośrodku kamiennego kręgu. W każdej chwili można zabrać się do przypiekania hotdogów. Wszystko było gotowe.

Z wyjątkiem mężczyzn.

Shelley przeciągnęła się i usłyszała, jak jej burczy w brzuchu. Nie wstała jednak i nie zabrała się do roboty. Rytmiczny szum fal znów podziałał na nią jak kołysanka.

Po kilku minutach Shelley nie brakowało już nic do szczęścia: leżała zagrzebana w gorącym, ałtasowo gładkim piasku i obserwowała grę światła na lśniącym ciele Caina. Gdy wynurzał się z morskiej piany, przypominał szczerozłoty posąg bóstwa.

Mięśnie rydek i ud grały harmonijne, a ciało poruszało się z taką lekkością, że Shelley nie była w stanie oderwać od niego oczu.

Cain promieniował wprost witalnością jak słońce żarem. Krople wody ściekały po jego ciele niby złote łzy; każdy mięsień i ścięgno połyskiwały. Ciało Caina zdawało się otaczać żywy ogień. Shelley wpatrywała się weń z zachwytem, w którym tało się i zmysłowe pożądanie, i coś o wiele bardziej skomplikowanego.

Zastanawiała się, co czułaby, gdyby opłynęła ciało Caina niczym woda, poznała je tak bez reszty, jak otaczające go ze wszystkich stron morze?

Na samą myśl o tym Shelley zapało dech. Potem i oddech, i tętno ruszyły pełnym galopem. Nigdy dotąd nie pragnęła aż takiego zbliżenia. Rosła w niej ciekawość i pożądanie.

Ale czy Cain chciałby mieć mnie aż tak blisko? myślała. Czy pozwoliłby moim palcom, dłoniom i wargom, moim zębom i językowi poznawać go tak bez reszty?

Czy wewnątrz jego ud okazałoby się równie wrażliwe jak moje? Czy brodawki jego piersi stwardniałyby pod moimi ustami? Czy moje dotknięcie sprawiałoby mu rozkosz? Czy przeżyłby się jak ogromny kot pod głośzczącą go ręką?

Pod wszystkimi tymi pytaniami krył się strach, trzymający zmysłowość Shelley na uwięzi.

Czy potrafiłabym wzbudzić w nim bezmierne pożądanie... I czy zdołałabym je zaspokoić?

W ciele Shelley zmagaly się ze sobą lęk i głód zmys/tów. Przymknęła oczy, ale nadal widziała idącego ku niej Caina. Każdy je'go ruch stanowił pokusę nie do przezwyciężenia. Shelley znała mężczyzn przystojniejszych od niego, odznaczających się większą ogładą towarzyską, jeszcze potężniej zbudowanych albo przeciwnie - delikatniejszych, doskonalszych fizycznie. Żaden jednak nie był równie inteligentny, wrażliwy, bystry.

Żaden mężczyzna nie pociągał jej tak bardzo - duchowo i fizycznie - jak Cain Remington.

Dopiero on sprawił, że zapagnęła wyzbyć się strachu i zapominając o swych upokarzających przeżyciach oddać mu się. Tylko dzięki Cainowi we wnętrzu Shelley zaczął nieśmiało rozkwitać atłasowy kwiat, rozchylający powoli płatki...

Przebiegł ją skryty dreszcz. Czym to się skończy, jeśli poddam się emocjom, które mnie równocześnie przerażają i fascynują? Może Cain ma słuszność? Może będę w stanie go zaspokoić?

... Boże święty, a jeśli on się myli?...

- Obudź się, norko! Pora na kolację. Obiecałaś zabawić siew kucharza!

Shelley otworzyła oczy. Natychmiast pożałowała, że to uczyniła. Cain znajdował się tak blisko, że gdyby lekko odwróciła głowę, mgłaby zlizać złociste krople wody, spływające po jego nodze. Ta zachcianka przeraziła ją.

Starając się nie dostrzegać pociemniałych od wody włosków i wyraźnie zarysowanych muskułów na łydce Caina, powędrowała wzrokiem wyżej. Przypomniała sobie twardy nacisk jego ud i jeszcze inny napór, równie silny i bardziej niepokojący.

Niemal w panice odwróciła wzrok od ciasno opiętych granatowych kąpielówek. Jednak widoczne nad spodenkami ciemne owłosienie, sięgające klinem aż do piersi Caina, bynajmniej nie podziałało uspokajająco na jej wyobraźnię. Zapagnęła przytulić się policzkiem do tego męskiego futerka, przeczesywać je paznokciami i dotrzeć językiem do kryjącej się pod nim skóry.

Nagle uświadomiła sobie, że zbyt długo patrzy na niego. Podniosła wzrok i w pociemniałych oczach Caina dostrzegła zmysłowe podniecenie.

- Wiesz, czego teraz pragnę? - spytał.

Shelley potrząsnęła głową. Nie była w stanie wykrztusić słowa: serce stanęło jej w gardle.

Osunął się powoli na kolana. Klęczał na piasku tuż obok Shelley, ale jej nie dotykał. Nie ufał samemu sobie. Ujrzał w jej oczach pożądanie i zachwyty. Teraz dałby wszystko, żeby wsunąć ręce pod jej prowokujący, francuski kostium kąpielowy i pieścić jej ciało. Przekonać się, czy jest równie spragnione jak spojrzenie.

- Pragnę udowodnić ci, jak bardzo jesteś piękna.

- Wcale nie jestem piękna.

- Dla mnie jesteś.

Zamknął w jednej dłoni oba nadgarstki Shelley. Powoli unióś jej ramiona nad głowę i pochylił się ku niej.

- Jeszcze Billy... - zaczęła Shelley.

- Skacze sobie z fali na fale. A choćby zerknął w tę stronę, zobaczy tylko moje plecy.

Jego wzrok spłynął na jej smukłą szyję i delikatną krągłość piersi. Dłoń podążyła za spojrzeniem.

Shelley zdała sobie nagle sprawę, że Cain zamierza dotknąć jej piersi i że tym razem nie jest w stanie powstrzymać jego ręki.

- Nie zrobisz tego!

- Oczywiście, że zrobię.

- Będę krzyczeć!

- Powiem Billy'emu, że masz łaskotki.

Leciutko przesunął paznokciami po gładkiej ciemnoczerwonej tkaninie kostiumu. Zatrzymał się na piersiach.

- Wytłumacz mi, czemu aż tak ich przede mną bronisz - poprosił.

Policzki Shelley poczerwieniały ze wstydu i gniewu.

- Dobrze wiesz, czemu!

- Nie wszyscy mężczyźni są tacy jak twój eks-mąż.

Palce Caina zaczęły zataczać leciutkie, drażniące kręgi wokół piersi, nie dotykając jednak delikatnej wypukłości. Z każdym wymówionym słowem krąg się zacieśniał.

- Niejeden woli jakość od ilości. - Uśmiechnął się łagodnie. - Jeśli mi nie wierzysz, spytaj każdego niemowlaka: potrzeba mu do szczęścia tylko tyle, ile zmieści się w buzi. Co za dużo, to niezdrowo.

Ręka Caina zamknęła się piśszczotliwym ruchem na jej piersi.

Shelley mogła mu się wyrwać. Cain nie zatrzymałby jej przemocą. Oboje dobrze o tym wiedzieli.

Nie zrobiła tego. Powstrzymało ją własne pragnienie i zachwyty bijący z jego oczu, głosu, dotyku.

- Znacznie więcej, niżby się zmieściło w buzi - szepnął Cain i dodał prawie szorstko: - O Boże, jakbym chciał dokładniej się o tym przekonać!

Poczuła, że zadrżał: pożądanie przeszyło go jak elektryczny prąd. Zamknął oczy i odsunął się na chwilę, ale jego dłoń nie przerwała piśszczoty.

Shelley także przebiegł mimowolny dreszcz. Wypreżyła się pod dotknięciem. Gdy poczuł, jak brodawka twardnieje, wydał głębokie westchnienie rozkoszy i pożądania. Jego palce sięgnęły pod kostium Shelley.

- Cain, przestań!... Nie możemy!... Billy... ~- Shelley urwała, nie mogła już mówić.

- Nie bój się. - Cain ujął w palce koniuszek sutka. - Billy goni fale, a wszyscy inni dawno poszli do domu.

-Ale...

- Cicho, norko. Pozwól, że ci udowodnię, jak niewielkie znaczenie ma rozmiar stanika, gdy coś naprawdę łączy mężczyznę i kobietę.

Gwałtownie zaczerpnęła powietrza, gdy Cain wydobył jej pierś z osłonek ciemnoczerwonej tkaniny. Poczowała się nagle bezbronna, całkowicie bezradna, przerażona. Bała się spojrzeć w twarz Caina/ pewna, że wyczyta na niej zawód.

- Widzisz, że miałam rację! - wykrztusiła przez zaciśnięte zęby.

- Widzę, że głuptas z ciebie!

Raptownie odwróciła ku niemu głowę. Cain wpatrywał się w jej pierś z zachwytem, jakiego nigdy nie spodziewała się ujrzeć na męskiej twarzy.

- Jesteś piękna- powiedział zdławionym głosem. - Nie widzisz, jaka jesteś cudowna?

Shelley spojrzała na własne ciało. Dostrzegła to, co zawsze: piersi zbyt małe, by mogły wzbudzić męskie pożądanie.

Wówczas pochylił się ku niej i przejrzała się w jego oczach.

Była piękna.

Rozkoszne muśnięcia wąsów ocierających się o pierś przejęły ją dreszczem. Słyszała, jak Cain szepcze coś z ustami tuż przy jej skórze i chłoneła żar jego oddechu.

Najcudowniejszą jednak podniętą był widok pożądania sprawiającego, że ciało Caina prężyło się w łuk. Shelley pojęła, że mówił szczerą prawdę: dla niego była piękna. Jego ciało świadczyło o tym niezbitnie.

Płomienny kwiat zaczął rozwierać swe płatki w jej najtajniejszej głębi. Kompleksy Shelley rozwiewały się,

- Wiem, że nie powinienem... - powiedział unosząc na sekundę głowę, ale nie odrywając wzroku od rubinowej brodawki- ...ale muszę! Jeden jedyny raz... Błagam!

Znów zadrzała wpatrzona w jego usta.

Dłoń Caina zacisnęła się mocno wokół jej nadgarstków. Sprawiała to namiętność, a nie chęć uniemożliwienia jej oporu. Shelley nie broniła się przecież.

Cain pochylił się jeszcze niżej.

Zabrakło jej tchu, gdy koniuszek języka zakreślił krąg na delikatnej pierśsi tam, gdzie biel zlewała się z ciemną czerwienią sutka. Nie zdając sobie z tego sprawy, wydała cichy, błagalny jęk. Nie była to jednak prośba o uwolnienie. Shelley pragnęła jeszcze większej bliskości, jeszcze bardziej intymnej pieczyoty.

Odpowiedzią był wzmożony, rytmiczny nacisk języka i zębów. Brodawka zniknęła w rozpalonym wnętrzu pieczących ją ust - aż Shelley wygięła się w łuk i krzyknęła z rozkoszy.

Po kilku cudownych chwilach Cain z wysiłkiem oderwał usta od jej piersi. Maleńki rubinowy wzgórek lśnił wilgocią, a jego twardość dobitnie świadczyła o tym, jak bardzo Shelley jest pobudzona. Zęby Caina objęły znów wyprężony sutek z namiętnością, którą usiłował opanować. Ciało Shelley uniosło się ku niemu i przywarli o siebie jeszcze gwałtowniej.

Z jękiem oderwał się od Shelley i drżącymi palcami podciągnął jej kostium kąpielowy. Potem przygarnął ją do siebie, by mogła się przekonać, jak bardzo go podnieca.

- Trzeba ci dalszych dowodów, że na mnie działasz? - wykrztusił z trudem.

- Nnnie... - Głos Shelley drżał, podobnie jak jej ciało, ze zdumienia i z pożądania.

- To dobrze. Jestem o włos od tego, by wziąć cię tu i teraz - i udowodnić sobie samemu wiele rzeczy.

Płynnym ruchem odwrócił się i wstał na równe nogi. Nie oglądając się już na Shelley pobiegł w stronę morza, szukając w jego falach zbawczej ochłody.

Shelley leżała bez ruchu, zbyt słaba, żeby wstać, Namiętność odurzyła ją jak narkotyk. Wszystkie jej nerwy rozpały się. Całowana przed chwilą pierś rozkosznie pobołowała, nadal spragniona dotyku ust, znających wszystkie jej pragnienia.

Z cichym jękiem przewróciła się na piasku, usiłując odzyskać kontrolę nad własnym ciałem. Namiętność była dla niej czymś tak nowym, że czuła się bezradna, schwytana w płomienną sieć: jej własne nerwy paliły ją żywym ogniem.

Po kilku minutach drzenie zaczęło ustępować. Nienasycony kwiat, który rozkwitł w głębi ciała, stulił ponownie atłasowe płatki, kryjąc tlejący w jego wnętrzu żar.

Gdy Billy i Cain wyszli wreszcie z wody, Shelley wyjęła już i rozstawiła przyprawy, napoje i frytki. Obracała teraz hotdogi na widelcu o bardzo długiej ręczce nad tańczącymi złotymi płomieniami.

Bułeczki ułożyła tuż przy ognisku, żeby były gorące.

Znów panowała nad sobą, tylko od czasu do czasu przebiegał ją dreszcz na wspomnienie pieczyoty cudownych ust Caina.

Jednak żar bijący od ogniska był niczym w porównaniu z żarem jej wspomnień i oczu Caina, gdy wpatrywał się w postać kobiety schyloną nad ogniem.

- Szkoda, że tak wcześnie wyszłaś z wody - powiedział Billy zasypując Shelley piaskiem i rozsiewając wokół deszcz kropel z równą energią. - Fale były super, a woda zupełnie ciepła. Co najmniej dwadzieścia pięć stopni.

- W moim basenie jest jeszcze cieplejsza - stwierdziła Shelley, wkładając hotdoga do środka gorącej bułki. - Proszę.

- Masz własny basen? - spytał chłopiec.

- Nawet z wodospadem.

Billy utopił biednego hotdoga w musztardzie i ketchupie.

- I fale w basenie?

- Tylko wtedy, gdy dam potężnego nurka.

Billy spojrzał na smukłą figurę Shelley i potrząsnął zdecydowanie głową.

- Musiałabyś więcej ważyć, żeby były porządne fale. Jesteś na to...
- Za koścista? - podsunęła Shelley z krzywym uśmiechem.
- Jesteś w sam raz. Jakbyś przytyła, to byś się wylewała ze stanika. Mamie to się czasem zdarza między jedną dietą a drugą.

Cain czynił heroiczne wysiłki, żeby nie parsknąć śmiechem.

Policzki Shelley zaczerwieniły się, usta też drżały od powstrzymywanego śmiechu. W końcu nie wytrzymała i roześmiała się na cały głos.

Billy spojrzął ku nim znad nieprawdopodobnie upačanego hotdoga, uśmiechnął się i zaatakował znowu ociekające ketchupem resztki. Następnie pożarł dalsze trzy hotdogi, całą torbę frytek i popił to trzema porcjami napoju owocowego.

W najwyższym zdumieniu Shelley przyglądała się, jak wszystko to znika we wnętrzu chudego dzieciaka. Oderwała od niego zafascynowane spojrzenie dopiero wówczas, gdy Cain zaproponował także i jej zjedzenie trzeciego hotdoga.

- Nie, dziękuję- odparła z uśmiechem. - Nie chciałabym się... jak to było?... wylewać.

Cain parsknął śmiechem, sam zjadł hotdoga, a potem spod ręcznika kąpielowego wy dobył talerz do gry we frisbee i wyzwał współbiedników na srogi bój.

Billy natychmiast się zerwał: aż palił się do zabawy. Shelley nie entuzjastowała się tak jak on, ale zgodziła się zagrać. Cała trójka stanęła na piasku tworząc trójkąt bynajmniej nie równoboczny. Cain bez ostrzeżenia zgiął ramię na wysokości pasa, błyskawicznie je rozprostował i wyrzucił do przodu.

Biały talerz poszybował z impetem prosto na Billy'ego. Chłopiec złapał go i odrzucił do Shelley. Ta zaskoczyła swoich towarzyszy chwytając frisbee w locie i posyłając gładkim łukiem i z wielką szybkością w stronę Caina.

Billy wydał okrzyk podziwu i wzmocnił jeszcze jego wymowę unosząc oba kciuki w górę. Następnie cała trójka przestała się patyczkować i dali sobie nawzajem dobrą szkołę. Shelley śmiała się, podskakiwała, biegała - jakby znów była dzieckiem.

Przypomniała sobie jednak, że jest kobietą, obserwując potężny skok Caina w pościgu za umykającym frisbee. Przez sekundę błyszczące w słońcu ciało zdawało się uragać prawu ciężkości - potem Cain opadł lekko na piasek, przyciskając do piersi plastikowy talerz, a następnie rzucił go z taką siłą, że Shelley zaparło dech.

Przez chwilę frisbee szybował jak szalony księżyc pomiędzy trzema planetami. Za ich plecami świetliste, bajecznie kolorowe, cudowne kalifornijskie słońce opadało powoli ku powierzchni oceanu, by w nim wreszcie zatonać.

W końcu ściemniło się tak, że trudno było śledzić lot talerza. Cain podskoczył z poświęceniem i ocalił frisbee od nieuchronnej zagłady w szafirowych głębiach wzburzonego morza.

Shelley wiedziała, że zapamięta tę scenę do końca życia: ciało Caina wznoszące się w migotliwym zmierzchu niczym wysoka fala przypływu, a potem opadające znów ku ziemi ruchem równie płynnym i pełnym siły.

- Ekstra, wujku!

Cain pomachał Billy'emu talerzem, ale nie rzucił go w stronę bratanka. Podszedł do Shelley wpatrując się w nią oczami koloru zmierzchu. Gdy wyciągnął ku niej rękę, ujęła ją bez wahania. Ciepło ich splecionych ze sobą palców przepełniło ją radością. Objął ją zachwyconym spojrzeniem, które było jak pieśczoła.

• - Pełna wdzięku jak norka - powiedział.

- Za te miłe słówka dostaniesz opiekana bezę.

- Znam coś słodsze.

Przez sekundę wytrzymała jego spojrzenie, potem odwróciła głowę. Te pełne zmysłowości przekomarzenia radowały ją, a równocześnie budziły niepokój.

- Wujku! Porzucamy jeszcze? - zawołał Billy.

- Wystarczy na dziś. Pora na opiekane bezy! - Głos Caina rozlegał się donośnie w gęstniejącym zmierzchu.

Jego oczy powiedziały Shelley, że ma znacznie większą ochotę na nią niż na deser.

- Masz! - oświadczył wręczając Billy'emu widelec i torbę beżów. - Zostałeś szefem kuchni.

- Na pewno je spalę.

- Liczę na to.

Uśmiechając się od ucha do ucha chłopiec nadział bezy na widelec i wsadził go do ogniska. Wszyscy bez szemrania zjedli zwęglone owoce jego trudu. Shelley mogłaby w tej chwili jeść nawet piasek! Czuła nadal smak pocałunku Caina, w którym ich języki zetknęły się ze sobą. Bijący od niego żar wydawał jej się pokusą i objawieniem-miała wrażenie, że padają na nią łagodne, a zarazem gorące promienie słońca.

- Zimno ci? - spytał Cain spostrzegłszy, że zadrżała.

- Przy tobie? Niemożliwe.

Musnął jej policzek przelotną pieśczołą. Shelley spojrzła mu w oczy i wiedziała już, że pragnął otulić ją swym gorącym ciałem i nie wypuszczać z objęć.

Kiedy otoczył ramieniem plecy Shelley i przygarnął ją do siebie, poczuła się przy nim swojsko jak nigdy w życiu. Oparła się policzkiem o jego pierś i westchnęła z ulgą.

- Chcecie jeszcze? - spytał Billy spoglądając na nich znad pokrytego popiołem widelca.

- Ja już dziękuję - odparła Shelley.

- A ty, wujku?

- Za żadne skarby! - powiedział Cain śmiejąc się cicho. - I tak już zlepiłem sobie wąsy na amen!

- Spróbuj płynu do zapalniczek - poradził Billy. - Gumę balonową zmywa.

- Brrr! Smakuje ci to świństwo?!

- Płyn do zapalniczek?

**

- Balonowa.

Billy roześmiał się, a potem spojrzał na torbę wypełnioną do połowy bezami. - Jesteście pewni, że macie dosyć?

- Całkowicie! - odparli zgodnie.

- To fajnie.

Billy zaczął systematycznie nabijać bezy na widelec. Co jedną nabił, to drugą połykał „na surowo”. Najwyraźniej zamierzał zjeść kleiste przysmaki do ostatniej okruszynki.

Shelley trochę się zaniepokoiła.

- Nie martw się - uspokoił ją Cain. - Też się tak popisywałem w jego wieku. I jakoś to przeżyłem.

- A kto trzymał cię za głowę, kiedy rzygałeś?

- Nikt. Seth wyraźnie zapowiedział, że każdy dureń sam po sobie sprząta.

- Uprzedziłeś Billy'ego o tej zasadzie?

Choć Shelley umyślnie mówiła szeptem, Billy dosłyszał. Odwrócił wzrok od ognia i uśmiechnął się szeroko.

- Kiedy wujek Cain zaprosił mnie na piknik, zapowiedział od razu, że nie będzie mi dyktował, co mam jeść, a czego nie, ale muszę potem radzić sobie sam.

- A twoja mama zaaprobowała taki układ?

Shelley natychmiast pożałowała, że wspomniała o JoLynn. Z twarzy Billy'ego zniknęły radość i spokój.

- Mama wybrała się na jakąś imprezę do San Francisco. Nie wróci na noc do domu.

- Billy obiecał, że się mną zaopiekuje - wtrącił gładko Cain. - Wie, że nie jestem przyzwyczajony do wielkomiejskiego życia. W rewanżu wypróbuję razem z nim, jak się spisuje ten jego motocykl. Muszę tylko znaleźć odpowiednie miejsce.

- W pobliżu mojego domu są drogi o piaszczystej nawierzchni - podsunęła Shelley, rada ze zmiany tematu. - Dawne przesieki przeciwpożarowe, czy coś w tym stylu, Może by wam to odpowiadało?

Maska obojętności opadła i Billy zerknął z nadzieją na wuja.

Cain uśmiechnął się. Shelley wyczuła wdzięczność w delikatnej pieszczocie palców sunących ukradkiem po jej ramieniu.

- Chyba będzie w sam raz - zawyrokował.

- Super! Wybierzemy się jutro?

Cain skinął głową.

- Nie zapomnijcie tylko o odskrzaczach, czy jak im tam. Takie coś, co zapobiega pożarom - wtrąciła Shelley. - Krzaki są tu suche jak pieprz o tej porze roku.

- Co powiesz, Billy?

- Tata nie wypuściłby mnie z garażu bez przechwytywacza iskier. Bez tłumika też, choć motor idzie wtedy na pół gwizdka!

- Musimy się postarać o motocykl dla Shelley.

- Pomyłka - odparła z pośpiechem. - Nadaję się wyłącznie na pasażera, i to w ruchu miejskim. Obejdziecie się beze mnie.

Długie palce zacisnęły się na jej ramieniu. Cain pochylił się i przytknął wargi do ucha Shelley. Szeptał tak cicho, że Billy nie mógł go usłyszeć, zwłaszcza że ogień trzaskał.

- Absolutnie nie mogę obejść się bez ciebie.

- Twój bratanek powinien od czasu do czasu przebywać w wyłącznie męskim towarzystwie - odszepnęła, ocierając się policzkiem o pierś Caina. Potem dodała zwykłym głosem: - Miło mi będzie nakarmić później pogromców szos. Jakie są twoje ulubione dania, Billy?

- Pieczone kurczęta, tłuczone ziemniaki z sosem i czekoladowy placek. Nie będzie z tym za wiele kłopotu?

Shelley uśmiechnęła się ukradkiem widząc pełną nadziei minę chłopca.

- Ależ skądże! A co z tobą, Cain? Miałybyś ochotę na coś specjalnego?

- Na lemoniadę ze świeżych cytryn.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Nad Jukonem raczej nie rosną cytrynowe drzewka.

W tej chwili wybuchł niezbyt groźny pożar. Zapomniane przez Billy'ego bezy zapłonęły kaskadą spadających gwiazd.

Po kilku bezskutecznych próbach stłumienia ognia chłopiec zerwał się na równe nogi i popędził w stronę oceanu wymachując płonąącym widelcem jak mieczem. Improwizowana pochodnia jaśniała na tle czarnego morza. Do dorosłych dolatywały odgłosy zażartych bojów: Billy mordował jednego smoka po drugim, dopóki bezy nie spłonęły do szczętu.

Shelley śmiała się cicho wspominając własne dzieciństwo: świat był wówczas pełen ekscytujących, choć w gruncie rzeczy niegroźnych potworów, które należało ujarzmić.

- Masz fantastycznego bratanka.

- Tak - przyznał Cain i schyliwszy się musnął wargami jej włosy. - A z ciebie fantastyczna dziewczyna! Jeździłaś kiedyś na motorze?

- Bardzo dawno temu. Zaraz po przyjeździe do Los Angeles nie stać mnie było na samochód, więc kupiłam sobie motocykl. Czasem mi go brak. Zwłaszcza gdy nie pada i nie muszę się akurat odstawić jak lalka.

- Billy nie miałby nic przeciwko temu, żebyś wybrała się jutro razem z nami.

Shelley potrząsnęła głową. Na ramię Caina opadła chmura jej jedwabistych włosów.

- Nie mam pojęcia o jeździe po polnych drogach; na pewno wymaga to o wiele większej sprawności i siły niż przejazd ulicami miasta.

- Założę się, że dałabyś sobie radę.

- Przekonamy się innym razem. Billy będzie zachwycony, mając wujka tylko dla siebie. Jesteś jego idolem. Widać to po wyrazie oczu, kiedy na ciebie patrzy.

Cain sunął pieszczotliwie palcem po policzku Shelley, aż dotarł pod brodę i uniósł jej twarz ku swoim ustom. Pocałunek był bardzo delikatny - zaledwie muśnięcie - ale pełen ciepła i słodyczy.

-~ Zazwyczaj - powiedział zmienionym głosem - jestem zachwycony towarzystwem mego bratanka. Świetny z niego kompan. Dziś jednak miałem nadzieję, że odprowadzę cię do domu. I zostanę z tobą.

Shelley zabrakło tchu od zmysłowej obietnicy w jego głosie.

-- Od razu się jednak zorientowałem, że nic z tego - ciągnął dalej - gdy JoLynn oświadczyła, że Billy może wrócić z pikniku, o której chce. Jej nie będzie w domu, a służąca wpuści go o każdej porze.

Usta Caina znajdowały się tuż nad ustami Shelley. Od czasu do czasu muskał je leciutko wargami.

- Tłumaczę sobie, że lepiej się stało - stwierdził. - Wiem, że nie zaakceptowałabyś mnie tak od razu jako kochanka. Ale ciągle zdaje mi się, że zawsze cię znałem, zawsze śmiałem się razem z tobą, tęskniłem za tobą, marzyłem o tobie, pragnąłem cię...

Shelley bez namysłu pocałowała go tak, jak on ją: obrysowała leciutko wargami kontur jego przepięknych ust. Pragnęła obdarzyć go ciepłem, które nie miało nic wspólnego z namiętnością czy pożądaniem. Pragnęła, by ich myśli spłotyły się ze sobą, ale nie potrafiła tego dokazać, więc obsypała go tylko takimi samymi, cudownie czułymi pieścizotami, jakimi on ją darzył.

Nigdy jeszcze nie całowała mężczyzny w ten sposób, z tkliwością i oddaniem, które przejmowały ją do głębi tak samo jak poprzednio wstrząsnęła nią namiętność.

Te same uczucia doszły do głosu, gdy Cain odprowadził Shelley do drzwi domu. Objął ją tak delikatnie, jakby była krucha niczym skrzydło motyla. Jego usta były nieskończenie czułe.

- Do jutra - szepnął.

- Przyjdźcie jak najwcześniej. - Shelley powiodła końcem palca po jego wąsach. - Będziecie mogli popływać przed kolacją.

- W tej chwili mam wrażenie, że tonę. Ocalisz mnie?

- Cain...

- Dziękuję, Shelley.

Zagłębił się we wnętrzu jej ust z taką samą delikatnością, z jaką dotykał jej warg. Leniwie musnął jej język końcem swego języka i poczuł, jak drży, jak słodko odwzajemnia jego pieścizotę. Była ciepła, miękka, drżąca. Pragnął równocześnie czuć ją i posiadać siłą, bronić przed wszelkim złem i zmiażdżyć w brutalnym uścisku, Miłość jego miała tysiące twarzy - odmiennych od siebie, lecz nie wykluczających się nawzajem.

Pragnął jej tak, jak tylko mężczyzna może pragnąć kobiety.

Wiedział jednak, że Shelley nie pragnie go równie gorąco. Jeszcze nie. Gdzieś w głębi serca nadal boi się - samej siebie i jego.

Włóczykija.

Z żalem wypuścił ją z objąć.

- Do jutra - powtórzył.

W milczeniu patrzyła za nim, gdy wracał do samochodu, w którym czekał Billy. Nigdy jeszcze jutro nie wydawało jej się tak odległe.

zazwyczaj

w soboty Shelley chodziła na aukcje lub przeglądała nowe katalogi, które dostarczano w ciągu tygodnia do „Pozłocanej Lili”. W tym tygodniu jednak nie było żadnej atrakcyjnej aukcji. Rozpoczął się jesienno-zimowy zastój w branży. W grudniu będzie jeszcze gorzej. Potem, gdzieś w drugim tygodniu stycznia, wszyscy nagle zdadzą sobie sprawę z tego, że wystarczy już

leniuchowania: pora wziąć się do planów na nowy rok.

Niespokojnie kręciła się po domu, nie wiedząc, czym wypełnić godziny oczekiwania. Nie mogła odkurzać: wczoraj była przecież sprzątaczką. Nie mogła pójść na zakupy, gdyż niczego nie brakowało. Za wcześniej na pływanie i za późno na jakieś prace w ogrodzie - dumiała rozglądając się po otoczeniu.

Katalogi dzieł sztuki, do których paliła się jeszcze kilka dni temu, wydały się nagle zdumiewająco nudne. Wzięła do ręki jedno z luksusowych wydawnictw i kartkowała je z przeświadczeniem, że widziała to wszystko setki razy.

Co się ze mną stało? zastanawiała się z lekką irytacją. Nigdy dotąd nie nudziłam się we własnym towarzystwie. A tu masz!

Kiedy zadzwonił telefon, sięgnęła po słuchawkę z uczuciem ulgi. Wolała oderwać się od własnych myśli, kręcących się ustawicznie wokół Caina i jego śmiechu, rozradowanej twarzy Billy'ego i ciszy, która aż dzwoniła w jej pustym domu.

- Halo! - odezwała się.

- To ja, Cain. Muszę się streszczać, zaraz wróci Billy. Dave zadzwonił rano: dziś są urodziny chłopca. Czy mogłabyś przygotować dla niego niespodziankę: jakieś lody i kilka świeczek?

Po raz pierwszy w tym dniu Shelley pomyślała o czymś z dużą przyjemnością.

- Jasne. Może przydałoby się coś jeszcze? O której przyjdziecie? Czy Billy ma jakichś kolegów, których warto by zaprosić?

- Tym razem obejdzie się bez gości. Już wraca! Bardzo mi ciebie brak, norko. Zanim zdążyła odpowiedzieć, telefon zamilkł.

Przez chwilę wpatrywała się w słuchawkę, a w uszach rozbrzmiewało jej echo niskiego głosu Caina.

Norka. Miękka i dzika.

Na samą myśl o tym, że wydaje się seksowna komuś takiemu jak Cain, Shelley roześmiała się radośnie. Potem śmiejąc się z samej siebie i z całego świata, zaczęła planować dzień tak, by kręcił się wokół urodzin Billy'ego.

Najpierw udała się do domu JoLynn. Gospodyni rozpoznała oficjalną wizytówkę z nazwą firmy, wpuściła Shelley do środka, a sama wróciła do czyszczenia sreber.

Dla zachowania pozorów Shelley szybko obleciała inne pokoje, zanim weszła do sypialni Biily'ego. Jedno spojrzenie w głąb wypchanej ubraniami szafy upewniło ją, że na liście prezentów nie należy umieszczać żadnych fatałachów.

Kolekcja płyt kompaktowych była równie imponująca. Gdyby Shelley nie zraziła się ilością, odstraszyłyby ją upiorne obwoluty. Odczytawszy umieszczone na nich nazwiska i przyjrawszy się zdjęciom, Shelley próbowała wyobrazić sobie, jak brzmiały dźwięki utrwalone na kompaktach.

Parzące się słońce, doszła do wniosku, i to podczas wybuchu wulkanu.

To z całą pewnością nie była jej działka! Zwróciła się więc w stronę programów komputerowych, leżących na stosie komiksów. Ze sprzętem komputerowym zaznajomiła się całkiem nieźle: niedawno „pozłociła” dom pewnego nawiedzonego elektronika. Ozdobiła wnętrze wszystkim, co tylko się dało: poczynając od oprawnych w ramki „pierwszych wydań” różnych programów, skończywszy zaś na nowoczesnej rzeźbie z przetworzonych elementów obwodów.

Z notatnikiem w ręku przerzuciła stos gier komputerowych, zapisując ich nazwy. Potem podeszła do regału, o który opierał się domek sennego żółwia. Była dość czytana w literaturze fantastycznonaukowej i rozpoznała nazwiska wielu autorów. Nie zdziwiło jej szczególne upodobanie Biily'ego do ociekających krwią i magią opowieści typu *fantasy*. Zauważyła też, że Billy woli nieco ambitniejszych twórców tego rodzaju literatury.

Wypisała tytuły tych książek ulubionych autorów Biily'ego, których brakło w jego zbiorze. Zdziwiła się, że z licznie wydawanych albumów malarstwa o podobnej tematyce chłopiec posiada tylko jeden.

- Czyżby mu się nie podobały? - spytała żółwia. - A może są po prostu za drogie na jego kieszeń?

Nie czekając na odpowiedź gada, wzięła do ręki samotny album. Najwyraźniej wertowano go tak często, że rogi przewracanych ustawicznie kartek straciły połysk.

- Podobają mi się, i to bardzo - szepnęła.

Nucąc pod nosem wyszła z domu JoLynn i pojechała do swej ulubionej księgarni, która nie tylko specjalizowała się w literaturze *science-fiction*, ale dysponowała też szerokim wyborem *QXfantasy*. W oknie wystawowym stało mnóstwo błyszczących miniaturowych figurek z ołowiu. Smoki, wojownicy, karły i wszelkiego rodzaju potwory - rozkosz dla nieszkodliwie krwiożerczej dziecięcej wyobraźni - ścierały się ze sobą w zażartym boju pod jasnym słońcem Kalifornii.

W samym centrum znajdował się półmetrowy srebrzysty smok. Było to stworzenie budzące zachwyt i grozę równocześnie. W odróżnieniu od innych miniatuerek został wykonany z wyjątkową precyzją. Zawily wzór zdobił każdą z jego łusek i lśniące, drapieżne kły i pazury. Twórca smoka z pewnością znał się na sztuce, anatomii i mitologii. W zmiennej grze światła potwór zdawał się oddychać.

- Przepiękny! - orzekła Shelley. - W sam raz do sypialni Biily'ego!

Z uśmiechem weszła do Sklepu. W księgarni można było dostać wszystko, o czym marzył chłopiec, i dużo, dużo więcej! Shelley wybrała kilka albumów, ilustrowany komplet dzieł ulubionego pisarza Biily'ego i kilka innych książek w miękkiej oprawie.

Potem kupiła lśniącego, srebrnego smoka.

Miała właśnie wyjść ze sklepu, gdy zauważyła w kącie niezwykle obraz. Była to plastyczna, niemal surrealistyczna panorama wszechświata-jaka roztoczyłaby się przed kimś stojącym pośrodku Drogi Mlecznej.

Zawróciła od drzwi i stanęła przed obrazem. Morze gwiazd kłębiło się na tle kosmicznego nieba, w przypływach i odpływach, o jakich człowiek nawet nie śnił. Z tego ponadczasowego, gwieździstego oceanu wyłaniały się mgliste twarze czy niezwykle krajobrazy, pojawiając się i znikając w nieskończonej ilości kombinacji, zależnie od koncentracji i spojrzenia patrzącego.

Poczuła ogarniające ją radosne podniecenie, podobnie jak wówczas, gdy ujrzała po raz pierwszy pokój Biily'ego, zagracony i buntowniczo indywidualny. Twórca tego obrazu wyczuwał tajemnicze piękno nieznanego, niezgłębionego wszechświata. Obraz był oknem, z którego rozciągał się widok na bezkresną, niezwykle przyszłość. Stanowił zarazem pokusę i wyzwanie. Zmusił Shelley, by wyszła poza granice swego wygodnie ustabilizowanego życia i przyznała, że istnieje oprócz niego cały wszechświat pełen najróżniejszych możliwości.

Udała się na poszukiwanie właściciela sklepu. Postanowiła kupić obraz, mimo że w gruncie izeczy nie pasował do jej domu.

Ze smokiem pod jedną pachą, opowieściami z krainy *fantasy* pod drugą, zaciskając kurczowo w obu rękach wszechświat, Shelley pomaszerowała z powrotem na parking. Stanęła obok swego auta, mrużąc oczy w oslepiającym słońcu - zdumiona, że otaczający ją świat zupełnie się nie zmienił od czasu, gdy niespełna godzinę temu zniknęła we wnętrzu księgarni.

Kilka godzin później prezenty, zapakowane i bezpiecznie schowane w sypialni, czekały na początek przygotowanego przez Shelley przyjęcia-niespodzianki. Brakowało już tylko kilku drobiazgów. Shelley robiła wszystko po swojemu, w dogodnym dla niej tempie.

W tym momencie rezydowała wygodnie rozciągnięta na leżance nad basenem. Na brzuchu ustawiła sobie miskę z fasolką szparagową. Leniwie wyciągała z niej strączki, obrywała końce i wrzucała je z powrotem do metalowej miski. Następnie oczyszczona fasolka, przełamana na kilka mniejszych kawałków, wędrowała do garnka stojącego przy leżance na kamiennej podłodze patio.

Shelley wszystko to czyniła w półśnie. Wodospad przemawiał do niej niskim, pospiesznym, niewyraźnym głosem, obiecując obronić ją przed falami gorąca, którymi zionęła gardziel położonego niżej parowu. Ze skłębionego gąszczu karłowatej dębiny promieniował zachowany tam cały słoneczny żar upalnego fata.

Mrużąc oczy od blasku Shelley przyglądała się, jak Cain i Billy bawią się w wodnego berka w przezroczystej głębi basenu, znacząc swój ślad smugami srebrzystych banieczek. Za każdym razem, gdy chłopiec wynurzał się na powierzchnię, chlapał zawzięcie wodą w tym kierunku, gdzie według niego musiał wypłynąć wuj. Potem z radosnym piskiem znikał znów w głębi basenu, jakimś cudem wyslizgując się ciągle szybkemu, potężnemu przeciwnikowi.

Shelley wiedziała, że Cain w każdej chwili mógłby dopaść bratanka, gdyby tylko chciał. Jednak znacznie lepiej bawił się udając, że został wykinywany przez tego szczęśliwego, roześmianego dzieciaka.

Powieki Shelley opadły. Żeglowała z uśmiechem w ciepłej mgle, przez którą dolatywały do niej wybuchy śmiechu Billy'ego. Machinalnie gmerała w misce, szukając nie oczyszczonych jeszcze strączków fasoli. Rozpoznawała je dotykiem, odrywała końce, łamała i wrzucała kawałki do garnka.

Nagle wyczuła, że w poduszce tworzy się zagłębienie. Coś najwidoczniej przysiadło leciutko w najbliższym sąsiedztwie miski opartej na brzuchu Shelley.

- Pacek?

Kot zgodnie ze swym mianem pacnął ją. Dwa razy. Łapa z grzecznie schowanymi pazurami spoczęła na jej udzie z milczącą prośbą. A może groźbą?

Shelley westchnęła i nie otwierając oczu zaczęła szukać dla Packa wygiętej fasolki. Takie lubił najbardziej.

Kot łupnął ją głową w rękę, wyraźnie żądając, żeby się pospieszyła.

- Opanuj się, kocie. Właśnie szukam. O, już ją mam.

Podała mu na dłoni wygięty strączek.

Pacek schwycił fasolkę w zęby, zeskoczył lekko na ziemię i zaczął bezlitośnie gonić biedne warzywo po kamiennych płytach.

Nie otwierając nadal oczu Shelley uśmiechnęła się: doskonale wiedziała, co kot teraz robi. Już jako małe kocię Pacek był zboczony na punkcie fasolki szparagowej. Z wiekiem mu to nie przeszło.

Poduszka znów lekko się ugięła. Potrącona czymś miska fasolki stojąca na brzuchu Shelley zachybotowała się. Shelley ciągle nie chciało się otwierać oczu.

- Już wróciłeś? Co się stało? Wepchnąłeś biedną fasolkę do basenu i utonęła?

Miska wyraźnie się przechyliła.

- Pacek! Uważaj!

- To nie Pacek. To Duś.

Shelley otworzyła szeroko oczy.

Mokre, zimne ramiona zacisnęły się wokół niej i uniosły ją z leżanki. Metalowa miska z głośnym brzękiem upadła wraz z całą zawartością na kamienne flizy.

Shelley prawie tego nie zauważyła. Czuła żar ciała Caina, z którego parowała woda. Delikatnie przygarznął ją do siebie. Słońce lśniło na kropłach wody zbłąkanych wśród brązowo-złotych włosków na jego piersi. Shelley ogarnęła ciekawość: jakie też są te kropelki? Gorące, zimne, słodkie, słone?

Powoli, prawie bezwiednie, odwróciła głowę i zlizwała kroplę wody z jego piersi. Poczwała nagły skurcz mięśni Caina.

- Boże wielki! - powiedział zdławionym głosem. - Czemu nie jesteśmy sami?!

- Przepraszam! Zrobiłam to odruchowo.

- Wiem. Właśnie dlatego było to tak cholernie seksowne!

Zaskoczona spojrzała na tak bliską twarz Caina. Pod gołym niebem subtelny błękit jego oczu był wyraźniej widoczny. Tęczówki miały teraz barwę srebrnawego lazuru, zmieniającego odcień przy każdym ruchu głowy. To zdecydowanie błękitne, to przezroczyste, to srebrne, to znów ciemne jak stal, gdy źrenice się rozszerzały. Oczy te fascynowały Shelley.

- Masz oczy równie piękne jak usta - powiedziała.

Nagle zdała sobie sprawę, że popełniła znów ten sam błąd: zrobiła coś bez zastanowienia. Opuściła powieki.

- Przepraszam - szepnęła. - Działasz destrukcyjnie na moją samokontrolę.

- Myślę, że nam obojgu przyda się zimna kąpiel.

- Woda w basenie ma trzydzieści stopni!

- To i tak o wiele mniej niż każde z nas w tej chwili.

W trzech susach znalazł się na skraju basenu. Robiąc czwarty wyładował w nim z głębszej strony, koło wodospadu. Nie wypuszczając Shelley z ramion.

Kiedy zasłona powietrznych bąbelków kryła ich jeszcze przed wzrokiem Billy'ego, Cain ucałował Shelley pospiesznie i mocno. Potem odbił się od dna basenu potężnym ruchem i oboje wystrzelili na powierzchnię.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, była zaniepokojna mina Billy'ego, który siedząc na brzegu basenu zerkał w jej stronę.

- Mówiłem mu, żeby ci nie zamoczył włosów! Nie obrazisz się, co?...

Spojrzenie chłopca było bardziej wymowne niż słowa. Bał się nagłego, przykrego zakończenia tego cudownego dnia.

Przez chwilę nie pojmowała, czego Billy tak się boi. Potem ołśniło ją: JoLynn byłaby wściekła, gdyby ktoś nagle wciągnął ją do basenu, rujnując staranny makijaż i kunsztowną fryzurę.

Co za idiotka! pomyślała Shelley. Czy ona nie rozumie, ile jest warta dziecięca radość?

Uśmiechnęła się do Billy'ego, odgarnęła mokre kosmyki z oczu i podpłynęła nie spiesząc się w jego stronę.

- Ja się nie obrażam. Ja się mszczę! - oznajmiła.

Złapała Billy'ego za nadgarstek i skapała go z głową w basenie. Po kilku sekundach chłopiec wynurzył się z promiennym uśmiechem.

Cała trójka zaczęła wesołą bijatykę. Krzyki, śmiechy, pluski i kotłujące się postacie wyraźnie fascynowały drapieżnego Packa. Kot krążył wokół basenu, z zainteresowaniem śledząc przebieg wydarzeń i uchylając się przed wodą, która czasem pryskała w jego kierunku.

Kiedy całej trójce zabrakło już tchu, Billy zaproponował, żeby pobawić się dla odmiany w ślepą babkę. Ofiarował się nawet, że on pierwszy będzie ich łapał.

Shelley i Cain przez chwilę trzymali się z dala od Billy'ego, potem Cain znacząco mrugnął i „przypadkiem” głośno plusnął wodą, Chłopiec rzucił się w tamtą stronę i zdołał pochwycić wuja za ramię.

- Teraz twoja kolej!

Po wielu trudach Cain złapał chichoczącego Billy'ego, a ten z kolei chichoczącą Shelley. Wszyscy po wielokroć odgrywali rolę „ślepej babki”, aż wreszcie Billy'emu wyraźnie się to znudziło. Wówczas Cain pozwolił się schwytać. Coś sobie przy tym obaj poszeptali.

Cain zamknął oczy, policzył bardzo powoli do dziesięciu i wyruszył na poszukiwanie ofiary.

Mrużąc oczy od słonecznego blasku Shelley patrzyła na niego. Z ramionami wyciągniętymi jak najszerzej, żeby mieć w ich zasięgu dużą część basenu, Cain poruszał się bezszelestnie w wodzie.

Billy równie bezszelestnie dał nurka, dopłynął pod wodą na głębszy koniec basenu, a potem, gdy szum wodospadu zagłuszył dalsze jego kroki, wyskoczył z wody na kamienne płyty. Chłopiec przyłożył palec do ust i na paluszkach pomknął do domu. Bardzo ostrożnie otworzył i zamknął za sobą drzwi, zostawiając Shelley sam na sam w basenie z Cainem.

Chciała wymknąć się równie dyskretnie jak Billy, ale znajdowała się pośrodku basenu. Musiała przepłynąć duży kawał. Gdy skierowała się ku brzegowi, Cain popłynął za nią, wyczuwając prądy, wywołane ruchem jej nóg. Shelley zmieniła pozycję i pozwoliła unosić się fali.

Cain - zupełnie jakby miał sonar - ścigał ją wszędzie, wcale się zresztą nie spiesząc. W całkowitej ciszy, z gracjądrapieżnika zapędził Shelley w róg basenu.

Serce zaczęło jej bić coraz gwałtowniej z podniecenia i niepojętego, instynktownego strachu. Cain wydawał jej się ogromny, niepokonany, zwinny i bardzo silny.

Skryła się pod wodą i zaczęła uciekać w stronę wodospadu. Wielka łapa schwyła ją za kostkę, gdy wynurzyła się na powierzchnię.

Cain wyhynał z wody tuż obok niej, potrząsając moką czupryną.

- Teraz moja kolej? - odezwała się Shelley, której nagle zabrakło tchu.

- Mam lepszy pomysł.

Przyparł ją całym ciałem do krawędzi basenu i zamknął jak w klatce, kładąc ręce po obu bokach. Oczy miał zamglone z pożądania.

- Jeszcze Billy... - zaczęła Shelley.

- Billy robi lemoniadę dla biednego, wyczerpanego do cna wujka.

Wpatrywał się w smukłą, lśniąca od wody postać stojącą przed nim. Jej włosy były gładkie i ciemne, oczy niemal zielone w bladej poświacie jaśniejącej w grotcie za wodospadem. Woda dodała skórze Shelley połysku, zmieniła rzęsy w czarne, wilgotne gwiazdy, przeistoczyła włosy w ciemny welon, który trzepotał i muskał twarz Caina.

- Norko - powiedział zduszonym głosem - pragnę cię.

Wargi rozchyliły się; zbliżył głowę ku jej twarzy.

Miała dość czasu, by się odwrócić, ale uczyniła tego. Pragnęła jego pocałunku tak bardzo, że aż ją to przerażało.

Usta mężczyzny były gorące, a język po prostu płonął. Zanurzał go we wnętrzu jej ust powoli, coraz głębiej, mówiąc bez słów, że będzie równie stanowczy i łagodny w chwili, gdy stanie się częścią niej, że nie chce w nią wtargnąć, ale pragnie, by nawzajem przeniknęli się i dopełnili,

Gdy pocałunek dobiegł końca, Cain drżał, czując jednocześnie słodycz i gorycz, rozkosz i nienasycenie.

- Czy i ty mnie pragniesz? - spytał zmienionym głosem. - Powiedz, że pragniesz mnie choć troszkę! Powiedz, że nie tylko ja cierpię z pożądania.

Shelley z gardłowym jękiem rzuciła się ku niemu, oplótła mu ramionami szyję, przytuliła rozchyłone wargi do ust Caina, nie kryjąc przed nim uczuć.

Przyjął zachłannie ofiarowywany mu dar, nie panując już prawie nad sobą. Wpił się w nią żarłocznie, jakby umierał z tęsknoty za dotykiem jej warg, smakiem wnętrza ust, żarem języka.

I było tak rzeczywiście.

Shelley odwzajemniła miażdżący usta pocałunek z równym zapamiętaniem. Wbiła paznokcie w ramiona Caina, ciało przeżyło się przy jego ciele, zęby drażniły skórę. Siła własnego pożądania przeraziła ją z pewnością, gdyby była w tej chwili świadoma czegokolwiek poza żarem i bliskością Caina.

Mimo to, kiedy jego ręka sięgnęła ku jej piersi, Shelley zeszywniała i odsunęła się. Gdy jednak oderwał usta od jej warg, zaprotestowała żałośnie.

- Nie chciałam! - jęknęła.

Dźwięk jej głosu przeszył go jak miecz; wszystkie mięśnie sprężyły się. Nie chciał wypuścić jej z ramion, ale wiedział, że musi to uczynić. Inaczej zapomni o Billym, o tym, co wycierpiała Shelley, o wszystkim - prócz gwałtownego pożądania, które orało go pazurami.

Nie mógł posiadać Shelley w taki sposób! Nie mógł okazać się równie podłym egoistą jak człowiek, który upokorzył ją przed laty i sprawił, że jej zmysłowość została pogrzebana pod lawiną strachu.

Czule przesunął wargami po zaczerwienionej twarzy dziewczyny, szepcząc jakieś kojące słowa, tuląc łagodnie.

- Tak mi przykro - powiedziała Shelley łamiącym się głosem. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Oczy Caina rozszerzyły się, gdy pojął, że jest absolutnie szczerą. Naprawdę nie wiedziała, jak się czuje kobieta pobudzona, spragniona, pożądająca swego kochanka.

- Mnie nie jest przykro, ani trochę - odparł.

Nadal unikała jego wzroku.

- Spójrz na mnie, norko.

Powoli uniosła głowę. Jej oczy nadal były ciemne - zmieniła ich barwę burza namiętności, która wstrząsnęła ciałem.

- Właśnie taka powinna być kobieta w ramionach mężczyzny, którego pragnie - wyjaśnił. - Miękką i dziką.

- Ale... ja się na ciebie rzuciłam!
- Bardzo mi się to spodobało. Od początku do końca. Zęby, pazurki i cała reszta.

Była zaskoczona, pełna niedowierzania.

Cain pochylił sięku niej. Zęby zwały sięna skórze u nasady szyi. Ostrożnie, ale dość mocno pieściły jej gładkie ciało.

Usłyszał pełne zdumienia westchnienie. Potem poczuł dreszcz, reakcjąnaje go pieszczotę. Paznokcie Shelley znów wbiły się mu w ramiona, prosząc o więcej.

Domagając się pieszczot.

Z cichym śmiechem ucałował mały ślad zębów, jaki pozostawił na skórze.

- Wierzysz mi teraz? - spytał. - Możesz mnie maltretować, ile chcesz, gdy tylko przyjdzie ci na to ochota. Jestem równie spragniony jak ty.

Drzwi domu huknęły, zwiastując powrót Billy'ego.

Cain dostrzegł namiętność, która nią wstrząsała.

- Już wkrótce będziemy sami - zapewnił ją. - Przysięgam!

Zanurzył się w basenie i odpłynął od brzegu. Wyłonił się zza wodospadu z szybkością i siłą, które uzmysłowiły Shelley, jak żelazną ręką sprawował nad sobą kontrolę, jeśli nie zaszło nic więcej mimo ich gwałtownego pożądania i nieopanowanych, namiętnych reakcji.

Billy zmierzał w stronę basenu ostrożnie niosąc tacę. Z plastikowych szklanek przy każdym kroku chlustała lemoniada.

- Udało ci się ją złapać? - spytał Caina.

- Tak, ale grałem trochę nie fair.

- Podglądałeś?

- Nie - Cain uśmiechnął się szelmowsko. - Posłużyłem się zębami.

Chłopiec zrobił zdziwioną minę, potem roześmiał się. - Wszyscy na brzeg! Pora na lemoniadę.

- Wolę pić w wodzie - oświadczył Cain.

Oparł się łokciem o rozgrzaną słońcem kamienną płytę i wyciągnął rękę po szklankę.

Shelley wiedziała, czemu nie wychodzi z basenu. Ona nie musiała zachowywać podobnych środków ostrożności. Jej podniecenie zdradzał tylko silny rumieniec, który łatwo było wytłumaczyć upałem. Mogła więc spokojnie wyjść z wody i usiąść na krześle popijając lemoniadę.

Czasami, pomyślała ze skrywanym rozbawieniem, samica ma jednak pewną przewagę nad samcem!

Billy opróżnił szklankę kilkoma wielkimi łykami i spojrzał na nią.

- W kuchni coś bardzo fajnie pachniało - zauważył.

- Sprawdźłeś, która godzina? - spytała Shelley.

- Piąta trzydzieści. Na kuchence buczał jakiś sygnał.

- Ziemniaki!

Zerwała się i pobiegła do domu.

Cain głośno się roześmiał, ale śmiech zamarł na jego ustach. Zobaczył pełne wdzięku ruchy długonogiej Shelley, jej ciemnoczerwony, dwuczęściowy kostium

przylegała tak ściśle dodała, jakby pokrywała je farba w spray'u, podkreślając każdą miękką krzywiznę, każdą wypukłość... Koniuszki piersi sterczały, nabrzmiałe parującą z ciała wodą i pożądaniem, które nie chciało wyparować.

Minęło kilka minut, zanim ochłonał na tyle, by wyjść z basenu. Okręcił biodra ręcznikiem, pozbierał puste naczynia i zostawiając mokre ślady pomaszerował kamiennymi schodami, które skręcały koło wodospadu, a następnie prowadziły do drzwi kuchni, znajdującej się na drugiej kondygnacji.

- Pozbieraj fasolkę! - zawołał przez ramię do Billy'ego. - Apotem nakryjesz do stołu. Najwyższy czas, żebyś nabrał w tym wprawy. Nie zawsze wyręczy cię służąca.

-Ojej, wujku!...

- Ojej, bratanku!... - Cain doskonale naśladował płaczliwy ton Billy'ego. Chłopiec z rezygnacją przykucnął i zaczął zbierać rozsypaną fasolkę.

Pacek podkradł się bliżej, wypatrując nowej warzywnej zdobyczy.

Cain zauważył, co się święci, i już miał ostrzec bratanka, ale machnął ręką i pozostawił sprawy własnemu biegowi.

Gdy otwierał drzwi kuchni, usłyszał wrzask Billy'ego.

Shelley podniosła głowę znad ziemniaków. Zdołała je uratować w ostatniej chwili. - Co to było?

- Pacek go pacnął.

- Jesteś pewien, że to nie Duś go dusił?

Cain objął ją od tyłu i przygarniał do siebie tak mocno, że na ramionach wystąpiły wyraźnie gruzły mięśni.

~ Od duszenia jestem ja! - oświadczył.

Shelley zabrakło tchu na coś więcej niż nieme potaknięcie. Ucałował jąw ramię i wypuścił z objęć z takim żalem, że podziałało to na niąjak pieszczota.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? - zapytał.

Spojrzała z ukosa i uniosła brew, co pobudziło go do śmiechu.

- Mam na myśli coś, co wypada robić publicznie - wyjaśnił.

- Możesz wyżyć się na ziemniakach.

- Fantastycznie. Z przyjemnością stłukę je na kwaśne jabłko.

Skrzywiła się. - Powinam cię utopić, kiedy miałam okazję!

- Tak? A kiedy to było?

Uniosł wilgotne włosy i skubnął ją zębami w szyję. Tłuczek do kartofli wysunął się z palców Shelley i uderzył o blat stołu z metalicznym brzękiem. Cain złapał go, zanim spadł na podłogę.

- Nikt się jeszcze nie skarżył, że odrywasz go od pracy?

- Ty. Właśnie teraz. Naprawdę przeszkadzam ci w pracy, norko?

- I to jak!

- Jest na świecie sprawiedliwość! Gdybyś wiedziała, jakie ja mam trudności z koncentracją!

Podniosła ją, okręcił i postawił z powrotem na ziemi. Szybкими, sprawnymi ruchami przekształcił dymiące ziemniaki w gęstą, jednolitą masę.

Shelley stanęła na palcach i wyjrzała spoza jego szerokich pleców.

~ Teraz już wiem, jak się kobiety musiały męczyć, zanim wynaleziono elektryczne miksery - stwierdziła.

Cain spojrzał na nią spode łba.

Shelley dolała do ziemniaków gorącego mleka i topionego masła. Gdy Cain wyciągnął rękę po garnek, ugryzła go w biceps.

Znieruchomiał.

- Shelley... - zaczął gardłowym, ostrzegawczym tonem.

Do kuchni wmaszerował Billy taszcząc fasolkę w kilku różnych pojemnikach. Drzwi musiał otworzyć łokciem.

- Miałaś szczęście - powiedział Cain półgłosem.

- To nie szczęście, tylko mistrzowska kalkulacja!

Udowodniła to uskakując poza zasięg jego rąk.

- Co za kalkulacja? - spytał Billy.

- Uważaj na kota - odparła Shelley.

Chłopiec spojrzał w dół, wysunął stopę i przytrzymał drzwi, póki Pacek nie wśliznął się do wnętrza. Shelley odebrał Billy'emu fasolkę, zanim znów się rozsypała.

- Co za kalkulacja? - spytał znów chłopiec.

- Sekret przyrządzania tłuczonych ziemniaków.

- Prawdziwych ziemniaków?

W młodziutkim głosie wzruszająco splatały się ze sobą nadzieja i niedowierzanie.

- Ręczę. To moje dzieło - oświadczył Cain.

Rytmicznymi, ciężkimi uderzeniami tłuczka podkreślał każde ze słów.

- Ekstra! - ucieszył się Billy. - Już myślałem, że będzie puree z torebki.

- Fuj! - obruszyła się Shelley. - Klajster do tapet!

- Raczej klej biurowy - podsunął Cain.

Shelley prychnęła.

- Przemoczony papier toaletowy!

- Mokry beton.

Billy patrzył to na jedno, to na drugie jak widz na meczu tenisowym.

Potem uśmiechnął się od ucha do ucha, gdy wreszcie pojawił

- Chyba nie lubicie puree z torebek tak samo jak ja.

- No, może się przydać, kiedy człowiek znajdzie się na odludziu - oświadczył Cain.

- Po przejściu na piechotę stu kilometrów - dodała Shelley.

- Bez jedzenia.

- Odpięciu dni.

- I kiedy nie widać żadnej żywności.

- W promieniu dwustu kilometrów.

~ A w dodatku złamałaś nogę.

- I potrzebny ci gips! - zakończyła Shelley triumfalnie.

Billy czekał na ciąg dalszy, ale jego wuj tak się śmiał, że nie był w stanie przebić odzywkę Shelley.

Z uśmiechem wróciła do przebierania fasolki.

Pacek wykonał potężny, pełen gracji skok i wylądował na blacie stołu. Nie odrywał oczu od fasoli.

- Lubi fasolkę szparagową - stwierdził Billy.

- Czyżby? - spytała sucho Shelley. - Skąd taki wniosek?

- Traçał mnie zimnym nosem w du...

- Billy! - odezwał się ostrzegawczo Cain.

- No... w plecy.

- Nakryj do stołu - polecił bratankowi.

- Rozkaz!

Cain podał ziemniaki Shelley.

- Kiedy będzie kolacja?

- Jak tylko ugotuje się fasolka.

- Zdązę sprawdzić, czy się ktoś nagrał na mojej sekretarce?

- Nadal niepokoi cię Lulu?

- Nadal można się zalać gorzałą?

- Telefon jest w pokoju obok, tuż przy drzwiach.

- Dzięki.

Kiedy Billy nakrywał do stołu, Cain połączył się ze swoim apartamentem. Po chwili Shelley usłyszała, jak klnie. Odwiesił z trzaskiem słuchawkę, a potem nakręcił inny, wielocyfrowy numer. Rozmawiał przez kilka minut. Nie słyszała słów, ale wystarczył ton głosu.

Cain był wściekły.

Próbowała odgadnąć, co zaszło nad Jukonem, kiedy Cain wyjedzie, by temu zaradzić, i jak długo go nie będzie.

Obieżyświat, nigdzie miejsca nie zagrzeje.

Takie życie mu odpowiada, zapomniałaś? ofuknęła szorstko sama siebie.

Naprawdę zapomniała.

Nawet w tej chwili wolała o tym nie pamiętać. Ilekroć uświadamiała sobie jego włóczęgowskie nawyki, czuła rozczarowanie. Za każdym razem boleśniej.

Nie było już sensu zadawać sobie pytania: czy Cain ją zrani? Chodziło tylko o to, kiedy to nastąpi.

I jak bardzo będzie bolało.

II

Zanim Cain wrócił do kuchni, stół był nakryty, a kolacja gotowa. Jakoś nie wyglądało na to, że zje ją z apetytem. Zamiast leniwego, pogodnego uśmiechu, do którego przywykła, Shelley ujrzała zaciśnięte usta i zmarszczone brwi. Potem z wyraźnym wysiłkiem odsunął od siebie myśli o tym, co dzieje się nad Jukonem.

Już otwierała usta, by zapytać o wiadomości z północy, ale się rozmyśliła. Gdyby Cain chciał jej o tym powiedzieć, to by powiedział. Widocznie nie chce.

Wrzuciła dymiącą fasolkę do jaskrawo żółtej miski.

- Zanieś to na stół i zajmij miejsce - powiedziała. - Billy właśnie ustawił pieprz i sól.

Cain zwędził zieloną parującą fasolkę i wetknął ją do ust. Zachrząściła mu smakowicie w zębach.

- Ekstra! - powiedział identycznym tonem jak Billy. - Prawdziwe ziemniaki i fasolka, z których nie wygotowano do reszty smaku! Mam jak najlepsze prognozy co do kurczenia.

- Kurczą? - poprawiła Shelley. - Znając możliwości Billy'ego, upiekłam dwie całe sztuki i kupiłam oddzielnie sporo najsmakowitszych kawałków.

- Piersi? - spytał z miną pokerzysty.

- Udka - odparowała Shelley. - Poręczne i wgrzyźliwe.

Twarz Caina rozjaśnił uśmiech. - Co za szczęście, że cię spotkałem, Shelley Wilde! Myślałem, że nic już nie wprawi mnie w dobry humor, a ty dokonałaś tego kilkoma słowami!

- Drobiazg.

Ze śmiechem wkroczył do jadalni. Szła tuż za nim niosąc półmisek, na którym piętrzyły się pokryte chrupiącą skórką kawałki kurczaka. Uroczyście podał jej krzesło, przesunął palcami po gładkich włosach i usadowił się naprzeciw niej.

Podczas kolacji Cain zaczął wydobywać z bratanka informacje z łagodnym uporem, który Shelley przypominał Packa polującego na fasolkę.

- Jak ci idzie z matką tego lata? - spytał.

- Okej.

- Okej na szóstkę, okej na piątkę czy na...

- Cztery z minusem - odparł Billy z pochmurną miną.

- Ułamki?

- Zwykłe i dziesiętne. No i algebra! Algebra! Przecież jestem dopiero w siódmej klasie!

Cain polał sosem drugą porcję ziemniaków.

- A co z angielskim?

- Lepiej nie pytaj! ~ Billy wskazał na udko leżące na jego talerzu. - Mogę jeść palcami?

- Nie mam pojęcia - odparł wuj, spoglądając na bratanka z żywym zainteresowaniem. - Jak myślisz, możesz?

- Jasne, że mogę... A, o to chodzi! Pozwolisz mi jeść palcami, kochana Shelley?

- Większa poufałość... - zaczął Cain.

- Wszystko było jak trzeba — orzekła stanowczo Shelley. - Oczywiście, jedz palcami! Pieczone kurczęta całkiem tracą smak, jak się do nich zabrać nożem i widelcem.

Billy wziął do ręki udko i wgrzyzł się w nie z zapałem.

- Tężadań powinieneś zrobić podczas weekendu? - zaczął znów Cain po kilku minutach.

Billy rzucił mu niespokojne spojrzenie.

- Rozmawiałeś z tatą, co?

Cain czekał na odpowiedź. Chłopiec westchnął i odparł tonem rezygnacji: - Strasznie dużo.

- Wiesz, jak się do tego zabrać?

- Jutro to sobie przemyślę.

- Lepiej przemyśl to dzisiaj. Jutro mnie tu nie będzie.

Shelley raptownie uniosła głowę. Cain dostrzegł jej ruch kątem oka, ale zajmował się nadal bratankiem.

- Myślałem, że zostaniesz, dopóki tata nie wróci - powiedział Billy.

- Miałem nadzieję, że tak będzie. Ale... - Cain wykonał ręką gest eliminujący taką możliwość. - Muszę wrócić na kilka dni nad Jukon. Zdarzył się tam wypadek.

- Coś poważnego? - spytała Shelley, przypomniałszy sobie jego gniew.

- Ktoś rąbnął młotkiem w twardą czachę jednego z moich inżynierów.

Billy zdumiał się, a potem zawołał z entuzjazmem: - Naprawdę, wujku? Naprawdę się pobili?

Cain rzucił bratankowi groźne spojrzenie.

- No właśnie - wyjaśnił. - Pobili się. Jak dwa cholerne małolaty w szkolnej piaskownicy!

- Dzieci w szkole nie używają morderczych narzędzi! - zaproponowała Shelley.

- Pewnie dawno nie zaglądałaś do szkoły - mruknął Billy.

- Aresztowali napastnika? - spytała Caina.

- Po cóż mieliby to robić? To przecież Jukon. Poza tym chodziło o jego żonę. Shelley próbowała powstrzymać się od śmiechu, ale jej się nie udało.

- Niektóre sprawy wyglądają podobnie na całym świecie - stwierdziła potrząsając głową. - Mój tata zawsze się skarżył, że ma znacznie więcej kłopotów z ludźmi niż z wężami.

- Święte słowa! Tylko że mnie problemy durniów odciągają od badania warstw geologicznych. - Cain spojrzał jej prosto w oczy. - Bardzo mi przykro, norko.

- Nie ma sprawy - odparła obojętnie. - Żaden włóczykij miejsca nie zagrzeje.

Usta Caina zacisnęły się. Zwrócił się do bratanka.

- Kiedy wraca twoja matka?

Chłopiec nie odpowiedział od razu. Wpakował sobie do ust porcję ziemniaków i z pełną buzią wymamrotał: - Po śniadaniu.

Coś w zachowaniu Billy'ego sprawiło, że oboje dorośli spojrzeli na niego uważnie.

- Masz na myśli jutrzejsze śniadanie? - spytała łagodnie Shelley. - Czy jakieś w dalszej przyszłości?

Przez chwilę miała wrażenie, że nie doczeka się odpowiedzi. Potem chłopiec z wystudiowaną obojętnością wzięła do ręki kolejne udko. Zanim zatopił w nim zęby, wzruszył ramionami.

- Czasem te jej imprezy ciągną się cały tydzień. Ale nie ma sprawy: Luke pierze co trzeba i gotuje dla mnie, a mama zawsze zdąży wrócić do domu przed powrotem taty.

Twarz chłopca spochmurniała, gdy uprzytomnił sobie, że tata już nie wraca do mamy i ich wspólnego domu.

- Tak czy owak - stwierdził obgryzając zawzięcie udko - jakoś tam będzie.

Cain zaklął straszliwie, ale tak cicho, że tylko Shelley go usłyszała. Położyła mu dłoń na ramieniu, chcąc powstrzymać wybuch. Mięśnie były tak zwarte, że pojęła, jak bardzo jest wściekły.

- Jasne, że jakoś tam będzie - powiedziała spokojnie do Billy'ego. - Ale tym razem załatwimy sprawę inaczej. Cain przywiezie tu twoje ubrania i podręczniki. Zostajesz u mnie do powrotu mamy.

Wuj i bratanek równocześnie zaprotestowali.

- Żadnych sprzeciwów! - huknęła Shelley.

- Ależ... - zaczął Cain.

- Daruj sobie! Od Bóg wie ilu godzin główkuje, jak zwabić Billy'ego do mojego domu, żeby mnie zastąpił przy karmieniu Dusia. Nie przepuszczę takiej okazji!

Billy spojrział błagalnie na wuja.

- Jeśli sprawisz Shelley choćby najmniejszy kłopot, obedzę cię żywcem ze skóry! - zapowiedział Cain. - Doszło?

- Doszło! - zapewnił z pośpiechem Billy.

- Jeśli już mówimy o Dusiu i o głodzie - odezwała się Shelley - lepiej chyba sprawdzę wieko akwarium.

- Pacek? - domyślił się Cain.

- A ktoś by? Właśnie przemknął jak duch po schodach do sypialni.

Wstała i szybko zeszła na dół. Nie bała się o życie Dusia, ale potrzebna jej była jakaś wymówka: miała jeszcze kilka drobnych spraw do załatwienia'.

Chodziło konkretnie o prezenty dla Billy'ego.

Wyjęła je z szafy i ułożyła na łóżku. Wyglądały efektownie, choć trochę dziwnie. Dopiero po powrocie uświadomiła sobie, że nie ma ozdobnego papieru do pakowania. Przetrzęsławszy pośpiesznie różne domowe skarby, znalazła próbki foliowanych tapet, które wyszły już z mody. Nadawały się w sam raz.

- Brakuje wstążek i kokard - orzekła. - O tym też nie pomyślałam. Co to za prezenty bez wstążki?! Czym by ją zastąpić? Pomyślmy... Włóczka? Paciorki? Sztuczne kwiaty z folii?

Nagle doznała olśnienia.

- Idealne rozwiązanie! Chyba że ten stwór zacznie się kotłować!

Podeszła do szklanej klatki Dusia. Wąż wyglądał na zasnętego, nieskończonego do biegów. Leżał luźno zwinięty, był w dotyku raczej chłodny. To całkiem normalne u gada, który nie wygrzewa się na pustynnej skale.

Shelley wyjęła Dusia i zaniósła go na łóżko. Paroma sprawnymi ruchami okręciła węża wokół prezentów. Potem zaciągnęła story, zgasiła światło i stanęła w ciemnym pokoju tuż obok zamkniętych drzwi.

- Cain! Billy! - zawołała nie otwierając ich. - Możecie zejść na minutkę i pomóc mi przy Dusiu?

Od strony schodów dolatywały do niej strzępki zdań: obaj zastanawali się, co też mogli zbroić Duś i Pacek w tak krótkim czasie?!

Drzwi się otwarły. Ręka Caina pomknęła w stronę kontaktu i natrafiła na palec Shelley.

- Codo...?

- Wszystkiego najlepszego, Billy! - zawołała Shelley zapalając światło.

Zaskoczony chłopiec zrobił wielkie oczy. Spoglądał to na Shelley, to na łóżko, i znowu na nią - jakby nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

- Skąd wiedziałas?! Nawet mama zapom... - Głos mu się załamał.

- Duś mi powiedział - pospiesznie odezwała się Shelley.

Starając się powstrzymać łzy, Billy podszedł do łóżka. Pochylił się nad wężem, by ukryć twarz.

- Nigdy cię już nie przypuszczę do sekretu, cholerny gadzie! Zaraz wszystko wypaplesz!

Palec chłopca dotknęły z wahaniem barwnej paczki.

- Na co czekasz? Zabierz się do roboty! - powiedziała Shelley. - Chyba nie wyobrażasz sobie, że Duś będzie nie tylko zawijał, ale i odwijał twoje prezenty?

Billy na sekundę uniósł głowę. Widząc pełen szczęścia, a jednocześnie nieśmiały uśmiech Shelley omal się nie rozpfakała.

Przyglądała się ze ściśniętym gardłem, jak chłopiec owija sobie gada wokół szyi i bierze do ręki pierwszy prezent. Odpakowując go nie przestawała paplać o niedyskretnych wężach i o kłopotach, jakie miał zapewne Duś z taśmą klejącą.

Palec Caina zacisnęły się wokół dłoni dziewczyny. Podniósł ją dyskretnym ruchem do ust i musnął wargami.

- Nie ma drugiej takiej jak ty, Shelley Wilde! - Ucisnął jeszcze mocniej i powtórnie ucałował rękę, przyciągając Shelley coraz bliżej. Ocierał się leniwie policzkiem o jej włosy, delektując się niepowtarzalnym zapachem. Uśmiechała się i oparła swobodnie plecami o Caina, czując bijące od niego ciepło i ciesząc się jego bliskością.

- Dziękuję! - szepnął Cain. - Billy nie miał ostatnio łatwego życia.

- Obejdzie się bez podziękowań! Dawno się już tak dobrze nie bawiłam!

Billy wydał okrzyk radości wyciągnawszy ze sztywnego opakowania książkę.

- Ekstra! Jego najnowsza powieść! Nie wiedziałem, że już wyszła! Jakie fantastyczne ilustracje!

Z zapałem zabrał się do lektury. Odwrócił stronę, chciał czytać dalej - i przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Troskliwie odłożył książkę na bok i wzięła się do odpakowywania następnego upominku.

- Skąd wiedziałaś, co on lubi czytać? - szepnęła Cain.
- Jak się umie gadać z węzami...
- Nie wciskaj kitu!
Shelley uśmiechnęła się.
- Uwierzyłybyś, że włamałam się do cudzego domu?
- Do pokoju Billy'ego?
- Prawdę mówiąc, Lupe mnie wpuściła. Reszta to już był naprawdę drobiaz. Pokój Billy'ego jest taki sam jak on: pełen życia i bez krztyny fałszu.
Chłopiec wydał znowu radosny wrzask i pomachał w ich stronę albumem.
- Popatrz tylko, wujku! Zaraz się przekonasz, jak naprawdę wyglądają ślimaki bojowe Gorpów i czarodzieje z planety Tannax IV, i... - Chłopiec przerzuczał w błyskawicznym tempie indeks. - Czerfaki! Są tu nawet czerfaki!!
Shelley poczuła, że Cain trzęsie się ze śmiechu. Przygarnął jajeszce mocniej.
- Nie mogę się wprost doczekać - powiedział do bratanka. Potem znów cichutko szepnęła Shelley do ucha: - Co to są te czerfaki?
- Lepiej nie pytaj! Okropne stwory.
Billy utonął bez reszty w albumie pełnym po mistrzowsku odtworzonych krajobrazów „nie z tej ziemi”. W końcu jednak oderwał się od niego: zbyt był ciekaw, co kryje się w ostatniej, największej paczce. Podniosła, delikatnie nią potrząsnął i zaczął odwijać papier. Choć bardzo chciał poznać zawartość, przedłużał jak mógł ceremonię odpakowywania ostatniego prezentu.
Srebrny smok wyłaniał się stopniowo z warstw bibułki. Z okrzykiem zachwytu i niedowierzania Billy uniósł statuetkę i obracał ją ze zbożnym podziwem w chłopięcych dłoniach.
- On jest... on jest super-hiper-ekstra! - stwierdził. - Popatrzcie tylko na te łuski i na zęby! I pazury!
- Uwważaj! - ostrzegła go Shelley. - Są bardzo ostro zakończone.
Billy dotknął zakrzywionych kłów i szponów.
- Naprawdę można się skaleczyć! - stwierdził z zachwytem. - Ten smok to nie mięczak! Założę się, że zjada rycerzy na śniadanie, całe wojska na obiad i królów na deser!
Duś zaczął się wiercić. Ciepło ludzkiego ciała wyraźnie ożywiło węża. Ciemny, rozwidlony język dotknął kilkakrotnie smoka. Potem Duś oparł głowę na srebrnym monstrum i spojrzał na Shelley przeciągle, bez zmrużenia oka.
- Myślisz, że go zaaprobował? - spytał Cain.
- Sądzę, że już najwyższa pora, żeby Duś wrócił do swego domku. Rozejrzyj się po okolicy.
Cain dostrzegł Packa podkradającego się coraz bliżej. W dwóch susach był koło Billy'ego, zdjął pospiesznie Dusia z jego ramion i wpakował węża łagodnie, ale stanowczo do akwarium.
Pacek przyglądał się całej scenie ze zwykłą kocią ciekawością, nie okazując zdecydowanie krwiożerczych zamiarów.
Cain umocował ciężkie wieko.
Duś polizał szkło i wpatrywał się w kota.

- Myślicie, że się zaprzyjaźnią? - spytał Billy.
- Obaj wyżyją- powiedziała sucho Shelley - dopóki będzie w pobliżu jakiś rozjemca. Może te obustronne podchody będą ich nawet bawiły.
- Lepiej dziś wieczór nie kuśmy losu - poradził Cain. - Jestem zbyt zmęczony, by grać rolę bufora między drapieżnym kotem a boa dusicielem. Zabieramy wszystkie twoje łupy, Billy, i wracamy na górę.
Kiedy Cain i Billy zebrali już całe naręcza prezentów, Shelley zamknęła za nimi drzwi sypialni. Potem wyminęła ich biegiem na schodach, gasząc po drodze światła.
- Co to ma znaczyć? Jakies testy na orientację po ciemku?! - dopytywał się Cain.
Wydawało się, że Shelley go nie słyszy.
- Ojej! - poskarżył się Billy wpadłszy na wuja. - Strasznie twarde masz buty!
- Ludzie nieraz już łamali sobie nogi po ciemku - zauważył głośno Cain.
- No to zwolnijcie tempo! - wrzasnęła Shelley z kuchni.
Wyjęła tort urodzinowy Billy'ego ze schowka w kredensie. Męskie głosy rozlegały się coraz bliżej.
- Wolniej! - domagała się.
Szybko zapalała świece, jedną po drugiej, podskakując ze zniecierpliwienia, gdy płomień nie miał się wiotkich knotków.
Billy i Cain dotarli do jadalni nie bez przygód. Odgłosy potrącanych mebli i gniewne pomruki dochodziły do kuchni przez ścianę.
- Zamknijcie oczy! - zawołała Shelley.
- A cóż to da? - zdumiał się Cain.
- Mogę przedtem usiąść? - spytał Billy.
- Nie mam pojęcia. Trafisz?
Od tej chwili ich rozmowa przerodziła się w słowną potyczkę, jakby nie byli wujem i bratankiem, lecz dwoma braćmi-równolatkami.
Ilekróć Shelley wybuchała śmiechem, rozbawiona jakimś docinkiem, ręka jej drgała i były problemy z zapaleniem kolejnej świeczki.
- Co z tobą, Shelley? - zawołał Cain.
- Spoko! Przygotowuję testy na orientację po ciemku.
W chwilę później Cain wkroczył do kuchni ze stosem brudnych talerzy. Gdy ujrzał, jak Shelley pochyła się w ciemności nad urodzinowym tortem, w jej oczach odbijają się płomyki świec, a na ustach rozkwita tajemniczy uśmiech, miał ochotę rąbnąć talerzami o ziemię, chwycić ją na ręce i zniknąć razem z nią w mroku nocy.
Nie uczynił tego jednak. Po prostu włożył talerze do zlewu i wpatrywał się w Shelley, uśmiechnięty jak ona. Szare oczy rozświetlał mu odbłask tańczących płomyków.
Wreszcie wszystkie świece zostały zapalone. Wzięła do rąk tackę z tortem i ruszyła ostrożnie w stronę jadalni.
Cain na dany znak otworzył przed nią drzwi.
- Zamknąłeś oczy? - zawołała do Billy'ego.

-Tak.

- Tylko nie podglądaj!

Chłopiec nie raczył odpowiedzieć.

Gdy weszli do jadalni, siedział wyprostowany i krzywiąc się okropnie zaciskał powieki z całej siły.

Shelley postawiła tort przed samym jego nosem i natychmiast zaczęła śpiewać „Szczęśliwych urodzin, Billy, szczęśliwych urodzin...”. Niski głos Caina zawtórował jej dobrodusznie, choć fałszywie.

Gdy przebrzmiały okolicznościowe pienia, Billy otworzył oczy. Omal nie wypadły mu z głowy. Jego mina na widok tortu warta była każdej minuty, którą Shelley poświęciła na przygotowanie tego arcydzieła.

Wśród czekoladowych gór i cytrynowych rzek, w blasku urodzinowych świeczek igrały fantastyczne stwory. Miniaturowe zwierzątka połyskiwały w migotliwym blasku. Zdawało się, że ożyły i spacerują po smakowitej krainie.

Przez dłuższą chwilę Billy siedział i wpatrywał się w fantastyczną scenę rozgrywającą się przed jego oczami, szeroko otwartymi i pełnymi powstrzymanych łez.

- Pomyśl jakieś życzenie! - podpowiedziała mu Shelley.

Billy pochylił się nad tortem i dmuchnął z całej siły.

Nagle w jadalni zrobiło się zupełnie ciemno.

- Dobra robota! - stwierdził Cain zapalając światło. - Teraz twoje życzenie spełni się na mur!

Gdy Cain nakładał na talerzyki porcje lodów, Shelley otarła wszystkie figurki z lukru i ustawiła je w rządki przed Billym. Przyglądał im się prawie z czcią. Gdy pochwycił spojrzenie dziewczyny, uśmiechnął się do niej.

- Bardzo dziękuję! - powiedział.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Ręka Shelley dotknęła przelotnie jasnych, miękkich włosów chłopca. - Nie bardzo się znam na tych sprawach: czy takiego dorosłego chłopaka wypada uściskać z okazji urodzin?

Nie wstając z krzesła Billy objął ją mocno ramionami w pasie i wtulił twarz w jej suknię. Był zdumiewająco silny, prawie ją dusił, ale Shelley się nie skarżyła. Odwzajemniła jego uścisk i w duchu zadała sobie pytanie., czemu taki dzieciak jak Billy ma taką matkę jak JoLynn?!

Później, kiedy pomagała mu zanieść wszystkie prezenty do pikapa, użytego przez Caina do przewozu motocykli, Billy zadał wujowi pytanie, którego ona sama nie miała odwagi postawić.

- Jak długo cię nie będzie?

- Nie wiem. Właż. Smoka lepiej weź na kolana.

Billy zwinnie wskoczył do wozu i wyciągnął ręce po pudło.

- Tydzień? - dopytywał się chłopiec. - Miesiąc?

- Tydzień, może jeszcze krócej.

Cain powiedział to jakoś bez przekonania.

Pewnie o wiele dłużej niż tydzień, pomyślała z goryczą. Dlaczego, na miłość boską, miałyby mnie to martwić? To Billy potrzebuje Caina, nie ja!

Odwrociła się od Caina i umieściła przy nogach Billy'ego cały worek prezentów. Gdy się z tym uporała, pieszczotliwie zmierzwiła chłopcu włosy.

- Do jutra!

- Jeszcze raz dziękuję! - powiedział.

Uśmiech i słowa Shelley były szczere: - Cieszę się, że ci się podobało!

Odsunęła się od wozu nie rzuciwszy nawet okiem na Caina. Od dzieciństwa nie mogła znieść pożegnań.

A to było z całą pewnością pożegnanie.

Ból, który odczuwała, uprzytomnił jej, że na nic się nie zdały twarde lekcje dzieciństwa i małżeństwa. Zbyt mocno i zbyt szybko przywiązała się do Caina. To, że pożądała go fizycznie, było samo w sobie czymś bardzo niepokojącym. Ale pragnienie duchowej więzi mogło ją całkowicie zniszczyć!

Musi skończyć z tym zaraz, natychmiast! Pora odciąć cumy i wypłynąć na pełne morze, powtórzyć jeszcze raz smutny rytuał znany z dzieciństwa.

- Bywaj, włóczykiju! Mam nadzieję, że wszystko nad Jukonem ułoży się po twojej myśli.

Cain zdał sobie sprawę, że za tymi uprzejmymi słowami kryje się definitywne pożegnanie.

Shelley odwróciła się i nie obejrzała już ani razu. Oddalała się szybkim krokiem po ciemnej ścieżce wiodącej do domu.

Trzasnął drzwiami pikapa. Z całej siły.

- Nie ruszaj się stąd - zapowiedział Billy'emu. - Zaraz wracam.

Usłyszała tylko trzask zamykanych drzwiczek. Otworzyła drzwi domu i zamknęła je za sobą. Potem zatrzymała się kilka kroków od wejścia i uświadomiła sobie ogrom poniesionej straty.

Ręce jej się trzęsły. Płacz ścisnął za gardło. Miała ochotę głośno krzyknąć, przeklinając własną głupotę.

Znam Caina dopiero od kilku dni, a na samą myśl o tym, że nie będę go widzieć przez parę tygodni, cały świat wokół mnie szarzeje!

Zaczęła zawzięcie wmawiać w siebie, że nic się przecież nie stało. Nadal prowadzi życie, jakie jej odpowiada. Nadal ma pracę, która ją satysfakcjonuje, i dom, o którym marzyła przez całe tułaczce dzieciństwo, Osiągnęła każdy cel, jaki postawiła sobie po rozwodzie.

Mam wszystko.

Oprócz Caina.

Cain wśliznął się do środka, zwinnie i bezszelestnie jak kot. Drzwi zatrasnęły się za nim z głośnym stukiem. Potężne ramiona objęły Shelley, przyciskając ją z zatrważającą siłą.

- Zapomniałaś się pożegnać - powiedział stanowczo. - Walcz z tym, co nas łączy, jeśli chcesz, ale to niczego nie zmieni. Jestem od ciebie silniejszy, a i mój opór nie zda się na nic.

Przycisnął ją do potężnego ciała, a jego usta wdarły się do wnętrza jej ust, znajdując tam miękkość i żar, których Shelley chciała go pozbawić. Całował ją żarłocznie, brutalnie. Próbował się opanować, pokonać gniew i strach,

które zawładnęły nim w chwili, gdy odwróciła się od niego i odeszła, jakby był tylko kierowcą odwożącym Billy'ego.

Dopiero gdy poczuł smak łez, spływających gorącym deszczem po jej twarzy, odzyskał panowanie nad sobą.

- Shelley! - wymówił jej imię nagłaco; powtarzał je raz po raz, całując ją ze zniewalającą tkliwością. - Shelley, nigdy już nie odwracaj się ode mnie tak jak dziś! Tak bardzo cię potrzebuję.

- Ale znamy się dopiero od kilku...

- Siebie samego znam dobrze i od dawna - przerwał. - A za tobą tęskniłem całe życie.

Pocałował ją mocno i czule. Drżała i bezsilnie tuliła się do niego. Potem pocałowała go z zachłannością, w której było nie tylko fizyczne pożądanie, ale i pragnienie zachowania jakiejś jego cząstki na długie, samotne chwile.

- Ty też mnie potrzebujesz - mówił - choć nie możesz przyzwyczaić się do tej myśli. - Przygarnął ją jeszcze mocniej, potem wypuścił z objęć. - Wróć. A ty będziesz na mnie czekała.

Drzwi frontowe cicho otwarły się i zamknęły. Shelley została sama: milcząca, splakana, ze słodko-gorzkim smakiem ust swego włóczykija na wargach.

12

9 odręcznik do matematyki był w równie opłakanym stanie jak Billy, zanim Shelley zaczęła mu pomagać. Teraz siedziała na podłodze obok chłopca, gdyż odkryła, że wolał odrabiać lekcje w warunkach utrudniających Dusiovi zabawę w chowanego.

Boa ubóstwiał związać się na dnie szuflad, kryć za poduszkami na kanapie, wygrzewać na słońcu w niedostępnych zakamarkach za meblami. Spędziwszy kilka godzin na szaleńczym pościgu za różowym wężem, postanowiła twardo, że Duś nie będzie opuszczać sypialni, gdzie liczba ewentualnych kryjówek jest ograniczona.

W tej właśnie chwili Billy siedział po turecku, opasany Dusiem w pasie.

- ...ale jak nie podają ani długości, ani szerokości pokoju - argumentował - to jakim cudem mogę... Wynos się, Pacek!... obliczyć jego powierzchnię?!

Pacek spojrział na chłopca z wyrzutem i przestał uderzać łapą w Dusia, który powoli zaczął się odwijać.

Shelley na wszelki wypadek jednym okiem śledziła domowe zoo, drugie utkwiała w podręczniku matematyki.

- Masz podane wymiary pokoju - stwierdziła.

- Naprawdę?

- Przemyśl to sobie. Jak długi jest ten pokój? Nie w bezwzględnych jednostkach, tylko tak, jakbyś go opisywał koledze,

Billy zmarszczył czoło i odsunął kawałek węża, który zasłaniał mu wykres w podręczniku.

- Dwa razy dłuższy niż szerszy? - odezwał się w końcu.

- Dobrze!

- No tak, ale oni chcą, żebym podał dokładny wymiar.

- Dojdziemy do tego. Więc jeżeli... Precz, kocie!

Odciągnęła Packa za skórę na karku. Kot uderzał łapą ze schowanymi pazurami w solidny zwój węża, który właśnie przemykał w pobliżu.

- Jeśli określimy szerokość pokoju jako iks... Dostyc tego, Pacek!... to jaka będzie długość?

- Podwójne iks?

- Ciepło, ciepło...

- Aha, dwa iks, jak w zadaniu numer trzy.

- Brawo!

Na pociągłej twarzy Billy'ego widać było rosnące podniecenie. - Wobec tego powierzchnia równa się iks razy dwa iks?

- Brawo do kwadratu!

Billy odpowiedział jej uśmiechem i pochylił się nad książką.

Shelley nie puszczając Packa przyglądała się chłopcu, który z prawdziwym entuzjazmem rzucił się do roboty. Pisał bez wahania i rzadko coś przekreślał. Gdy wreszcie dotarło do niego, że może posłużyć się iksem w każdym miejscu, czasie i okolicznościach, z satysfakcją wypróbował tę nową broń.

Jak od dawna podejrzewała, Billy miał bystry, dociekliwy umysł - choć zanim zmusiła go, by zaczął się nim posługiwać, stoczyli prawdziwą wojnę: Billy był uparty jak osioł i skłonny do uników.

Ku zdumieniu chłopca okazało się, że Shelley jest jeszcze bardziej uparta i równie bystra jak on.

Zabrzączał domofon.

- To pewnie twoja mama - powiedziała. - Rusz się i wpuść ją.

Duś zsunął się całkiem na podłogę, gdy chłopiec zerwał się na równe nogi. Wąż zaczął pełzać po pokoju w poszukiwaniu nowych szczytów do zdobycia.

Billy nacisnął guzik domofonu. - Drzwi otwarte, mam! Możesz wejść. Przyjdziemy zaraz, jak tylko Shelley pomoże mi rozwiązać ostatnie zadanie i jak schowamy Dusia do klatki.

Wyłączył domofon i klapnął znów na podłogę sypialni z wdziękiem żrebaka, tak charakterystycznym dla nastolatków.

Shelley wpatrywała się w chłopca zdumiona, że nie pobiegł na górę przywitać się z matką. Ostatecznie nie widział JoLynn od sześciu dni!

- Zadanie może poczekać, dopóki nie powiesz mamie „cześć!” - wyjaśniła mu.

- Jej na tym nie zależy - odparł Billy z roztargnieniem.

Leżąc na brzuchu i opierając głowę na rękach wpatrywał się w podręcznik. Czoło miał zmarszczone: najwyraźniej starał się uporządkować w głowie różne algebraiczne mądrości.

Pacek równie dobrze jak wąż potrafił docenić ciepłe podłozę i natychmiast usadowił się na miejscu, które Duś przed chwilą zwolnił. Przeszkadzało to Billy'emu w pisaniu, ale się nie skarżył. Sześć ostatnich nocy przespałi z Packiem zgodnie w jednym łóżku.

Kątem oka Shelley dostrzegła, że Duś wspina się na komodę. Wyciągnęła rękę, schwyciła gada za zwięzający się koniec ogona i łagodnie, lecz zdecydowanie pociągnęła żadnego przygód węża po dywanie w swoją stronę.

Duś odwrócił się i spojrzał na nią przez (nieistniejące przecież!) ramię. Nie próbował się jednak uwolnić. Gdy tylko go puściła, owinał się wokół jej nadgarstka usiłując przyciągnąć Shelley do komody. Kiedy mu się to nie udało, postanowił przerzucić się wyżej, na ramię.

- Nie zaczynaj z nią, wężu - odezwał się Billy, nie podnosząc głowy. - Ona ma w sobie sto razy więcej iksów niż ty!

Pacek uderzył łapą w ołówek, który tak kuszaco kołysał się sunąc po papierze przed czarnym nosem.

- Wkurzasz mnie, kocie - stwierdził Billy, niezbyt groźnym tonem. - Shelley!

- Co takiego? - odezwała się ściągając Dusia z szyi, zanim zdążył się tam zadowozić.

- W tym zadaniu czegoś brakuje.

Shelley wyciągnęła się jak długa na podłodze, by przyrzeć się z bliska treści zadania. Billy przesunął podręcznik tak, że oboje mogli z niego czytać.

Duś i Pacek spotkali się nos w nos: rozdzielała ich tylko otwarta książka. Język węża zamigotał jak czarny płomyk. Wąsy kota poruszyły się z równym zainteresowaniem.

Shelley odepchnęła różowy splot sunący ku Packowi.

- Piszą, że B równa się dziesięć - oznajmił Billy - a C jest równe A, i dwa A równają się B. A potem pytają, czemu równa się C. Skąd u diabła mam wiedzieć, jak nie mam błędnego pojęcia, czemu równa się A?

- Ile musisz mieć B, żeby z nich wyszło A?

Billy zmarszczył brwi i zaczął powtarzać półgłosem treść zadania. Po minucie podniósł głowę znad książki. - Potrzeba tylko połowy B, żeby wyszło A.

Shelley czekała na dalsze wnioski.

- O, już załapałem! - ucieszył się Billy. - Ekstra!

Pochylił się nad książką i zaczął pisać. Wprawnym ruchem ręki odgarnął Packa i jęden ze zwojów Dusia. Shelley owinęła go sobie na przedramieniu, żeby chłopiec mógł pracować w spokoju. Względny.

- B to dziesięć, a A to jedna druga B - rozumował głośno Billy, a w jego głosie brzmiało podniecenie wywołane kolejnym odkryciem. - Wobec tego jedna druga dziesięciu, czyli pięć, i to się równa A, a to się równa C. Całkiem proste.

- Ale nie zawsze łatwe - odezwał się jakiś głos ode drzwi. - Jak większość spraw w życiu.

Shelley wydała okrzyk zdumienia, wykonała pełny obrót i spojrzała w stronę, skąd dolatywał głos. - Wróciłeś!

Choć Cain był wykończony, brudny i wściekły z powodu bałaganu, jaki zastał w swej mansardzie, uśmiechnął się do kobiety, która leżała u jego stóp. Trudno się było nie uśmiechnąć. Z jej błyszczących, rozpuszczonych włosów wyglądała różowy boa. Wielka kocia łapa trącała Shelley w drugie ramię w pogoni za nieuchwytną głową węża.

-- Cześć, wujku! - odezwał się Billy pisząc zawzięcie. - Za minutę skończę.

- Nie ma pośpiechu. Od lat już nie byłem w cyrku. - Usiadł na podłodze po turecku. - Czy mam przyjemność z zaklinaczką węży?

- Prawdę mówiąc, jestem pogromczynią lwów.

W jej gardłowym głosie słychać było zdumienie i coś jeszcze - coś, co przepełniło radością zmęczone ciało Caina. Shelley była uszczęśliwiona spotkaniem tak samo jak on!

- Pogromczynią lwów, powiadasz? - spytał leniwym głosem. - A więc to zapewne jest lew.

Wyciągnęła rękę, chwycił Packa za kark i unióśł go w górę.

Kot zniósł chwyt Caina z absolutnym spokojem. Odwrócił tylko nieznacznie łebek, by móc w dalszym ciągu śledzić poczynania Dusia.

- Wytresowałaś go na medal - stwierdził Cain.

Potrząsnął głową i postawił Packa na podłodze w bezpiecznej odległości od węża i pogromczynie lwów. Kot natychmiast zaczął skradać się w stronę Dusia.

- Billy! - powiedział Cain.

- Tak, wujku?

- Skoncentruj się bez reszty na matematyce przez parę minut, dobrze? Muszę rozwiązać pewien osobisty problem z czynnikiem iks, którego mi brakowało przez sześć dni.

Chłopiec zerknął znad książki dokładnie w tym momencie, gdy jego wuj pociągnął Shelley na kolana. Na sekundę Billy osłupiał. Potem uśmiechnął się, pochylił nad podręcznikiem i zagłębił w matematyce.

- Witaj, norko - szepnął Cain.

Jego pocałunek był bardzo powściągliwy, niemal niewinny. Ajednak Caina przejął dreszcz, gdy ich usta się zetknęły. Sześć dni dłużyło mu się jak sześć miesięcy!

Z Shelley było podobnie. Przygarnęła się do niego urnie, wtulając głowę w jego pierś, ocierając się o niego jak kot.

Cain wydał westchnienie ulgi. Bardzo często zastanawiał się, czy Shelley ucieszy się na jego widok. Może nadal będzie zła o to, że tak nagle musieli się rozstać?

- Cześć, wędrowniku! - szepnęła. - Witaj w domu!

Jej palce przeczesywały sploty włosów Caina, gładziły porośnięty kłującą szczecina policzek, delikatnie obwiodły kontur ust. Potem ręka Shelley spoczęła tuż nad zapięciem koszuli w kolorze khaki: przycignęło ją bijące stamtąd ciepło.

Pod opaloną skórą na szyi Caina wyraźnie nasiliło się tętno.

Shelley uśmiechnęła się niemal żałośnie dotykając pulsu opuszkami palców. Pod nieobecność Caina próbowała znów wznieść swe bariery ochronne. Wielokrotnie zastanawiała się, jak go powita. Będzie uprzejma, obojętna, całkowicie opanowana.

Bezpieczna.

Gdy jednak zjawił się nieoczekiwanie, wszystkie bariery runęły na widok jego wymizerowanej, pobrużdżonej twarzy. Wszelka myśl o utrzymaniu Caina na dystans ulotniła jej się z głowy. Pragnęła tylko złagodzić napięcie, które w nim wyczuwała.

Przytuliła się jeszcze mocniej i gładziła świadczące o znużeniu zmarszczki na czole i po obu stronach ust, jakby mogła dotknięciem uwolnić go od zmęczenia i wziąć je na siebie.

Cain potarł leniwie zarośniętym policzkiem ojej włosy. Jedwabne nitki zaczepiły się o szczecinę i trzeba je było uwolnić lekkim szarpnięciem.

- Jestem chyba równie miły w dotyku jak kaktus - stwierdził. - A wyglądam jeszcze gorzej.

Shelley spojrzała na niego swoimi zielono-żółtymi oczami, dostrzegając każdą zmarszczkę, ciemne kręgi pod oczami, gęsty cień zarostu zniekształcający zarys szczęki.

- Wyglądasz... cudownie.

- Nie wciskaj mi podróbek - szepnął całując leciutko jej powieki, które zakryły jaśniejące oczy. - Wyglądam jak strach na wróble.

- Nie dla mnie.

Uścisk ramion Caina zacieśnił się. Przygarnął Shelley mocniej i zanurzył twarz w jedwabistej przędzy jej ciemnych włosów.

- Nareszcie jestem w domu - szepnął w westchnieniem, prawie z jękiem.

- I ja - odparła również szeptem.

Poczucie, że jej miejsce jest właśnie tu, w jego ramionach, było tak silne, że zaniepokoiło Shelley. Potem gdzieś się rozplynął strach i bolesne wspomnienia. Przestało istnieć wszystko prócz chwili obecnej i bliskości tego właśnie mężczyzny - było to dla niej zupełnie nowe doznanie.

Cain poczuł, że ramiona dziewczyny zaciskająmu się wokół szyi. Gorące, kobiece ciało przylgnęło umie do jego ciała. Leciutko przesunął się tak, że pasowali do siebie idealnie, oddychali jednym oddechem, serce przy sercu.

Oboje przymknęli oczy i zaczęli się leciutko kołysać, przekazując sobie tym ruchem uczucia, których nie potrafili wyrazić słowami.

- Wujku, przykro mi cię rozczarować, ale to nie Shelley ściska cię za szyję. Cain otworzył jedno oko.

Czarne błyszczące oczka Dusia wpatrywały się w niego bez mrugnienia.

Cain zaczął wysuwać i chować język jak wąż, tyle że w wolniejszym tempie.

Duś zamarł w bezruchu, zdumiony niezwykłym widokiem. Powoli dłużej ciało węża sprężyło się mocniej: boa zamierzał otoczyć szyję Caina jeszcze jednym zwojem.

Shelley zaśmiała się z cicha, ubawiona wyrazem twarzy Caina.

- Pomóc ci? - spytała.

- Umiesz gadać po wężowemu?

Shelley zaczęła wysuwać i chować język równie szybko jak Duś.

Oczy Caina przybrały barwę dymu, gdy wpatrywał się w jej migający różowy język. - Zgoda na wszystko - szepnął pochylając się ku niej.

- Wujku...

- Wiem, wiem.

Jedna silna ręka ujęła Dusia za głowę, druga schwyciła muskularny węzowy zwój.

Shelley zsunęła się z kolan Caina i odeszła na bok, podczas gdy on ściągał węża z szyi. Głowa Dusia znalazła się na wysokości ludzkiej twarzy.

- Pora na karmienie dzikich zwierząt? - domyślił się Cain.

- Na to wygląda - przytaknął Billy.

- Masz coś dla niego?

- A jakże. Wystaraliśmy się dziś o szczura.

- No to smacznego!

Wręczał właśnie węża bratankowi, gdy zadzwieczał dzwonek u drzwi wejściowych,

- Zajmę się twoją matką - powiedział Cain.

- A ja otworzę drzwi - oświadczyła Shelley. - Nakarm tego stwora, zanim zacznie polować na Packa.

- Oni się ze sobą zaprzyjaźnili! - zaprotestował Billy,

- Zapomną o tym, jak któryś z nich zgłodnieje.

Dzwonek znowu zadzwieczał. I to nie raz. Shelley powiedziała do domofonu: - Już idę!

Nie czekając na odpowiedź wyłączyła domofon i pospieszyła ku drzwiom. Była rada, że może odejść. Billy właśnie otwierał niewielką klatkę. W środku znajdował się obiad Dusia - biały szczur, który nie nadawał się już do dalszych eksperymentów w laboratorium jakiegoś psychologa.

Na progu stała zniecierpliwiona JoLynn. Mimo niebieskawych cieni pod oczami wyglądała jak przysmak godny królewskiego stołu.

Nagle Shelley przypomniała sobie o własnych rozczochranych włosach, spłowiałych džinsach i zbyt luźnej bawełnianej koszuli, związanej w pasie na węzeł. Na korzyść jej stroju przemawiało tylko to, że nadawał się idealnie do zmagania z wężem, kotem, dzieckiem i podręcznikiem do algebry.

- Luke powiedziała mi, że Billy jest u ciebie - oznajmiła JoLynn.

- Owszem.

- Powiedz mu, żeby się zbierał. Mam mało czasu. - Nagle nefrytowe oczy JoLynn stanęły w ślup.

Shelley zorientowała się nie odwracając głowy, że Cain właśnie wszedł do pokoju.

- No, no, patrzcie tylko na tego Supermana! - zauważyła z sarkazmem JoLynn. - Czyżby cię ta twoja wielkooka dupa nie wypuszczała z wyra nawet po to, żebyś się ogolił?

Shelley zacisnęła wargi. Od rzucenia się z pazurami na wredną babę powstrzymała ją tylko myśl, że Billy może się tu zjawić w każdej chwili.

- O co chodzi? - spytał niedbale Cain. - Nikt cię nie przeleciał przez te sześć dni?

Porcelanową skórę JoLynn oblał rumieniec.

- Mogę mieć każdego mężczyznę, gdy tylko zechcę! Dobrze o tym wiesz!

- A jakże: I każdy zaraz ma cię dosyć - słowa Caina były jak świst bicia. Potem zmienił ton: był teraz zimny i bezlitosny, tak samo jak jego oczy. - Jeśli jeszcze raz obrazisz Shelley, pożalujesz tego - powiedział dobitnie. - Zrozumiano?

Wzgarda w jego głosie była tak wyraźna, że JoLynn cofnęła się o krok. Spojrzała na Caina, potem na Shelley. I jeszcze raz.

Przez sekundę Shelley była pewna, że dostrzega ból w niesamowitych nefrytowych oczach.

- Poczekam na Billy'ego przed domem - powiedziała JoLynn głosem napiętym do ostatnich granic. - Niech się lepiej pospieszy.

- Jeśli aż tak ci go brakowało, powinnaś już dawno wrócić - zauważył Cain.

- Zazdrosny? - spytała uśmiechając się do niego z wyraźną kokieterią.

- O co?

- Dobrze wiesz.

- I to jak! Szkoda że Dave zmarnował tyle lat, zanim się połapał, że twój tyłek nie jest tego wart.

Zanim skończył, JoLynn biegła już w stronę samochodu. Sandałki na wysokich obcasach stuknęły ostro o kamienne płyty podjazdu.

Cain obserwował ten odwrót oczyma, które miały barwę i temperaturę lodu. Potem przytulił ręce Shelley do piersi i łagodnie gładził jej ramiona.

- Bardzo mi przykro, norko. Ona majadowity ozór. Nie chcę, żeby ciebie albo Billy'ego spotkała jakaś przykrość tylko dlatego, że JoLynn nie udało się zaciągnąć mnie do łóżka.

- Jej... naprawdę na tobie zależy.

Shelley poczuła, że Cain wrusza ramionami. Potem jego oddech musnął jej włosy.

^ - JoLynn zawsze chce tego, czego nie może mieć. Dave kochał ją przecież, i to taką miłością, za którą większość kobiet dałaby nie wiem co! Ale nie ona. Zamiast kochać, omal go nie zniszczyła.

- To smutne - szepnęła Shelley. - Takie strasznie smutne.

- Nie lituj się nad nią. Wykorzystałaby tylko twoje współczucie przeciwko tobie.

- Dlaczego twój brat zostawił Billy'ego z taką kobietą?

- Nie zdążył skontaktować się ze mną na czas. Ado Francji nie mógł Billy'ego zabrać, bo dzieciak jest zapóźniony w nauce. Rozwód rodziców

zupełnie go rozkojarzył. Poza tym JoLynn tak słodko prosiła o prawo opieki nad synkiem - choćby przez kilka tygodni. Powtarzała „proszę, ślicznie proszę” i trzepotała rękami w stronę sędziego,

- Po co tak o to zabiegała? Przecież wcale się nie zajmuje swoim synkiem.

- Proste: ma przez niego dojście do Dave'a.

- Jak może jej na tym zależeć, jeśli nie kochała męża? Ja nie mogłam się doczekać, kiedy swojego stracę raz na zawsze z oczu!

- JoLynn to nie ty. Ona sięga po wszystko, czego nie może dostać, aż jej wreszcie wpadnie w łapy. Potem szuka następnej zabawki.

Shelley w zamyśleniu potrząsnęła głową. Myślała o Billym.

- Teraz, gdy już nie ma władzy nad moim bratem - ciągnął Cain - chce go odzyskać. I wykorzysta w tym celu każdą broń, która jej wpadnie w ręce.

- Nawet własnego syna?

- Przede wszystkim własnego syna.

- A jego ojciec nie mógł temu zapobiec?

- Dave nie ma pojęcia, co jest grane. Był taki uradowany, że w JoLynn zbudził się wreszcie instynkt macierzyński! Zawsze miał bielmo na oczach, jeśli o nią chodzi.

- A jeżeli... - Shelley nagle zamilkła.

Z sąsiedniego pokoju wyraźnie dobiegał głos Billy'ego, który rozmawiał z Packiem.

Cain ucisnął ją mocno, potem wypuścił z objęć, gdy chłopiec wszedł do pokoju.

- Gdzie mama?

- Wolała poczekać w samochodzie - odparł Cain obojętnie.

Billy rzucił mu z ukosa bardzo dorosłe spojrzenie i nie wspominał już o matce. Wziął do ręki walizkę, pod pachę podręcznik i zwrócił się do Shelley.

- Duś był w porządku. Bardzo głodny. Przez kilka dni będzie przeważnie spał. - Spojrzał na nią nieśmiało. - Ja... bardzo dziękuję za wszystko. Było super.

Wyciągnęła ku niemu ramiona. Billy odstawił walizkę i obdarzył Shelley niedźwiedzim uściskiem i promiennym uśmiechem.

Rozległ się trzykrotny dźwięk klaksonu.

Shelley podała Billy'emu walizkę.

- Idź już, twojej mamie się spieszy. Zobaczmy się niedługo. Jeśli będziesz miał kłopoty z jakimś zadaniem, zadzwoń do mnie koniecznie. Słowo?

- Jasne. Strasznie ci jeszcze raz dziękuję.

- Bardzo mi było z tobą miło.

Billy spojrzał na nią uważnie, wcale nie jak dzieciak, szukając prawdy pod uprzejmymi słówkami. Potem skinął głową i szeroko się uśmiechnął.

Klakson rozległ się jeszcze raz. Chłopiec odwrócił się i począł w kierunku płomiennie czerwonego wozu matki.

- Billy! - zawołał za nim Cain.

- Tak, wujku?

- Gdyby twoja matka... gdybyś miał jakieś kłopoty, wszystko jedno jakie, zadzwoń do mnie.

Chłopiec dobrze zrozumiał myśl, której mężczyzna nie ubrał w słowa.

- Dziękuję, ale chyba nie jest na mnie tak naprawdę wściekła. A gdyby nawet była, szybko jej przejdzie.

- U niej tak ze wszystkim - skomentował Cain.

Powiedział to jednak tak cicho, że Billy nie usłyszał.

Kiedy wóz odjechał z niecierpliwym piskiem opon, Cain otoczył Shelley ramieniem i przeszli razem do salonu.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, Shelley nagle uświadomiła sobie, że zostali całkiem sami.

13

Rzuciła Cainowi badawcze, niespokojne spojrzenie. Opuścił ramię, którym ją obejmował, i podniósł dwie pozostawione przy drzwiach walizki. Shelley spjrzała na ten bagaż z niepokojem. Czy to właśnie miał na myśli, kiedy powiedział, żeby tu na niego czekała? Czyżby zamierzał się do mnie wprowadzić?

Cain zwrócił ku niej pytające spojrzenie. Nie wypuszczał walizek z rąk i czekał najwyraźniej, że Shelley wskaże mu pokój.

A Shelley tylko patrzyła się na niego.

Cain dostrzegł w jej oczach niepokój. Gdyby nie był taki zmęczony i wściekły, pewnie by się roześmiał.

Albo postąpiłby dokładnie tak, jak zamierzał postąpić.

Skierował się wielkimi krokami ku schodom prowadzącym na niższą kondygnację.

- Dokąd się wybierasz? - zawołała za nim Shelley.

- Pod prysznic.

Otworzyła usta ze zdumienia. Zamknęła je zaraz i pospieszyła za nim.

- W tej chwili?! - spytała.

\ - Właśnie. W tej chwili.

- Ależ...

- Bo tak się składa - przerwał jej Cain - że jakiś cholerny idiota rozbebeszył moją łazienkę.

- Wiem, mówiłam...

- Nie będzie się nadawała do użytku co najmniej przez tydzień. Nie mam ochoty tak długo czekać z kąpielą.

Zbyt późno przypomniała sobie, co jej powiedział na temat przebudowy apartamentu.

Dopilnuj tylko, by wszystkie prace zostały wykonane pod moją nieobecność.

- O Boże! - Shelley popędziła za Cainem. - To moja wina! Bardzo przepraszam!

- Czemu? Ty przeprowadzasz ten remont?

Cain wniósł swój bagaż do wolnego pokoju gościnnego. Na oczach zdumionej Shelley zaczął się rozbierać. Najpierw zrzucił mocno podniszczone buty robocze. Potem przyszła kolej na skarpety. Zanim jeszcze spadły na podłogę, Cain rozpiął już koszulę. Wyciągnął jej końce z dzinsów kilkoma szybkimi ruchami.

Shelley rzuciła tylko jedno spojrzenie na męskie futerko na jego piersi i zacisnęła powieki.

Nic to nie dało. Nie tylko widziała go bardzo wyraźnie, ale co gorsza powróciło wspomnienie chwili sprzed sześciu dni, gdy zlizwała z jego ciała kropelkę wody.

O Boże!

Shelley prędko otworzyła oczy, łudząc się, że w ten sposób łatwiej odzyska panowanie nad sobą.

Ale nie pomogło. Cain odpinał właśnie sfatygowany skórzany pasek podtrzymujący spodnie. Shelley otwarła usta.

Nie wydobyło się z nich ani jedno słowo.

- Więc to ty?

- Co ja?

- Jesteś tym cholernym idiotą od remontu, który mi rozbebeszył łazienkę?

Cain rozbierał się w dalszym ciągu. Suwak ustąpił z donośnym, triumfalnym trzaskiem.

Shelley znów zamknęła oczy i próbowała zebrać kłębiące się myśli.

- Nie, remontu twojej łazienki nie przeprowadzam (ale cholerną idiotką chyba jestem!) Nie potrafię nawet prosto zawiesić obrazu na ścianie.

- A jak ci idzie z myciem pleców?

- Cain...

Nic więcej nie była w stanie wykrztusić.

W ciszy, która zapadła, Shelley słyszała bardzo wyraźnie, jak dzinsy Caina zsuwają się z jego nóg, a potem lądują z cichym pacnięciem na podłogę.

- Więc z myciem pleców nie idzie ci najlepiej? - powiedział z udanym współczuciem. - Nie przejmuj się. Grunt to praktyka.

Oczy Shelley otwarły się nagle.

- Co takiego?!

Ręce Caina powędrowały do gumy przytrzymującej bokserki.

Shelley zrejterowała, zatrzaszkując drzwi za sobą, i zza tej przegrody krzyknęła: - Cain, co ty wyrabiasz?!

- Idę pod prysznic. Sądząc z twego tchórzliwego zachowania, podejrzewam, że nie mogę liczyć na mycie pleców, nawet jako zadośćuczynienie za mój rozwalony dom?

- Ja... prawdę mówiąc... Do diabła! Byłam pewna, że cię nie będzie co najmniej dwa tygodnie, więc powiedziałam przedsiębiorcy budowlanemu, żeby się wziął do roboty.

- Tak też sobie pomyślałem zaraz po tym, jak potknąłem się o ten cholerny sedes, który mi zostawili przed drzwiami.

- Bardzo jesteś zły?...

- Nie kąpałem się od trzech dni i nie miałem nic w ustach od osiemnastu godzin.

- Czyżby to była aluzja?

Zza drzwi dobiegał tylko szum wody z prysznicza odkręconego na cały regulator.

Od dłuższej chwili nieświadomie wstrzymywała oddech. Teraz głośno wypuściła powietrze.

Ostrożność to połowa zwycięstwa, mówiła sobie w duchu. Miejmy nadzieję, że przeprosiny i talerz kanapek z szynką wybawią mnie z opresji!

Zresztą, wcale mu się nie dziwię. Gdybym wróciła do domu śmiertelnie zmęczona i zamiast bezpiecznej przystani ujrzała ruiny i zgłiszcza, dostałabym szału!

Weszła do kuchni, przygotowała całą furę grubo obłożonych wędliną kanapek i dzbanek lemoniady, i zeszła na paluszkach piętro niżej. Z łazienki dolatywał szum płynącej wody. Cain najwyraźniej rozkoszował się długim, gorącym prysznicem.

Jedną ręką trzymała tacę, drugą otwierała drzwi. Pchnąwszy je mocniej biodrem weszła do pokoju.

Było cicho, stanowczo zbyt cicho! Nie słyszała prysznicza.

- Lunch na komodzie! - zawołała, by uświadomić Cainowi, że nie jest już sam. Drzwi łazienki otworzyły się. Cain czyściutki i świeżo ogolony wszedł do pokoju odziany tylko w ręcznik na biodrach i mgiełkę połyskliwej wilgoci na włosach.

Shelley znów rzuciła się do ucieczki.

Cain spojrział na nią z ukosa, i sięgnął do walizki po czyste dzinsy.

- Zakładam, że gdybym się zaczął ubierać, znowu byś uciekła nie kończąc rozmowy.

- Możesz być pewny.

- Norka- powiedział, jakby delektując się trafnością wybranego przez siebie przezwiska. - Miętko., dzika i bardzo, bardzo płochliwa. Nie uciekaj, norko!

Drzwi łazienki zamknęły się za nim. Po chwili był z powrotem. Miał na sobie spłowiełe i sprane dzinsy, przylegające do ciała jak błękitnawy cień.

Żaden mężczyzna nie powinien wyglądać aż tak wspaniale w dzinsach, pomyślała sentencjonalnie Shelley. To po prostu niesprawiedliwe!

Biodrówki opadały poniżej pępka. Gęste, kędzierzawe włoski tworzyły szeroki klin na piersi i zbiegały ciemną linią poniżej pasa. Rozszerzała się ona znów tuż pod pępkiem, jak zapowiedź niższej, gęstej kępy włosów. Kropelki wody na ciele błyskały i przemieszczały się przy każdym oddechu. Jak posąg wykonany ręką mistrza, Cain równocześnie oddziaływał na uczucia estetyczne i na zmysły Shelley.

- Dlaczego powiedziałaś temu budowlańcowi, że ma dwa tygodnie czasu? - spytał spokojnie. - Obiecałem wrócić za tydzień.

-Tak, ale...

Zrobiła jakiś niewyraźny ruch ręką. Nie odrywała oczu od połyskujących na jego piersi kropel.

- Ale co?

- Byłam pewna, że potrwa to co najmniej dwa tygodnie, a może i miesiąc.

Cain poczekał, aż Shelley spojrzy mu w twarz. Gdy podniosła wzrok, spytał półgłosem: - On tak robił?

Shelley zamrużyła oczami.

- Kto taki?

- Twój były mąż. Mówił, że wyjeżdża na jeden dzień, a wracał po tygodniu?

- Coś w tym sensie.

Cain ruszył w jej stronę.

- Naprawdę, bardzo mi przykro - powiedziała z pośpiechem. - Wcale nie chciałam robić ci takiego kłopotu...

- Kiedy wreszcie zrozumiesz - przerwał Cain, obejmując ją- że nie jestem taki jak twój eks-mąż?

Shelley wpatrywała się w jego twarz, pochyloną ku niej. Pomyślała chyba poraż setny, że usta Caina są najpiękniejsze ze wszystkich, jakie w życiu widziała. Były mocno zarysowane, zmysłowe, o doskonałych liniach - i takie męskie!

Niemal dotykały jej ust. Jego oczy były w nią wpatrzone. Nie skrywały pożądaniami, które rosło w nim z każdą godziną rozłąki.

Shelley patrzyła w zamglone szare oczy. Odżyło w niej wspomnienie cudownego dotyku ust Caina, tętna walącego w jej szyi, nabrzmiewających stożków piersi. Pragnęła aż do bólu jego pieścizot.

- O czym myślisz? - spytał cicho Cain.

- Że umrę, jeśli mnie nie pocałujesz.

Na to zdławione wyznanie odpowiedział gardłowym jękiem. Jego usta spadły gwałtownie na jej wargi.

Shelley rozchyliła je, pozwalając mu wtargnąć do jedwabistego i pełnego żaru wnętrza; zadrzała, gdy ich języki zetknęły się ze sobą. Jej palce zacisnęły się, a paznokcie wbiły w czuprynę Caina. Jego dłonie sunęły po jej plecach ku sprężystej krągłości bioder.

Gdy miał dosłownie pełne ręce Shelley, jego palce zacisnęły się ze zmysłową zachłannością. Zaskoczona wydała stłumiony, radosny okrzyk.

Cain leniwie pieścił każdy zakątek jej ust, najczęściej powracając do niezwykle delikatnej wewnętrznej strony warg i śliskiego, rozkosznego w dotyku języka. Wreszcie z jękiem wtargnął najgłębiej, jak mógł; ta drapieżna, badawcza pieścizota zachwycała swą zmysłowością.

Shelley przyłgnęła pożądlawie do twardych, męskich płaszczyzn jego ciała, pragnąc zjednoczyć się z nim tak całkowicie jak złączyły się ich usta. Ręce Caina ugniatały jej biodra, trzymał ją w ciasnym, mocnym uścisku. Potem ciało jego rozkwitło przy jej ciele, reagując zgoła odmiennie niż ciało jej eks-męża.

Cain pragnął jej. Dowód tego pożądanego pieścizotliwie muskał ją przy każdym ruchu bioder Caina.

Gdy pocałunek dobiegł końca, prawie nie mogła utrzymać się na nogach. Ogarnęła ją dziwna słabość: kości zamieniły się w roztopiony miód, krew płynęła rzeką ognia. Shelley przywarła do Caina; czuła się bezradna, niemal przerażona, uzależniona od niego w jakiś niepojęty sposób.

- Cain?... Kręci mi się w głowie...

Zdumiało go jej zmieszanie i nutka strachu w głosie. Natychmiast jednak pojął, że mimo wyjątkowo silnej reakcji na jego pieścizoty, mimo swej niewątpliwej zmysłowości i pożądanego, jakie w tej chwili odczuwała, mimo że była kiedyś mężatką - Shelley Wilde nie ma pojęcia, co namiętność wyprawia z kobiecym ciałem.

- Tak właśnie być powinno - szepnęła.

Znow wziął ją w ramiona, tym razem po to, by jąspokoić, a nie podniecić. Potem roześmiał się z cicha i tuląc ją w objęciach kołysał łagodnie.

- Jest nie tylko tak jak trzeba - stwierdził. - Jest niewiarygodnie wspaniale!

W oczach Shelley wyczytał pytanie, którego nie była w stanie wypowiedzieć.

- Właśnie taka powinna być miłość: jak pożar lasu, nieskalany i ognisty żywioł. Gdy cię dotykam, buchasz płomieniem jak spieczona słońcem dąbrowa, gdy ktoś w nią wrzuci pochodnię.

-A ty? Czy... czy z tobą jest tak samo, kiedy ja cię dotykam?

- Przekonaj się.

Ujął palce Shelley dotykające jego piersi i przesunął nimi po swoim ciele, aż znalazły się tuż nad bijącym w oczyjak górski szczyt niewątpliwym dowodem jego pożądanego.

- Dotknij mnie, norko. Przyjrzyj się, jak płonę.

Jej dotknięcie było tak lekkie, że nawet wrażliwe opuszki palców prawie go nie zarejestrowały,

Jednak pobudzone ciało Caina reagowało znacznie czujniej. Nieśmiała pieścizota Shelley podziałała jak żywy ogień. Każdy mięsień w jego ciele sprężył się. Gdy przebiegła znow delikatnymi palcami po jego torsie, zamknął oczy i zadrżał.

Patrzyła mu w twarz, zastanawiając się, czy tak samo jak ją cieszyła go ta łagodna pieścizota. Twarz Caina była skurczona jakby w bólu; jego usta zastygły w twardy, zmysłowy kontur. Shelley stanęła na palcach i obrysowała je koniuszkiem języka. Rozpalona dłoń sunęła po ciele Caina gorącapięścizotą.

Z uśmiechem, spod półprzymkniętych powiek przyglądała się, jak Cain płonie.

- Nie uciekniesz mi teraz, prawda? - spytał.

- Uciekać? - roześmiała się bez tchu. - Ledwie mogę utrzymać się na nogach.

- To matka natura daje ci znak, że najwyższy czas iść do łóżka.

- Czy tobie też jest słabo?

Cain musnął delikatnie jej wargi, mimo że pożądanego wstrząsało całym jego ciałem. Ostrożnie wziął Shelley na ręce i podszedł do łóżka.

- Mężczyzna może kilka chwil dłużej utrzymać się na nogach - stwierdził. Umieścił Shelley na łóżku i hamując się, by nie okazać zbytnej natarczywości, położył się obok niej. - Ale ilekroć mnie całujesz, kolana uginają się pode mną.

- Będziemy zbyt słabi, by zdobyć się na cokolwiek - powiedziała półżartem, pół-serio.

Czuły uśmiech Caina stał się bardzo męski.

- Skutki są wręcz odwrotne - odparł rozpinając jej bluzkę.

- Naprawdę? Jesteś... całkiem pewny? - Shelley wstrzymała dech, gdy palce Caina znaczyły najej ciele linię ognia sięgającą talii.

- Absolutnie.

Związane na węzeł końce koszuli poddały się wreszcie zdeterminowanemu palcom Caina.

- Widzisz, jest tak - wyjaśnił. - Kiedy postąpisz mądrze i położysz się do łóżka, od razu wracają siły. Stajesz się silna jak nigdy.

- Wierzę ci na słowo. Ja jestem jeszcze na tym słabym etapie.

Shelley nie mogła opanować drżenia. Był to wynik napięcia nerwów i pożądanego, które ją ogarnęło, gdy zdejmował jej bluzkę i stanik. Gdy jego dłonie dotknęły znow jej ciała, gardło Shelley zacisnęło się.

Boże, zmiłuj się! Żebym tylko znow nie wzdygnęła się, kiedy dotknie moich piersi!

Shelley wcale nie życzyła sobie, by przykre wspomnienia zamąciły tę chwilę. Nie chciała, by Caina rozżłościła lub zabolęła jej reakcja. Pragnęła poczuć znow ten niezwykły ogień, który objął jej ciało na plaży, gdy jego usta pieściły ją tak namiętnie. Chciała zapomnieć o wszystkich upokarzających doświadczeniach małżeńskich. Marzyła o tym, by płonąć w ramionach kochanka ogniem, który ogarnie jego i ją.

A jednak, gdy dłonie Caina dotknęły jej piersi, zeszywniała.

Trwało to zaledwie ułamek sekundy, ale on wyczuł tę reakcję. Jego dłonie znieruchomiały a wargi zacisnęły się.

- Przepraszam, nie gniewaj się! - powiedziała pospiesznie Shelley. Łzy ścisnęły ją za gardło, dusiły. - To nie twoja wina, tylko moja. Mówiłam ci. Ja się nie nadaję do...

Głęboki, delikatny pocałunek przerwał ten potok przerażonych słów. Smukłe palce Caina pieściły piersi Shelley, drażniąc brodawki, aż sprężyły się w twarde rubinowe stożki.

Po udach Shelley przebiegały języki ognia. Wygięła się w łuk płonąc z pożądanego. Prężyła się pod dotknięciem Caina, potęgując tym jeszcze rozkoszny napór jego palców.

- Twój eks-mąż nie chciał, byś płonęła - rzucił szorstko Cain - bo wiedział, że nie zdoła ugasić tego ognia. Nie wiem, czy i mnie się to uda, ale jedno jest pewne: zrobię, co będę mógł, z całego serca!

Podłożył dłonie pod plecy Shelley, unosząc ją ku swoim pięknym, zgłodniałym ustom.

- Ubóstwiam, kiedy płoniesz - powiedział.

Leciutko drażnił zębami jej pierś. Shelley westchnęła z rozkoszą. Potem jego usta zwały się na niej żarłocznie.

Świat nagle zawirował. Zapomniała o swych poprzednich doświadczeniach, o mężu, którego nigdy nie zdołała naprawdę podniecić, o tym, że zwątpiła we własną kobiecość. Zapomniała o wszystkim oprócz rytmicznej pieszczoty języka, zębów i warg Caina.

Fale niezwykłych doznań przetoczyły się przez jej ciało, wstrząsając nim do głębi. Głowa opadła do tyłu, oczy nie dostrzegały niczego. Poddała się pieszczocie z żywiołowym zapamiętaniem, które bardziej podnieciło Caina niż jakiegokolwiek zapewnienia miłości.

Nie wiedziała, jak długo ulegała jego silnym dłoniom i pieszczotliwym ustom. Wiedziała tylko, że nigdy dotąd nie czuła się tak godna pożądania i tak pożądana.

Potem odkryła, że nawet to jej nie wystarcza.

Chciała mieć go jeszcze bliżej, ofiarować mu jeszcze więcej, sprawić, by płonął tak jak ona. Zanurzyła ręce w jego włosach, pozwalając im prześlizgiwać się przez jej palce. Było to rozkoszne doznanie zmysłowe. Włosy Caina były wilgotne po myciu i jakby naelektryzowane namiętnością, która przepęniała ich oboje.

Paznokcie Shelley musnęły leciutko mięśnie ramion Caina. Potem jej dłonie zaczęły sunąć po rozpalonej skórze, zapoznając się z każdym jej skrawkiem.

Ale to nie wystarczało. Owładnęło nią pragnienie, by ich języki splotły się znowu, by mogła skapać się w płynącym od niego żarze, wchłonać go w siebie, roztopić się w nim. Nie mogła jednak powiedzieć, czego pragnie. Zdołała zaledwie wymówić jego imię, tak mocno pożądanie chwyciło ją za gardło.

Jakby wyczuwając jej pragnienie, Cain uniósł głowę znad piersi Shelley i pocałował ją w usta tak gwałtownie, że siłą swego pocałunku dosłownie wgniótł ją w pościel.

Cieżar ciała Caina nie był dla Shelley udęką. Rozkoszowała się nim. Otaczając go ramionami, przytuliła się jeszcze bardziej, pragnąc czuć na sobie jego ciężar, gdy znalazł się między jej nogami. Cain ocierał się o nią, sprawdzając gotowość miękkiego ciała, pytając milcząco pieszczotą, czy rzeczywiście go pragnie. Jej biodra instynktownie uniosły się ku niemu dowodząc, że cała płonie.

-Shelley?...

- Tak! Już!

Pospiesznie ściągał z nich resztę ubrania i sięgnął do kieszeni porzuconych dzinsów wyciągając z niej niewielki pakiecik w folii.

- Następnym razem pomożesz mi to założyć - powiedział rozrywając folię- ale teraz nie mam ochoty na wstępne igraszki. Chcę jak najprędzej być w tobie.

W chwilę później jego ręce gładziły ciało dziewczyny od stóp do głów. Pragnął zwolnić tempo, napawać się jej żarem i pożądaniem, ale przestawał już panować nad sobą. Palił go głód, intensywniejszy niż wszystko, co kiedykolwiek przedtem odczuwał.

Kiedy palce odnalazły gorące, miękkie zagłębienie, jęknął czując, jak bardzo Shelley jest pobudzona. Pochylił się i gwałtownie ucałował jej usta, wdzierając się językiem do ich wnętrza, tak jak pragnął wtargnąć do jej ciała.

Shelley rozchyliła wargi witając tę zmysłową napaść krzykiem radości. Wzniósł ciało łukiem ku Cainowi, wyrażając tym nieugaszone pragnienie, które przeszyciało ją i przejmowało takim drżeniem, że mogła tylko raz po raz powtarzać jego imię. Jej ręce sunęły na oślep po ciele Caina, póki nie poznała dotykiem całej pełni jego pożądania.

Cain wydał chrapliwy jęk. W rozkoszy graniczącej z bólem poruszał się w uścisku miękkich dłoni. Potem pochwycił je i skierował ku górze. Drażnił zębami ręce Shelley w gwałtownej zmysłowej pieszczocie, chcąc równocześnie pożyć ją i czuć jak bóstwo.

- O Boże, jak ja cię pragnę! - wykrztusił przez zaciśnięte zęby.

Shelley nie była w stanie odpowiedzieć. Zdołała tylko unieść się ku Cainowi z niemym błaganiem.

Długie palce zsunęły się po jej rozpalonym ciele, zanurzyły w atlasowej głębi, pieszcząc Shelley, aż topniała w tym ogniu. Oddech Caina był świszczący. Zamknął oczy, jego pieszczoty stały się jeszcze gwałtowniejsze - zachwycał go odzew jej ciała, płynny jedwab. Nagłe przebiegł go dreszcz. Wysunął się powoli z uścisku i opadł na plecy, nie dotykając już dziewczyny.

Zwróciła się ku niemu niecierpliwie, pełna pożądania.

Wówczas ujrzała twarz Caina, jakby zastygłą w paroksyzmie bólu.

- Co się stało? - spytała szeptem.

- Pragnę cię... zbyt mocno.

- Nie rozumiem.

Dotknęła jego policzka i poczuła jak pod wpływem tej maleńkiej pieszczoty przeniknął go dreszcz. W tej chwili pojęła, że Cain pragnie jej jak jeszcze nikt dotąd. Świadomość, że jest tak pożądana, przejęła ją żywym ogniem. Płomień przeniknął do jej wnętrza, budząc w niej jakąś pierwotną siłę. Nigdy nie przypuszczała, że można pragnąć aż tak.

A jednak Cain oddalał się od niej z każdym spazmatycznym oddechem.

- Powiedz mi, co się stało - domagała się. - Przecież cię pragnę!

- Wiem.

Namiętnie, a jednak łagodnie palce Caina przesunęły się po wewnętrznej stronie jej uda, póki nie dotknęły znów jedwabistego żaru.

- Czuję, jak bardzo jesteś spragniona - powiedział ochrypłym głosem. - Taka miękka, taka gorąca.

Dłoń Shelley, musnęła go leciutko.

- Przecież i ty mnie chcesz, prawda?

Cain wybuchnął gardłowym śmiechem,

- I jak jeszcze!
- Więc dlaczego?..
- Od tak dawna nie byłeś z żadnym mężczyzną. Jesteś zaciśnięta jak dziewica.

Mówiąc to gładził ją powoli, intymnie. Oddech Shelley stał się przerywany. Czuła jak topnieje pod jego dotknięciem.

- Cain, proszę cię! - powiedziała nagłaco.

Zmagał się z dzikim pragnieniem zanurzenia się w jej stęsknione ciało.

- Jestem zbyt zgłodniały, norko.

- Co to znaczy?

Z rozpaczliwym przekleństwem skierował jej dłoń na swe spęczniałe ciało.

- Jesteś taka mała - powiedział szorstko. - Ja nie. Sprawię ci ból.

Z trudem panując nad sobą znowu odsunął się od niej.

Poczuła bolesną pustkę. Po chwili zaczęła całować Caina w policzki, szyję, splecione futerko na piersiach, ciemną smużkę włosów sięgającą pępka.

- Nie sprawisz mi bólu - szepnęła z ustami przy jego skórze.

Nie był w stanie mówić, tak rozszalała się w nim krew. Usta Shelley muskające go z lekkością motyla sprawiły, że w jego ciele sprężył się każdy mięsień.

Przywarła głodnymi wargami do nagiego, twardego ciała poniżej kondomu.

- Shelley!...

- Jestem taka pusta bez ciebie.

Odwrocił się gwałtownie i przyciągnął ją do łóżka, wtargnął w nią jednym potężnym ruchem. Krzyknęła, gdy w nią wniknął, był to jednak okrzyk rozkoszy, nie bólu. Jej drżące, stopniałe od żaru ciało zdradziło Cainowi, jak bardzo ją uszczęśliwił.

Jego doznania były równie silne. Poruszał się znowu wewnątrz niej, wypełnił ją całą, wydobywając z niej krzyki szczęścia i płynny ogień. Rozpłomieniał ją bez reszty i sam płonął razem z nią. Otulony jej ciałem drżał z rozkoszy tak wielkiej, że mógł wyrazić ją tylko jękiem.

Przy każdym ruchu jego bioder Shelley krzyczała. Czuł na swym ciele dotykając paznokci niczym języki ognia. Nagle ciało Shelley stężało. Jej oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia - rozkosz jakby w niej eksplodowała, ogarnęła ją ekstaza.

Cain dostrzegł jej zaskoczenie, Potem uczył, jak przelewa się w niej i pulsuje płynny, jedwabisty żar. Zaciśnął zęby i zastygł w bezruchu. Pragnął, by trwało to wiecznie, by na zawsze już pozostał złączony z Shelley, napawając się ognistym, dzikim cudem: chwilą, gdy ukochana po raz pierwszy odczuła ekstazę miłosną.

Dreszcz ponownie wstrząsnął ciałem Shelley. Jego żar znów otoczył Caina rozedrganą falą, wabił go ku sobie. Próbował zwalczyć ogarniające go go pożądanie, lecz było już za późno: nie panował nad sobą, ekstaza owładnęła nim bez reszty jak przedtem Shelley. Ze stłumionym krzykiem przywarł do

niej, aż stali się jednością. Zatonął w Shelley doznając absolutnego spełnienia, które odkrył jedynie dzięki niej.

Przez chwilę nieskończoną jak wieczność płonęli razem, darząc się nawzajem olśniewającym szczęciem, jakiego żadne z nich przedtem nie zaznało.

14

powoli, bardzo powoli Shelley wróciła do rzeczywistości i ujrzała i popołudniowe słońce wypełniające wnętrze sypialni. Światło przeistaczało ciało Caina w posąg ze złota, tak doskonały, że musiała dotknąć go językiem, by przekonać się, że jest prawdziwy i żywy.

Zamknięta w jego uścisku sunęła wargami po sprężystych muskułach piersi i ramienia. Uśmiechając się leniwie napawała się wspomnieniami, które rozżłacały jej myśli jak promienie światła wspanialszego niż słoneczne. Uznała to za całkiem naturalne, że leżący obok niej mężczyzna skapany był w blasku jak szczerozłoty bóg, gdyż żaden śmiertelnik nie mógł być jej przewodnikiem po tym raj, w którym płonął ogień ekstazy.

W brzuchu Caina, na którym opierała policzek, nagle zaburczało. Jej bóg był głodny!

Shelley roześmiała się cicho i skubnęła zębami płaskie mięśnie jego brzucha.

- Może miałbyś ochotę na kanapki z szynką i lemoniadę? - spytała.

- Ile smoków mam przedtem zabić?

- Ani jednego. Cytryny wymordowałam osobiście, gdy byłeś pod przyszanicem.

Zsunęła się w dół jego ciała, przyszczypując zębami skórę na brzuchu, radując się jego dotykiem. Cain powiódł twardej kciukiem wzdłuż jej kręgosłupa aż do sprężystych okągłości poniżej talii.

- Norka - powiedział gardłowym głosem. - Miękka i dzika.

Jego nagie ciało sprężyło się, gdy usta Shelley powędrowały jeszcze niżej.

- Ale już nie płochliwa - zauważył z zapartym tchem.

Shelley szybko odwróciła głowę i spojrzała na niego. Cain miał słuszność. Nie czuła już w jego obecności żadnego skrępowania, wszystko wydawało jej się takie naturalne i właściwe - jakby znalazła nareszcie dom, jakby dopiero teraz całkowicie ożyła.

Przy raptownym ruchu głowy włosy Shelley rozsypały się, okrywając biodra Caina jedwabną przepaską. Jego oddech przeszedł w gardłowy jęk, gdy miękkie, chłodne pasma otarły się o niego i spłynęły między jego uda. Krew w żyłach zaczęła znów płonać. Poruszył się pod jedwabistą zasłoną włosów.

- Może powinnam być płochliwa? - spytała opierając policzek o jego brzuch. - Chciałabyś tego?

- To, czego bym chciał, pewnie by cię zaszokowało.

- Powiedz mi - powiedziała z pośpiechem. - Mówię szczerze! Dałeś mi tak wiele... Pozwól, że teraz ja dam ci wszystko, czego chcesz.

Cain zaśmiał się cicho. Koniuszkami palców musnął ciemny łuk jej brwi, wgłębienie poniżej kości policzkowej, miękką krzywiznę warg.

- Powiedz!

- Dałeś mi wszystko, czego pragnąłem i sprawiłeś, że zapragnąłem jeszcze więcej.

- Więcej?

~ A potem spełniłeś i te pragnienia. W tej chwili mogłabyś mnie krajać tępym nożem, a ja bym ci z całego serca dziękował.

Ujrzał zdumienie w piwnych oczach Shelley i zmarszczkę pomiędzy brwiami.

- O czym mówisz? - spytała.

- Widzę, że naprawdę nic nie rozumiesz.

W jego głosie nie było kpiny, tylko zdumienie, że ktoś tak z natury zmysłowy jak Shelley może być aż tak niewinny,

- Wcale mnie to nie dziwi - stwierdził. - Nie sypiałaś z mężczyznami na tyle, by pojąć różnicę między „ulżeniem sobie”, a wspólnym przeżywaniem rozkoszy, jak to było przed chwilą z nami.

Znów obwiodł zarys jej ust, zachwycając się ich miękkością i ogniem, który w nich drzemał.

- Nie wiedziałem, że taka rozkosz w ogóle istnieje - wyznał otwarcie. - Póki się nie zjawiłaś w moim życiu.

Język Shelley wysunął się, dotknął przelotnie czubka palca Caina i znów się schował. Pieszczota przypomniała mu ów moment, gdy zlizwała kroplę wody z jego piersi: dotknięcie właśnie dlatego tak podniecające, że całkiem spontaniczne.

Objął jej głowę od tyłu, masując skórę pod włosami. Na sekundę wstrzymał dech, gdy policzek Shelley z jego brzucha przesunął się niżej, na gęstą, pachnącą piżmem kępkę włosów. Równocześnie jej własne, o wiele delikatniejsze włosy znów rozsypały się po jego ciele. Napiął się jeszcze silniej, a bicie serca potężniało z każdą sekundą.

- A jak było z tobą?

Shelley z ustami przy jego skórze wydała dźwięk podobny do brzęczenia czy mruczenia, który niemal rozśmieszył Caina, a równocześnie sparzył go żywym ogniem.

- Jesteś pewna, że nie sprawiłem ci bólu? - spytał znowu Cain.

Ciepły podmuch jej oddechu, gdy roześmiała się, podrażnił całą nadwrażliwą w tym momencie skórę Caina.

- Omal nie zemdlałam, ale nie sprawiłeś mi bólu. Nie wiedziałam, że mężczyzna i kobieta...

Shelley umilkła widząc, że w Cainie zachodzą dziwne zmiany. Musnęła go znów językiem.

Miał wyraźne trudności z oddychaniem.

- Właśnie odkryłem, na czym polega problem - stwierdził. - To, co przeżyliśmy razem, uszczęśliwia mnie do głębi duszy,

Shelley poczuła ogarniającą ją radość. Cudownie było wiedzieć, że potrafi zarówno pobudzić, jak zaspokoić Caina, człowieka obdarzonego humorem, inteligencją i siłą, człowieka, którego męska zmysłowość i pożądlivość idealnie odpowiadały jej własnej naturze - pierwotnej i kobiecej.

- No i co w tym złego? - spytała, znowu dotykając go językiem.

- Ponieważ wiem, jakie to cudowne, chciałbym znów zatonać w tobie, a potem jeszcze i jeszcze.

- Tak. - Shelley muskała go swoimi włosami, dotykała, pieściła. - Jeszcze i jeszcze. Ja też tego chcę...

Nagle znieruchomiała uświadomiwszy sobie bieg własnych myśli. Chce mieć Caina na własność! Chce zamknąć go we wnętrzu mego ciała, by nigdy żadna kobieta nie mogła mi go odebrać!

Spostrzegł, że oczy Shelley spochmurniały.

- Norko?

Spojrzała na niego dziwnie, jakby się go nagle przelekkła.

- O co chodzi? Może jednak cię bolało? - dopytywał się. - Nie musimy znowu się kochać, jeśli to cię niepokoi. Sama twoja obecność jest dla mnie szczęściem, o jakim nigdy nie marzyłem.

Shelley wolno potrząsnęła głową.

- Twoje włosy... - powiedział i głos mu się załamał. - Zrób to raz jeszcze! Zupełnie jakby owiewał mnie jakiś orzeźwiający ogień!

Shelley znów ogarnęła fala zaborczości. Umrze, jeśli Cain zacznie wędrować z łóżka do łóżka, jak kiedyś jej mąż, jeśli będzie kusił inne kobiety równie słodko jak ją! Jeśli będzie je zaspokajał jak ją!

- Shelley?

Głos Caina był równie łagodny, jak dotknięcie jego palców na jej policzku. Z trudem odetchnęła i spróbowała się odprężyć.

- Nie sprawiłeś mi bólu.

- Jesteś tego pewna? Kiedy poczułaś, że znów cię pragnę, przestraszyłaś się.

- To nie dlatego! Nagle zrozumiałam... - Głos Shelley załamał się.

Wszystkie te uczucia były dla niej zupełnie nowe, wstrząsały nią, przytłaczały. Nie była w stanie myśleć jasno, nie potrafiła zdobyć się na takt ani udzielić wymijającej odpowiedzi. Mogła jedynie wyjawić Cainowi prawdę, którą właśnie odkryła.

- Nie chcę, żebyś zdawał się z innymi kobietami - powiedziała bez ogródek. - Było to wystarczająco bolesne w przypadku mojego męża. Gdybyś to był ty...

Shelley urwała, zamknęła oczy i ze wszystkich sił starała się opanować.

- Shelley!

Po chwili spojrzała na Caina. Jego oczy płonęły srebrnym blaskiem pożądania.

- Nie słuchałaś uważnie tego, co mówiłem przed chwilą, prawda? - spytał spokojnie. - Nigdy nie zaznałem podobnej rozkoszy z inną kobietą. I nigdy nie zaznam. To twoja zasługa, norko, nie moja.

- Ale dla innych wcale taka nie jestem!

- Wobec tego będziemy chyba skazani jedno na drugie.

Uśmiech Caina był zarazem łagodny i namiętny, podobnie jak wyraz jego oczu, jak dotyk palców gładzących jej kark. Podciągnął Shelley wyżej i całował długo. Zapomniała o obawie, że go utraci. Otoczyła ramionami jego szyję, odwzajemniając pocałunki z równym zapamiętaniem.

Wreszcie z tkliwością wypuścili się nawzajem z objęć, zachwyceni, że tak łatwo mogą się nawzajem pobudzić. Shelley przytuliła twarz do szyi Caina, wdychając jego ciepły, męski zapach. Po chwili cicho się zaśmiała.

- Znów burczy ci w brzuchu!

- W męskim ciele są dwa organy, nad którymi ich właściciel nie ma żadnej kontroli. Drugi z nich to żołądek.

Ręka Caina gładziła ciało Shelley, aż jej oddech stał się przerywany, a wargi rozchyliły. Nie miała pojęcia, że jest taka wrażliwa na dotyk!

- Może zjemy razem? - szepnął.

Shelley ze śmiechem uszczypnęła go zębami w ramię i wysliznęła się z łóżka. Kanapki leżały tam, gdzie je zostawiła: na komodzie. Wzięła do rąk tacę i ruszyła w drogę powrotną. Spojrzała w stronę łóżka i nagle przystanęła.

Cain patrzył na nią, jakby nigdy dotąd nie widział kobiety. Spojrzenie jego biegło od potarganych włosów do samych stóp, a potem powracało do kobiecych okrągłości znajdujących się gdzieś pośrodku.

Gorąco oblało Shelley drażniącą falą. Nagle uświadomiła sobie, jak wygląda.

W ustach jej zaschło. Miała wrażenie, że spogląda na własne ciało oczami Caina, po raz pierwszy dostrzegając piersi aż dopraszające się pieszczot, kuszące zakola talii i bioder, kępkę ciemnych włosów połyskujących u styku ud, miękkość i żar ukryty we wnętrzu ciała, które tak idealnie pasowało do ciała Caina.

- Znów się spłoszyłaś? - spytał gardłowym głosem.

- Ja... chyba nie. Tylko nie miałam dotąd pojęcia, jak wyglądam w męskich oczach.

- Więc widzisz nareszcie, jaka jesteś seksowna.

- Tak... dla ciebie - szepnęła.

Ponownie skierowała się w stronę łóżka; czuła się dziwnie lekka, jakby spadł z niej jakiś ciężar. Zawsze wierzyła w swoje możliwości intelektualne, ale teraz - po raz pierwszy - uwierzyła w swoją kobiecość.

Gdy pochylała się stawiając tacę na nocnym stoliku, Cain zaczął gładzić ją leniwie. Długie palce sunęły po nogach Shelley i wewnętrznej stronie jej ud. Powoli, nieuchronnie jego ręka posuwała się coraz wyżej, aż wreszcie końce palców dotarły do miękkiego, rozpalonego ciała, którego tak pragnęły dotknąć. Cain z uśmiechem przyglądał się jak Shelley drży pod ich pełną czułości agresją. Jego kciuk znalazł wrażliwą grudkę, wciąż jeszcze zaczerwienioną, śliską i pełną namiętności.

Fala gorąca zalała Shelley. Czuła się jak w złotej mgłę. Nagle osłabła, zachwiała się lekko. Zaczęła coś mówić, ale jej słowa zmieniły się w jęk, gdy kciuk Caina znów się poruszył, przesywając ją elektrycznym prądem.

Cain równie wyraźnie jak Shelley wyczuł, że całe jej ciało sprężyło się.

- Cain... ja...

Słowa zamarły jej na ustach, gdy stopniała pod dotykiem jego ręki.

- Ubóstwiam obserwować twoją reakcję - powiedział Cain.

- My przecież... twój lunch...

Shelley przerwała i oparła się o brzeg łóżka, poddając powolnej, zmysłowej pieszczocie Caina, która trawiła ją jak ogień.

- Nie bój się, norko. Nie zjem cię zamiast kanapek.

Cain pochylał się i skubnął ją zębami w udo.

- Ale deser to co innego - dodał zdławionym głosem. - Całkiem co innego. Będziesz moim deserem, Shelley Wilde?

Odpowiedziała mu głosem gardłowym, zmienionym nie do poznania. Spod przymkniętych powiek spoglądała na spłowiałe od słońca włosy Caina, które muskały jej udo.

- Jeszcze nigdy nie byłam niczym deserem - odparła. - Jak to jest?

- Sam nie wiem. Nigdy przedtem nie miałem ochoty zjeść kobiety na deser. Wygląda na to, że czeka nas oboje mnóstwo niespodzianek.

Wąsy Caina musnęły jej skórę. Wysunął język, jakby próbował owego deseru. Potem odwrócił się od zbyt kuszącego go żaru i lekko ugryzł Shelley w udo. Gdy poczuł jak drży i ślania się szukając w nim oparcia, zaklął i wypuścił ją z objęć.

- Żywiol - powiedział cicho.

Dostrzegł lekkie drżenie własnych rąk i nagły potężny odzew całego ciała. Wiedział, że nawet jeśli weźmie Shelley w tej chwili, zapagnie jej znów, jeszcze i jeszcze. Jego pożądanie nie znało granic ani miary. Od początku świata pragnął tylko j ej.

Zawsze będzie jej pragnął.

- Mój Boże! - powiedział szorstkim głosem, w którym splatały się zdumienie i pożądanie. - Czy ty masz w ogóle pojęcie, jak cię pragnę?

Pod Shelley ugięły się nogi. Przysiadła na podłodze oparta o łóżko. Z trudem wciągnęła powietrze w płuca i próbowała opanować ciało, które ciągle zaskakiwało ją nieokiełznaną namiętnością.

- Już widzę nagłówki w gazetach - powiedziała. - Mężczyzna i kobieta zmarli w łóżku śmiercią głodową.

Cain opadł na wznak i roześmiał się mimo rosnącego w nim pożądania.

Shelley raz jeszcze głęboko odetchnęła i zawtórowała mu śmiechem. Zelzało nieco napięcie, które zaciskało gorące, jedwabiste sploty wokół niej.

I wokół niego.

Pewność, że jest w stanie w każdej chwili wzbudzić w Cainie namiętność, szumiała we krwi Shelley jak wino. Wstrzymywała się z najwyższym trudem przed zbadaniem granic swojej nowo odkrytej potęgi. Pohamowała

się tylko dlatego, że przypomniała sobie, jak bardzo wyczerpany był Cain, zanim wszedł pod prysznic. Bez wątplenia, nad Jukonem nie dosypiał, nie dojadł i nie miał czasu na kąpiel.

Kiedy ręka Caina powędrowała na skraj łóżka, szukając jej po omacku, Shelley wetknęła w nią kanapkę.

- Masz! - powiedziała. - Nie zamierzam zostać bohaterką sensacyjnego artykułu w „Enquirerze”.

- Nie sądzisz, że to byłoby zabawne?

- Jedz!

- Mam się pokrzepić, bo mnie czekają trudne zadania?

- Właśnie.

Ręka z kanapką zniknęła. Do Shelley dotarło cichutkie mlaskanie. Oparła czoło o kolana i próbowała myśleć o czymś oprócz tego uosobienia męskości, leżącego teraz nago na skłębionej pościeli.

Poczuła nad sobą jakiś ruch i podniosłszy głowę dostrzegła jak znika z tacy następną kanapkę. Shelley zaburczało głośno w brzuchu.

Ręka Caina pojawiła się znowu podsuwając jej pod nos jedzenie: z kanapki została już tylko połowa.

- O to chodziło? - spytał.

Shelley schwyciła go za rękę i zatopiła zęby w kanapce, cudem omijając palce Caina.

- Chodź tu, norko. Będziemy jedli razem.

- Mogę ci ufać?

- Raczej wątpię. Chcesz się przekonać?

Shelley uklękła i zbadała sytuację na materacu.

Cain w całej swej okazałości leżał na cytrynowo-żółtej pościeli. Opierał się na łokciu, a kanapka błyskawicznie zamieniała się we wspomnienie. Włosy na jego ciele były bardzo jasne tam, gdzie spaliło je słońce, i bardzo ciemne tam, gdzie nie dotarło.

Najsilniej jednak przemawiało do niej to, co kryło się pod symetrią jego ciała. Jej pociąg do Caina rósł z każdym wybuchem wspólnej wesołości; podniecała ją nie egoistyczna zmysłowość Caina, jego serdeczność dla Billy'ego, a nawet zimna wściekłość, z jaką zareagował na okrucieństwo JoLynn. W Cainie była szczerza dobroć i czysta wewnętrzna siła. Przemawiały one do zmysłów Shelley mocniej niż najdoskonalsza nawet kompozycja męskiej skóry, kości i mięśni.

Gdy tak na niego patrzyła, czuła jak wzbierają w niej uczucia, zapełniając pustkę, której istnienia dotąd nie podejrzewała, i wzruszają ją prawie do łez.

- To niesprawiedliwe - powiedziała.

- Proponowałem połówkę.

- Nie mówię o kanapce.

- A o czym?

- O tobie. Mężczyzna nie ma prawa być taki piękny!

Rzucił na tacę nie dojedzoną resztę kanapki i spojrzał na Shelley. Oczy jego z szaroniebieskich stały się srebrne, gdy wyczytał z jej twarzy oczywistą prawdę. ,

Dla Shelley był piękny.

Niepewny uśmiech Caina sprawił, że miała ochotę równocześnie śmiać się i płakać.

Jak mogłam aż tak odkryć się przed nim - i to tak szybko?

Była na to tylko jedna odpowiedź, którą już znała: oddała Cainowi nie tylko swoje ciało, ale znacznie więcej. Zbyt wiele.

Ucałowała stwardniały czubek palca, którym Cain dotykał jej tak ostrożnie, jakby była snem i mogła rozwiać się w każdej chwili.

- Nie jestem wcale piękny, norko. Do diabła, sama przecież powiedziałaś przy naszym pierwszym spotkaniu, że „uroda nie grzeszę”.

- Myliłam się.

Z uśmiechem pogładził jej policzek i potrzęsnał głową.

Żeby nie rzucić mu się w ramiona, Shelley splotła ręce i oparła na nich brodę. Przyglądała się Cainowi z taką uwagą, jakby był dziełem sztuki, które zamierzała nabyć.

- Ktoś taki jak Brian czy JoLynn jest może z wierzchu ładniejszy - wyjaśniła. - Ale nie warto zaglądać do środka. Są jacyś tacy... zamuleni.

- Jak twój były?

- I twoja była. Ale ty nie jesteś w środku zamulony. Jesteś czysty i silny do szpiku kości. I to jest właśnie piękne. Reszta to tylko pozory.

- Wobec tego ty jesteś najpiękniejszą kobietą na ziemi.

Wciągnął ją na łóżko i przygarnął do siebie. W jego uścisku nie było już zgłodniałej namiętności. Po prostu obejmował ją, pragnąc czuć ciepło jej ciała, oddech muskający mu szyję, uścisk mocnych ramion, które go obejmowały.

Ręce Caina przesuwały się po jej ciele bez natarczywości. Bliskość Shelley upewniała go, że jest ona istotą z krwi i kości, a nie snem zrodzonym z samotności, która towarzyszyła mu od tak dawna, że nie uświadamiał sobie jej istnienia, póki nie zniknęła.

Nie był już sam.

Świadomość tego poraziła go jak uderzenie pioruna, zmieniające wszystko dokoła.

Shelley coś mruknęła i odrobinę odsunęła się od niego,

- Spoko - powiedział. - Nie miałem zamiaru znowu cię gwałcić.

- Jaka szkoda!

Pierś Caina uniosła się w bezgłośnym śmiechu.

- Ale ci się nie dziwię - dodała Shelley. - Zobacz, co ci zrobiłam!

Bardzo ostrożnie dotknęła jego piersi. Przez warstwę włosów przezierał wielki siniak.

- Nic podobnego, norko. Nie udałoby ci się tak mnie poszczerbić bez młotka!

- Więc jak to się stało?
 - Właśnie ci powiedziałem: ktoś mnie rąbnął młotkiem.
 - Kpisz sobie!
 - Wolałbym, żeby tak było.
 Myśl o tym, że ktoś sprawił mu ból, przeszła Shelley jak nożem.
 - Jak to się stało?
 - Ot, małe nieporozumienie.
 - A jaki był powód?
 - Ten, co zawsze: gorzała i miejska karuzela.
 - Karuzela?
 - Zdzira. Taka, na której każdy może jeździć.
 Shelley aż się wzdrygnęła.
 - Byłeś u lekarza?
 - Niby po co?
 - Jak to?!

Cain gładził ją po włosach, próbując osłabić napięcie, które aż w niej pulso-
 wało. Gdy pieszczota nie poskutkowała, schylił się i ucałował Shelley w usta.
 - To nic wielkiego - powiedział.
 - Więc czemu nie chcesz o tym mówić?
 - Bo cholernie mnie wkurza ludzka głupota.
 - To chyba stale chodzisz wkurzony.
 Cain roześmiał się i opadł znów na łóżko.
 Shelley przytuliła się do jego boku i czekała.
 - Opowiadałem ci o tym geologu i o inżynierze, z którymi miałem kłopoty?
 - O tych, co się kłócili o... miejską karuzelę?
 - Właśnie. Zjawiłem się samą porę, by położyć kres paskudnej bijatyce.
 - I wtedy ktoś uderzył cię młotkiem?
 - Sam sobie byłem winien - odparł Cain z ziewnięciem. - Bardziej mnie
 martwił gość z pistoletem. Pijacy przeważnie bywają, nieobliczalni.
 Shelley zaschło w ustach.
 - Gdy próbowałem odebrać mu broń, Joe i ta dzzira rzucili się na mnie.
 Wyrwałem Kenowi pistolet i udało mi się częściowo odparować cios młot-
 ka. Potem dałem obu dobrą szkołę.
 Shelley poczuła, że nie może oddychać.
 - Często zdarza się coś takiego? - spytała słabym głosem.
 - Nie. Ajak już się zdarzy, to przeważnie wśród górników, Wtedy pozwa-
 lam im się wyładować, jeśli siły są wyrównane. Ken też był kiedyś górnikiem.
 Wystarczy parę kieliszków, wysztafirowana dupa - i już się rwie do bijatyki.
 - Policja nie interweniowała?
 - A na Saharze spotkałeś dużo glin? - spytał sucho Cain.
 Shelley przymknęła oczy. Napłynęły wspomnienia. Nieraz chowały się
 z matką do namiotu. Wtedy mama wyjmowała ze schowka w walizce dobrze
 naoliwiony pistolet. Potem obie - matka i córka - czekały w milczeniu za
 płóciennymi ścianami.

Później Shelley sama nauczyła się strzelać i czyścić broń. Ale i przed-
 tem wyglądała przez szparkę w płótnie namiotu. Nieraz widziała ojca, który
 ze strzelbą w rękę uspokajał rozwścieczonych mężczyzn.
 - Policja zjawiała się dopiero po wszystkim, a i to nie zawsze - odpa-
 rła. - Tata musiał sam się wszystkim zająć.
 - W obozie górników jest tak samo. Jego kierownik musi utrzymać ład.
 - Ty jesteś kierownikiem obozu?
 - Nie. To była funkcja Kena. Niestety, wspomniana już karuzela...
 - Lulu?
 - No właśnie. Żona Joego. To od niej oberwałem młotkiem.
 - O Boże!
 - Gdyby była mężczyzną, złamałbym jej rękę. - Cain wzruszył ramiona-
 mi. - Zapowiedziałem Lulu, że jak mnie jeszcze raz zaatakuje, potraktuję ją
 jak każdego innego napastnika.
 - A co z Kenem?
 - Będzie musiał rozejrzeć się za nową pracą, jak mu się ramię zrośnie.
 - Zrośnie?...
 - Złamałem mu rękę. Nie lubię broni palnej, zwłaszcza wycelowanej we mnie.
 - Rozumiem... A mąż Lulu?
 - Joe zabrał ją powrotem do swojego baraku. Nie wiem, co było potem.
 - Wątpię, czy któreś z nich dobrze się bawiło.
 - Mam nadzieję, że nie - rzucił szorstko Cain. - Nie zobaczyłem już
 Lulu przed wyjazdem, i tym lepiej. Mam zbyt wiele ważnych spraw na głó-
 wie, żeby się zajmować kłopotliwą dzzira.
 Wzgarda w głosie Caina zmroziła Shelley. Z tym samym połączeniem
 obrzydzenia i lodowatej obojętności mówił o JoLynn i swej byłej żonie.
 Miejska karuzela.
 Nawet Shelley poczuła na sobie ostrze jego złośliwego języka podczas
 pierwszego spotkania.
 Stara panna. Kobieta, która nie potrafi zatrzymać przy sobie mężczyzny.
 - Nie masz wiele sympatii do kobiet, prawda? - spytała cicho.
 Właśnie odkryła w sobie kobiecą solidarność.

15

M liczenie przeciągało się długo. Shelley była przekonana, iż
 Cain po prostu zignorował jej pytanie. W końcu westchnął,
 przegarnął palcami zmierzwione włosy i odezwał się.
 - Zbyt wiele kobiet chce wyłącznie władzy - powiedział. -
 Lecz na każdego mężczyznę, który im wpadnie w oko, ale
 w gruncie rzeczy wcale im na nas nie zależy. Chcą tylko, żeby mężczyznom
 zależało na nich.

Shelley wyraźnie widziała, jak jest spięty. Jego muskuły były równie twarde jak wyraz zaciśniętych ust. Odwrócił się i spojrzął na nią.

- Od bardzo dawna nie lubiłem kobiet - powiedział spokojnie. - Aż kiedyś ujrzałem kobietę stojącą w promieniach słońca z wężem okręconym wokół ręki. Obchodziła się z nim tak łagodnie... - Przesunął kciukiem po brwiach Shelley.

- A potem równie wiele serca okazała samotnemu dzieciakowi - mówił powoli niskim głosem. - Nie musiała się o nich troszczyć, nic na tym nie zyskała. Była po prostu kobietą pełną miłości.

- Ta stara panna, co to nie umiała zatrzymać przy sobie mężczyzny?

Roześmiane, ciepłe wargi musnęły czoło Shelley.

- Byłem tobą cholernie zaintrygowany - powiedział - a ty zadzierałaś nosa pod samo niebo, kiedy tylko spoglądałaś na mnie. Ależ mnie to wkurzało!

- Byłam święcie przekonana, że widzisz tylko jak JoLynn kołysze...

- Cyckami?

- Żeby nie wspomnieć o zadku.

- Dawno przestały mnie rajcować takie sztuczki. Z tego się po prostu wyrasta. Uśmiech Shelley zgasł, gdy zobaczyła, z jakim natężeniem się w nią wpatruje.

- Właśnie dlatego tak mnie zaciekawiłaś - stwierdził Cain. - Byłaś naturalna do szpiku kości. Żadnych sztuczek, żadnych kłamstw. Miałas w sobie jakąś uczciwość, której nie spodziewałem się już znaleźć w kobiecie.

Shelley odwróciła się i ucałowała dłoń Caina. Potem ją ugryzła.

Cain roześmiał się i przesunął pieszczotliwie kciukiem po jej wargach.

- Gdy ujrzałem, jak zapalasz świece na torcie Billy'ego, wiedziałem już, że muszę się przekonać, jakie to uczucie: znaleźć się w łóżku ze szczerą, pełną miłości kobietą.

- No i jak było? - spytała żartobliwym tonem. W jej oczach jednak nie było śmiechu; wpatrywały się w niego bacznie.

- Przekonałem się, że niekiedy sny się spełniają.

- Mówisz o koszmarach?

- To nie był koszmar! Znalazłem nareszcie kobietę, która jest silna i czuła, bystra i uczciwa, cywilizowana i dzika.

Ich ciepłe oddechy zmieszały się ze sobą w pocałunku. Shelley odchyliła głowę do tyłu i spojrzała Cainowi prosto w oczy.

- Wcale nie jestem dzika, Cainie. Zwykła ze mnie kura domowa.

- Popatrz na tę szklaną ścianę i jeszcze raz zapewnij mnie, że nie jesteś dzika.

Shelley spojrzała ponad piersią Caina w stronę olbrzymich okien gościnnego pokoju, za którymi roztaczał się malowniczy widok na strome wzgórze. Choć nie chciała przyznać Cainowi racji, w głębi ducha wiedziała, że krajobraz przemawiał do niej z większą siłą niż wszelkie słowa, myśli, nawet jej własne zaprzeczenia.

Wkrótce zapadnie zmierzch i wilgotna bryza znad oceanu wypłoszy gorące podmuchy wiatru od Santa Ana. Morskie powietrze sprawi, że pusty krajobraz ożyje. Wieczorem do rozpalonych parowów przeniknie chłodna świeżość. Wj-

zdąży ukrycia jelenie i sarny, będą na smukłych nóżkach przemykać wśród zarośli. Ukradkiem przedostaną się nad jej basen spragnione szopy, a w ślad za nimi opopy. Od czasu do czasu pojawi się czarno-srebrny elegancik, skunks.

I jak zawsze pełno będzie królików, zamierających z trwogi przy każdym szeleście. Mają się na baczności przed kojotami, które wynurzają się i nikną wśród zarośli jak brunatne cienie.

Shelley lubiła najbardziej tę porę dnia, gdy słońce pozwalało odetchnąć udreżonej ziemi. Wszystko jaśniało w jakiejś mistycznej poświacie, wzywając ją, by zdobywała te dzikie wzgórza, poznawała je, docierała do miejsc, gdzie rzadko stawała ludzka stopa.

Cain obserwował wpatrzoną w krajobraz Shelley i był już pewien, że się nie omylił, Kochała dzikie zakątki, gdzie łatwiej można spotkać zwierzęta niż ludzi, a wiatr przechadza się częściej niż jakakolwiek żywa istota.

- Lubię piękne widoki - oświadczyła. - I co z tego? Każdy je lubi.

- Nie dla wszystkich określenie „piękny widok” znaczy to samo.

- Co masz na myśli?

- Tylko to, że z okien swojego domu spoglądasz na dziką naturę, a nie na światła wielkiego miasta.

Shelley wzruszyła ramionami.

- W nocy mogę stąd zobaczyć także i te światła.

- Możesz zobaczyć, owszem. Ale prawdziwą przyjemność sprawia ci kontakt z naturą.

- Mnóstwo ludzi lubi krajobraz nie zatłoczony budynkami. Właśnie dlatego domy z widokiem na morze są w takiej cenie. Ale czy od razu trzeba wyciągać wniosek, że mieszkańców nadbrzeżnych willi kusi pierwotne życie na łonie dzikiej przyrody?

Zaczął ton Shelley sprawił, że Cain zamilkł, ale nie na długo. Pragnął jej pomóc w poznaniu własnej natury - to była zbyt ważna sprawa, by ją pomijać milczeniem.

Choć Shelley właśnie sobie tego życzyła.

- JoLynn pozasłaniała wszystkie okna, bo jest zbyt głupia i płytką, by mogło przemówić do niej dzikie piękno oceanu - tłumaczył spokojnie. - A ty zbudowałaś sobie dom o szklanych ścianach, z dala od centrum miasta, bo odczuwasz potrzebę kontaktu z naturą, ucieczki od betonowych kolosów i ulic krytych makadamem.

Niecierpliwie potrzęsnęła głową.

Cain uśmiechnął się, że tego nie dostrzegła.

- Jest w tobie dzikość, której nie potrafisz ukryć. Czemu tak się o to starasz?

Zesztywniała pod dotykiem jego pieszczotliwej ręki. Odsunęła się od niego, chociaż nie zmieniła pozycji.

Cain wyczuł jednak zachodzącą w niej zmianę tak nieomylnie, jak wyczuwał bicie własnego serca. Wpatrywał się w Shelley nie odwracając od niej ani na chwilę jasnych oczu.

- Dlaczego tak się upierasz, że jesteś kurą domową? - spytał.

- Bonia jestem.
- Jakoś mnie to nie przekonało.
Poruszyła się niecierpliwie.
- Kocham wzgórze za ich brunatne tony i za to, że w każdym oświetleniu stają się inne. Są równie wspaniałe jak dzieła sztuki stworzone przez człowieka.
- Kochasz je właśnie dlatego, że nie zostały stworzone przez człowieka.
Że są dzikie.
Odwróciła się i spojrzała na niego niespokojnymi piwnymi oczami.
- Mylisz się. Jestem domatorką. - Próbowała uśmiechem złagodzić ostrość swych słów. - Ludzie różnią się od siebie: i gustami, i wymiarami. Ot, z ciebie na przykład prawdziwy kolos, włóczykiu.
I najpiękniejszy człowiek jakiego kiedykolwiek spotkałam.
Jej smutny uśmiech sprawił, że zaparło mu dech. Oczy Shelley lśniły od łez, które w każdej chwili mogły z nich popłynąć. Wewnętrzny głos podszepnął Cainowi, że w duchu znów się z nim w tej chwili żegna.
- Nie możesz wyrzucić tak łatwo za burtę wszystkiego, co nas łączy - powiedział.
- Skąd wiesz, że to będzie łatwe?
Zanim zdążył odpowiedzieć, zasłoniła mu usta ręką.
- Proszę, nie mów nic! Żadne z nas się nie zmieni. Ale możemy być razem, prawda? Jak długo będzie to możliwe.
- Zawsze to będzie możliwe. Kocham cię. - Dotknął leciutko warg Shelley końcem palca. - To kolejna rzecz, która zdarza mi się po raz pierwszy w życiu. Nie wyznałem dotąd żadnej kobiecie, że ją kocham.
Słowa Caina, równocześnie burzące i twórcze, przemknęły do głębi, niezależnie od jej woli. Na rzęsach błysnęły łzy. Nie wiedziały - śmiać się czy płakać? A może krzyżeć czy uciec pędem, by nie widzieć tej pewności w srebrnych oczach.
Kura domowa i włóczyki złączeni ze sobą na wieki.
To się nie może udać!
Gdy go stracę, będzie bolało jak nigdy dotąd.
- Cain...
Jej głos był cichy, pełen bólu. I strachu.
Pocałował ją bardzo delikatnie.
- Nie płacz! Kiedy uświadomisz sobie, dlaczego obawiasz się własnej dzikiej natury, przekonasz się, że kochasz mnie równie mocno jak ja ciebie.
Shelley potrząsnęła głową i starała się nie buntować przeciw bezmyślnemu okrucieństwu losu, który łączył ze sobą takie przeciwieństwa, jak Jo-Lynn i Billy albo domatorką i obieżyświat.
Cain usiadł i uważnie przyglądał się smukłej, ciemnowłosej kobiecie, równie upartej, jak zmysłowej.
- Kusi mnie, by kochać się z tobą teraz, zaraz - powiedział. - Zmusiłbym cię, byś skapitulowała w moich ramionach. Krzyczałybyś z rozkoszy i z miłości do mnie aż pod niebo.

Shelley dostrzegła w jego oczach niezbitą pewność, Ogarnęło ją gwałtowne pożądanie. Równocześnie zbudził się lęk.

- To jednak przestraszyłoby cię jeszcze bardziej - dodał Cain odwracając się. - Pokaż mi więc swoje wzgórze, domatorko. Nigdy jeszcze nie wędrowałem po dziele sztuki.

Przez chwilę leżała bez ruchu na łóżku przyglądając się Cainowi, który wstał i zaczął wkładać ubranie, zrzucone z takim pośpiechem. Potem także wstała i chciała okazać podobne opanowanie.

Ubieranie szło jej jednak niezdarne: ręce się trzęsły, w głowie miała zamęt.

- Przydałaby się nam manierka - zauważył Cain. - Znajdzie się jakaś w tej wielkiej szafie w twojej sypialni?

To rzeczowe pytanie zaskoczyło Shelley. Zdawać by się mogło, że Cain nigdy nie wpatrywał się w nią świetlistymi szarymi oczami i nigdy nie mówił jej o miłości. Przełknęła z trudem ślinę, wskoczyła w dżinsy i odwróciła się ku niemu.

- Owszem, mam manierkę.

Rada była, że jej głos brzmiał prawie tak rzeczowo jak głos Caina.

- A plecak? - spytał.

- Też.

- Pionierki?

- Nie w twoim rozmiarze.

- Mam własne. A ty?

- Leżą obok manierki.

Cain uśmiechnął się. Miał rację.

- Znasz jakieś miejsce na wzgórzach, gdzie moglibyśmy urządzić sobie piknik? - spytał.

Shelley wolno skinęła głową i zobaczyła, że pociągła twarz Caina rozjaśnia się uśmiechem. Wydał się Shelley tak piękny, że miała ochotę stać i patrzeć na niego bez końca.

- Chodźmy! - powiedział. - Przygotuję kilka kanapek, gdy ty będziesz zbierać swój ekwipunek.

Miała wrażenie, że to wszystko jej się śni, gdy przyglądała się wychodzącemu z pokoju Cainowi.

Nie wierzy w to, co mu powiedziałam. A może niewiele go to obchodzi?

Gdy została sama w pokoju, popatrzyła przez okno na tajemnicze, wabiące ją wzgórze. Zwolna potrząsnęła głową.

Obchodzi go! Nie na tyle, rzecz jasna, żeby chciał zmienić swój tryb życia. Ale onnigdy *nis* miał prawdziwego domu, więc nie wie, co traci.

Jednak jestem pewna, że czuje do mnie coś więcej niż przelotne pożądanie. Mógł mi głądzić o miłości po to, żeby mnie zaciągnąć do łóżka, ale teraz po co miałby mnie okłamywać? Po co się trudzić? Dostał, czego chciał.

Ja też.

Wspomnienia zmysłowych pieścizot zajaśniały w pamięci Shelley, zapierając jej dech. Nie oszukiwała samej siebie: wiedziała, że Cain będzie ją miał, ilekroć tego zapragnie, jak długo tu pozostanie.

I to nie tylko ze względu na seks, choć Bóg świadkiem, że było nam cudownie, ale dlatego, że... Zależy mi na nim. Aż za bardzo.

Domatorka i obieżyświat.

Boże, ależ się porobiło!

Stała bez ruchu przygryzając wargę i próbowała uporządkować kłębiące się w niej uczucia.

Nie mogła. Każdy zapach rozchodzący się po pokoju, każdy aksamitny cień na pościeli, każdy okrucieństwo kanapki na tacce - wszystko przypominało jej o bogactwie pieścizot Caina.

Nie ma sensu biegać w kółko! stwierdziła energicznie. Zrobię to, co zawsze, gdy wydaje mi się, że jestem w sytuacji bez wyjścia i nie potrafię nic wymyślić.

W takich wypadkach wyruszała na wyprawę po wzgórzach. Dlatego właśnie każda z wymienionych przez Caina części turystycznego ekwipunku leżała bezpiecznie w kącie szafy, czekając, aż Shelley zechce jej użyć. Przynajmniej raz na tydzień wymykała się na wzgórze z suchym prowiantem w plecaku. Bardzo lubiła przesiadywać w ciszy, gdy zmierzch przerażał siew noc, obserwując, jak niewyraźne cienie przemykają się wśród karłowatych dębów w poszukiwaniu żywności, zdobyczy, schronienia.

Pospiesznie skończyła się ubierać, zebrała potrzebny sprzęt i popędziła schodami na górę - po dwa stopnie na raz.

Cain zerknął w stronę Shelley znad przygotowywanych kanapek i uśmiechnął się do niej, gdy weszła do kuchni swobodnym krokiem osoby przyzwyczajonej do pieszych wędrówek. Jak przypuszczają, pionierki nie były dla niej nowością.

- Wlałem resztę lemoniady do manierki - oznajmił. - Jeśli masz ochotę na coś innego do picia, to poszukam w moim wozie pustej manierki.

- Lemoniada będzie w sam raz. Wieczorem jest chłodno. Nie zapędzimy się aż tak daleko, żeby zaczęło nam dokuczać pragnienie.

- Tak też myślałam. Wzięłaś latarkę elektryczną?

Shelley zawahała się. Miała dziwne wrażenie, że pytania Caina są właściwie stwierdzeniem faktu.

- Zawsze mam ją w plecaku ~ odparła.

- A nóż? Zapałki? Kompas?

- I podręczną apteczkę, a także specjalny koc, który chroni zarówno od zbyt gorąca, jak od przemarznięcia - wyjaśniła sucho. - Czyżbym coś przeoczyła, wielki mistrzu włóczędzy?

- Nic a nic.

Cain spojrzał na niaż ukosa, potem powrócił do robienia kanapek, zręcznie układając na chlebie płaty szynki.

- No, wyduś, co masz na wątrobie - zażądała Shelley.

Cain lekko się uśmiechnął. - Szybka jesteś!

- Jak to norka. No więc, co ci się ciśnie na usta?

- Jak na domatorkę, świetnie się orientujesz, co może się przydać w prymitywnych warunkach,

- Życie mnie tego nauczyło. Zanim - dodała z naciskiem - dorobiłam się własnego domu.

Cain powiedział tylko: - Masz w co owinać kanapki?

- Trzecia szuflada po prawej.

Gdy on grzebał w szufladzie, ona podeszła do lodówki.

- Zostało z wczorajszej kolacji trochę pieczonego kurczaka - oznajmiła.

- Billy nie miał apetytu?

- Nie, to ja poszłam po rozum do głowy. Przygotowałam dość jedzenia dla pięciu osób. Dzięki temu mogłam mu wetknąć jeden... a raczej kilka kawałków kurczaka do torby na lunch.

Cain parsknął śmiechem.

- Śmieję się, śmieję - powiedziała. - Póki nie poznałam Billy'ego, nie miałam pojęcia, co to „worek bez dna”. W czasie, gdy u mnie mieszkał, upiekłam poczworną porcję kruchych ciastek z czekoladą. Dwukrotnie!

Odwróciła wzrok od kawałków kurczaka i zobaczyła, że Cain przygląda się jej z czułym uśmiechem. Serce Shelley fiknęło koziołka.

- Kobieta pełna miłości - powiedział cicho.

- To charakterystyczna cecha miłych, oswojonych kur domowych.

Jednak ton głosu Shelley był mniej zadziorny niż słowa. Nie potrafiła sprzeczać się z Cainem, gdy tak się do niej uśmiechał.

- Następnym razem postaram się wrócić, zanim mój bratanek wrąbie ostatnie ciastko.

Powieki Shelley zadrgały, gdy Cain tak bez ogródek stwierdził, że znowu wyjedzie.

I powróci.

- Schowałam trochę ciastek w czerwonej puszcze od kawy. Stoi na górnej półce w szafce nad lodówką - powiedziała Shelley przyciągając kuchenne krzesło. - Pomyślałam, że może nie wyrosłeś całkiem z dziecinnych upodobań.

- Chcesz powiedzieć, że ty z nich wyrosłaś?

- Kpisz, czy co? Te ciastka zawierają trzy bardzo ważne składniki pożywienia: cukier, tłuszcz i czekoladę.

Cain odebrał jej krzesło i odstawił na dawne miejsce przy stole.

- Zapomniałaś? - powiedział. - Teraz masz już w domu mężczyznę.

Wyminął ją i otworzył szafkę nad lodówką. Shelley z kwaśną miną zauważyła, że nie musiał nawet wspiąć się na palce.

- To ta? - spytał.

Zanim skończył mówić, zdjął z puszki wieko. Zapach czekolady wionął mu prosto w nos.

- To ta! - stwierdził i wciągnął głęboko miłą woń. - Do licha, ile wspomnień budzi we mnie ten zapach!

- Miłych?

- Najmilszych. Seth przepadał za czekoladowymi ciastkami. Od kiedy mama za niego wyszła, pojemnik na ciasteczka był zawsze pełen. Śmiech, miłość i zapach czekolady.

Łagodny, refleksyjny uśmiech Caina przebił bariery ochronne, którymi Shelley znów próbowała się od niego odgradzić. Miała ochotę objąć go, przyciągnąć się do niego, wyjawiając mu swoim uściskiem, jak bardzo cieszy ją to, że dzieli się z nią wspomnieniami, uśmiecha do niej, po prostu jest przy niej.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że wprowadziła swój zamiar w życie, póki nie poczuła pod swym policzkiem gorącej piersi Caina. Otoczył ją ramionami odwzajemniając uścisk.

- Bardzo się cieszę, że oprócz złych masz także miłe wspomnienia z dzieciństwa - szepnęła.

Cain ucałował ją we włosy i wciągnął znów głęboko powietrze, ale tym razem napawał się zapachem Shelley.

Czuła, szczodra, seksowna, rozmyślał znów całując jej włosy. I przerażona.

Nie wolno mi o tym zapomnieć, bo inaczej znajdę się na lodzie, nie wiedząc, jak najcudowniejsza zdobycz mojego życia prześliznęła mi się przez palce.

Po bolesnym doświadczeniu nieudanego małżeństwa Cain przekonał się, że lepiej zrobi ufając swym instynktom niż z nimi walczyć. W tej chwili nie wiedział, dlaczego właściwie Shelley boi się go pokochać, ale nie miał wątpliwości, że tak jest. Z żalem wypuścił ją z objęć.

- To twój plecak - oświadczył podając jej paczkę kanapek. - Sama go najlepiej zapakujesz.

Dyskretnie obserwował Shelley przy pracy. Włożyła twarde przedmioty na dno, miękkie na wierzch. Kanciaste umieściła z tej strony, która nie będzie dotykała pleców. Potem lekko potrząsnęła plecakiem, by sprawdzić, czy wszystko gra. Wydobyla kanapkę, która zawędrowała pod ciężki pojemnik z ciasteczkami, i umieściła ją w innym miejscu.

Każdy jej ruch był naturalny i zręczny. Każdy zdradzał, że często pakowała plecak i wyruszała w stronę brunatnych wzgórz.

Taka z niej domatorka, pomyślał z ironią, jak ze mnie Tomcio Paluch!

Chociaż zapewnia bez przerwy, że potrafi żyć tylko na łonie cywilizacji, spędza mnóstwo czasu wśród wzgórz.

Miał ochotę znowu podroczyć się z Shelley na temat rozbieżności między jej słowami a czynami, ale powstrzymał się samą porę. Z zielono-żółtych oczu dziewczyny nie zniknął jeszcze niepokój. Byłby idiotą, gdyby znów ją przestraszył i skłonił do zamknięcia się w skorupie.

Cain zasługiwał pewnie na niejeden epitet. Nie był jednak patentowanym osłem - przynajmniej od czasu swego pierwszego idiotycznego małżeństwa.

- Ja to wezmę - powiedział sięgając po plecak.

- Jestem przyzwyczajona do niego. Zresztą, naciebie będzie za mały.

- Niech no spojrzę na paski.

Wyjął jej plecak z rąk i przedłużył rzemyki, by pasowały do jego o wiele szerszych pleców i ramion. Potem założył plecak wyprostowując paski i wzruszył ramionami, żeby bagaż znalazł się na samym środku. Wszystko to czynił z łatwością kogoś przyzwyczajonego do dźwigania znacznie większych ciężarów.

- Pasuje jak ulał - stwierdził. - Prowadź!

Shelley nie traciła czasu na dyskusje. Wyszła prosto w brązowo-szkarłatny zmierzch.

Gdy tylko zostawili za sobą wytyczone ścieżki wokół basenu i ogród, parujący z rozgrzanej ziemi żar sprawił, że poczuli się jak w piekarniku. Cain przebywał zbyt często „w pustyni i puszczy”, by liczyć na miły chłodek w pozornie niedostępnej dla słońca dąbrowie. Grunt wśród zarośli był suchy i kamienisty..

- Droga do nikąd - stwierdził.

Shelley popatrzyła na biegnącą wokół jej posiadłości polną drogę o szerokości sześciu metrów.

- Przesieka ogniowa - wyjaśniła. - Na wzgórzach i w górach koło Los Angeles jest ich pełno. Zabezpieczają przed rozszerzaniem się pożarów. Ludzie jeżdżą tędy, gdy minie sezon największego zagrożenia ogniowego.

- Doskonałe trasy dla motocyklistów.

- Korzystaj z nich, póki możesz. Mieliśmy ostatnio suszę. Okres pożarów rozpocznie się lada chwila. Wtedy wzgórza będą niedostępne dla motocyklistów i pieszych turystów.

- Ale nie dla ciebie?

- Nie palę papierosów, nie bawię się w strzelanie do celu, nie rozniecam ognisk. Nikt nie ma nawet pojęcia, że tam chodzę.

Śluzak przeciwpożarowy przecinała wąska ścieżka. Shelley automatycznie w nią skręciła. Znała drogę na pamięć: od lat chodziła tędy ze swego domu na wzgórze.

- Naprawdę broni przed ogniem? - spytał Cain.

- Przesieka przeciwpożarowa?

-Tak.

- Jak dotąd, całkiem nieźle. Niektóre domy stoją tu od dziesięciu lat.

Cain przeniósł wzrok z chaszczki pokrywających strome zbocza na szeregi luksusowych domów, wzniesionych na szczycie każdego pasma wzgórz.

- Ogień rozszerza się ku górze - stwierdził.

- Od dawna nie mieliśmy pożarów. Lasy w tej okolicy nie płonęły od prawie stu lat.

Cain ze zmarszczką na czole spoglądał to na jej dom, to na otaczającą go dziką przyrodę. Karłowate dęby zasługiwały raczej na nazwę niskiego lasu niż potężnych zarośli. Miały sześć metrów wysokości, rosły spletanym gąszczem, były suche jak pieprz. W okresie zagrożenia pożarowego ta płowa dębina wokół domu Shelley stanowiła poważne niebezpieczeństwo.

- Dziwię się, że nie wybrałaś miłej, zielonej dolinki - powiedział. - Byłoby tam o wiele bezpieczniej.

- I brzydziej. Widoczek równie zatęchły jak powietrze. Tu, na wyżynie, można swobodnie oddychać.

- Nie lubisz ograniczonej przestrzeni?

Shelley nie odpowiedziała.

Dzikie gołębie wyfrunęły z dąbrowy tuż za przesieką. Pełne wdzięku różowo-szare ptaki wzbijały się z melodyjnym krzykiem i zniknęły w odległym, mrocznym parowie o ścianach tak stromych, że gołębiom nie groziło tu ludzkie wścibstwo.

Wydeptana drożynka kończyła się przed wysoką na dwa piętra ścianą dębiny. Shelley skręciła w gęste, kłujące zarośla.

- Uważaj na oczy! - ostrzegła. - Nie ma tu właściwie żadnej drogi, ale wiem, jak można przedostać się do parowu.

Cain zachował należyty dystans, by odgarniane przez Shelley gałęzie nie biły go po twarzy. Potem zagłębił się jej śladem w gęstwinie dębów, automatycznie pochylając się tak, by nie łamać plecakiem wszystkich kruchych gałązek po drodze.

Mimo że grunt był nierówny, a ścieżki ani śladu, Shelley posuwała się niemal bezszelestnie. Czuła się tu wyraźnie u siebie, poruszała z lekkością i gracją, jaką zapewnia tylko stały kontakt z naturą.

Obserwował ją uśmiechem, zachwycając się w milczeniu łątwością, z jaką wtopiła się w otaczającą ją przyrodę. Jej ruchy nie mąciły panującej tu harmonii, podobnie jak przelot ptaka.

Zupełnie oswojona, co? Kura domowa?

Akurat! myślał z prawdziwą satysfakcją. Schodzi po stromym zboczu tak lekko jak ptak fruujący pośród dębów, w gąszczu niedostępnym dla ludzi, odkąd biali odkryli Kalifornię.

I cieszy ją każdy krok, bo jest to dzika, dziewicza ziemia.

Zachował jednak te myśli dla siebie. Nie chciał właśnie teraz wszczynać sprzeczki.

To kwestia czasu. Nie jest głupia. Sama dostrzeże prawdę.

Dno parowu pokryte było kamieniami zaokrąglonymi i wygładzonymi przez wodę. Cain zorientował się, że - mimo częstej suszy - w czasie deszczu parowem płynął potok niosący ze sobą głązy.

Teraz nie było tu wody, panował jednak nieco mniejszy upał. Promienie słońca ledwie mogły się przebić przez dębowy gąszcz. Zarośla wokół Caina były od niego trzykrotnie wyższe. Zmierzch zalewał zakamarki parowu gęstym cieniem. Nagrzane powietrze pachniało żywicą i ziołami.

Shelley odwróciła się. Przemówiła cicho, jej głos stapał się z mrokiem.

- W zimie siedząc bez ruchu mogłam obserwować zwierzęta pijące wodę, która się tu sączyła.

Cain popatrzył we wskazanym przez nią kierunku. Na powierzchni nie większej niż plecak rósł suchy mech. Nie było teraz widać sączącej się wody. Miejsce to przypominało raczej mały, brunatny, pofałdowany dywanik niż wodopój.

- Woda płynęła tu przez okrągły rok - wyjaśniła Shelley. - Przedostatnia zima była strasznie sucha. Ostatnia jeszcze gorsza. I wszystko wyschło.

- Co ze zwierzętami?

- Zaczęły pić wodę z mego basenu. Nawet grzechotniki.

- A ty im pozwoliłaś.

- Mieszkają tu o wiele dłużej niż ja.

Przecięła parów i szybko wspięła się na przeciwległą ścianę. Po kilkudziesięciu metrach zatrzymała się na zboczu, gdzie na skalnej półce leżała niewielka polanka otoczona dębami. Przystanęła i spojrzała wyczekująco na Caina.

Bez słowa zdjął plecak i rozpostarł na ziemi koc. Nieco zdyszana po stromym podejściu, uświadomiła sobie, że oddech Caina jest zupełnie równy.

- Pewnie dużo chodzisz po górach - powiedziała.

Dosłyszał nutkę zazdrości w jej głosie, ale powstrzymał się od komentarza.

- Sporo - odparł, - Zdjęcia satelitarne pomagają zawęzić pole obserwacji, ale najlepiej samemu przejść się po terenie.

- Choćby na czworakach.

- Matka natura chowa czasem swe naj użyteczniej sze skarby w zakazanych kątach!

- Ale tyje kochasz, prawda? Te dzikie kąty.

Cain, który właśnie „nakrywał do stołu”, podniósł głowę. Mimo że w głosie Shelley nie dosłyszał przygany, spodziewał się dostrzec ją w jej oczach. Ujrzał w nich jednak tylko akceptację jego osoby.

Włóczykija.

Żadne z nas się nie zmieni. Możemy jednak być razem, prawda? Jak długo będzie to możliwe.

- Tak, Kocham dziką przyrodę - odparł spokojnie. - Tak samo jak tobie niezbędny jest ten skrawek dzikości, którego się nie wyrzekłaś.

Shelley spojrzała mu prosto w oczy. Miały barwę zmierzchu i patrzyły na nią z pewnością, której nie mogła ani zachwiać, ani jej podzielać.

- Rozejrzyj się dokoła - Cain wskazał na dębowy gąszcz. - Pod niektórymi względami jest to kraina równie dzika jak miejsca, które zwiedzałem.

- To śmieszne! Jesteśmy o parę kroków od wielkiego miasta!

- Czyżby? Jak myślisz, ile osób - od niepamiętnych czasów - zawędrowało tutaj, stanęło na tym właśnie miejscu? Tysiąc? Sto? Dziesięć? - Zakończył cicho: - Dwoje. Ty, Shelley. I ja.

- Ale to wcale nie znaczy, że lubię prymitywne życie!

Zaczęła wyjmować z plecaka jedzenie. Dla niej temat był wyczerpany.

- A na czym polega różnica? - spytał Cain.

Było to całkiem rozsądne pytanie.

Nie otrzymał jednak rozsądnej odpowiedzi.

- Nie umiem tego określić - odparła ze ściśniętym gardłem - ale wiem, że tak jest. Mogę cieszyć się i tym, i moim domem. Ale nie przejmuj się, nie oczekuję od włóczykija, że to zrozumie.

Cain zawahał się. Wiedział, że nie powinien przyciskać jej do muru. Nie miał jednak zamiaru przyznawać jej racji, skoro tak bardzo się myliła.

- Dom nie jest związany z miejscem - powiedział - tylko z uczuciami. Z miłością. Nie ukrywaj się za eleganckimi ścianami budynku, który nazywasz domem! Nie broń się przed miłością do mnie. Ona stworzy nam dom, o którym oboje marzymy.

Shelley raptownie uniosła głowę.

- Dom to nie...

Cain błyskawicznie pocałował ją nie pozwalając skończyć. Gdy odewłał się od niej, powiódł kciukiem po wargach Shelley.

- Nie mów teraz nic - powiedział. - Posłuchaj mnie ten jeden raz, kochanie. Proszę! Nie będę do tego wracał, daję słowo.

Z zapartym tchem czekał na decyzję Shelley, wpatrując się w jej twarz zgłodniałymi oczami. Gdy był już pewny, że ją stracił, skinęła głową. Dotknął znów jej warg kciukiem. Pragnął ją pocałować, ale wiedział, że nie powinien tego robić. Jeszcze nie.

Może już nigdy?

- Pragnę śmiać się razem z tobą, sprzeczać z tobą i kochać z tobą tak, że nie będzie już nas dwojga, stopimy się w jedno - powiedział cicho. - Chcę się z tobą ożenić i spędzić z tobą całe życie.

Łzy wyolbrzymiły jeszcze ciemne oczy Shelley.

- Należymy do siebie i nie ma żadnego znaczenia, kiedy się spotkaliśmy i jak długo się znamy - stwierdził. - Zawsze cię znałem, zawsze cię kochałem. Po prostu nie mogłem cię odnaleźć przez całe lata. Zbyt wiele lat. Nie marnujmy już dłużej naszego życia. Bądź przy mnie, wyjdź za mnie, kochaj mnie.

Gorące łzy Shelley padały na palce pieszczące jej wargi.

- Nie musisz mi dawać od razu odpowiedzi - mówił łagodnie, ale stanowczo. - Nawet nie pozwolę ci odpowiedzieć od razu. W tej chwili wydaje ci się, że kochając takiego włóczykija zniszczyłybyś wszystkie swoje marzenia, wszystko co osiągnęłaś, nawet samą siebie.

Shelley odetchnęła z trudem i poblądła. Usłyszała głośno wypowiedziane swoje najgorsze obawy.

- A więc o to chodzi - pokiwał głową Cain. - Po prostu boisz się i mnie, i drzemiącej w tobie dzikości. Nie bój się, norko. Nie stracisz swojego domu. Znajdziesz go dopiero teraz. Stworzymy razem prawdziwy dom, znajdziemy go w swoich ramionach.

Scałował gorące łzy, które lśniły na jej rzęsach i policzkach.

- Cain...

- Po prostu bądźmy razem - powiedział szybko. - Pozłocisz mój dom, a gdy skończysz z nim, znowu o tym porozmawiamy.

- Ale...

- Powiedz „tak”, norko - szepnął.

Shelley nie wiedziała, czy Cain prosi ją, by się z nim dłużej nie sprzeczała, czy chce, by przyrzekła pokochać go w przyszłości. Wiedziała tylko, że

nie zdoła powiedzieć „nie” mężczyźnie, na którego wargach lśniły jej łzy, który obejmował ją tak czule i rozumiał tak zdumiewająco dobrze.

Ale przecież nie mogła powiedzieć „tak”!

A czemu nie? pomyślała ze zdumiewającym spokojem. Nie masz już przecież nic do stracenia, prawda?

Prawda?

- Shelley?...

Wolno skinęła głową.

16

gdz się w pełni wschodził właśnie nad wzgórzami, łagodząc ich twarde kontury żółto-pomarańczowym blaskiem. Poruszone powiewem bryzy liście dębów szumiały nad polanką, którą Cain i Shelley wybrali sobie na piknik. Z kolacji zostało już tylko skrzydełko kurczaka obgryzane właśnie przez Shelley i smak lemoniady na wążach Caina.

- A co się dzieje, gdy już pobierzesz próbki rudy? - spytała.

- Zgadnij.

- Pewnie jak zawsze dochodzi do głosu polityka.

- Strzał w dziesiątkę.

Shelley odgryzła ostatnią odrobinę mięsa z kostki, oblizała wargi i westchnęła. - I jak ta polityka zazwyczaj wygląda?

- Świństwo przegniłe do szpiku kości. Kilka tygodni po zakończeniu mojej wyprawy dotarła do mnie wieść, że szwagier ministra gospodarki studiował geologię i jest pewien, że w kraju nie ma żadnych złóż rudy żelaznej. A cyny albo magnezu? Wykluczone!

- I minister naprawdę bardziej wierzył zapewnieniom szwagra niż próbkom rudy, które mu dostarczyłeś?

- Naprawdę. No więc siedziałem tam z workiem pełnym próbek rudy, gwarantujących rozwój rodzimego przemysłu metalowego, i słuchałem, jak ten idiota przekonuje mnie, że w jego kraju nie ma żadnych cennych złóż.

- I co zrobiłeś?

Cain wzruszył ramionami.

- Udałem się do trybunału wojskowego, który sprawował tam władzę między jednym a drugim wyborami. Wywaliłem próbki rudy na biurko pewnego pułkownika, poinformowałem go, że minister gospodarki to dupa wołowa, i odmeldowałem się.

Shelley równocześnie śmiała się i potrząsała głową.

- Założę się, że wypędzili cię z wielkim hukiem z miasta!

- Nie mieli okazji. Wróciłem na północ pierwszym samolotem.

- I na tym się skończyło.

- Niezupełnie. Trzy dni później pułkownik odszukał mnie w Los Angeles. Okazało się, że szwagier ministra gospodarki - nawiasem mówiąc, sam był ministrem handlu - był na procencie u zagranicznych importerów stali.

- Wobec tego rodzimy przemysł stalowy był mu nie na rękę?

- Uderzyłoby go to zdrowo po kieszeni, więc zrobił, co mógł, by zlekceważono wszystkie moje sugestie.

- Wspomniałeś przecież, że w kraju był olbrzymi deficyt i należało ograniczyć import do minimum?

- Dobro kraju nie miało żadnych szans w porównaniu z osobistym interesem pazernego ministra - stwierdził Cain bez ogródek,

- Ale przecież nie zawsze tak bywa. Niektóre rządy troszczą się o dobro obywateli.

- To się zdarza bardzo rzadko, jeśli obywatele są biedni i nie mają wpływu na tych u steru. Kiedy trzeba wybierać między dobrem szaraczków a osobistą korzyścią ludzi władzy, zaczyna się cholerna przepychanka koryta z forszą. Zgadnij, kto wygrywa: potrzebujący czy pazerni? /

Zapadający bezszelestnie mrok nie był w stanie przesłonić znużenia i niesmaku na twarzy Caina.

- Czasami wygrywają ci, co mają słuszność - odezwała się po chwili Shelley.

- O wiele za rzadko! Nie zliczyłbym, ile już razy odkrywałem bogactwa naturalne, które mogły przekształcić kraj zacofany gospodarczo w potęgę przemysłową - i moje odkrycia lekceważono albo sabotowano wszelkie działania, ponieważ garstka prominentów nie życzyła sobie zmian.

- Przecież każdy chyba rozumie, że jeśli bogaci się państwo, to zarabiają na tym rządzący!

- Nie bądź taka pewna! Kiedy na jakiś teren wtargnie tygrys wielkich zmian, nigdy nie wiadomo, kto na nim wysoko zajędzie, a kto zostanie pożarty. Rządzący najlepiej zdają sobie z tego sprawę, toteż duszaw zarodku wszelkie ewentualne reformy.

- To smutne.

- Ziemia w ogóle nie jest rozrywkową planetą - stwierdził Cain z gorzką ironią. - Dziewięćdziesiąt procent jej mieszkańców żyje gdzieś pomiędzy epoką kamienną a mrokami wczesnego średniowiecza. A jeśli chodzi o dzieci...

Wzruszył ramionami i ruchem ręki wyraził swą bezradność.

- Wiem - powiedziała Shelley, ujmując tę rękę. - Zawsze bolało mnie serce, kiedy patrzyłam na dzieci uśmiechające się mimo gorączki i ropiejących ran. Zwykła aspiryna była dla nich czarodziejskim lekiem. Apenicylina darem bogów.

Długie, stwardniałe palce Caina splotły sięz palcami Shelley. Ścisnął jej rękę kurczowo, jak ginący z pragnienia człowiek czepia się nadziei dotarcia do wody. Po chwili znów zaczął mówić.

Shelley słuchała go z napięciem, pragnąc dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Zapadające od czasu do czasu milczenie świadczyło o tym, że Cain rzadko dzielił się z kimś swoimi spostrzeżeniami.

- Nieraz się zdarzało, że odkrywałem złoża w jakimś naprawdę pięknym miejscu - mówił powoli. - Kiedy mijała pierwsza radość z dokonanego odkrycia, często miałem ochotę zatrzymać przy sobie tę rewelację.

- Dość miałeś potyczek ze skorumpowanymi władzami?

- O to mi też chodziło, ale przede wszystkim wzdragałem się przed niszczaniem piękna. Roboty górnicze to bezlitosny proces.

- Szerzący się głód też.

- Ale cały dowcip polega na tym, że nawet gdybym uczciwie przedstawił wyniki moich badań, nie miałbym żadnej gwarancji, że dzieciaki coś na tym zyskają. Tyle że gdybym zataił znalezisko, maluchy nie miałyby w ogóle żadnej szansy. Czekają je życie krótkie i tragiczne.

- Jakaż to straszna alternatywa: piękno ziemi albo uśmiech dziecka.

Palce Caina zacisnęły się na jej ręce.

- Przeważnie nie ma właściwie żadnego wyboru: człowiek opowiada się automatycznie po stronie dzieci. Ale niekiedy państwo jest dość bogate albo ma już podobne złoża.

- I co wtedy robisz?

- Zamykam gębę na kłódkę, zwracam forszę, którą mi dali, i wynoszę się.

- Często się to zdarza?

- Nie tak często jak bym chciał. Kiedyś pokażę ci zakątki, o których nikomu jeszcze nie opowiadałem. Są nadal równie piękne jak w chwili, gdy Bóg je stworzył.

Shelley spojrzała w twarz Caina. Kryła się niemal całkowicie w zapadającym mroku.

- Opowiedz mi o miejscu, które najbardziej przypadło ci do serca - poprosiła.

- Jest ukryte wysoko w Andach, tysiące kilometrów od cywilizacji. Za wysoko tam na dżunglę, za nisko na wieczne śniegi. Góry są zielone i czarne, strome i dzikie, a błękitne niebo tak wysokie, że sięga chyba do środka wszechświata.

- Znam takie niebo - powiedziała Shelley. - Nie widziałam go od bardzo, bardzo dawna. Powietrze jest absolutnie czyste - czujesz się wtedy jak zawieszony we wnętrzu cudownego, kruchego kryształu. Jeden dźwięk, jeden nierozważny ruch, a roztrzaska się wokół ciebie.

Cain musnął wąsami jej palce.

- Tak tam jest.

- Jak znalazłeś to niezwykle miejsce?

- Wędrowałem w górę rzeki, aż do jej źródła. Woda była czysta, zimna i tak przejrzysta, że prawie niewidoczna. Nie było żadnego szlaku, najmniejszego śladu, że ktoś szedł tędy przede mną.

- Nawet krajowcy? - spytała Shelley.

- Oni także nie. Zbocza były zbyt strome i kamieniste, by je uprawiać. Mieszkańcy ostatniej wioski, którą minałem po drodze, powiedzieli mi, że nie ma żadnej drogi na szczyt góry, nie ma przejścia na drugą stronę, a ci, co ośmielili się zakłócić spokój górskich bóstw, nigdy stamtąd nie powrócili.

Shelley przysunęła się do niego jeszcze bliżej, wpatrując się w płonące jasnym blaskiem oczy Caina, w jego ciemne rzęsy, w wargi, uśmiechające się łagodnie do wspomnień. Nie musiała go pytać, czemu się uśmiecha. Dobrze to wiedziała.

Naprawdę dzikie zakątki świata posiadały specyficzny urok. Składała się nań zamierzchna przeszłość i tajemnicze jutro ludzkości. W zetknięciu z nieujarzmioną naturą człowieka cywilizowanym budziło się uczucie pokory, a jednocześnie czuł się podniesiony na duchu. Uczyla go ona, że pewnych rzeczy nie wolno zmieniać, trzeba zachować je w pierwotnym stanie, a ich dzikość będzie ukojeniem i wyzwaniem dla niespokojnej duszy ludzkiej.

- Szukałem złóż jednego metalu, a trafiłem na całkiem inny - powiedział Cain.

- Na złoto?

Skinał głowę.

- Natrafiłem na gniazdo wielkości mojego plecaka. Znajdujące się w tym zagłębieniu samородki złota były tak czyste, że mogłem zarysować ich powierzchnię paznokciem.

Oczy Shelley rozszerzyły się.

- Mój Boże!

- Zacząłem przeszukiwać od tego miejsca łóżysko strumienia, używając do przemywania zwykłego talerza.

- I co?

- Prawie niedostrzegalne ślady.

- Więc skąd się wzięło to złoto?

- To pytanie za Bóg wie ile miliardów dolarów - odparł Cain sucho. - Trzeba było znaleźć złotodajną maciorę, a nie miot samородków.

Shelley roześmiała się. Słuchała go w nabożnym skupieniu

- Gniazdo samородków znajdowało się zaraz za miejscem, gdzie do głównego koryta rzeki wpadało mnóstwo dopływów - wyjaśnił Cain.

- Skąd wybiegały?

- Z kilku różnych szczytów. Jeden z tych strumyków zapewne wypłukał i unióśł ze sobą złoto. Samородki miały obły kształt, a zatem przepłynęły sporą odległość, zanim utknęły w gnieździe.

- I co zrobiłeś?

Shelley zadała to pytanie zdławionym głosem. Przyczyniły się do tego słowa Caina i szorstki, a zarazem jedwabisty dotyk jego włosów na jej palcach.

- Gdybym zabrał ze sobą tę garść samородków - odparł Cain - tysiące ludzi wyruszyłoby tam, a poszukiwania zniszczyłyby całą krainę.

Nieświadomie przygryzła wargę i potrząsnęła głową na myśl o decyzji, którą musiał podjąć.

- Gdybym mógł dokładnie zlokalizować żyłę złota - powiedział w końcu - zapaliłbym w wiejskim kościółku świeczkę na intencję dzieci i opuścił góry, by złożyć raport o znalezisku.

- Ale nie zrobiłeś tego.

- Nie. Macierzysta żyła mogła znajdować się dosłownie w każdym miejscu na obszarze kilku tysięcy kilometrów kwadratowych.

- Czyli igła w stogu siana? Choćby nawet szczyrołota...

Cain skinął głową. - Wiedziałem z całą pewnością, że obecny rząd zarabia rocznie kilka miliardów dolarów na kokainie i wydaje wszystko co do grosza na kobiety, wino i broń.

- Znow to samo!

- Nie pierwszy i nie ostatni raz. Nie miałem żadnych złudzeń, ta garść złota nie polepszyłaby położenia głodujących krajowców, a utrata górskich bóstw załamałaby ich całkowicie.

Cain ucałował rękę Shelley i dodał cicho: - To było najpiękniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałem. Musiałem mieć pewność, że góra przetrwa nienaruszona, nawet jeśli bym sam miał jej nigdy już nie ujrzeć.

- Krajobrazy duszy - powiedziała Shelley, przypomniawszy sobie jego słowa. Ucałowała łagodnie opuszki palców Caina. - Dziękuję ci.

- Za to, że nie złożyłem tego raportu?

- Za to, że jesteś, jaki jesteś.

Cain unióśł ją i posadził między rozsuniętymi nogami tak, że opierała się plecami o jego pierś.

- Szkoda, że dawniej nie mogłem z tobą porozmawiać - powiedział całując ją w skroń. - Gdziekolwiek bym był, zawsze czułem się jak obcy w nieznanym kraju. Zupełnie sam. Wracałem z gór albo z pustyni, zasiadałem przy stole konferencyjnym i usiłowałem skłonić innych, by zrozumieli to, co tam zobaczyłem.

- I rozumieli?

- Nic a nic. Ci, którzy żyli się z dziką naturą, nie pojmowali życia w mieście, mieszkańcy wielkich miast bali się głuszy. Łączyło nas tylko to, że wszyscy chcieliśmy odkryć nowe złoża dla dobra przyszłych pokoleń - żeby stać je było na penicylinę i żeby nie wymierały od chorób.

- Moi rodzice często rozmawiali na ten temat. Również mieli ogromne trudności, gdy chcieli skłonić ludzi do wysłuchania ich racji - czy to w kraju, czy za granicą.

- Trzeba było pomachać forszą - stwierdził Cain. - Wszyscy: rewolucjoniści i dyktatorzy, biurokraci i bandyci, zaczynają uważnie słuchać, gdy rozmowa schodzi na pieniądze. Żywa gotówka, a nie potrzeby dzieci, przemawia językiem zrozumiałym dla każdego.

Gorycz w głosie Caina sprawiła, że przez myśl Shelley przemknęły wspomnienia.

- Ja też żałuję, że nie mogłam dawniej z tobą pogadać - powiedziała.

- Ogromnie przydałaby mi się... ~ Cairi pohamował się, zanim dodał „żona” i zakończył oględnie: - ...naprawdę życzliwa dusza.

- Ja też często marzyłam o kimś takim — przyznała Shelley. - Żadne z dzieci, które znałam, nie rozumiało, co czuję. Nikt oprócz mnie nie mieszkał zarówno wśród głuszy, jak w wielkim mieście... nie licząc etapów przejściowych.

Cain przygarnął ją bliżej. Znał uczucie wyobcowania, o którym wspomniała.

- Ludzie z miasta - ciągnęła Shelley - nie potrafili zrozumieć, jakim cudem jest woda na pustyni, a jeśli wspominałam o kosmonautach, mieszkańcy pustyni nie byli w stanie pojąć tego, że człowiek wylądował na księżycu.

Cain uśmiechnął się lekko i otarł się policzkiem o włosy Shelley.

- W dodatku zawsze, kiedy udawało mi się nawiązać nić porozumienia, tata kończył zadanie, nad którym pracował, i znowu wyjeżdżaliśmy. Właśnie wtedy zaczęłam marzyć o własnym domu.

- Chodziło ci o jakieś konkretne miejsce na mapie, czy po prostu chciałaś być tam, gdzie ludzie cię rozumieją?

- To właśnie jest dom: miejsce, gdzie ludzie nas rozumieją.

- I twoim domem jest Los Angeles?

- Tak. - Głos Shelley był miękki, pełen przekonania.

- A kto cię rozumie w Los Angeles?

Cain poczuł, że zeszywniała, i znał już odpowiedź: nikt w Los Angeles nie rozumiał Shelley.

A jednak upierała się, że to jest jej dom.

- Wybiegnij wzrokiem poza szeregi domów - powiedział Cain wskazując ręką. - Księżyc jest jasnozłoty, jak światełka w twoich oczach.

Shelley przebiegł dreszcz, gdy usta Caina odszukały wśród włosów wrażliwą muszelkę ucha. Nie tylko jednak ten dotyk wprowadził ją w drżenie. Każde słowo Caina było jak kamyczek rzucony w spokojną sadzawkę jej ustalonych poglądów: od padających z jego ust słów powstawały kręgi, które mąciły gładką powierzchnięj duszy, groziły utratą bezpieczeństwa, szczęścia, samej istoty domu.

On mnie nie rozumie, myślała z niepokojem. Jak mógłby to pojąć? Nigdy nie przeszedł przez piekło, przez które mnie wleczono od dziczy do dziczy.

Gdyby mnie rozumiał, może nie musielibyśmy się rozstać?

Uczuła ostrze przejmującej tęsknoty za czymś, czego nigdy nie zaznała. Mogłaby dzielić z kimś swoje łzy i śmiech, nadzieje i obawy, triumfy i rozczarowania.

Dzielić z kimś życie.

- Kiedy miałam siedem lat - powiedziała - rozbiliśmy namioty na pustyni Negev. Świecił wtedy księżyc taki jak teraz. Księżyc niosący gorączkę.

Ręce Shelley zacisnęły się na ramionach Caina. Jej głos był wysoki, pełen napięcia. Nigdy nie opowiadała nikomu o tych chwilach straszliwej trwogi i rozdzierającej nadziei.

- Byłyśmy w obozie dopiero od dwóch dni - ciągnęła. - Pewnie zaraziłyśmy się jeszcze w mieście. Tata wyruszył z większością pracowników na pierwsze rozeznanie terenu. Tylko nasz przewodnik znał angielski. Poszedł z tatą. My z mamą zostałyśmy w obozie. Ona zachorowała pierwsza.

Powieki Caina drgnęły. Objął Shelley opiekuńczo.

Dłonie dziewczyny sunęły niespokojnie po rękach Caina, jakby chciała przekonać samą siebie, że nie ma już siedmiu lat, nie jest samotna, nie patrzy w przerażeniu na bredzącą w gorączce matkę.

- Gdy jej dotknęłam, poczułam, że jest rozpalona jak piasek pustyni. Jeszcze gorętsza. Potem zaczęła coś mówić, śmiać się i płakać. Wystraszyłam się. Rozmawiała z dziadkami - a oni przecież nie żyli! Nie wiedziałam, co robić.

- Miałaś dopiero siedem lat. Nikt nie mógł oczekiwać, że coś na to poradzisz.

Nawet jeśli usłyszała te uspokajające słowa, nie zareagowała na nie. Jej palce zacisnęły się boleśnie na przegubach Caina.

- Mama zaczęła wołać tatę. Wybiegłam w noc. Księżyc był taki sam jak dzisiaj, koloru miedzi.

Spojrzała na miedziany księżyc nad wzgórzami i przytuliła ją jeszcze mocniej.

- Na zewnątrz było dwóch mężczyzn, którzy opiekowali się zwierzętami pociągowymi - mówiła. - Żaden z nich nie znał angielskiego. Choć płakałam i zaklinałam ich, nie mogli zrozumieć, że moja mama potrzebuje pomocy.

Cain pragnął ją ucałować, przerwać opowieść. Nie zrobił tego. Po prostu tulił Shelley i serce mu się krajało, gdy myślał o przerażonym dziecku, którym niegdyś była.

- W końcu zaciągnęłam jednego z mężczyzn tuż pod nasz namiot. Za nic nie chciał wejść do środka. Potem usłyszał, jak mama śmieje się, bełkoce i krzyczy. Odwrócił się i uciekł.

Cain mruzczał coś cichutko we włosy Shelley, tuląc ją i kołuszając. Po jakiejś minucie odetchnęła z trudem i mówiła dalej pragnąc, by pojął wreszcie, jak bardzo głęboko tkwi w niej potrzeba domu.

- Po latach zrozumiałam, że tamten człowiek okazał wiele odwagi podchodząc tak blisko do naszego namiotu.

- To był muzułmanin?

- I to bardzo pobożny. W jego świecie za przebywanie w namiocie z żoną innego mężczyzny groziła śmierć. Ale wtedy nie miałam o tym pojęcia. Wiedziałam tylko, że byłam przerażona, a on uciekł. Mama mnie nie poznała. Bałam się ją opuścić, więc siadłam przy niej, trzymałam ją za rękę i płakałam, aż gorączka ogarnęła także i mnie.

Uścisk palców Shelley na rękach Caina zelżał. Oparła się ciężko o jego pierś, otulając się ciepłem jego ciała jak płaszczem.

- Tatuś wrócił przed świtem. Tamten człowiek nie uciekł z obozu. Wsiadł na wielbłąda i przy księżycu popędził do mego ojca. Zajeżdżili swoje wierzchowce prawie na śmierć, tak gnali do nas.

Z przeciągłym westchnieniem potarła policzkiem o ramię Caina i zakończyła swą opowieść.

- Wyżyliśmy wszyscy. Kiedy jednak wróciłam do przytomności, przysięgam sobie: gdy dorosnę, nigdy już nie wybiorę się do kraju, gdzie nikt nie będzie mnie rozumiał, i jeśli zawołam pomocy, odpowie mi tylko wrzawa obcych głosów. Znajdę miejsce, gdzie ludzie będą mnie rozumieć. I nigdy stamtąd nie wyjadę.

Cain bał się odezwać; bał się nalegać, by zastanowiła się nad sensem słów „zrozumienie”, „bezpieczeństwo” i „dom”.

- A jaka była reakcja twojej matki? - spytał w końcu.
 Shelley wzruszyła ramionami.

- Po całej tej historii mama zadbała o to, żeby w obozie znajdowała się zawsze jakaś tubylcza kobieta, jeśli nasi pracownicy byli muzułmanami.

- Mówiąca po angielsku?

- Mamie na tym nie zależało. Po prostu ktoś, kto w nagłym wypadku mógłby wyjaśnić mężczyznom, czego nam potrzeba.

- Twój a matka to bardzo praktyczna kobieta - powiedział z uznaniem Cain.
 Shelley zawahała się, rozważając jego słowa.

- Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób - powiedziała z namysłem. - Gdybym była mamą, wsiałabym wtedy na pierwszego wielbłąda i odjechała.

- Bez ojca?

Z głębokim westchnieniem Shelley przyznała się do porażki.

- Nie. Mama kochała tatę jak nikogo w świecie. Na pewno tak było. Bóg wie najlepiej, ile musiała przecierpieć.

- Założę się, że kochała także pustynię.

- O, tak. Największe sprzeczki wybuchały pomiędzy nią a tatą, kiedy chciała wyruszyć na wędrowkę. Czasem wymykałyśmy się we dwie i jechałyśmy w pustynię posłuchać ciszy.

Cainowi zaparło dech na myśl o kobiecie i dziecku, błądzących samopas po rozległych, bezdrożnych pustkowiach świata.

- To było wyjątkowo głupie - stwierdził bez ogródek. - Nie dziwię się, że twój tata robił jej piekło.

Shelley roześmiała się i potrząsnęła głową.

- Mówisz zupełnie jak on. Mama nie była głupia. Orientowała się po śladach i jeździła konno równie dobrze jak Arabowie. Mnie też tego nauczyła. Byłam z mamą bardziej bezpieczna na pustyni niż w miejskiej taksówce.

Cain skinął głową.

- Bardzo chciałbym poznać twoich rodziców. Gdzie oni teraz są?

- W jakimś zakazanym zakątku na wybrzeżu Ameryki Południowej, gdzie deszcz nie pada całymi latami.

- Na pustyni Atacama.

- Byłeś tam?

- Tylko raz. I to krótko. Jest to drugie - po księżycu - najbardziej bezwodne miejsce, znajdujące się we władaniu człowieka.

- Raczej węży - odparła Shelley. Potem dodała szeptem: - Znow coś zdarzyło się po raz pierwszy.

- Co takiego?

- Nikomu przedtem nie opowiadałam o księżycu niosącym gorączkę. Nawet z mamą nie rozmawiałam na ten temat. Tylko ciągle mi się to śniło. Teraz też powraca czasem ten koszmar. Najstraszniejsze jest uczucie bezradności.

- Dlaczego nadal ci się to śni? Masz przecież dom: miejsce, gdzie ludzie cię rozumieją. Zły sen nie powinien mieć już do ciebie dostępu.

Choć Cain mówił bardzo rzeczowym tonem, jego słowa były jak kamienie uderzające o powierzchnię spokojnej pewności Shelley, jak fale wątpliwości.

Fale strachu.

Na sekundę serce w niej zamarło i stała się znow siedmioletnim dzieckiem, samotnym wśród pustyni, ściskającym rękę matki, która jej nie poznawała.

Cain poczuł, jak nagle sztywnieje i przeklął w duchu swój nieposkromiony język. Postawione przez niego pytania były rozsądne, ale mogły wywołać jedynie protest.

Zanim zdążyła mu zaprzeczyć, wszczać sprzeczkę czy odgrodzić się od niego murem, Cain uniosł jej twarz ku swojej i zmienił temat w sposób praktykowany od początku świata.

- Czy mówiłem ci już, że smakujesz znacznie lepiej niż czekoladowe ciastka? - spytał i zbliżył usta do jej ust.

Przyjęła jego pocałunek z ulgą, która szybko przerodziła się w namietność. Drżenie przebiegające teraz przez jej ciało nie było wynikiem niepewności czy strachu. Wywoływał je podniecający dotyk języka Caina, igrającego z jej językiem. Zmieniając nieco pozycję w objęciach ukochanego, Shelley oparła głowę w zagięciu jego ramienia i całkowicie oddała się pieczętom Caina, nie kryjąc swoich uczuć.

Na Caina jej szczerza zmysłowość podziałała jak najpotężniejszy afrodyzjak. Całował Shelley z nieskrywaną żarliwością, która podniecała ją równie silnie. Pieczęta stawała się coraz bardziej intymna, przedłużała się, aż wreszcie nie mogli już prawie oddychać, starając się wnikać w siebie nawzajem głębiej i głębiej, pragnąc, by nic nie dzieliło ich stopionych ze sobą, rozpalonych ciał.

Ręka Caina przesunęła się z twarzy Shelley na jej szyję i muskając pieśczośliwie skórę sunęła w dół. Zawahał się jednak i wstrzymał dłoń nie dotykając jej piersi.

- Już wszystko dobrze - uspokoiła go. - Na pewno nie zeszywnięję.

Między jednym a drugim słowem całowała wargi Caina, jego brodę i szyję w tym miejscu, gdzie biło tętno.

- Naprawdę - szeptała. - Wiem już, że nie będziesz sztywniał z mojego ciała. Dotknij mnie, Cainie. Pragnę, byś mnie dotykał,

- Ja też tego pragnę.

Cain mówił ochrypłym głosem. Powstrzymywał się z najwyższym trudem, ale dotknięcie jego dłoni na piersi dziewczyny było bardzo delikatne. Podrażnił leciutko osłonięty, jakby zbolały sutek.

- Pragnę o wiele więcej niż dotykać cię, norko. Chciałbym zedrzyć z ciebie ubranie, czuć żar całego twego ciała i...

Urwał raptownie. Jego ręka drżała lekko, gdy zdejmował ją z piersi Shelley.

- Niech pomyślę - zaczął ostrożnie.

- Świetnie, któreś z nas powinno to zrobić - odparła szybko. - Teraz twoja kolej.

Cain roześmiał się marząc o tym, by zanurzyć się w niej, ogrzać jej ciepłym swe ciało i duszę.

- Lepiej stąd chodźmy - powiedział - zanim podpalimy te suche zarośla.
- Może lepiej ja wezmę się za myślenie? Samozapłon to bzdura.
- Założysz się?

Wsunął ręce pod jej plecy i uniósł Shelley tak, że jej piersi znalazły się na wysokości jego ust. Lekka bawełniana bluzka i cienki staniczek nie stanowiły prawie żadnej zapory. Cain natychmiast poczuł, że brodawka wyprężyła się pod dotknięciem jej języka.

- Masz rację - przyznała Shelley. - Samozapłon...

Słowa przerodziły się w jęk, w którym Cain usłyszał swe imię. Żar jego ust, podniecająca ostrość zębów, uporczywe pocieranie językiem sprawiły, że od piersi aż do ud Shelley popłynęły strumienie ognia. Wbiła palce w gęste włosy Caina i wyprężyła się łukiem ku niemu, pragnąc go do utraty tchu.

Cainowi wrócił po pewnym czasie zdrowy rozsądek. Z jękiem oderwał usta od jej piersi.

- Całkiem byś się posiniaczyła na tym granicie - powiedział. - Ale, o Boże, jak ja cię pragnę!

Z pożądlivym westchnieniem ucałował ją w szyję, tam, gdzie walił szalenie puls. Shelley odchyliła głowę w bok, by usta Caina mogły dotykać jak największej powierzchni jej skóry.

On zaś pragnął jej całej.

- Które z nas powinno się wziąć za myślenie? - spytał.

W odpowiedzi Shelley mocniej zacisnęła palce na jego włosach.

- Tego się właśnie obawiałem - stwierdził.

Szybkim ruchem przeniósł Shelley z dotychczasowego miejsca między jego nogami na inne.

W świetle księżycy twarz Shelley była złocista i dzika, a bluzka przylegała do piersi, którą całował, uwypuklając rubinowy, zgłodniały stożek.

Cain nie potrafił się opanować. Schylił się ku drugiej, nietkniętej piersi. Muskał ją językiem, drażnił zębami, potem zacisnął na niej wargi. Nie puszczał jej, aż brodawka stwardniała, a bawełna oblepiła wilgotny wzgórek, uwidoczniając podniecenie Shelley.

W końcu uniósł głowę i popatrzył z zachwytem na piersi widoczne przez niemal przezroczystą tkaninę.

Shelley dostrzegła głód w jego srebrnych oczach.

- Teraz twoja kolej na myślenie?

- Chyba.

- I o czym myślisz?

- Że zawsze byłem zwolennikiem symetrii.

- Symetrii? Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby ktoś tak to określił. Teraz kolej na mnie.

Uśmiechając się już na zapas, sięgnęła do guzików jego koszuli.

Cain chwycił ją za ręce i zaczął obgryzać - wcale nie delikatnie - jej dłonie i palce. Potem wstał i podniósł ją z ziemi.

- Przestań mnie drażnić, norko. I bez tego będzie mi cholernie trudno iść.
- Nie chciałam ci zrobić nic złego!
- Wiem. Właśnie to podnieca mnie jak diabli, Chodźmy. Mam doskonały pomysł.

- Znowu jakaś symetria?

- A jakże. Zimna woda i gorąca norka.

- Czegoś mi tu brakuje.

- Nie martw się, mnie też nie zabraknie.

Shelley ze śmiechem zrobiła pierwszy krok, skrzywiła się i potarła biodro. Przesiadywanie na skale nie wyszło mięśniom na dobre.

- Teraz, kiedy znów wzięłam się do myślenia - powiedziała - doszłam do wniosku, że półkom skalnym z granitu wykorzystanym w charakterze łóżka albo fotela brakuje czegoś do doskonałości.

- Miękkiej wyściółki?

- Wszystkiego!

Mimo że serce w niej waliło, a oddech się rwał, zaczęła zbierać pozostałości po pikniku i upychać je do plecaka. Każdy jej ruch świadczył o tym, że chce jak najprędzej zejść ze skalnego zbocza i znaleźć się znów w ramionach Caina.

Zbyt późno uświadomiła sobie, że latarka została na samym dnie. Zaczęła jej szukać, mruczając jakieś egzotyczne przekleństwa, które pobudziły Caina do głośnego śmiechu.

- Pozwól, niech cię zastąpi inny myśliciel - zaproponował.

- Dusiciel?

- Prawdę mówiąc, łowca norek.

- To się nie rymuje.

- Wobec tego: norek wielbiciel.

Shelley rzuciła plecak w kierunku, skąd dochodził śmiech Caina. Schwycił go i zaczął grzebać we wnętrzu, aż poczuł pod palcami metalowy walec. Wyciągnął latarkę.

- Zażądałbym całusa za znalezienie - powiedział gardłowym głosem - ale jakoś sobie nie ufam.

Wargi Shelley rozchyliły się, choć zamknęła oczy, by nie patrzeć na zgłodniałe, piękne usta.

- I coś mi się zdaje, że oboje nie za bardzo nad sobą panujemy - powiedział wtykając Shelley latarkę do ręki. - Masz. Zapal ją teraz: ja już palę się jak diabli.

- Obiecanki cacanki.

- Szczera prawda. Chcesz się przekonać? Ale uprzedzam, że to ty znajdziesz się na skale!

Przez chwilę czuła gwałtowną pokusę. Pochyliła się ku Cainowi całym ciałem.

Potem odwróciła się i ruszyła szybko w stronę domu.

nie potrzebowała latarki, by znaleźć drogą do domu. Księżyc zrzucił rdzawy welon. Przemienił się w płaski, srebrnobiały krag, zalewający światłem całą okolicę. Zdumiewająco licznym promieniom księżycy udało się przeniknąć przez gęstwinę dębowych liści. Tylko dno parowu tonęło w głębokim cieniu, jak gdyby noc zbiegła ze wzgórz i skryła się właśnie tam, w najciemniejszym zakątku, zbierając siły do walki z księżycowym blaskiem.

Szum wodospadu docierał na dno wyschłego parowu, nęcąc obietnicą ochłody. Wraz z księżycowym światłem i szumem wody przeniknął przez dębową gęstwinę także zapach kwiatów.

Cain wpatrywał się w mrok. Wszystkie jego zmysły były wyostrzone. Kochał dzikie zakątki świata, a miejsce, które Shelley wybrała na swój dom, było jednym z nich.

Ale ona tego nie dostrzega, myślał. Dzika natura otaczają, sama jest jej częścią, a ciągle temu zaprzecza.

Miał nadzieję, że nie będzie się zbyt spieszyc z złoceniem jego domu. Nie wiedział, ile czasu upłynie, zanim jego ukochana pojmie wreszcie, jak bardzo do siebie pasują.

Jeśli w ogóle to pojmie.

Na pewno! przekonywał samego siebie. Po prostu musi. Nie może równocześnie być taka dzika w moich ramionach i wmawiać sobie, że jest oswojonym zwierzątkiem.

Gdybym próbował ją o tym przekonać, pogorszyłbym tylko sytuację. Ale istnieją inne sposoby przezwyciężenia jej strachu. Gdy się kochamy, zapomina o wszystkim, co udomowione i ucywilizowane.

Poczuł radosny dreszcz oczekiwania, przyspieszający bicie serca.

Na dziedzińcu powitał ich wodospad rozpraszający w suchym powietrzu kropelki wilgoci. Woda w basenie marszczyła się lekko, wabiąc srebrzystą pokusą i obietnicą jedwabistej ochłody.

- Chwała Najwyższemu! - zawołał Cain. - Gdybyż wszystkie wyprawy podobnie się kończyły!

Z tymi słowy opadł na jedną z podłużnych poduszek leżących na brzegu basenu. Snurowadła tylko śmigały przez stalowe dziurki, gdy niecierpliwie ściągał buty. Shelley zdążyła ledwie pozbyć się pionierek, a on zrzucił już dzinsy i slipy. Kątem oka dostrzegł, że Shelley rozpina suwak spodni. Zaczął zdejmować koszulę. Uporawszy się z połową guzików, roześmiał się szelmowsko. Shelley wyskakiwała właśnie z dzinsów.

- Kto ostatni w wodzie, ten zmywa przez tydzień naczynia! - oznajmił.

W dwóch susach dopadła basenu i zanurkowała. Wynurzyła się po dłuższej chwili, odgarnęła wążące do oczu włosy i uśmiechnęła się szeroko.

- Serdeczne dzięki! - powiedziała wesolutko. - Nie znoszę zmywania!
- Chwileczkę! Masz na sobie bluzkę i masę innych rzeczy!
- Powiedziałeś tylko „ostatni w wodzie”. Nie wspomniałeś ani słowem, co powinnam mieć na sobie, a czego nie!

Cain odrzucił głowę do tyłu i roześmiał, przyznając do porażki.

Zwycięska, roześmiana Shelley, mrugając oczami, by pozbyć się, z nich wody, przyglądała się, jak Cain ściąga koszulę i odrzuca ją na bok. Światło księżycy ślizgało się po jego ciele jakąś niezmierną pieszczotą. Był zupełnie nagi, bardzo męski i ani trochę nie skrępowany.

Zawsze wydawał się jej atrakcyjny, a teraz pociągał ją nieodparcie. Przeszyło ją nagłe pożądanie. Czuła, jak w głębi jej ciała rozchylają się gorejące, atłasowe płatki - niczym kwiat rozkwitający w mroku nocy.

Nie spostrzegła, jak długo, zanurzona po szyję w wodzie, gapi się na Caina. W końcu zasiadł po turecku na jednej z poduszek leżących na brzegu basenu.

On także wpatrywał się w nią z uśmiechem.

- Jaka woda? - spytał.

- Woda?

Usiłowała zrozumieć, co do niej mówi. Mogła jednak myśleć tylko o chwili, gdy Cain zanurzy się w niej, wypełni ją sobą.

- Woda - przytaknął. - Takie coś, w czym teraz tkwisz.

- A, to.

- Właśnie.

- Woda - powtórzyła wpatrzona w niego.

- Chodzi mi konkretnie o wodę w basenie. Nie zaprzataj sobie tym główki. Sam sprawdzę.

Choć mówił to z uśmiechem, w blasku księżycy widać było wyraźnie, jak bardzo jest pobudzony, zwłaszcza gdy pochylił się ku przodowi, by zanurzyć dłoń w basenie. Woda i powietrze różniły się stanem skupienia, ale nie temperaturą. Zapach kwiatów owionął go jak pieszczota.

- Taka sama jak ty - oznajmił. - Ciepła. Jedwabista. Cudowna.

Całe jego ciało przepełnione było oczekiwaniem. Mimo to nie ześliznął się do basenu. Musiał być pewny, że i Shelley odkryje raj nowych zmysłowych doznań, których dostarczy jej woda, noc i kochanek, pragnący poznać ją na tysiąc różnych sposobów.

- Cudowna noc - powiedział. - Cudowna woda. Cudowna kobieta.

Shelley poruszała się w wodzie z lekkością i gracją.

- Coś mi się zdaje, że nie zwracasz na mnie uwagi - poskarżył się.

- Bardzo się mylisz! - powiedziała gardłowym głosem.

W ciągu kilku sekund w jej pamięci wyrzył się na zawsze obraz mężczyzny siedzącego nad basenem, nagiego i potężnego jak noc.

- Cainie...

- Co, maleńka?

Pieszczotliwe słówko sprawiło, że Shelley opłynęła nowa fala gorąca, a kwiat w głębi jej ciała rozpostarł kolejny płatek.

- Nie masz ochoty popływać? - spytała żałośnie.
- A ty?
- Chodź, to się przekonasz.

Wstał i porzucił ciepłe powietrze na rzecz równie ciepłej wody w basenie; zsunął się tak lekko, że jej powierzchnia prawie się nie poruszyła. Bez ostrzeżenia odbił się od ściany basenu i pomknął pod wodą w kierunku Shelley.

Kiedy poczuła palce zaciskające się na jej kostce, nabrała szybko powietrza w płuca, przeświadczona, że Cain zaraz przytopi ją za karę, że tak się na niego gapiła. Zamiast tego poczuła, jak jego silne ręce ściskają jej łydki, sięgają kolan, przesuwały się po udach i wreszcie chwytają nylonową mgiełkę otaczającą biodra. Palce Caina wśliznęły się pod cieniutką tkaninę majtek i zsunęły je.

Wynurzył się o kilkanaście centymetrów od Shelley. Z palca zwisały mu mikroskopijne desusy. Rzucił je na kamienne płyty.

- Ubrałaś się całkiem nieodpowiednio na tę okazję - zauważył.
- Bardzo mi się spieszyło. Zdaje się, że ktoś wspominał o zmywaniu.
- To było parę minut temu, a ty ciągle jesteś ubrana od stóp do głów.
- Próbowałeś kiedyś rozebrać się pod wodą?
- Jakoś nie. Zawsze wolę mieć grunt pod nogami.
- To masz szczęście - odcięła się. - Ja tkwię w tym mokradle po uszy.
- Nie ma sprawy. Jestem wystarczająco wysoki na nasze potrzeby. Trzymaj się!

Wrócił do miejsca, gdzie tkwiła w wodzie. Oparła mu ręce na ramionach.

- Teraz lepiej? - spytał.
- O wiele.
- Możesz swobodnie oddychać?
- Jasne!
- Boja mam z tym pewne problemy.

Sięgnął pod wodę i przyciągnął ją do siebie. Shelley zapało dech, gdy poczuła napór twardego ciała pomiędzy udami. Na samą myśl o tym, że zawrze go znów w swoim wnętrzu, przeniknął ją dreszcz radoznego oczekiwania.

- Dość tego pływania - powiedziała zmienionym głosem. - Chodźmy do łóżka!
- Bardzo lubię leżeć na wodzie.
- Nie mam materaca.
- Tak ci się tylko zdaje.

Usta Caina znalazły się na jej ustach, a sprężysty język wtargnął do ich wnętrza. Rozpostarł dłonie podtrzymując jej biodra - była to jednocześnie pieśczęta i oparcie. Drażnił jej szyję zębami, ostrożnie, raz za razem, namiętnie, aż wreszcie ciało Shelley wygięło się w łuk, spragnione silniejszych doznań.

- Sam bym ci odpiął bluzkę - stwierdził - ale ręce mam zajęte.

Powoli obiał rozkoszną krzywiznę jej bioder. Potem unióś Shelley w górę tak, że jej nogi owinęły się wokół jego pasa.

Przez sekundę nie mogła oddychać, potem z trudem wciągnęła powietrze, wreszcie zaczęła gwałtownie dyszeć. Cain mógł ją w tej chwili wziąć, ale tego nie zrobił, choć bardzo pragnął. Czuła jak ocierają się o siebie ich ciała - jego pobudzone, jej miękkie i zgłodniałe.

- Ciągłe masz na sobie zbyt wiele fatałaszków. Rozbierz się dla mnie.

Głos Caina był taki sam jak dotyk jego rąk: mocny, nagły, pełen pieśczęty. Zobaczył, jak zdumiało ją to żądanie. Uśmiechnął się leniwie.

- Znow coś zdarzy się po raz pierwszy? - spytał.

Shelley skinęła głową.

Pił z jej warg słodycz maleńkimi pocałunkami. Jego dłonie gładziły zewnętrzną stronę ud i biodra. Dotyk Caina dodawał Shelley odwagi i upewniał ją o jego pożądaniu.

- To przecież nic złego - szeptał. - Niech zobaczę, jaka jesteś piękna w samym tylko księżycowym blasku.

Zmysłowe podniecenie i nieśmiałość sprawiły, że ręce Shelley zaczęły się trząść. Niezgrabnie sięgnęła po pierwszy guzik bluzki. Chwyliła okruh masy perłowej. Wyśliznęła się z jej palców. Odnalazła go i znów jej się wymknął. W końcu udało jej się przesunąć oporny guzik przez dziurkę. Z następnym miała jeszcze większe kłopoty: nie tylko był wilgotny, ale w ogóle znajdował się pod wodą.

- Nie dam sobie rady - powiedziała speszona.
- Może tak będzie ci łatwiej?

Cain cofnął się o kilka kroków i oboje znaleźli się w płytszej części basenu. Shelley wynurzyła się z wody.

Ze zmarszczonymi brwiami zmagą się z guzikiem. Cain nie odrywał oczu od jej mokrych, gładkich palców. Nie mógł się już dłużej oprzeć: pochylił się i ucałował jej ręce. To mu jednak nie wystarczyło. Chwytał każdy palec, oddzielnie przesuwał językiem po całej jego powierzchni.

Dotknięcie ciepłego, szorstkawego języka, który wślizgiwał się między jej palce, rozłożyło Shelley. Udało się jej zaczerpnąć powietrza, ale nadal miała trudności z oddychaniem. Zupełnie oszołomiona próbowała uporać się z guzikiem jedną ręką, podczas gdy Cain pieścił i drażnił drugą.

Jego zęby zacisnęły się na fałdce u nasady kciuka. Poczuła dreszcz pożądania.

- Jeśli nie przestaniesz - powiedziała drżącym głosem - minie kilka godzin, zanim odepnę te cholerne guziki.
- Nie spiesz się. Mamy przed sobą całą noc. Dosłownie. Calutką noc.

Głos Caina był niski, brzmiała w nim pewność. Unióś głowę i spojrzal jej w oczy. Powoli przesuwał dłonie po gładkich, sprężystych mięśniach jej ud. Koniuszki palców obwiodły biodra, odnalazły szczelinę pomiędzy nimi, zanurzyły się w nieprawdopodobną miękkość i tam już pozostały.

Shelley gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy Cain dotknął wrażliwych fałdek ciała. Usiłowała coś powiedzieć, ale zdołała tylko wymówić jego imię.

Oczy, pociemniałe z pożądania, lśniły w księżycowej poświacie. Choć wydawało się, że dygocze z zimna, wcale go nie odczuwała. Płonęła żywym ogniem.

Oddech Caina stawał się coraz szybszy.

- Rozbierz się dla mnie - wyszeptał.

Palce zataczały na jej ciele kręgi, drażniły je i znów się cofały. Oczy nieustannie śledziły ją, wyrażały zachwyt, obiecywały nieznaną rozkosz.

Zapomniała o skrępowaniu i nieśmiałości. Chwytała mocno guzik po guziku i przepychała je przez dziurki.

Cain obserwował jej poczynania zgłodniałym wzrokiem. Jego oczy były półprzymknięte, równie zmysłowe jak usta. Wyczekujące.

Nie wiedziała, na co czeka. W gruncie rzeczy było jej wszystko jedno. Pragnęła mu to dać i otrzymać od niego to, czego pragnęła coraz bardziej z każdym uderzeniem szalejącego serca.

W końcu ostatni guzik został odpięty. Końce bluzki wlokły się teraz za nią. Cain całował obojczyki Shelley, dołek u nasady szyi, gładką krzywiznę karku i ramion. Wśród tych pieszczot cofnął się jeszcze bardziej na płyciznę.

Z każdym jego niespiesznym krokiem wynurzała się po trochu z ciepłej wody. Cain witał pocałunkiem każdy wyłaniający się centymetr jej skóry. Przystanął dopiero wówczas, gdy woda sięgała zaledwie piersi Shelley, drażniąc je tak, że brodawki sterczały jak ciemne stożki.

Zęby Caina zacisnęły się na koronkowym brzeżku stanika, szarpnęły raz, drugi. Potem puścił ją.

- Już prawie po wszystkim - stwierdził. - Została tylko ostatnia szmatka.

Unióśł głowę i spojrzał jej w oczy pełen oczekiwania, prosząc ją bezgłośnie, by rozebrała się dla niego całkowicie.

Shelley poczuła, że wraca poprzedni strach, przypominają się dawne urągania, szyderstwa, odmawiające jej kobiecości. Stanik był ostatnią osłoną, pancerzem, gwarancją bezpieczeństwa.

A Cain prosił, żeby się go pozbyła!

Nie wyraził tej prośby słowami, które mogłaby odparować. Błagał ją milczeniem, doskonale wiedząc, co czyni. Chciał, by zaufała mu tak jak żadnemu innemu mężczyźnie, żeby uwierzyła, że jej nie wyśmieje.

Nie bądź takim tchórzem! mówiła sobie. On cię nie poniży! Oglądał cię przecież od stóp do głów dziś po południu i nie dowcipkował na temat sadzonych jajek i tego, że należy dziękować Bogu nawet za najmniejsze dary.

Mimo to nadal się wahała. Tak jak poprzednio, gdy Cain po raz pierwszy chciał dotknąć jej piersi, zeszytniała wbrew woli. Strach, ból i poniżenie zaważyły nie tyle na jej myślach, co na odruchach.

Palce Shelley, znów bardzo niezgrabne, zaczęły szukać klamerki między miseczkami stanika. W końcu dotarły do niej i uporały się z niewielkim zapęciem. Mokra koronka nadal jednak przylegała do piersi, jakby nic się nie zmieniło.

Cain patrzył i czekał.

I wówczas pojęła, że musi ściągnąć tę koronkę własnymi rękami, bez cienia wątpliwości wystawiając się cała na jego spojrzenie.

Dostrzegł w jej oczach błysk zrozumienia; wyczytał je też z ciała Shelley, które nagle sprężyło się prawie nieostrzegalnie.

- Kocham cię - powiedział cicho i czekał.

Drżącymi palcami zsunęła z piersi koronkę. Sekundę później stała przed nim bez żadnej osłony - było to coś znacznie więcej niż zwykła nagość.

Mocne ręce uniosły ją tak, że piersi wynurzyły się z wody. Srebrne strużki spłynęły w dół powracając do basenu. Kilka kropel przyłgnęło do skóry, tworząc kruchą siateczkę brylantów. Sutki lśniły jak miniaturowe korony, skrzące się od klejnotów.

Chciał coś powiedzieć, wyjaśnić, ile znaczy dla niego jej zaufanie i jak bardzo jest piękna. Nie znalazł jednak słów, którymi zdołałby to wyrazić. Więc unióśł ją jeszcze wyżej, powolnym, aż bolesnym gestem.

Wynurzywszy się z ciepłej wody, Shelley wsparła się mocno o muskularne ramiona Caina. Z zapartym tchem wpatrywała się w jego usta, które były coraz bliżej. Wargi rozchyliły się. Końcem języka zlizął brylantowe kropelki z obu ciemnych koron.

Pieszczota sprawiła, że poczuła się nieprawdopodobnie piękna. Język muskał wrażliwe koniuszki piersi; potem błysnęły białą zębą przystępując do śmielszych, jakby poznawczych karesów. Potem brodawka zniknęła w gorącym wnętrzu jego ust - a wówczas Shelley zamknęła oczy, wydając cichutkie jęki rozkoszy.

W końcu Cain podniósł głowę, ale nie zanurzył znów Shelley w wodzie basenu, tylko ponownie przywarł ustami do jej piersi. Drażnił je zębami drapieźnie i delikatnie zarazem. Shelley wygięła się łuk, prosząc o dalsze pieszczoty, nie mogąc się ich doczekać, domagając się ich.

Cain obserwował ją spod półprzymkniętych powiek, zachwycając się zapamiętaniem, jakie obudził w niej on sam i księżycowy blask. Promieniał po prostu na widok namiętności, którą potrafił wydobyć z głębi jej natury.

Wczepiła się palcami w jego włosy i szarpnęła, przyciągając znów głowę Caina do swych piersi.

- Kochaj mnie - szepnęła.

Cain wziął pierś do ust i pieścił ją, póki oboje nie poczuli, że to im już nie wystarczy. Gdy nie mogli znieść dłuższego oczekiwania, zaniósł ją na brzeg basenu i położył na jednej z poduszek.

Mokra bluzka przylegała do jej ramion i pleców. Nogi opasywały Caina, zanurzone do kolan w ciepłej wodzie. Wpatrywała się w ukochanego zdumionymi oczyma. Wolno przesuwała dłońmi po jego barkach i ramionach. Widać było, że sprawia jej przyjemność dotykanie mokrej skóry, opinającej mięśnie sprężone z pożądania.

- Dostatecznie miękko? - spytał. - Chciałbym, żeby ci było wygodnie.

Shelley skinęła głową, nie mogąc wymówić słowa.

- To dobrze - powiedział. - Dość długo czekałem już na deser.

Odwrócił głowę i ucałował wrażliwe wnętrze ud. Shelley zaparło dech, szarpnęła całym ciałem. Cain z gardłowym jękiem przeczuwanej rozkoszy ostrożnie zatopił zęby w gładkim ciele. Jego wasy muskały skórę Shelley, a ręce powolnym, pieścizliwym ruchem rozsunęły jej nogi.

- Masz rację - szepnęła. - Czekaliśmy już zbyt długo. Chodź do mnie!

Wbiła palce w jego włosy, przyciągając głowę Caina, chcąc jak najprędzej poczuć jego usta na swoich, nie mogąc się doczekać, kiedy wynurzy się z basenu i położy obok niej na poduszce.

Zamiast tego oparł jej nogi na swych ramionach. Shelley wydała okrzyk zaskoczenia i otwierała już usta, chcąc zadać mu jakieś pytanie. Jej myśli rozpięzły się jednak, gdy poczuła tak intymną, że wprost niewyobrażalną pieścizotę ust Caina.

Ogarnęła ją istnaburza zmysłów, zmieniając krew w rzekę płynnego złota. Nie była w stanie mówić, wykonać żadnego gestu, nawet oddychać. Jej ciało było całkowicie we władaniu Caina.

Ukryty w jej wnętrzu kwiat pospiesznie rozwijał wszystkie swe ogniste, atłasowe płatki. Przyłgnęła bezradnie do Caina, nie istniało dla niej nic oprócz jego zgłodniałych ust. Każdym ruchem warg, języka i zębów mówił jej, że jest niezrównana i cudowna, że jest darem górskich bóstw, które dobrze wiedziały, co mężczyzna pragnie znaleźć w kobiecie.

Drżąc i płacząc wiała się pod dotknięciem Caina, płonęła sama i rozniecała w nim ogień. Nie umiałyby powiedzieć, kiedy wyszedł z wody i zanurzył się w niej. Wiedziała tylko, że gdy noc rozwierzała się raz po raz niby otchłan, Cain zawsze był przy niej, mogła do niego przyłgnąć. Spijał krzyk z jej ust, wypełniał ją aż po brzegi,

Potem przywarł do niej w miążdżącym uścisku. Ogarnęła go ekstaza, rozdzierając rozkoszą tak intensywną, że graniczącą z bólem.

Stopniowo znów zaczęła dostrzegać światło księżyca i otaczającą ich noc. Czuła na policzku gorący oddech Caina, a ciężar jego ciała wydał jej się niewiarygodnie słodki.

Powiodła dłońmi po jego ramionach, plecach i biodrach. Muskała je długą, powolną pieścizotą, w milczeniu napawając się ich ciepłem i prężnością. Niemal nie mogła uwierzyć, że Cain naprawdę istniał, że istniała ona sama, że mężczyzna i kobieta mogą dać sobie nawzajem tyle nieprawdopodobnej rozkoszy.

Wargi Caina dotykały przymkniętych oczu Shelley, jej policzków, słodko uśmiechniętych ust.

- O czym myślisz? - spytał.

- Że to sen. - Obwiodła jego doskonale piękne usta ciepłym koniuszkiem języka. - Jesteś snem. Nie budź mnie. Umrę, jeśli mnie obudzisz!

- Ja już umarłem.

Ucałował ją taką czułością, że gardło Shelley ścisnęło się. Potem poruszył się, jakby chcąc oddalić się od niej. Zaciśnęła się odruchowo, więząc go w swoim wnętrzu.

- Nie odchodź! - powiedziała zduszonym głosem. - Tak cudownie mieć cię w sobie.

Wyszeptał jej imię i nazwał swoim kochaniem z ustami tuż przy jej ustach. Potem zaczął ostrożnie wysuwać się z niej.

- Przygniatał cię - powiedziała, gdy znów poruszyła się, by go zatrzymać. - Ledwie możesz oddychać.

- Nie dbam o to.

- Ale ja tak. Tyle jest jeszcze rzeczy, którymi pragnę cieszyć się razem z tobą dziś, jutro, przez wszystkie dni i noce aż do skończenia świata!

Pocałował ją, a potem połaskotał wrażliwe miejsce, które odkrył za jej uchem. Roześmiał się cicho, gdy Shelley gwałtownie zareagowała.

- Niewiele mógłbym z tobą zrobić, gdybym cię zgniół na placuszek, prawda? - spytał całkiem rozsądnie.

Skubnął ją lekko zębami w brzuch, a potem koniuszkiem języka zatoczył krąg wokół jej pępka.

- A co masz zamiar ze mną zrobić? - spytała z leniwym uśmiechem.

Wstał i podniósł także i ją.

- Myślałem między innymi o sportach wodnych - powiedział.

- O sportach wodnych?

Przytaknął z ustami wtulonymi w jej szyję. Zlizał ze skóry zasychający już pot.

- Zawody pływackie i water polo? - spytała Shelley.

- Raczej wspólny prysznic, wanna i jacuzzi... wspólna kąpiel w basenach, w jeziorach, rzekach i w oceanach.

Shelley wpatrywała się w niego i myślała o nieskończonym bogactwie rozmaitych możliwości. Była to olśniewająca perspektywa.

- Czyżbyś nie wiedziała? - szepnął Cain. - Norcki są wprost niewiarygodne w wodzie! Nikt w świecie im nie dorówna!

- Masz na myśli wydry.

- Mam na myśli pewną zupełnie niezwykłą norkę.

Oczy Caina błyszczały, gdy patrzył na nią. Ściągnął mokrą bluzkę i stanik, który ciągle przylegał do jej ciała.

- Idziemy, norko! Najwyższy czas wtajemniczyć cię w arkana mycia pleców.

- A co potem?

Unióś ją i przycisnął do piersi.

- Potem wysuszę ci włosy i wytrę całe twe miękkie, śliczne ciało, Zaniosę cię do łóżka. I zacałuję od stóp do głów.

- A kiedy ja będę mogła całować cię od stóp do głów?

Całe ciało Caina sprężyło się, gdy wyczytał w jej oczach zmysłową ciekawość i niecierpliwe oczekiwanie. Z niewiarygodną czułością ugryzł jej pełną dolną wargę.

- Kiedy tylko zechcesz, maleńka. Kiedy tylko zechcesz.

B

Jówisz, że nie ma wystarczająco dużych złóż mineralnych, żeby rozpocząć prace górnicze na pełną skalę? - dopytywała się Shelley przyciskając słuchawkę do ucha.
- Nie w obecnych warunkach - odparł Cain. - Jukon potrafi wykończyć każdy sprzęt!

Shelley musiała dobrze nadstawić ucha, by go usłyszeć. Głos Caina wydawał się głuchy i cienki, coś chrzęściło, jakby słowa przedzierały się przez suche ziarno. Ten szorstki, dudniący dźwięk uzmysławiał jej każdą minutę dziesięciodniowej rozłąki.

- Ale kanadyjski rząd nie daje za wygraną - powiedział. - Chcą, żebym przeprowadził badania na szerszą skalę.

W Shelley zamarło serce. - Teraz?

- Latem, gdy śnieg stopnieje, a słońce nigdy nie zachodzi. Tylko ostatni duren szukałby teraz rudy: po ciemku, pod śnieżnymi zaspami wielkimi jak dom.

Musiała przeczekać zakłócenia na linii.

- To pewnie warte obejrzenia - stwierdziła.

- Śnieg?

- Słońce przez całą dobę. Godzina po godzinie i dzień po dniu.

- Mnie tam wystarczy zwykajne słońce. I kropka. Wygląda na to...

Rozległy się trzaski i syki. Potem słyszalność poprawiła się na tyle, że do Shelley docierało już każde słowo.

- ... zima! Zamiecie rozpoczęły się wcześniej i trwają aż dotąd. Od wielu dni nie mamy ani jednego okna godnego tej nazwy.

- Uda się wam przylecieć?

- Spróbujemy. Trochę się wypogadza, ale nie umiem powiedzieć, kiedy dokładnie dotrę do Los Angeles.

Uczucie pustki w żołądku na wieść, że nie ujrzy dziś wieczór Caina, zdziwiło samą Shelley. Widać bardziej na to liczyła, niż sobie uświadamiała.

- Będę czekać na lotnisku - powiedziała.

- Może dopiero jutro nasz ptaszek doleci do gniazda.

- Wszystko jedno.

- Dla mnie nie. Nie chcę, żebyś spędziła noc skulona w jakimś foteliku na lotnisku tylko dlatego, że tutaj znów się pogorszą warunki pogodowe.

- Ale...

- I tak pojedę od razu do mojej chaty i zwałę się na wyrko. Przez ostatnie dziesięć dni nie spałem zbyt wiele.

Z Shelley było podobnie, ale nie miała zamiaru przyznawać się do tego. Cain zaraz by zapytał, co się stało. Zresztą, nic się nie stało; po prostu tak za nim tęskniła, że nie mogła spać.

- Mam... mam nadzieję, że uda się wam wystartować - powiedziała.

- Co tam u ciebie? Wszystko dobrze?

- Wspaniale.

Żadne z nich nie uwierzyło w to.

- Niech diabli porwą tę parszywą pogodę! - wybuchnął. - Kocham cię. Powinienem być teraz przy tobie. Tak bardzo pragnę porozmawiać z tobą, objąć cię, usłyszeć twój śmiech.

Shelley uśmiechnęła się, mimo że Cain oddalony o tysiące kilometrów nie mógł tego zobaczyć.

- Już się cieszę na chwilę, kiedy zwinę się w kłębek obok ciebie - powiedziała. - Muszę ci opowiedzieć, jak wspólnie narozrabiali Duś, Pacek i Billy. I o moim nowym kliencie, który kolekcjonuje papeterie ze wszystkich luksusowych burdeli świata. I o tym, jak wiatr szumi wśród dębów w księżycowe noce... i o wielu, wielu innych rzeczach. - Zaśmiała się jakoś dziwnie. - Pewnie brzmi to strasznie głupio.

- Brzmi to tak, jakbyś się za mną stęskniła.

Shelley z trudem przełknęła ślinę.

- Bo się stęskniłam.

- Nareszcie jaśniejsza chmurka na moim cholernie czarnym horyzoncie.

- Masz taki znużony głos - powiedziała. - Może uda ci się przespać w samolocie?

- To zależy.

- Od pogody?

- Od tego, kto wygra w orła i reszkę. Miller zwichnął rękę, a ja jestem rezerwowym pilotem.

Mimo zakłóceń na linii dotarł do niego zduszony okrzyk i protesty Shelley.

- Nie martw się o mnie, norko. Jeśli nie jestem w stanie latać, trzymam się ziemi. Gdybym był durnym ryzykantem, nie uchowałbym się tak długo.

- Bądź ostrożny! - nalegała. - Tak bardzo mi ciebie brak. Tak strasznie!

- Kocham cię.

Połączenie zostało przerwane.

Shelley wpatrywała się w milczący telefon. Z wysiłkiem przełknęła ślinę i podjęła walkę z ogarniającym ją uczuciem samotności.

Dlaczego chce mi się płakać? Przecież niedługo Cain wróci. Jeśli nie dziś, to jutro.

Wróci do domu. Do mnie.

Odłożyła słuchawkę na oślep. Nie mogła usiedzieć na miejscu, krążyła po „Pozłacanej Lili”, która była jej drugim domem. Zazwyczaj problemy firmy całkowicie jąabsorbowały: znajdowało się od razu sto pomniejszych spraw do załatwienia i kilkanaście bardzo pilnych, którymi musiała się zająć od ręki.

Tak było zwykle, ale nie dziś.

Wokół niej piętrzyły się papiery do załatwienia, ale Shelley ich nie dostrzeżała. Przeszła obojętnie obok sterty nowych, dopiero co dostarczonych katalogów. Na lśniących stronach pyszniły się fotografie przedmiotów rzadkich i oryginalnych. Dokumentacja dotycząca nowych klientów i aktualnie wykonywanych zamówień zalegała biurko. Tylko ona mogła się z tym uporać, ale nie miała ochoty.

Podniosła głową znad papierów. Jej niespokojny wzrok padł na najnowszą przesyłkę z Szanghaju. Do czarek z porcelany i jadeitu przylegały jeszcze strzępki opakowań i kłaczki kurzu. Prześliczne wyroby aż się prosiły, by je umyć, wycenić i wystawić.

Przed sześcioma tygodniami złożyła zamówienie. Nie mogła się wówczas doczekać, kiedy czarki zostaną dostarczone, kiedy będzie mogła obwieść palcami ich połyskujące krzywizny i zważyć naczynka na dłoni. Dziś rano jednak, gdy przesyłka została doręczona, z trudem zmusiła się do tego, by ją otworzyć, sprawdzić zawartość z listem przewozowym i z jej własnym zamówieniem oraz przekonać się, czy nic nie zostało uszkodzone.

Za dzień czy dwa zajmę się nimi jak należy.

Za dzień czy dwa będę się znów entuzjasmować nadmorskim domkiem pana Mastersona i podzielać zachwyty pani Luther nad cienistym wnętrzem i wspaniałą teksturą.

Za dzień lub dwa, ale nie dzisiaj.

Dzisiaj mogę myśleć tylko o Cainie.

W zamyśleniu gładziła kojące, zmysłowe kształty rzeźby noszącej nazwę *Ja też cię kocham*. Usiłowała sporządzić listę spraw do załatwienia, ale wszystkie jej myśli zaprzętała nieobecny mężczyzna.

Jakie to uczucie - płynąć kanu po rzekach i bezimiennych jeziorach, obłupywać skalne próbki z urwiska, którego nigdy nie dotknęła ludzka stopa, wdychać woń cedru i podziwiać, jak tajemnicza zorza rozjaśnia oblicze nieznanego nieba?

Czy nad Jukonem Cain znajdzie nowe krajobrazy duszy? Czy podzieli się nimi ze mną - podaruje mi ich obraz zawarły w słowach, w spokojnym brzmieniu głosu, w czystej głębi oczu?

Czy tęskni za mną choć w dziesiątej części tak, jak ja za nim? Czy tym razem już mnie nie opuści? A może znowu odejdzie, jak to się zdarzało niejednokrotnie w ciągu ostatnich sześciu tygodni? Dzień tu, dzień tam. Albo tydzień. Niekończąca się otchłań samotności.

Włóczykij.

Po jakimś czasie Shelley już mniej kurczowo ścisnęła gładkie ciało rzeźby.

Wróci. Przecież obiecał.

W ciągu ostatnich sześciu tygodni przekonała się, że Cain Remington jest człowiekiem honoru. Dotrzymuje słowa.

Nie nalegał, by za niego wyszła, nie domagał się od niej zapewnień miłości, choć wiedziała, jak ich pragnął. Zamiast tego po prostu i niezbiacie udowodnił jej, że może mu zaufać i cieszyć się jego bliskością.

Chodzili razem na aukcje, siadali obok siebie na kanapce i przeglądali jeden katalog po drugim. Niekiedy śmiali się z dziwacznych przedmiotów, które ludzie kupowali i umieszczali w swoich apartamentach. Dyskutowali o tym, co by pasowało albo nie do domu Caina.

Gdy jednak należało podjąć konkretną decyzję i dokonać zakupu, zmieniał temat, odciągał uwagę Shelley przelotnapieszczotaczy uśmiechem albo jakąś opowieścią ze swej przeszłości, jednym z krajobrazów duszy.

Shelley nie nalegała, by pomagał jej w urządzaniu na nowo domu. Równie dobrze jak on pamiętała o terminie udzielenia mu ostatecznej odpowiedzi. Przejmował ją lekkiem.

Pozłocisz mój dom i wtedy znów o tym porozmawiamy.

Po raz pierwszy w życiu nie chciała zakończyć podjętej pracy.

Kiedy do mansardy wtargnęła horda robotników i posypał się tynk ze ścian, Cain spakował manatki i zjawił się na progu domu Shelley. Powitała go uśmiechem i uściskiem. Była zachwycona, że będzie miała go u siebie.

Bez słowa wyminęła pokój gościnny i zaprowadziła go do swojej sypialni. Tutaj w srebrzystym blasku płynącym z górnego okna odkrywali wciąż nowe ścieżki do najdoskonalszego spełnienia. Tułaj zasypiali tułąc się do siebie. Tutaj budzili się w ciepłym uścisku, wśród czułych pocałunków i jeszcze czulszych słów.

Przedsiębiorca budowlany dawno ukończył wszystkie prace. Od kilku tygodni apartament czekał na ostatni szlif, który miała mu nadać Shelley. Wszystko było pomalowane, wyłożone płytkami, podłogi pokryto dywanami; co powinno lśnić - lśniło. Lilia w stanie surowym czekała tylko na pozłotę.

Shelley poruszyła niebo i ziemię i dokonała wielu pomniejszych cudów, omal nie narażając własnej firmy na szwank. Płaciła dostawcom specjalne premie i nie wzdragała się przed wręczaniem zwykłych łapówek. Toteż meble zostały dostarczone do domu Caina w zeszłym tygodniu.

Każdy sprzęt był unikatem wykonanym na specjalne zamówienie, z uwzględnieniem jej drobiazgowych wymagań co do rozmiaru, koloru, tkaniny i drewna. Ciemna zieleń, płowy brąz, beż i brunatnożółta barwa drzewa tekowego; gdzieś niedługo drobne akcenty metalicznego ciemnego błękitu, przypominające nagły błysk leśnego jeziora. Przeróżne odcienie tych starannie dobranych barw występowały we wszystkich pomieszczeniach. Miało się złudzenie wędrówki przez jakąś krainę, być może ucywilizowaną, ale wolną i niepokorną.

Mogłam urządzić dom już kilka tygodni temu.

Jednak za każdym razem, gdy próbowała wydusić ze swego zupełnie wyjątkowego klienta, jakiej konkretnie życzy sobie pozłotki, Cain albo musiał załatwić kilka ważnych telefonów, albo właśnie miał się spotkać z Bilym, albo był zbyt zmęczony, żeby przeglądać katalogi, albo zanedo głodny czy śpiący, za silnie lub za mało pobudzony, albo go w ogóle nie było!

Wiedziała, czemu wymiguje się od podejmowania tych drobnych decyzji.

Ona sama usiłowała uniknąć podjęcia decyzji najważniejszej.

We wszystkich momentach ekstazy, podczas wszystkich chwil doskonałego wyciszenia, czy łączył ich śmiech, czy przyjazne milczenie, nigdy nie wspominała o tym, że chce za niego wyjść za niego, że pragnie z nim żyć, że go kocha. Korzystała po prostu z każdej chwili radości i usiłowała nie dopuścić do tego, by wyjazdy Caina niszczyły jej życie.

A jednak tak było.

- Shelley! - dotarł do niej głos Briana.

Zaskoczona rozejrzała się dokoła.

- Czego chcesz?

- Co się z tobą dzieje?
- Nic. A co?
- Wołałem cię z zaplecza, ale nie odpowiedziałaś. Myślałem, że poszłaś do domu. -- --

Dziwne połączenie irytacji i niepokoju w głosie współnika uświadomiło Shelley, że od bardzo dawna machinalnie gładzi rzeźbę, zajęta bez reszty myślami i obawami. Odsunęła się szybko od uwodzicielskiego, zmysłowego dzieła sztuki.

- Przepraszam - powiedziała rzeczowo. - Myślałam właśnie o jednym z zamówień, nad którym aktualnie pracuję.

- O domu Remingtona?

Shelley zawahała się, wiedząc, że Brian nie przepada za Cainem.

-Tak.

- Masz z tym jakieś problemy?

- Żadnych. Czemu pytasz?

Bystre niebieskie oczy Briana zwięziły się.

- To dość niezwykle, że realizacja tego projektu zajmuje ci tyle czasu.

- Cóż, Cain Remington jest niezwykle ciekawym człowiekiem.

- Shelley Wilde, mistrzyni niedomówień! - ton Briana był szyderczy, ale uśmiech prawie współczujący.

- Cóż to ma znaczyć?

- Mężczyzna, który potrafi doprowadzić cię do tego, że chodzisz jak zaczadzona, zasługuje na znacznie efektywniejsze określenie niż „niezwykły”! Należy mu się cała strona w Księdze Rekordów Guinnessa! Gdyby Remington prowadził studia podplomowe na temat „Jak doprowadzić kobietę do utraty zmysłów”, pierwszy bym się zapisał.

- Nic by ci to nie dało - nastroszyła się Shelley.

-Bezpaniki! -Brian uniósł dłonie w kpiarskim geście rezygnacji. -Dawno temu pogodziłem się z tym, że cię nie poderwę. Wolę trzymać się kobiet, które umieją docenić przystojnego, kulturalnego blondyna, dynamicznego w łóżku. Czy w tej ostatniej przesyłce jest coś zjadeitu dla naszej pani Kaolin?

- To było *a propos* kobiet, które doceniają przystojnego i tak dalej? - spytała z ironią Shelley.

- Sama powinnaś się przekonać, czy nie mają racji.

Shelley przyjrzała mu się bez pospiechu, obiektywnie. Po raz pierwszy od dłuższego czasu dostrzegła w Brianie mężczyznę. Jego uśmiech przypominał upadłego anioła - białego, jasnego i pełnego grzesznych myśli. Brian wlepiął w nią oczy, które obejrzały już dokładnie tysiąc kobiet, a z pewnością poznają drugie tyle.

- Podobno zrezygnowałaś z podrywki - zauważyła.

- Może zmieniłem zdanie?

-Ale janie.

- Może i nie zmieniłaś zdania, ale w ogóle zmieniłaś się jak diabli. Jesteś zupełnie inna niż dawniej, dziecinko. Coś mi się zdaje, że niejednego się nauczyłaś, odkąd Remington dobrał ci się do majtek.

- Poszukaj sobie lepiej innego współnika.

Brian spojrział na nią zaskoczony.

- Coś ty, myślałem tylko...

- .. że jeśli jestem kochanką Caina, to czemu nie każdego innego, kto się nawinie - dokończyła chłodno. - Doskonale rozumiem, że dla kogoś twojego pokroju brzmi to logicznie. Dla ciebie kobiety to papier toaletowy. Jedna rolka może się różnić od drugiej kolorem i wzorem, ale korzysta się z tego tak samo.

- Żadna z moich kobiet się nie uskarżała,

- Rolki papieru toaletowego nie odznaczają się na ogół inteligencją. Czarka z białego jadeitu jest zarezerwowana dla pani Kaolin.

- A ty jesteś zarezerwowana dla Caina Remingtona? W porządku. Sygnał odebrany. Co z drzeworytami dla pana Minga?

- Jeszcze nie nadeszły - odparła przez zaciśnięte zęby.

- Sprawdzę dlaczego. Weź sobie wolne na resztę dnia, współpraczko. Chyba ci się to przyda.

Brian pogwizdując wrócił do swego gabinetu.

Shelley rozejrzała się po pokoju jak ktoś całkiem obcy, przechodzień z ulicy. Czowała się jakoś dziwnie: zdezorientowana, niemal oszołomiona. Świat, który tak dobrze знаła, zaczynał chwiać się w posadach: ona sama niebawem poszybuję Bóg wie dokąd.

Jak to określił Cain? Obcy w nieznanym kraju...

Drewniana rzeźba pociągała ją nieodparcie. Shelley głęboko odetchnęła i uczepiła się jej obiema rękami. Chłodne, gładkie krzywizny podziały na nią kojąco.

Po pewnym czasie uświadomiła sobie, co powinna zrobić.

- Gdyby dzwonił Billy - zawołała do Briana - powiedz mu, że przylot Caina opóźnia się z powodu zamieci. Ale oboje podjedziemy pod jego szkołę jutro po lekcjach.

Brian wytknął głowę ze swego pokoju.

- Dobrze, że mi przypomniałaś! Właśnie w tej sprawie cię szukałem.

- Chodzi o Billy'ego?

- Dzwonił przed kwadrans. Jego tata wrócił już dzisiaj. Smarkacz głądził o jakimś ślubie tutaj, a nie we Francji, i o odebraniu Dusia najszybciej, jak tylko można. Rozumiesz coś z tego?

Shelley uśmiechnęła się. Nawet w tej przekreślonej wersji można było wyczuć ogromną radość Billy'ego.

- Rozumiem doskonale. Billy będzie miał prawdziwą rodzinę.

Jeszcze raz rozejrzała się po wnętrzu, czując się jak intruz. Zacerpnęła głęboko powietrza i próbowała pozbyć się uczucia dziwnego wyobcowania.

- Będzie ci dziś potrzebna furgonetka? - spytała.

- Nie. - Brian zrobił krok w jej stronę. - Żarty na bok, Shelley. Coś nie tak?

- Wszystko w porządku. Jutro odstawię furgonetkę.

- Mogę ci w czymś pomóc?

Spojrziała na rzeźbę. - Owszem. Zanieś mi to do wozu.

- Dokąd się wybierasz?
- Będę złocić łotrowską lilię[^]
- Mieszkanie Remingtona, co? Najwyższy czas.

Brian powstrzymał się jednak od dalszych uwag przy wnoszeniu *Ja też cię kocham* do furgonetki będącej własnością firmy.

Shelley umieściła posąg w jednym z wielu wyściełanych schowków wewnątrz wozu. Potem siadła za kierownicą i pojechała do domu, starając się nie myśleć o tym, co się stanie, gdy urządzi już całkowicie apartament Caina.

Co ja pocznę? Nie mogę dzielić życia z włóczykijem, obawiam się, że nie potrafię też żyć bez niego.

Została jej tylko jedna nadzieja. Czepiała się jej równie kurczowo jak kierownicy.

Gdy Cain zobaczy, jaki cudowny dom mu stworzyłam, pełen ciepła, kuszący, by w nim pozostać, po prostu doskonały, przekona się, że nie warto błąkać się po świecie. Znajdzie w domu wszystko, czego zapagnie.

Zaciskając ręce na kierownicy aż do bólu powtarzała te słowa w kółko, rozpaczliwie pragnąc, by okazały się prawdą.

I rozpaczliwie bojąc się, że tak nie będzie.

Jej uwagę przyciągnęły dwie smugi, widoczne w oddali na tle gór.

Smog? pomyślała odrywając się od swoich myśli.

Szybkie spojrzenie w tamtą stronę upewniło ją, że ciemne pasma to nie smog. Jesienny dzień był upalny, jasny, wymieciony do czysta przez wiejące o tej porze roku silne wiatry od Santa Ana. Powietrze było rozgrzane jak w piecu i naładowane wprost elektrycznością.

To ogień, pomyślała Shelley. Co najmniej dwa pożary.

Doświadczonym okiem osoby, która przeżyła niejednokrotnie zagrożenie ogniowe, oceniła odległe pióropusze dymu. Jeden był prawie biały; a zatem strażacy przystąpili już do roboty i zalewali płomienie wodą. Właśnie wówczas ciemny jak noc dym zmienił kolor na perłowoszary. Drugi pióropusz był nadal ciemny, jeszcze nietknięty wodą; suchy, czarny jak gradowa chmura, kipiąc unosił się ku górom.

Shelley co chwila spoglądała w stronę ciemnej kolumny dymu, gdy wjechała na autostradę. Zanim skręciła znów w miejskie ulice, słup dymu stał się wyraźnie szpakowaty i znacznie wyszczupłał. Najwidoczniej ktoś dotarł do ognia.

Z tyłu odezwał się ryk syren. Zjechała na skraj drogi. Obok niej przemknął wóz strażacki. Za nim pojawiły się dwa następne. Czwarty pozostał nieco w tyle.

Czekała cierpliwie, aż ostatni ciężki pojazd dołączy do poprzednich. Jako właścicielka domuna wzgórz, otoczonego gąszczem karłowatych dębów, miała bardzo wiele uznania dla wysiłków władz miasta i hrabstwa oraz dla stanowej straży pożarnej. Wszyscy oni wspólnie starali się zapewnić bezpieczeństwo na często nawiedzanych przez pożary terenach południowej Kalifornii.

W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto strażakom udawało się dokonać cudu: uniemożliwić rozszerzenie się pożaru. W pozostałym

przypadku -jednym na sto - wybuchowało piekło. Płomienie wznoszące się na wysokość trzydziestu metrów, dym tak czarny, że przemieniał dzień w noc, rozżarzone węgielki unoszone przez wiatr niczym palący posiew zagłady.

Wówczas pojawiały się „Górskie Diabły” (Sierra Deuces), samoloty o ciężkich brzuchach, kierowane przez absolutnych szaleńców. Maszyny posuwały się wśród kłębow dymu i zniżały lot tak, że piloci widzieli dokładnie kształt i zabudowę terenu oraz niszczycielskie płomienie. Gdy „Diabły” znalazły się nad samym centrum pożaru, który srożył się wokół nich, wstrząsając całą naturą, otwierały swe brzuszyska i rozsiewały brunatną mgiełkę środka gaśniczego.

Pod nimi zaś, na obrzeżach ognia, setki ludzi za pomocą łopat, bosaków, buldożerów i przekleństw usiłowały powstrzymać ognistą falę. Ostatecznie walczący z pożarem odnosili zwycięstwo i niebo znów było czyste: ten sam wiatr, który podsyczał przedtem płomienie, rozwiewał resztki dymu.

Shelley modliła się w duchu, by nowy pożar nie rozprzestrzenił się. Została wówczas jedynie wypalona skała, pokryta czarnymi bliznami pogorzeliisk.

Wygląda na to, że sobie z nim poradzą, pomyślała spoglądając przez rozpaloną przednią szybę wozu. Chyba uda im się utrzymać go na obszarze kilkunastu hektarów. O ile nie zmieni się kierunek wiatru...

Piąty wóz strażacki przemknął z rykiem syreny po bulwarze. Za nim nie jechał już następny. Samochody zaczęły stopniowo wracać na zwykłe pasy ruchu, a kierowcy przypomnieli sobie o interesach, które kazały im prażyć się w żarze upalnego dnia.

Shelley zajęła miejsce w ruchliwej stalowej rzece pojazdów. Potem skręciła w pustą dwupasmową drogę wijącą się wśród wzgórz, która prowadziła do jej domu. Żaden dym nie przesłaniał tu nieba. Lało się z niego strumieniami światło słoneczne, szeleściła sucha dąbrowa i trwała wieczna gra cieni, nieustannie drgających i zmiennych, poruszanych niespokojnym pustynnym wiatrem.

Gdy zaparkowała furgonetkę i podeszła do drzwi frontowych, spośród krzewów wynurzył się Pacek. Miauknął cicho i zaczął się ocierać gętkim ciałem o nogi Shelley, wykazując ogromną energię i niemal podcinając swej pani kolana.

- Opanuj się, kocie. Zaraz mnie zbijesz z nóg!

Przemawiając tak groźnie, pochyliła się i pogłaskała okrągły łebek. Pacek wyraźnie się nadstawiał. Gdy przesunęła dłonią wzdłuż muskularnego kociego grzbietu, zamruczał i wyprężył się łukiem pod pieszczącą go dłoń.

- Cain miał słuszność: zupełnie jak kobieta! - Nagle wstrzymała oddech. - Albo jak mężczyzna.

Napłynęły falą wspomnienia: reakcja na każde jej dotknięcie... mięśnie sprężone, twarde jak skała i lśniące od potu... Wreszcie gardłowy jęk, gdy poznawała jego ciało ciekawymi, pożądliwymi ustami.

Klucz od drzwi wejściowych upadł na kamienne płyty z cichym brzękiem.

- Słuchaj no! mruknęła sama do siebie. Jeśli nie przestaniesz myśleć o nim w ten sposób, wymknie ci się z rąk coś znacznie bardziej cennego i kruche- go niż klucz!

Wewnątrz było rześko, ale nie chłodno. Atmosferę tę dom zawdzięczał zarówno uchylonym oknom, jak systemowi obiegu powietrza.

Shelley popędziła do sypialni siejąc po drodze różne części garderoby i układając w myślach plan działania. Najpierw należało przebrać się w coś wygodnego. Potem wydobyć z garażu pudła do pakowania,

- Zaczyna się złocenie lili, panie Remington! Obejdzie się bez twojej pomocy! Mam tylko nadzieję, że wybiorę to, co przypadnie ci do gustu! Odetchnęła głębiej. Nie, wiem, że wybiorę dokładnie to, czego chcesz! Przeważnie podoba nam się to samo,

Z uczuciem radości graniczącej z euforią przebrała się, wspięła znów po schodach i zaczęła wynosić pudła z garażu. Ułożyła z nich stos w salonie na najwyższej kondygnacji. Obok znalazły się wielkie plastikowe torby pełne wszystkiego, co niezbędne do pakowania.

W porządku. Startujemy!

Podeszła do dużego schowka w ścianie, ukrytego za płytą z rdzawego cedrowego drewna (identyczna boazeria ozdobiła mieszkanie Caina). W szafie znajdowało się wszystko, co zgromadziła na użytek własnego domu. Ze zmianą pór roku zmieniała częściowo dekorację wnętrza. W ten sposób jej oczy nie nużyły się patrzeniem wciąż na to samo i lepiej mogły docenić walory dzieła sztuki.

Od chwili, gdy podjęła się urządzić apartament Caina, zaczęła segregować swoje przedmioty, wybierając te dzieła, które się Cainowi szczególnie spodobały. Jednym z nich była fotografia Sahary. Zdjęcie znajdowało się w schowku i czekało na przewiezienie do nowego locum.

Japoński parawan z leżącym żurawiem i pędami bambusa stał kiedyś w salonie Shelley. Był to jeden z jej ulubionych sprzętów. Łączył w sobie prostotę z wyrafinowaniem najdoskonalszej sztuki i promieniował pogodą. Cain lubił patrzeć na parawan. Gdy wreszcie odrywał od niego oczy, był wyraźnie zrelaksowany.

- Parawan, oczywiście! - mruknęła pod nosem. - I gęsi, symbol północy i wolności.

Gęsi były to wykonane współcześnie figurki-przynęty, dzieło utalentowanej rzeźbiarki z Maine. Ptaki, jedna z jej zimowych prac, były pełne wdzięku i elegancji, łączyły w sobie zalety realizmu i abstrakcji. Nieuchwytna granica między rzeczywistością a symbolem stanowiła ich ogromną siłę.

Shelley pospieszenie wyciągnęła brązowe naczynie szklane z Pekinu - okaz osiemnastowiecznej sztuki chińskiej - i ustawiła je obok gęsi. Potem wybrała do sypialni Caina koreańską skrzynkę *kiri* i dwie siedemnastowieczne chińskie skrzynie, w których przechowywano futra.

- Tak, to mi się przyda - powtarzała opróżniając półki - i jeszcze to, i tamto, i...

Z półek błyskawicznie zniknęło prawie wszystko. Wkrótce nieskazitelnie piękny, śmiertelny oręż - miecz samuraja - znalazł się obok szkła z Pekinu. W ślad za nim poszła broń Azteków: zdobny zawiły ornament *atlal*.

- A teraz... właśnie, dywaniki. I maska. I... - roześmiała się i potrząsnęła głową. - Czemu właściwie nie pójść na całość i nie opróżnić szafy do dna?

Indiańskie derki, maski z fiszbinów, rzeźby z drewna cedrowego: niedźwiedz, łosoś, rekin-ludojad. Mosiężny teleskop sprzed ponad stu lat. Licząca cztery wieki kopia chińskiego konika Tang. Był tak pełen życia, że Shelley miała ochotę uwiązać go do lampy, żeby nie bryknął.

Gdy półki schowka były już puste, podeszła do szafy przeznaczonej specjalnie na oprawne obrazy olejne i akwarele. Były wśród nich kalifornijskie pejzaże, dzieła amerykańskich impresjonistów z przełomu wieków. Przemawiające do zmysłów barwy obrazów miały świeżość ożywczej bryzy. Znalazł się tam również cykl szkiców przedstawiających ptactwo wodne i drapieżne. Twórcą ich był indiański artysta, który studiował we Francji. Połączenie realizmu, będącego wyrazem szacunku przedstawiciela rasy myśliwych dla życia i śmierci, z płynnością linii charakterystyczną dla wrażliwego obserwatora, malarza-abstrakcjonisty, przyczyniło się do powstania obrazków o dyskretnych barwach, wykonanych zaledwie kilkoma kreskami.

Dodała też coś, co mogło okazać się „fuksem na torze”: pastel Charlesa Maurina przedstawiający tancerkę. Otoczona falami polatującego wokół niej kostiumu kobieta przypominała motyla o nieskończone długich, przezroczystych jak mgła skrzydłach: niewinna kusicielka w zawierusze barw.

Chociaż i ta szafa opustoszała, Shelley wciąż było za mało. Krążyła wśród gablotek w salonie, wyjmując z nich przedmioty, które najbardziej podobały się Cainowi. Fakt, że były to również jej ulubione drobiazgi, nie miał najmniejszego znaczenia.

Cain się nimi zachwycał. Powinny należeć do niego.

Ostrożnie wyjęła figurkę tancerki z Bali, szachy z kości słoniowej, posążek Eskimoski. Wkrótce gablotki były puste.

- Nie szkodzi - tłumaczyła Shelley Packowi, który niespokojnie krążył wokół zgromadzonych na podłodze rzeczy. - Mogę zapełnić je na nowo czymś ze sklepu.

O ile to będzie konieczne.

Tego jednak bała się wypowiedzieć na głos, nawet w samotności.

Ostrożnie wzięła do ręki ostatni przedmiot z gablotki. Był to zdumiony jaguar, na którego złotym pazurze przysiadł rubinowy motyl.

- Bardzo bym chciała zawiesić Cainowi nad łóżkiem świętego Jerzego i smoka - powiedziała do kota - ale należą już do Billy'ego.

Pacek nie zważał na słowa swojej pani: zainteresował się żywo jaguarem.

- Wszechświat pełen gwiazd! Oczywiście! Nada się w sam raz.

Shelley zbiegła schodami w dół do gabinetu-biblioteki, gdzie wisiał niedawno smok. Zastąpił go tam obraz, który odkryła kupując prezenty urodzino- we dla Billy'ego.

Przez chwilę stała wpatrzona w świetlisty kosmos, podziwiając wirujące gwiazdy i zagadkowe twarze, nieskończone światy i tajemnicze krajobrazy nie znane ludzkiemu oku. Ten obraz pociągał ją nieodparcie. Zdawało się, że

pozwole rozwikłać zagadkę czasu i przestrzeni, i tych znikomych, upartych skupisk energii zwanych życiem.

Gwiezdny pejzaż zauroczył kiedyś Caina równie mocno jak jaguar i motyl. Wpatrywał się obraz przez długą chwilę w całkowitym milczeniu. Potem zwrócił do niej.

- Co w nim widzisz, Shelley?

- Sama nie wiem. Ale od razu, gdy go ujrzałam, wiedziałam, że muszę go mieć.

Uśmiechnął się nagle z wyrazem triumfu, ale nie powiedział już ani słowa.

- A co ty w nim ujrzałaś, Cainie? - szepnęła w pustkę pokoju. - Co w tym ponadczasowym, bezkresnym niebie sprawiło, że uśmiechnąłeś się do mnie jak ktoś, komu nagle spełniły się wszystkie marzenia?

Nie było odpowiedzi. Nie mogło jej być, póki Cain nie wróci do domu. Do niej.

19

wybiła północ, zanim Shelley zakończyła „złocenie” mansardy. Pełna triumfu, a zarazem wyciszona, podniecona i roz pogodzona, szczęśliwa i wzruszona krążyła samotnie po pokojach. Na każdym kroku widziała dowody swej miłości do Caina. Świadczył o niej każdy sprzęt, każde dobrane z niezwykłą starannością dzieło sztuki.

Nic więcej nie mogę już zrobić. Stworzyłam mu dom tak piękny, jak tylko umiałam.

Wracaj do domu, kochanie. Wracaj i zostań ze mną.

Rozdarta między nadzieją i trwogą, ze łzami płynącymi po twarzy, stała pośrodku domu, który stworzyła. Nie słyszała, jak drzwi otwarły się i zamknęły, nie słyszała zdławionego okrzyku Caina, gdy ją ujrzał.

Potem jego ramiona zacisnęły się wokół niej, a ona przywarła do niego w uścisku tak mocnym, że aż bolesnym. Kłujący zarost na brodzie przyciśniętej do jej policzka wydał się czymś wspanialszym niż delikatna, aksamitna pieszczoła; ciężki zapach przepoconej wełny był słodszy od woni kwiatów rozkwitających w księżycowym blasku.

- Masz już swój dom - szepnęła.

- Wiem. Gdy trzymam cię w ramionach, jestem w domu.

Głos Caina załamywał się tak samo jak jej. Przez jakiś czas po prostu obejmowali się. Potem uścisk ramion Shelley stopniowo zelżał. Uśmiechnęła się.

- Chodźmy! Pokażę ci twój dom!

- Właśnie go podziwiam.

Nie patrzył jednak na dom. Patrzył na nią.

Poczuła ukłucie zawodu. Tak pragnęła pokazać mu wszystkie uroki mieszkania, ofiarować mu dar tak długo i starannie przygotowywany.

Czy ani trochę mu na tym nie zależy? - pomyślała ze zdumieniem i z żalem.

Miała wytknąć mu brak zainteresowania, ale gdy spojrzała na Caina, zobaczyła go naprawdę. Twarz pokryta smugami brudu, zapuchnięte oczy, i czarne kręgi pod nimi, napiętą skórę. Nawet jego wargi były blade, prawie bezkrwiste. Natychmiast zapomniała o „pozłoconym” domu i o swoim rozczarowaniu.

- Kochany! - szepnęła. - Coś ty ze sobą zrobił?!

Cain rzucił jej krzywy uśmiešek.

- Pracowałem na trzy zmiany.

- Dlaczego?

- Żeby jak najszybciej wrócić do ciebie.

- Przecież... przecież nie musiałeś!

- Ale chciałem. Żałuję tylko, że jestem tak strasznie zmęczony i do niczego się w tej chwili nie nadaję. Pilotowałem samolot na pierwszym odcinku, a potem czuwałem, żeby Miller miał w razie potrzeby zamiennika.

Łagodnie pocałował Shelley w usta i leciutko przesunął palcami po jej twarzy, ramionach, rękach, jakby chciał się upewnić, że to nie sen. Stanęła na palcach i oddała mu równie czuły, pozbawiony namiętności pocałunek.

- Jesteś w domu - powiedziała. - Tylko to się liczy. Chodźmy! Umyję ci plecy, a potem otulę cię kołderką.

- Połóż się obok mnie. To, niestety, będzie dziś wszystko: wspólny sen. Jestem wykończony.

- Lubię spać przy tobie.

- Nawet bez dodatkowych atrakcji?

- Oczywiście. Cudownie jest... być z tobą.

Splótł swoje palce z palcami Shelley i ruszył za nią korytarzem. Wiszące tam obrazy przyciągnęły jego uwagę: w kilku płynnych liniach przedstawiono na nich ptaki w locie, w okresie godowym, wychowujące pisklęta, szybujące wysoko w powietrzu.

- To sokół - powiedział zatrzymując się.

Shelley uśmiechnęła się.

- Podoba ci się?

- Ogromnie - odparł tłumiąc ziewnięcie - ale mi się jakoś rozmazuje przed oczami.

- To dlatego, że usypiasz na stojąco.

Gdy pociągnęła go dalej, poszedł za nią, ale po chwili uwagę jego zwrócił interesujący pokój, którego wnętrza ujrzał przez otwarte drzwi.

- Te kolory - powiedział ziewając znowu - przypominają mi północne lasy. A ta rzeźba na ścianie - czy to nie Haida?

- Tak. - Shelley pociągnęła go za rękę. - No chodź! Rano oprowadzę cię po wszystkich pokojach.

Cain poczuł nagły przypływ adrenaliny, niczym piorun przenikający do krwi. Mimo wyczerpania zdołał się skoncentrować.

- Skończyłaś? - spytał z pośpiechem.
- Tak. Jutro będziesz mógł wszystko obejrzeć. Teraz musisz się przede wszystkim przespać.

- Shelley? Kochanie?...

Uśmiechnęła się i ujrzała, jak bardzo pragnie usłyszeć jej odpowiedź. Dostrzegła też straszliwe zmęczenie pod chwilowym ożywieniem. Harowała dzień i noc, by do niej wrócić.

- Mieszkanie nie jest oficjalnie pozłoczone, póki nie dokonasz inspekcji - oświadczyła - a na to przyjdzie pora jutro. Teraz jesteś zbyt zmęczony, nadajesz się tylko do spania.

Przez kilka sekund rozważał słuszność jej słów. Potem znów wyczerpanie ogarnęło go czarna fala.

- Niech to szlag! - powiedział.

- Wszystko w porządku. Wróciłeś do domu. Reszta może poczekać. Naprawdę.

Cain spojrział na nią, próbował wyczytać odpowiedź w jej oczach. Ujrzał w nich troskę, serdeczność i chęć zaopiekowania się nim.

Wszystko w porządku. Wróciłeś do domu.

Rzeczywiście, był w domu, Razem z Shelley.

Z westchnieniem ucałował koniuszki jej palców i pozwolił poprowadzić się dalej korytarzem. Zaciągnęła go od razu do największej sypalni, nie pozwalając nawet rozejrzeć się dokoła. Nie miało to najmniejszego sensu: Cain nie był w stanie niczego należyście ocenić. Powieki mu opadały, oczy same się zamykały. Omal nie zasnął na stojąco.

Gdy Shelley napuszczała wody do wielkiej wanny, zdrzemnął się na krześle w garderobie. Obudził się na tyle, że trochę jej pomógł, gdy go rozbierała i zanurzył w siew gorącej, wirującej wodzie. Shelley nacisnęła guziczek i zariło się od bąbelków powietrza.

- Ależ przyjemnie! - powiedział. - A jestem taki obolały...

- Tylko nie zaśnij, póki nie wejdziesz!

Uśmiechnął się lekko.

- Nie bój się. Nie utonę.

Shelley szybko rozebrała się i weszła do wanny z szamponem w ręce. Najpierw umyła Cainowi włosy; rozśmieszyło ją, gdy zanurkował, żeby jej spłukać, powodując jeszcze silniejszy strumień bąbelków. Potem umyła go całego, używając szamponu zamiast mydła, a własnych rąk w charakterze myjki.

Uśmiechała się do Caina, ciesząc się jego bliskością, dotykając go bez najmniejszej myśli o tym, że powinien ten dotyk odwzajemnić.

Radość Shelley opromieniła Caina jak wschód słońca. Przyglądał się, jak zmywa z niego ślady wielodniowego znoju. Ujął pieścizotliwie jej piersi, po prostu dlatęgo, że wydawała mu się taka piękna, i radował się jej pięknnością.

Shelley pochyliła się, ucałowała jego ręce, a potem wróciła do mycia, napawając się niezaprzeczalną realnością ciała, po którego powierzchni śli-

zgały się jej palce. Cain przymknął oczy, westchnął i oddał się bez reszty sennie, niewinnej rozkoszy jej dotyku.

- Obudź się! - powiedziała w końcu.

- Cooo...?!

- Pora do łóżka.

Ziewając od ucha do ucha, Cain wynurzył się z ciepłej wody. Zaklął półgłosem, gdy mięśnie pleców i piersi przypomniły mu o porośniętych mchem skałach i przymusowej kąpieli w lodowatym strumieniu.

- Nic ci nie jest? - spytała dostrzegając jego wahanie.

- Po prostu zeszywniałem. Skąpałem się z głową w rzeczułce.

Dłonie i oczy Shelley pobiegły ku niemu, ale nie znalazły żadnego urazu. Wysuszyła go więc ręcznikiem większym niż ona sama, choć zdecydowanie mniej miłym w dotyku. Cain ziewnął raz i drugi, przeprosił i roziewał się na nowo. Shelley roześmiała się cicho.

- Kładź się na brzuchu, ty śpiochu!

Zaciągnęła go do rozesłanego już łóżka i lekko popchnęła na pościel. Potem sama okręciła się ręcznikiem i podeszła z boku do łóżka. Cain sennie objął jej biodra i przyciągnął bliżej.

- Jeszcze nie teraz - powiedziała. - Wymasuj te twoje zeszywniałe plecy, ary sobie śpij.

- A potem?

- Będę przy tobie, kiedy się obudzisz.

Z głębokim westchnieniem przeciągnął się. Shelley zrzuciła z siebie ręcznik, zwilżyła dłonie wonnym olejkiem i uklękła obok Caina na łóżku. Gdy jej dłonie zaczęły ugniatać jego ciało, westchnął z zadowolenia. Uśmiechnęła się i wzięła na dobre do roboty, masując tors od bioder po barki, a potem ręce. Ucałowała koniuszki palców i wnętrza każdej dłoni. Uśmiechnęła się znowu, gdy zacisnęła obie ręce, jakby chciał w ich wnętrzu zatrzymać ciepło pocałunków.

Pracowała w milczeniu, ciesząc się bliskością Caina. Następnie zabrała się do nóg i masowała je łagodnie, lecz stanowczo od stóp w górę, aż wreszcie potężne muskury odzyskały sprężystość.

- Śpisz? - szepnęła.

Odpowiedź zginęła w materacu.

- Przewróć się, leniuchu. Po drugiej stronie też masz mięśnie.

- I też mi zeszywniały.

Cain przewrócił się na plecy.

Shelley zaparło dech.

- Myślałam, że jesteś zupełnie wykończony!

- Bo jestem.

- Omal się nie nabrałam!

Ze śmiechem wyśliznęła się z jego uścisku i znów zabrała się do masażu. Od stóp przeszła do łydek, potem do mięśni, potem do mięśni, twardej ud.

Cain jęknął, gdy palce Shelley leciutko musnęły pasmo włosów na jego brzuchu: nie takiej pieczy teraz pragnął.

-Norko?...

- Jesteś zbyt zmęczony. Jasne?

Zwinnym ruchem wymknęła się rękóm, które chciały ją pochwycić.

- Zamknij oczy - powiedziała łagodnie. - Zaraz zaśniesz.

-Shel...

Reszta jej imienia zginęła w zdławionym jęku. Pochyliła się nad nim dotykając piersiami jego pobudzonego ciała, gdy masowała go od bioder po nasadę szyi, gdzie rozszalało się tętno. Ucałowała go w szyję, szczęśliwa, że wprawiła jego serce w taki galop.

- Zamknij oczy - powiedziała. - Nie, nie ruszaj się. Nie musisz nic robić, absolutnie nic.

Usta Shelley sunęły po kędzierzawych brunatnych włoskach pokrywających piersi Caina. Jego oddech stał się urywany, dochodził gdzieś z głębi.

- Pozwól, że to ja zajmę się tobą- szepnęła. - Pokażę ci, jak bardzo się cieszę, że jesteś już w domu.

Wpatrywał się niaprzez kilka uderzeń serca. Potem westchnęła zamknąwszy oczy, oddając się w jej ręce. Shelley pieściła najpierw jedną, potem drugą brodawkę piersiową, aż każda z nich zacisnęła się w maleńki, twardy guzik.

Długie palce Caina wplątały się w jej włosy, pieszcząc je, gdy jej zęby drażniły jego pierś. Delikatnie ciągnęła i ssała brodawki, czując z radością, że za każdym razem silne ciało Caina przenika dreszcz. Ręce sunęły po jego klatce piersiowej, nie spiesząc się, zapoznając z każdym kawałeczkiem skóry. Raz po raz piersi Shelley ocierały się o niego, a ta intymna pieszczota sprawiała, że migotliwy płomień ogarniał i ją, i jego.

Ostrożnie, ale nieustępliwie Shelley sunęła w dół, aż wreszcie wsparła policzek na twardym brzuchu Caina, a jej włosy zsunęły się jak ciemne, jedwabiste nitki ognia pomiędzy jego nogi. Leniwie ocierała się o niego głową, czując rozkosz przenikającą ukochanego. Z dreszczem pożądania całowała rozpaloną skórę, okazując mu swą miłość wargami, językiem i zębami.

Cain wydał gardłowy jęk i uniół się ku niej ze zmysłową powolnością. Gdy nie mógł się już powstrzymać, wymówił szeptem imię Shelley, wyznając, czym jest dla niego jej czuły dotyk, jak bardzo jej pragnie, jak marzy o tym, by otoczyła go swym płynnym ogniem.

Te słowa były równie czułe, gorące i intymne jak dotknięcia języka Shelley na jego nagim ciele. Pieścił ją słowami, aż znowu rozkwitł w jej wnętrzu atłasowy kwiat i jęknęła z pożądania. Powoli, jak we śnie, opadła na niego, pragnąc na zawsze utrwalić w pamięci każdą sekundę tego uścisku. Uśmiechnięta, z półprzymkniętymi oczami, wzięła go w siebie i stopili się w jedność.

Pochyliła się, by go pocałować. Pocałunek ten był równie powolny, gorący i głęboki jak ich uścisk. Jej ciało tańczyło na jego ciele w rytmie miłości i pożądania. Powolna, płynna pieszczota wyrwała mu z gardła zduszony jęk. Ona zaś poruszała się płynnie, niespiesznie, przenikając do głębi, podsycając waż poruszane pożądanie, paląc jak ogień.

Napięcie rozsadało Caina, trawił go zmysłowy żar i głód, całe ciało należało już tylko do Shelley. Usiłował jednak zapanować nad sobą powstrzymując się, czekając na nią.

Shelley wiedziała o tym. Jej ruchy były powolne, obejmowała go ciasno, wzięła głęboko. Potem pochyliła się i wyszeptła z ustami na jego ustach: - Kocham cię, Cainie.

Te słowa sprawiły, że pękły wszelkie tamy. Z gardłowym jękiem Cain zatonął bez reszty w jedwabistym, płynnym ogniu.

Shelley czuła, jak w jego ciele pulsuje nieopisana rozkosz. Przez sekundę równą chyba wieczności napawała się szczęściem Caina, ale jego rozkosz dała także i jej wyzwolenie, podobnie jak ona wyzwoliła go słowami miłości. Z jękiem, jakby we śnie, Shelley poddała się rozkoszy, otaczając ukochanego rzeką atłasowego ognia.

Potem przez długie chwile ciszy ramiona Caina obejmowały ją, gdy leżała bezwładnie na jego piersi. Kiedy oboje odzyskali panowanie, Cain przygarnął ją mocniej. Jedną ręką podciągnął kołdrę tak, by okryła ich oboje. Morzył go sen, ale starał się go pokonać.

- Powiedz mi to jeszcze raz - poprosił.

- Kocham cię.

Cain wydał przeciągłe, drżące westchnienie.

- Dzięki Bogu! Tak się... bałem, że nie będziesz... nie zechcesz...

Słowa zamarły mu na ustach i zasnął.

Shelley z uśmiechem ucałowała go w brodę i wtuliła się w ciepło jego ciała. Wkrótce spała już równie głęboko jak on.

Obudziła się czując na ciele gładzące ją dłonie i usta pieścizotliwie przyssane do jej piersi: odbiegł ją sen, zbudziły się zmysły. Z cichym westchnieniem przytuliła się mocniej do Caina, ukryty kwiat zakwitł, a ciało w tej pełnej żaru, niekończącej się chwili przebudzenia było gotowe na przyjęcie ukochanego.

Gdy długie palce Caina odkryły, jak bardzo jest spragniona, osunął się pomiędzy jej nogi. Obejmując dłońmi twarz Shelley poruszał się wolno, przywierał do niej, dotykał jej namiętnie, ale nie brał w posiadanie. Nie otwierając oczu Shelley sięgnęła po niego na oślep, tak pełna pożądania, że aż krzyknęła.

- Czy to był tylko sen? - spytał.

Jego zęby delikatnie objęły jej pierś - Shelley wygięła się pod nim w łuk. Gorąco i wilgoć świadczące o gwałtownej reakcji na pieszczotę sprawiły, że ciało Caina raptownie się sprężyło. Jednak bardziej jeszcze niż jej atłasowe go żaru pragnął zaufania Shelley, jej miłości, całego jej życia.

- Powiedz mi, że to nie był sen.

Shelley ogarnął płomień. Z ust wyrwało się imię Caina. Czuła, jak sunie wzdłuż jej ciała, wnika w nią, a potem wyslizguje się powoli. W jej gardle rósł krzyk protestu.

- Kochasz mnie? - spytał Cain.

Oczy Shelley otwały się, ciemne i zgłodniałe. - Tak.

Cain nadal zwlekał, o włos od spełnienia. Jego oczy były gorące i szare jak letni deszcz. Czuł, jak Shelley porusza się pod nim, jak jej nogi rozwierają się jeszcze szerzej, uda obemuja go, zapraszają.

- Powiedz to jeszcze raz - zażądał. Jego głos był chrapliwy, brzmiało w nim powstrzymywane pożądanie. - Muszę to usłyszeć. Muszę mieć pewność, że to nie sen!

- Kocham cię, Cainie.

Szczęście przeobraziło jego twarz. Poczula dreszcz, który przeszył jego potężne ciało jak wyładowanie elektryczne. Wtargnął w nią jednym ruchem, wpatrzony w Shelley, która powtarzała jego imię, zapewniając raz po raz o swej miłości. Słowa i ruchy splatały się ze sobą, uzupełniały wzajemnie - aż wreszcie nie było już słów, tylko krzyki rozkoszy i spełnienia.

Gdy oboje mogli znów oddychać, Cain całował włosy, ucho i szyję Shelley, tam gdzie nadal szaleńczo bił puls.

- Kocham cię, Shelley. Czekałem na ciebie całe życie.

Uśmiechnęła się i odwróciła, by dotykać wargami jego ust. Wyszeptała znów „kocham” prosto w te przepiękne usta.

- Pobierzemy się najszybciej, jak tylko można - oświadczył, muskając jej wargi, język, miękki płatek ucha. - Za trzy dni, zgoda? Tyle chyba trzeba odczekać w Kalifornii?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, pocałował ją żarliwie. Minęła dłuższa chwila, nim znów podniósł głowę.

- Co powiesz na miesiąc miodowy w Chile? - spytał.

Schwyciła zębami jego dolną wargę i lekko ją przygryzła.

- Santiago? - spytała.

- Przez kilka dni. Potem Atacama.

- Tam właśnie są moi rodzice. Spotkamy się z nimi?

- To wielka pustynia, ale jakoś ich znajdziemy.

- Bardzo bym się cieszyła, ale...

- Co takiego?

- To nie będzie konieczne. Możemy poczekać kilka tygodni. Rodzice będą w Los Angeles na Święto Dziękczynienia.

- Ale nas wtedy nie będzie. Jak już mówiłem, Atacama to wielka pustynia. Nawet pobieżny przegląd złóż mineralnych potrwa kilka miesięcy.

Shelley zalała fala zimna. Miała wrażenie, że jej skóra się kurczy, a ciało przywiera do wyziębłych kości.

- O czym ty mówisz?

- „Podstawowe Zasoby” wygrały przetarg na przegląd złóż na pustyni Atacama.

~ 0!

Przesunął wargami po ciemnej jak futro norki brwi Shelley, a potem powiodł po niej raz jeszcze koniuszkiem języka.

- To jeden z zakątków świata, których dotąd porządnie nie zbadałem - powiedział. - Miałem zamiar wysłać kogoś innego, teraz nie będę musiał. Kochasz mnie i kochasz pustynię. Będziemy razem wsłuchiwać się w ciszę, pić wino o zachodzie słońca i kochać się w chłodzie, nim wzejdzie jutrzienka. Gwiazdy wtedy wydają się tak bliskie, że pewnie rozprysną się wokół nas jak srebrna fala.

Ciało Shelley zeszywniało. Nie była w stanie poruszyć się, nie mogła oddychać - przeszył ją dojmujący ból.

Właśnie stworzyłam dla niego dom, a on myśli tylko o tym, żeby z niego uciec!

- O co chodzi? Co się stało? - spytał.

Zanim zdołała opanować się na tyle, by mu odpowiedzieć, uśmiechnął się i przewrócił na bok pociągając ją wraz ze sobą.

- Znów cię przygniatał! Przepraszam! - powiedział całując ją delikatnie. - Jesteś taka żywiołowa w miłości. Ciagle zapominam, że nie masz tyle siły co ja.

Oszołomiona próbowała zebrać myśli, powiedzieć coś, zrozumieć, dlaczego wszystko się tak strasznie popsuło.

Cain przycisnęła głowę Shelley do ramienia.

- Kiedy sprzykrzy się nam już Atacama - powiedział - złączą się znowu prace nad Jukonem. To bardzo niezwykłe miejsce. Mało tam szlaków, prawdziwych dróg jeszcze mniej, a lasy jak morze - zielone i bezkresne. Są tam jeziora i rzeki bez nazwy, bo żaden człowiek nie obozował w tej okolicy wystarczająco długo...

- A co z domem? - przerwała mu Shelley bezbarwnym głosem.

Zaskoczony odsunął się na tyle, by spojrzeć w jej stężoną twarz.

- Kiedy trzymam cię w ramionach, jestem w domu.

- Co z moim domem? - spytała.

- Będziemy spędzać sporo czasu w Los Angeles. Jeśli chcesz, sprzedam to mieszkanie i przeniosę się do ciebie.

- To mieszkanie?

Shelley raptownie siadła i strząsnęła obejmujące ją ramiona.

- TO MIESZKANIE - powiedziała chrapliwie - to dom, który stworzyłam dla ciebie! Ale tobie na nim nie zależy, prawda? Nawet nie pofatygowałaś się, żeby go obejrzeć!

W jej słowach dźwięczał niepokonany gniew, równie silny jak jej poprzednia namiętność.

Cain dostrzegł ten gniew. I obawiał się, że zna jego przyczynę.

- Norko?...

- Jak dalece kobieta może zgłupieć?! - Shelley skierowała to pytanie do sufitu. - Próbowałam stworzyć dom dla włóczykija! Zakochałam się w człowieku, którego nic nie obchodzi, cholera jasna, prócz tego, co kryje się za horyzontem!

- Ty mnie obchodzisz, Shelley. Kocham cię.

Potrząsnęła tylko głową.

- To ty w gruncie rzeczy mnie nie kochasz - powiedział.
 ~ To nieprawda! Kocham...
 - Nie - przerwał jej ostro. - Kochasz swój wymarzony dom, nie mnie!
 Otworzyła szeroko oczy. Były ogromne, bez łez, pełne wściekłości.
 Oczy Caina były jeszcze bardziej gniewne.
 - Kiedy wreszcie zrozumiesz, że zostaliśmy stworzeni dla siebie, Shelley Wilde? ... A może tylko mnie los pokarał miłością do ciebie?
 Przymknął oczy. Nagle jakby się postarzał, niedostępny jak jedna z krajin, po których podróżował. Gdy spojrzął na nią, z oczu bił zimowy chłód.
 - Nie ufasz mi nawet na tyle, by przyznać się, że ciebie też wołał dal - powiedział. - Dlaczego? Czym zawiniłem?
 - Nic nie rozumiesz - odparła.
 Cain czekał, mając nadzieję, że zaszło jakieś nieporozumienie, że się pomylił.
 - Po prostu nie rozumiesz... - wyszeptała z bólem.
 Tylko to potrafiła powiedzieć. To była jedyna prawda, jaką знаła.
 - Mylisz się, rozumiem cię doskonale - powiedział Cain.
 Z okrutną obojętnością wyskoczył z łóżka i zaczął się pospiesznie ubierać, nie przestając ani na chwilę mówić. Jego słowa raniły jak noże.
 - Już zapomniałaś o mojej cholernej intuicji? - spytał. - Właśnie ona mówi mi, co jest grane. Nie kochasz mnie nawet na tyle, żeby od czasu do czasu rozstać się z tym swoim wymarzonym domkiem i wyjechać ze mną. Nie kochasz mnie ani trochę!
 Ból i gorycz w jego głosie dotarły do świadomości Shelley i wprawiły ją w zdumienie. Cain był równie zraniony i wściekły jak ona!
 - Przecież cię kocham!
 - Nieprawda! Jedyne co kochasz, to sny o własnym domku. Jesteś infantylna! Nie widzisz różnicy między prawdziwym domem a atrapą!
 Całkowicie ubrany stał pośrodku wielkiej sypialni po raz pierwszy naprawdę ją dostrzegając: skrzynie i dywany, fotografie Ziemi wschodzącej nad krzywizną księżycy i Sahary poznaczonej tygrysimi pręgami przez słońce i wiatr, staroświecki mosiężny teleskop i wirujący gwiazdzisty wszechświat.
 - Ładne - powiedział po prostu, z przekonaniem. - Bardzo, bardzo ładne. A kiedy wyjadę, będzie równie puste, jak twoje zapewnienia o miłości. Shelley nie mogła złapać tchu.
 - Ale ty tego nie rozumiesz, prawda? Nie przyznasz nawet, że poza tymi ścianami jest jeszcze cały świat, i że jedyny dom wart tej nazwy zapewnia miłość. Cóż, ja przynajmniej wiem, że tam na zewnątrz coś jest - i szlag mnie prędzej trafi, nim zamknę się z tobą w tym domku dla lalek, czekając, aż dorośniesz!
 Otworzył drzwi sypialni, przystanął i spojrzął na nią oczyma równie zimnymi jak jego słowa.
 - Prześlij rachunek do „Podstawowych Zasobów”, domatorko! Włóczy-kij wyrusza na szlak!

Gdy Shelley przyglądała się w „Pozłacanej Lili” ojcu Billy'ego, myślała jedynie o tym, że Dave Cummings i Cain Remington nie byli ~ dzięki Bogu! - rodzonymi braćmi. Dave miał ciemnoblonde włosy, brązowe oczy i żywy uśmiech,
 Gdyby przypominał w czymkolwiek Caina, Shelley nie zdołałaby chyba ukryć swych uczuć. W ciągu trzech tygodni od chwili, gdy opuścił swój dom i zniknął z jej życia, przekonała się, że może zdarzyć się coś znacznie gorszego niż wówczas, gdy w środku nocy na jej rozpaczliwe wołanie odpowiedział gwar niezrozumiałych głosów.

Teraz jedyną odpowiedzią było milczenie, które rozdzierało jej serce.
 - Jeszcze raz dziękuję za opiekę nad synem - powiedział Dave.
 Shelley uśmiechnęła się błado.
 - Bardzo się cieszyłam z towarzystwa Billy'ego. Ma pan wspianego syna.
 Odruchowo wyciągnęła ramiona do chłopca. Billy już jej nie potrzebował, wrócił przeciw jego ojciec, ale Shelley brakowało jego śmiechu i żywej inteligencji.

Chłopiec objął ją i uściśkał z całej siły, uśmiechając się radośnie, mówiąc jej bez słów, że rad jest ze spotkania tak samo jak ona. Potem cofnął się o krok, przyjrzał się jej i zapytał z zatrważającą szczerością dziecka:

- Chorowałaś, Shelley? -

Dave spojrzął na syna, potem na ciemnowłosą kobietę o pełnych bólu piwnych oczach.

- Jesteś niedelikatny, synu.

- Wcale nie! - Billy przyjrzał się Shelley jeszcze uważniej. - Powinnaś częściej chodzić na plażę. Jesteś taka błada.

- Billy! - rzucił ostrzegawczo Dave, chcąc powstrzymać syna.

- Nic nie szkodzi. - Shelley musnęła policzek chłopca. - Miałam wielkie zaległości w pracy i musiałam się z nimi uporać.

~ Ale teraz, jak wujek Cain wrócił, mozesz...

Shelley nie słyszała jego dalszych słów. Jeśli przedtem była błada, w tej chwili zbiełała zupełnie.

Cain wrócił.

Nie zadzwonił do mnie.

Minęło tyle niekończących się, samotnych godzin - a on nadal mnie nie rozumie, ciągle nie wierzy, że go kocham. Może doszedł do wniosku, że w gruncie rzeczy wcale mnie nie kocha?

Infantylna domatorka. Domek dla lalek.

Dave zobił krok w stronę Shelley i podtrzymał ją ramieniem.

- Panno Wilde! Nic pani nie jest?

Shelley odetchnęła głęboko i spróbowała się uśmiechnąć.

- Wszystko w porządku. Zbyt długo wczoraj pracowałam.

I przedwczoraj, i przed-przedwczoraj... przez wszystkie puste noce od czasu, gdy Cain odszedł, pozostawiając ją wściekłą i spłakaną w pustej skopie domu, który dla niego stworzyła.

Włóczykij. Ciagnie go tylko to, co za horyzontem, Wzywają go te wszystkie „krajobrazy duszy”. Cały świat tam, na zewnątrz.

A ja się kryję w czterech ścianach?

Usiłowała bez powodzenia odsunąć od siebie tę myśl. Nękała ją równie boleśnie jak nieobecność Caina.

Czyżby miał rację? Może jestem infantylna?

Jak przez mgłę uświadomiła sobie, że ręka Dave'a nadal spoczywa na jej ramieniu, podtrzymuje ją. Z trudem zmusiła się do tego, by oddychać równo. Na blade policzki wrócił lekki rumieniec.

- Co tam u Dusia? - spytała z pewnym wysiłkiem.

- Fajnie - odparł Billy. - Strasznie ci dziękuję za to wielkie akwarium!

- Prezentuje się w nim jeszcze lepiej niż rybki. Uściskaj go ode mnie.

A gdybyś miał z nim jakieś problemy, możesz mi go przytaszczyć z powrotem.

Chłopiec uśmiechnął się wesoło.

- Nie ma żadnych problemów. Genevieve chyba go polubiła.

Dave pieszczotliwie zmierzwił czuprynę syna.

- To dlatego, że nauczyłeś ją mówić po wężowemu.

Język Billy'ego zaczął pospiesznie wysuwać się i chować jak język węża. Chłopiec zmarszczył brwi, niezadowolony z jego szybkości.

- Ty jesteś w tym najlepsza - powiedział.

Cain śmiał się, gdy „mówiła po wężowemu”, ale jego śmiech szybko przerodził się w namietność, gdy poczuł na swym ciele drażniącą pieszczotę ruchliwego języka.

- Będiesz na weselu, prawda? - upewnił się Billy.

Shelley zawahała się. Przyjęła zaproszenie tylko dlatego, że była pewna, iż Cain tkwi na pustyni Atacama.

Ale wrócił.

Był tutaj.

- Proszę cię, Shelley! - mówił chłopiec. - Obiecałaś!

- Billy! - przerwał mu spokojnym głosem Dave. - Nie bądź natrętny.

Panna Wilde ma bardzo wiele zajęć.

- Przecież obiecała!

Shelley spojrzała na Dave'a i wyczytała współczucie w jego brązowych oczach. Zastanawiała się, co też Cain powiedział swemu przyrodniemu bratu?

- Pożegnaj się, synu. Dołączę do ciebie za kilka minut.

Chłopiec zauważył stanowczy ton ojca, westchnął i powiedział: - Cześć, Shelley! Jeszcze raz bardzo ci dziękuję.

- Pamiętaj, masz mnie odwiedzać.

- Jasne!

Tuż przy wyjściu Billy odwrócił się zawołał przez ramię: - Do zobaczenia na weselu, Shelley!

Zatrzasnął energicznie drzwi.

Dave potrząsnął głową.

- Bardzo przepraszam za Billy'ego, Shelley... Panno Wilde.

- Shelley - poprawiła go. - I nie ma za co przepraszać. Każdy mógłby ci pozazdrościć takiego syna.

Dave rozejrzał się po sklepie, a potem zwrócił na nią zatroskane brązowe oczy.

- To ty urządziłaś mansardę Caina, prawda?

Shelley skinęła głową nie była w stanie mówić.

- Tak myślałem. Nigdy jeszcze nie widziałem domu, który by tak odzwierciedlał osobowość właściciela. Albo właścicielki.

- Dziękuję - szepnęła.

- Do tego nie wystarczy sam talent. To było dzieło miłości.

Powieki Shelley zadrgały z bólu, którego nie zdołała ukryć.

- Dlaczego odeszłaś od mego brata?

Przez sekundę Shelley zamierzała pozostawić to pytanie bez odpowiedzi. Pokusa okazała się jednak zbyt silna.

Może Dave wie coś, o czym ja nie mam pojęcia? Może on mi wyjaśni, czemu zostałam sama?

- Cain ci powiedział, że od niego odeszłam?

- Nie. Nic mi o tobie nie mówił. Dowiedziałem się o was od Billy'ego.

Ciemne rzęsy przesłoniły oczy, usiłując nadaremnie ukryć ból.

- Dlaczego tak się stało?

- Spytaj Caina — powiedziała cicho.

Dave parsknął śmiechem.

- Nie doczekałbym własnego ślubu!

- Jak to?

- Zwiedziliśmy razem z Cainem różne zakazane kąty naszego globu. Nauczył mnie oceniać ludzi, odgadywać ich charakter, dostrzegać prawie niewidoczne oznaki zwierzęcej brutalności.

- Intuicja - szepnęła Shelley.

- Właśnie. Cain ma jej za trzech.

Shelley chętnie by mu zaprzeczyła. Jednak w głębi duszy wiedziała, że ma rację.

- Cain jest jak gradowa chmura: tylko patrzeć, a rozsiale się nawałnica - powiedział bez ogródek. - Biada temu, kto doprowadzi do wybuchu! Wolę więc zapytać ciebie. Co się stało?

- Porzucił mnie.

- Co takiego?!

- Dobrze słyszałaś.

- Słyszałam, ale nie mogę uwierzyć!

- Lepiej uwierz. Ja też musiałam.

- Shelley, mój brat cię kocha!

- Nie na tyle, żeby tu ze mną zostać.

- Na stałe? Czy to twoja praca nie pozwala ci wyjechać z nim - choćby od czasu do czasu?

Shelley nie odpowiedziała. Była podobnie jak Cain właścicielką firmy. Mogła wyjeżdżać tak często - albo tak rzadko - jak się jej podobało.

No i spodobało się jej zostać w Los Angeles.

Cały świat tam, na zewnątrz.

Chowam się w czterech ścianach?

Drzwi „Pozłacanej Lilii” otworzyły się z hukiem i wbiegł znowu Billy.

- Shelley, wybuchł pożar na wzgórzach w pobliżu twojego domu! Słyszałem przez radio w samochodzie!

Wypadła ze sklepu i stanęła na ulicy wyteżając wzrok. Wiał potężny wicher, mrużyła oczy, by ich nie zaproszył unoszący się w suchym powietrzu kurz.

Gęsty pióropusz dymu strzelał w niebo od strony jej wzgórz. W podmuchach wiatru od Santa Ana górna część dymnego słupa jakby się spłaszczyła i powiewała ku morzu jak długa, czarna flaga.

W pewnej chwili czarna kolumna dymu zaczęła się gwałtownie kłębić.

Leśny pożar, do którego nikt jeszcze nie dotarł.

- Czy to... - zaczął Dave.

- Tak.

Bez dalszych wyjaśnień zawróciła do „Pozłacanej Lilii”, chwyciła torebkę i pobiegła do samochodu.

Dave i Billy byli tuż za nią.

- Możemy ci jakoś pomóc? - spytał Dave.

- Nie. Jeśli pożar jest duży, wszystkie drogi zostaną zablokowane. Przepuszczają wówczas tylko stałych mieszkańców, czasem zatrzymują nawet nas. Ale dzięki za dobre chęci!

Wyjechała z parkingu tak szybko, że opony zaprotestowały głośnym piskiem. Po kilku minutach była już na autostradzie. Stąd miała lepszy widok. Miejsce pożaru odgradzały od jej domu co najmniej dwa pasma wzgórz. Paliło się od północnego wschodu. Dom Shelley nie znajdował się bezpośrednio na szlaku ognia.

Na razie.

Mała pociecha, ale dobre i to, pomyślała posępnie.

W ten upalny, suchy sobotni rano temperatura wynosiła trzydzieści pięć stopni. Wiatry od Santa Ana będą buszować przez dalsze dziesięć godzin. Cichną dopiero po zachodzie słońca. Do tej pory będą wiały z prędkością od dziewięćdziesięciu do stu dziesięciu kilometrów na godzinę, w porywach do stu siedemdziesięciu. Szaleńcze podmuchy rozniosą rozżarzone węgielki, rozsiewając zarzewie ognia od gór aż do morza.

Im bardziej zbliżała się do domu, tym częściej słyszała wycie syren, Z całego hrabstwa zjeżdżały się wozy strażackie, ale dróg było niewiele na stromych, gęsto porośniętych krzakami wzgórzach.

Sznur pojazdów zgęstniał, zwolnił tempo, a potem zatrzymał się, by przepuścić pędzące z rykiem syren wozy strażackie. Ludzie wysiadali z samochodów i gromadzili się na poboczach, Osłaniając oczy od słońca wska-

zywali na ścianę dymu, wznoszącą się na tle nieba o dziwnie miedzianej barwie.

Sypał się z niego siwy popiół.

Shelley starała się jechać, kiedy tylko droga była wolna. Minęła ją piętnaście wozów strażackich, zanim dotarła do wylotu swojej wąskiej ulicy. Od razu rzucił jej się w oczy wóz policyjny ustawiony w poprzek i blokujący wjazd. Zahamowała i opuściła szybę.

Zastępca szeryfa zajrzał przez okno. Zapierał się mocno nogami w ziemię, żeby znieść gwałtowne podmuchy wiatru. Musiał przytrzymać ręką mundurową czapkę.

- Bardzo przepraszam. Jeżeli pani tu nie mieszka, proszę zawrócić. To ślepa ulica. Zbyt wielu gapiów zatarasowałoby ją i mielibyśmy trudności z dowozem sprzętu albo z ewakuacją mieszkańców, gdyby pożar się rozszerzył.

- Mieszkam tutaj.

Okazała mu prawo jazdy. Policjant odczytał adres i porównał zdjęcie z pobłądą twarzą Shelley, po czym oddał jej dokument.

- W porządku, proszę pani. Radzę nadśłuchiwać, czy nie jedzie wóz patrolowy - tak na wszelki wypadek.

- Na jaki wypadek?

- Na wypadek ewakuacji. Namawiamy mieszkańców, żeby stąd wyjechali, choć nie jest to jeszcze konieczne.

Serce Shelley fiknęło koziołka.

- Stąd? Przecież nie znajdujemy się na drodze ognia.

- Na razie nie. Obecnie ewakuujemy domy od północnego wschodu. Buldożery wycinają właśnie przesiekę, by was odgradzić od ognia. Lada chwila nadlecą też samoloty. Ten teren powinien być bezpieczny, chyba że wiatr się zmieni.

Shelley wydała westchnienie ulgi.

- Bogu dzięki!

- Mimo wszystko, proszę pilnie nadśłuchiwać, czy nie zostanie ogłoszona ewakuacja terenu. Na razie wystarczy zamknąć dopływ gazu i elektryczności i załadować do wozu wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy. Ostrożność nie zawadzi.

Shelley skinęła głową, mimo że nie dopuszczała myśli o takiej ewentualności.

Przymusowa ewakuacja? Niemożliwe! mówił awdychu. W powietrzu rzeczywiście unosi się z wiatrem trochę popiołu i dymu, ale pożar nie jest aż tak blisko.

Nie mam zamiaru rzucać wszystkiego i uciekać, tylko dlatego, że lokalne władze panikują.

Nie wyraziła jednak głośno tej opinii. Wolała nie narażać się na to, że jej odmówią wjazdu na ulicę. Gdyby jakiś zabłąkany węgielek upadł na kryty cedrowymi gontami dach, a ona nie zdołałaby temu zapobiec, byłoby po domu.

Adom to jedyne, co jej pozostało.

Silny powiew wiatru zatrzęsł samochodem Shelley i omal nie porwał nakrycia głowy zastępcy szeryfa. Shelley niecierpliwie czekała, aż oficer

wsiądzie do wozu patrolowego, który zagradzał drogę, odblokuje ją i pozwoli wjechać.

Na wąskiej, krętej jezdni prowadzącej do jej domu nie było żadnych wozów strażackich. Cały sprzęt pożarniczy został skierowany na teren sąsiedniego osiedla, na północnym wschodzie. Tam ogień zagrażał budynkom przy każdym gorącym podmuchu wiatru.

Jadąc pod górę Shelley mijała tylko prywatne samochody zjeżdżające w dół. Wozy były wypchane po brzegi ubraniami, obrazami, komputerami, roślinami doniczkowymi i oswojonymi zwierzętami - tym, co każdy z odjeżdżających chciał ocalić.

Shelley wiedziała, że niektórzy z jej sąsiadów wykonali już kilka takich panikarskich rund, obarczając swym dobytkiem przyjaciół mieszkających na równinie, poza zasięgiem płomieni. Po zachodzie słońca zaczną kursować w odwrotnym kierunku. Może nawet wcześniej, gdy tylko pożar zostanie opanowany.

W przeszłości nieraz się to zdarzało. Tym razem też tak będzie.

Fałszywy alarm, myślała. Jak dwa poprzednie. Zwykły środek ostrożności i tyle. Nikomu nie każą stąd wyjeżdżać.

Nie stąd! Tu nic się nie może zdarzyć!

Powtarzała to sobie przez cały czas, podjeżdżając pod dom. Wyskoczyła z samochodu i przekreśliła główny wyłącznik elektryczności. Potem chwyciła klucz francuski i pobiegła w stronę chodnika od frontu. Tutaj zabezpieczone betonem znajdowały się awaryjne zawory gazu i wody.

Shelley nie wyłączyła dopływu wody, ale zawór gazu zamknęła mocno i ściśle.

U jej boku pojawił się Pacek. Ruchy kota były inne niż zawsze, jakby sztywne, nerwowe. Zbudziły się w nim wszystkie pierwotne instynkty. Wrażliwy nos poruszał się węsząc niebezpieczeństwo w podmuchach gorącego wiatru, niosącego sadze. Kot miauknął przeraźliwie i pacnął Shelley po nodze łapą, nie schowawszy zbyt dokładnie pazurków.

- Wiem, Pacek. Śmierdzi jak w piekle. Bez żadnej przenośni!

Shelley biegała po domu zamykając drzwi i okna, zanim jeszcze zrzuciła elegancki strój noszony w sklepie i wskoczyła w dżinsy. Zawahała się przez chwilę, potem wyciągnęła zamykany kosz do przewożenia Packa.

Kot zobaczył klatkę i próbował prysnąć.

- Mowy nie ma! - oświadczyła Shelley chwytając go za kark.

Szybko i zdecydowanie wepchnęła bardzo niezadowolonego, prychnącego Packa do kosza i zanosła do samochodu.

- Nie chcę, żebyś wpadł w panikę i uciekł na wzgórze, gdyby wiatr zmienił kierunek i poczułbyś więcej dymu - wyjaśniła kotu. - Całkiem byś sobie opalił to śliczne futerko.

Kot głośno protestował, kiedy Shelley odeszła od wozu.

- Przykro mi, Pacek. Mam masę rzeczy do zrobienia i bardzo mało czasu. Zdrzemnij się.

Pobiegła, układając w myśli listę niezbędnych czynności. Wyciągnęła z garażu drabinę i oparła ją o wystający okap dachu.

- Mam nadzieję, że ciśnienie wody nie spadnie - powiedziała do siebie. - Gdyby tak wszyscy na raz odkręcili krany...

Modląc się w duchu, by tak się nie stało, włączyła gumowego węża na cały regulator. Ciśnienie wody nadal było niezłe. Trochę niższe niż zwykle, ale wystarczające do uruchomienia przeciwpożarowych tryskaczy.

Wciągnęła węża na dach. Tryskacz głośno grzechotał i pluł wodą na wszystkie strony, gdy pełzała po cedrowych, wysuszonych gontach. Zamocowała stojak tryskacza w otworze wentylacyjnym na dachu, nastawiła głowicę na ruch obrotowy i odsunęła się, nie zważając na strumienie zimnej wody oblewające ją przy każdym obrocie urządzenia.

Ze szczytu dachu widziała lewą stronę ulicy, gdzie zakręcał zaułek. Za tym zakrętem i za pojedynczą linią domów ujrzała płomienie szalejące na północnym wschodzie - o dwa pasma wzgórz dalej. Wyglądało to tak, jakby ktoś energicznie trzepał czarny koc z ognistymi frędzlami nad płowym zboczem.

W powietrzu rozległ się warkot potężnego samolotu. Shelley zmrużyła oczy, dostrzegła błysk metalu i zobaczyła, jak „Górski Diabeł” leci po szarobłękitnym niebie. Samolot najpierw okrążył ognistą grań na wysokości kilkuset metrów nad płomieniami, potem zniżył lot. Jeszcze jeden srebrzysty błysk - i zniknął w dymie.

Z zapiętym tchem patrzyła w tamtym kierunku, aż wreszcie samolot znów się wynurzył. Gdzieś tam za zasłoną dymu tysiące litrów środka gaśniczego opadało ku ziemi, by na krótko zahamować niszczycielski pochód płomieni.

Wiatr nagle zmienił kierunek. Dał teraz prosto na jej dom, nie pod kątem, co by skierowało ogień z dala od niej, w stronę morza. Serce Shelley zaczęło tłuc się jak szalone, kiedy czarny koc poszybował w jej kierunku. Całe powietrze przesiąknięte było dymem. Popiół opadał na dno urwistego kanionu, oddalonego od niej tylko o szerokość ulicy.

Nie! broniła się zażarcie. Wiatr na pewno znów zmieni kierunek. Po prostu musi!

Po przeciwnej stronie ulicy, za zielonymi tarasami domów na wzgórzach pracowały na samej grani i w położonych niżej parowach buldożery. Podobne do wielkich metalowych szamanów, kreślących na piasku znaki swych bogów, żłobiły głębokie rowy w ziemi w poprzek przypuszczalnej drogi ognia.

Wiatr znów zmienił kierunek, wiał prawie w tę samą stronę, co przedtem. Ściana dymu nieco się oddaliła.

Obserwując zachodzące zmiany, Shelley modliła się, by rozżarzone do czerwoności frędzle ognistego koca nie spadły w tej okolicy. Gdyby tak się stało, płonące węgielki przeskoczyłyby i przesieki, i szlaki ogniowe. Maleńkie, niezauważalne płomyczki rozgorzałyby w gęstwinie spłowiejącej na słońcu dąbrowy. Potem zaczęłyby się ze sobą łączyć, aż wreszcie ogromny pożar wskoczyłyby na grzbiet szalejącej wichury i zaatakował następne pasma wzgórz, następne zbocza, następne domy.

Jej dom.

To się nie może wydarzyć! Po prostu nie może!

Strumień zimnej wody spływającej po plecach uprzytomnił Shelley, jak wiele zostało jeszcze do zrobienia. Jej dom ma trzypoziomowy dach: wszystkie kondygnacje trzeba zabezpieczyć. Jak dotąd, umieściła tryskacz tylko na pierwszej.

Ostrożnie wróciła po spadzistym dachu do drabiny i zeszła z niej. Z garażu wytaszczyła lekką drabinkę i przeciągnęła ją przez furtkę z sekwojowego drewna. Po stromych kamiennych stopniach dotarła do dachu nad drugą kondygnacją domu. Oparła drabinę o ścianę, podłączyła następnego węża z tryskaczem i zawlokła go na środek dachu.

Ustawiała tryskacz, znowu spiesznie zeszła z drabiny i popędziła do garażu.

Do czasu, gdy umieściła tryskacz na najniższym dachu, tuż nad basenem, przemokła ze szczeniem. Kiedy jednak znalazła się poza zasięgiem roszczenia, gorący wiatr osuszył ją w zatrważająco szybkim tempie.

Z bijącym sercem pobiegła ku tryskaczom wbudowanym na dziedzińcu i uruchomiła wszystkie. Ciśnienie wody było teraz niskie. Wielu sąsiadów uciekając pozostawiło włączone polewaczki.

Wiatr dął, włosy przesłaniały twarz Shelley, włożyły jej do oczu. Z wodospadu koło basenu unosiła się delikatna wodna mgiełka. Chłodna wilgoć spływała kojąco po skórze.

Chciałabym, żeby wszędzie na naszych wzgórzach można było oddychać takim wilgotnym powietrzem, pomyślała. Gdybym tylko miała magiczną różdżkę...

Nagle przypomniała jej się potężna pompa, która wysysała wodę z basenu i zwracała ją w postaci wodospadu.

- Może to nie czarodziejska różdżka, ale zawsze coś!

Zbiegła po kilku stopniach do pompy i aparatury filtracyjnej ukrytej wśród skałek i zieleni. Palcami dygocącymi z niecierpliwości włączyła pompę na cały regulator. Natychmiast wodospad spotężniał trzykrotnie i huczącym łukiem sięgał do jednej trzeciej basenu. W powietrzu zawisła kurtyna mgły.

Każdy drobiazg może pomóc, pomyślała, a w tej myśli splatały się ze sobą nadzieja i błaganie o ratunek.

Przygryzając wargę odwróciła się i spojrzała na południowy zachód: tam właśnie bładzili z Cainem w dębowym gąszczu. Z tej strony niebo było prawie czyste, widziała jedynie cieniutką mgiełkę dymu z ognia płonącego za jej plecami. Wyraźnie odznaczały się barwne plamy kwitnących roślin. Ich woń napełniała powietrze pełne słońca.

Wprost trudno uwierzyć, że gdzieś w pobliżu szaleje pożar.

Gdyjednak odwróciła się, ujrzała, że dym sięgał już ku jej domowi jak ręka o czarnych palcach z ognisicie czerwonymi paznokciami.

Wiatr ponownie zmienił kierunek z przeciągłym zawodzeniem; włosy Shelley znowu opadły na twarz. Wstrzymując oddech czekała, że wiatr powie w inną stronę.

Czekała.

Czekała.

Przelatywały koło niej spopielałe strzępy wielkości dłoni, nadal płonące na brzegach. Gaśły, zanim dotknęły ziemi. Za plecami Shelley wodospad huczał zagłuszając niemal wiatr, W tym dudnieniu ginęły wszelkie inne dźwięki.

Nic jednak nie mogło przesłonić faktu, że wiatr zmienił kierunek. Dął teraz z ogromną energią prosto na jej dom.

Shelley wróciła na dach, poprzesuwała na każdej kondygnacji tryskacze tak, by zwilżały inną część suchych jak pieprz cedrowych gontów. Popiół nadal opadał, na ramionach Shelley pojawiły się ciemne smugi. Czasem popiół był jeszcze gorący.

Czasem parzył żywym ogniem.

- Nie! - zawołała chrapliwie Shelley. - Nie, do ciężkiej cholery!

Tryskacze zdołały zmoczyć zaledwie trzecią część każdego z dachów. Minie co najmniej pół godziny, zanim cała powierzchnia będzie choćby wilgotna. Równocześnie dostrzegła, że pod wpływem gorąca i słonecznych promieni zmoczone gonty „dymią”, stając się znów suche i łatwopalne.

Po ulicy jechał wolno wóz patrolowy. Spokojny, dziwnie metaliczny głos obwieszczał coś przez megafon. Początkowe słowa zginęły w wyciu wiatru.

Shelley nie musiała jednak wsłuchiwać się w każde słowo. Wiedziała i tak, że oficer wzywa mieszkańców, by wsiedli do samochodów i zjechali ze wzgórza.

- Nie! - powiedziała przez zaciśnięte zęby, - Pożar nie jest jeszcze tak blisko!

Wóz policyjny mijał właśnie jej dom. Słowa dotarły aż na dach.

- ..wiatr nadal wieje ze wschodu, pożar może się rozszerzyć - wyjaśniał spokojny głos. - Nie ma powodu do paniki. Mamy dość czasu na ewakuację. Proszę wsiadać do samochodów i zjeżdżać powoli i ostrożnie ze wzgórza.

Stała na najniższej części dachu słuchając wezwania do ewakuacji. Rozejrzała się dokoła siebie.

Dach nie był dostatecznie nawilżony.

Nie mogą teraz wyjechać! Dach jest ciągle suchy. A zresztą pali się nadal po przeciwnej stronie wzgórz. Wiatr na pewno znów się zmieni, zanim sytuacja stanie się groźna. Wiatry od Santa Ana zawsze są zmienne.

Wóz patrolowy zawrócił i jechał z powrotem ulicą; rozkaz ewakuacji rozbrzmiewał głośnym echem wśród domów spowitych dymem, smaganych wiatrem. Samochody ruszały i zjeżdżały za wozem policyjnym po zboczach do dół, uciekając przed ogniem.

W wąską ulicę nie wtargnęły z rykiem syren żadne wozy strażackie. Mimo że wydano rozkaz ewakuacji, inne dzielnice były bardziej zagrożone pożarem.

- Jeszcze nie wyjadę - postanowiła. - To mój dom! Jeśli go teraz opuszczę, a jakiś płonący węgielek wylądował na dachu, nie będzie nikogo, kto by go stamtąd usunął.

Rozejrzała się niespokojnie dokoła. Na południowym zachodzie, nad parowem, który znajdował się za jej domem, niebo zaćmiło się: błękit prze-

szedł w szarość. Nad głową Shelley powietrze było ciemne od dymu; z każdą minutą coraz ciemniejsze. Z nieba sypał się popiół. Razem z nim pojawiały się maleńkie płonące węgielki.

- Kiedy porządnie nasącę wodą cały dach, wyjadę stąd. Ale nie wcześniej.

Doznała czegoś w rodzaju rozdwojenia jaźni: jedna połówka aprobowła rozsądną decyzję.

Druga była śmiertelnie przerażona.

Wicher wiał prosto ze wschodu z taką siłą, że Shelley z trudem trzymała się na nogach.

Zacisnąwszy zęby wspięła się na niższy poziom dachu. Gonty były śliskie tam, gdzie padała na nie woda, i suche jak pieprz poza zasięgiem tryskacza. Shelley przesunęła go w inne miejsce. Po powierzchni dachu spływała zimna, lśniaca struga.

Wiatr zmienił nieznacznie kierunek: wiał znów bardziej na północ.

Bogu dzięki! pomyślała Shelley. Mam jeszcze czas. A może w ogóle nie będę musiała wyjeżdżać?

Przez następne dwadzieścia minut porywy wiatru były mniej gwałtowne. Shelley biegała z jednego dachu na drugi, starając się nasaczyć wodą jak najwięcej gontów. Gdy jakaś część dachu zwilgotniała, Shelley przenosiła tryskacze.

Tym razem nie słyszała „Górskich Diabłów”, gdy dokonywały swych straceńczych przelotów nad płomieniami. Nie widziała wielkich płatów sadzy ani popiołów, które sypały się na ziemię, częściowo stygnąc w czasie upadku z wysokości kilkuset metrów. Pochłonięto ją całkowicie zadaniem: suchy dach i trzy węże, które wlokła z miejsca na miejsce.

Czterdzieści minut później stała na środkowym dachu spoglądając na południowy zachód. Niebo, poprzednio tak czyste i błękitne, miało teraz barwę łupku.

Z sercem w gardle patrzyła na ulicę. Od północy i wschodu płonął ogień. Za każdym razem, gdy przechodziła z jednego poziomu dachu na drugi, przysięgała sobie, że to już ostatni raz i że zaraz zjedzie ze wzgórza.

Nie jestem głupią ryzykantką. Mam jeszcze masę czasu na opuszczenie domu.

Nawet jeżeli pożar już się rozszerzył i objął sąsiednie pasmo wzgórz, to przeciw ogień posuwa się w dół stoku bardzo powoli. W dodatku wyżłobiono świeżą przesieką przecinającą dno kanionu.

Jeszcze tylko raz przesunę tryskacze. Czasu wystarczy, a dach będzie mokry i mój dom ocaleje.

Uspokajając się w ten sposób zerknęła na zegarek. Poczwała mdłą strach. Wiatr dał ze wchodu już od dwudziestu minut. Ogień szedł prosto na nią.

Kaszląc od dymu, który drapał ją w gardle, Shelley weszła na sam szczyt dachu. Wyciągnęła rękę w kierunku tryskacza i rozejrzała się dokoła po raz pierwszy od trzydziestu minut.

Ogarnęło ją śmiertelne przerażenie.

Ze wszystkich stron płonęły pożary. Płomienie miały sześć metrów wysokości, dziewięć metrów, nawet więcej. Splatały się ze sobą tańczyły wszędzie, straszliwie piękne.

Powietrze wypełniał potężny, niesamowity huk ognia - wydawało się, że nawet dzień zapłonął.

Bez ruchu, z zapartym tchem wsłuchiwała się w odgłosy pożaru sunącego szalonym pędem przez dąbrowę w stronę domów na szczycie wzgórza - właśnie tam, gdzie stała.

Wicher gwałtownie zawył.

Pożar odpowiedział ognistą eksplozją. Płomienie pożerały powietrze, niebo, dąbrowę - wszystko z wyjątkiem litej skały.

Zanim jeszcze posypały się na nią z nieba pierwsze płonące węgielki, zrozumiała, że popełniła karygodne głupstwo zostając w domu. Pożar nie posuwał się powoli po zboczu i nie zatrzymał grzecznie za przesieką. Płomienie przeskoczyły przez kanion, ogień popędził na grzbiecie szalejącego wiatru, cała dąbrowa płonęła - tego żywiołu nie mogły odeprzeć ani tryskacze, ani modlitwy.

Po obu stronach krętej drogi, którą niedawno można było zjechać ze wzgórza w bezpieczne miejsce, płonęły teraz niewielkie ogniska. Gdzienigdzie te ogniste punkciki zlewały się ze sobą dając przedsmak piekła, które wkrótce miało się tu rozpętać. W otępieniu, zafascynowana nadciągającą pożogą, przypatrywała się, jak ogniste języki odcinają jej drogę ucieczki na bezpieczną równinę.

Na drodze rozległ się, przeraźliwy hałas, przypominający odgłos rozdieranego płótna. Mignęło coś czarnego, jakiś cień przemknął wśród płomieni kilka kilometrów w dół. To czarny motocykl pokonywał w błyskawicznym tempie ostre zakręty. Kierowca tuż przed zakrętem wychylał się w bok i używając własnego ciała jako przeciwwagi zabezpieczał motocykl przed wywrotką.

W jednej chwili otępienie, które ją ogarnęło, ustąpiło miejsca przeraźliwej trwodze. Nie lękała się o własne życie, lecz o mężczyznę, który pędził wśród ognia, by dotrzeć do niej.

- Cain! Zawracaj!

Z gardła Shelley wyrwał się krzyk, ale huk pożaru był znacznie potężniejszy.

- Nie, Cain, nie! Zawróć! Ratuj się, póki jeszcze możesz!

Wiatr zdławił jej krzyk. Ogień przeskoczył przez drogę za plecami Caina, przed nim, tańczył wokół niego, otoczył go siecią płomieni.

Cain zniknął wśród ognia.

Czas zwolnił bieg, zaczął pełzać, stanął. Jedynym ruchem, jaki Shelley dostrzegła na drodze, były dzikie podskoki zbliżającego się ognia.

Przeciągły krzyk bólu wydarł się z głębi przerażonej duszy Shelley.

2 tałabez ruchu, równie skamieniała jak czas; jej krzyk utonął w straszliwym huku pędzącego z wichrem ognia.

Nagle czarny motocykl wynurzył się z płomieni, silnik ryczał dobiegając wszystkich sił. Cain zgiął się nad kierownicą, utrzymując pojazd w równowadze dzięki niezwykłej sprawności i straszliwej sile.

Shelley poczuła gwałtowny przypływ adrenaliny, odzyskała swobodę ruchów. Przebiegła po dachu, zsunęła się po drabinie. Padające wokół niej węgielki parzyły. Nawet tego nie czuła.

Wgłębi ulicy na cedrowym dachu jednego z domów wykwitł ognisty kwiat; rozległ się przerażająco miękki syk. Niewielkie płomyczki zaczęły lizać dach sąsiadów. Shelley widziała, jak rozżarzony popiół opada palącym deszczem na kurczące się pod nim rośliny.

Pobiegła na podjazd, otworzyła gwałtownie drzwi samochodu i wyciągnęła z klatki roztrzęsionego Packa. Kot usiłował ukryć się pod jej koszulą.

- Już dobrze, serduszek moje. Uspokój się. Jesteś za duży: nie poradzą sobie z tobą, jeśli się zaczniesz miotać. Wiem, że nie lubisz wody, ale mimo wszystko popływamy sobie.

Rozległ się przenikliwy ryk silnika, zagłuszając nawet trzask ognia. Motocykl był coraz bliżej, aż wreszcie prócz warkotu motoru dał się słyszeć pisk opon.

Cain wprowadził motocykl w długi, kontrolowany poślizg i znalazł się przed samym frontem domu. Zeskoczył w biegu. Przewrócony pojazd pędził dalej na boku, sypiąc pękami iskier.

W odległości piętnastu metrów dach sąsiadów jakby westchnął i załamał się pod atakiem ognia.

- Do basenu! - krzyknęła Shelley.

Cain nie mógł usłyszeć jej słów. Miał na głowie kask z opuszczoną szybą; plastik powyginał się i szerniał od ognia. Schwycił Packa za kark jedną ręką, Shelley za ramię drugą i pobiegł przez dziedziniec.

Powietrze stało się nagle gorące, pełne pary, w którą zamieniła się woda z tryskaczy. Jednak bluzka Shelley na plecach była zupełnie sucha. Słyszała pędzący za nimi żywioł, miła wrażenie, że zaraz ich dopadnie.

Cain kopnięciem otworzył sekwojowąfurtkę. Oboje pobiegli ramię w ramię po kamiennych stopniach. Powietrze wokół nich stało się mieszaniną pary, dymu i popiołu - zbyt gęstą i zbyt palącą, by można nią było oddychać.

Nie czekał, aż stroma ścieżka doprowadzi ich na brzeg basenu. Dosłownie wrzucił Shelley ze schodów do wody, tuż przy wodospadzie. Sekundę później sam wykonał potężny skok, unosząc ze sobą wrzeszczącego kota.

Zamknęła się wokół nich huczająca głębia, osłaniając przed pierwszym, straszliwym atakiem ognistego żywiołu, który wtargnął na teren domu Shelley. Otworzyła pod wodą oczy i ujrzała, że cały świat przybrał barwę płomieni.

Instynkt kazał jej nie wynurzać się i skierować ku kamiennej grocie za wodospadem. Cain płynął obok, sprawnie i energicznie mimo ciężkich butów, kasku, skórzanej kurtki i wierzgającego rozpaczliwie kota.

Ostrożnie, mając jeszcze w pamięci straszliwe gorąco, które poczuła zanim pochłoneła ją woda, wynurzyła się na powierzchnię za wodospadem, jak falująca, przezroczysta, brudnopomarańczowa zasłona odcinającym ją od reszty świata. Powietrze okazało się gorące, gorzkie, pełne pary - ale można nim było oddychać.

Ognista burza przeszła bokiem.

Cain ulokował ociekającego wodą kota na kamiennym brzegu basenu. Pacek, z przylepionymi do głowy mokrymi uszami, przykucnął prychając jak rozwścieczone kocisko, którym przecież był. Zamierzył się na mężczyznę zbrojną w pazury łapa, ale ten zdążył już cofnąć dłoń w skórzanej rękawicy.

Wsparłszy się jedną ręką o krawędź basenu, drugą usiłował rozpiąć rękaw przy kasku. Sprzączka wreszcie się poddała. Chwycił Shelley i przytulił mocno do siebie. Przywarła do niego, nie mogąc wymówić słowa i kurczowo objęła go za szyję.

- Nie powinienem cię całować, tylko udusić - powiedział brutalnie. - Jeśli jeszcze raz zrobisz coś równie głupiego, to cię zamorduję!

Zanim zdołała odpowiedzieć, zamknął jej usta pocałunkiem. Nie broniła się. Tego właśnie pragnęła nade wszystko w świecie.

Cain żył, ona także.

Było to więcej, niż mogła oczekiwać, odkąd ujrzała jego motocykl znikający wśród płomieni.

Kiedy wreszcie podniósł głowę, Shelley chciała coś powiedzieć, ale rozkaślała się tylko straszliwie. Dym przeniknął nawet przez barierę wodospadu.

Schwycił kołnierz jej bluzki i oddał go jednym ruchem. Zmoczył tkaninę w wodzie i osłonił nią usta i nos Shelley.

Zawiązała strzęp materiału z tyłu głowy. Cain z trudem uwolnił się od rękawic i skórzanej kurtki. Widniały na niej ciemne ślady ognia i cienkie białe rysy po pazurach Packa.

Kiedy i Cain zaczął kaszleć, Shelley oderwała następny kawałek bluzki i omotała mu głowę. W chwili, gdy skończyła, jaskrawo pomarańczowy blask rozświetlił szarajak popiół wodę. Runął dach domu, wzniciając deszcz iskier.

Nagle uświadomiła sobie, co się stało.

Przepadło wszystko, co zdobywała od dziewiętnastego roku życia.

Poświęciła dla tego nawet człowieka, którego kochała, a w dodatku omal nie zabiła i Caina, i siebie. Z cichym jękiem zamknęła oczy, nie chcąc patrzeć na odbity w wodzie, zamazany obraz agonii domu.

Cain objął Shelley i trzymał ją mocno, gdy upragniona od dzieciństwa bezpieczna przystań zamieniała się wokół niej w popiół.

W końcu ostatnie ogniste błyski przemknęły po powierzchni wodospadu i utonęły w głębi basenu. Cain odczekał jeszcze chwilę, tuląc Shelley; czuł dreszcze przebiegające jej ciało przy każdym oddechu.

Gdy dym przestał szczytać w oczy, ściągnął mokre szmatki z ich twarzy. Łagodnie ucałował Shelley w czoło, zdjął jej ramiona ze swej szyi i oparł je na krawędzi basenu.

- Utrzymasz się? - spytał głosem zachrypłym od dymu.

Skinęła głową.

Nabrał powietrza, przedostał się na drugą stronę wodospadu i rozejrzał dokoła.

Szum wody zagłuszył jego słowa. Na szczęście. Były równie straszne jak dymiące zgliszcza.

Z domu Shelley nie zostało nic prócz ułamków ścian i opalonych fundamentów. Wszystko zmieniło się w popiół, który ulatywał z dzikim pustynnym wiatrem.

Zacisnąwszy usta znów zanurkował pod wodospadem.

- Niebezpieczeństwo minęło - powiedział. - Nie zostało już nic, co mogłoby spłonąć.

Shelley przygryzła wargę i skinęła głową. Nie spodziewała się niczego innego.

Mimo to doznała szoku, gdy wyszedłszy zza zasłony wodospadu ujrzała czarną pustkę, popioły i wiatr.

Było tu tyle piękna - a zostały tylko sadze i wspomnienia.

Łzy bezradności przesłoniły jej widok pogorzeliśka. Cain dotknął jej policzka drżącymi palcami.

- Odbuduję go dla ciebie - powiedział. - Odzyskasz każdy kamień, każdy kwiat, każdą drewnianą belkę i gont. Wszystko. Będziesz miała znowu swój dom, choćbym miał to przypłacić życiem. Przysięgam ci. Będziesz znowu miała swój dom.

Shelley drżała. Odwróciła się do Caina.

- Przytul mnie! Tylko mnie przytul!

Cain patrzył na śpiącą Shelley. Była blada, gdzieś tam widniały czerwone ślady oparzeń, tam gdzie spadł na nią gorący popiół czy węgielki. Gdy zmywał z jej jasnej skóry sadze, każdy szkarłatny znak przejmował go bólem ostrym jak pchnięcie noża. Uświadamiał sobie znowu, że o mały włos nie stracił jedynej kobiety, którą kochał.

Ścisnął w palcach kosmyk jedwabistych włosów, gdy pochylił się, by musnąć wargami jej policzek.

Zawiniętem, maleńka. Nie powinienem cię opuszczać. Czy zdołasz mi to kiedyś wybaczyć?

Nie wypowiedział tych słów na głos, bo nie chciał jej obudzić. Wiedział, jak bardzo wyczerpał ją nadludzki wysiłek i rozpacz. Była teraz bezbronna.

Całkowicie bezbronna.

Zwróci się do mnie, bo nic innego jej nie pozostało. Nie chcę, żeby do tego doszło. Nie dałoby to szczęścia żadnemu z nas.

A jednak wiedział, że nie mógłby znów jej opuścić.

Shelley poruszyła się. Nadal spała, ale przytuliła się do niego mocniej, jakby poszukując ciepła.

Cain przygarnął ją do siebie, wdychając słodki zapach jej ciała. Nie wiedział, co nastąpi, gdy się zbudzi. Jednego był pewien: będzie to lepsze niż samotność.

Rzęsy Shelley zadrżały, potem otworzyła oczy.

Najpierw dostrzegł na jej twarzy radość na jego widok. Potem spochmurniała, gdy powróciły wspomnienia. Głaskał ją delikatnie po głowie, jakby uspokajał dziecko.

- Zbuduję ci nowy dom - powiedział cicho. - Wszystko będzie dobrze, Shelley. Będziesz go miała.

- Kochasz mnie jeszcze? - szepnęła wpatrując się w niego oczami, które wydały mu się dojralsze, ciemniejsze i jeszcze piękniejsze niż dawniej.

- Nawet piekło nie zniszczyłoby mojej miłości do ciebie.

- Więc mam już dom - powiedziała z prostotą. - Gdziekolwiek się znajdę, będę miała swój dom, o ile będziesz przy mnie.

Objął ją mocniej. Patrzył na nią, jakby chciał zajrzeć na samo dno jej duszy.

- Jesteś tego pewna? - spytał. - Chcę, żebyś za mnie wyszła, ale nie w takiej sytuacji. Nie dlatego, że nie pozostało ci już nic więcej. Nie dałoby to szczęścia żadnemu z nas.

Raptownie zamknął oczy. Gdyby teraz patrzył na nią, przyjąłby wszystko, co mu ofiarowywała, mimo pewności, że oboje pożałują kiedyś tego kroku.

- Gdy będziesz już miała swój dom - powiedział - znowu o tym pomówimy.

- Nigdy już nie odzyskam tamtego domu. To, co w nim było najcenniejsze, uleciało.

Otworzył oczy i wyczytał pewność z jej twarzy. Poczuł w ustach gorzki porażki.

- Dzieła sztuki - powiedział chrapliwie. - Czemu nie próbowałaś ich ocalić? Niektórym nie zaszkodziłaby kąpiel w basenie.

Shelley potrząsnęła głową. Jedwabiste pasemka włosów musnęły jego nagie ramię.

- To nie dzieła sztuki sprawiały, że ten budynek był moim domem. To miłość. Moja miłość. Ale gdy odszedłeś, zabrałeś ją ze sobą.

Znów zamknął oczy. W policzku zadrżał jakiś mięsień.

- Więc dlaczego ty sama ze mną nie poszłaś?

- Wtedy tego nie rozumiałam. Teraz już wiem.

- O czym teraz wiesz?

~ O tym, co nas łączy. Ogień twojej miłości spalił wszystkie bariery, którymi się otoczyłam, nie chcąc nikomu zaufać. Gdy odszedłeś, myślałam, że zniszczył i mnie.

Na wspomnienie swojego bólu i samotności zaczęła płakać.

- Shelley... - szepnął Cain. - Ja przecież nie chciałem cię zranić.
- ~ Ani ja ciebie. Ajednak sprawiłam ci ból, prawda?
- Jakiego dotąd nie znałem.

Jej rzęsy drżały, gdy usiłowała powstrzymać łzy. Nie udało jej się to, więc pozwoliła im spłynąć.

- Musiałam przeżyć inny pożar, by dotrzeć do prawdy i przekonać się, co pozostaje na zawsze, a co niszczy - mówiła zdławionym głosem. - Miłość jest jak lita skała. Prawdziwa. Wytrzymała. Budowle, które na niej wznosimy, płoną, walą się w gruzy lub przestają nam się podobać. Ale miłość przetrwa jak skała pod warstwą popiołów. Możemy znów na niej budować.

Ujęła ręce Caina i całowała je, zachwycając się każdym zgrubieniem i blizną, tak samo jak smukłością i pięknem jego palców.

- Straciłam wiele rzeczy - szepnęła. - Były piękne i niezwykłe. Ale to tylko rzeczy. ICiedy zobaczyłam, że jedziesz do mnie, a wokół ciebie płonął ogień...

Głos jej się załamał, a ramiona zacisnęły wokół Caina tak mocno, że nawet on miałby trudności z ich rozwarciem.

- Kiedy zobaczyłam, jak znika w ogniu twój motocykl i ty sam, gotowa byłam oddać wszystko, co miałam, wszystkie moje skarby, byłeś tylko żył! Wszystko! Moje dzieła sztuki. Mój dom. Moje życie.

Ze zdławionym jękiem ukrył twarz w jej włosach i tulił ją tak, jakby chciał zagarnąć w siebie. Minęło wiele czasu, zanim znów byli w stanie mówić.

- Dokładnie to samo czułem, gdy Dave zadzwonił i powiedział mi, że w pobliżu twego domu wybuchł pożar - odezwał się wreszcie głosem zmienionym ze wzruszenia.

- Skąd wiedziałeś, że jestem właśnie tam?

- Szukałem cię wszędzie. Nie było cię w centrum ewakuacyjnym, ani w „Pozłacanej Lili”, a ten skurczybyk przy barierze nie chciał mnie przepuścić.

O tym, ile przecierpiał, świadczyła każda bruzda na jego twarzy i oczy pociemniałe jak stal, zwięzione w bolesnym wspomnieniu.

- Wiedziałem, że musisz być na wzgórzu, że strzeżesz swego domu - a wszędzie, jak okiem sięgnąć, płonął ogień. Ja... po prostu oszalałem. Musiałem mieć pewność, że żyjesz.

- Ale jak ci się udało ominąć patrole?

Potarł policzkiem jej włosy i westchnął z trudem.

- Wykorzystałem szlak, który odkryliśmy z Billym. Potem znów wjechałem na drogę, tuż za policyjnym wozem.

- Nie powinienes tak ryzykować! Gdybyś zginął...

Urwała. Nie mogła mówić dalej. Tuliła się tylko do Caina, póki nie przestała dygotać.

- Kiedy się dowiedziałam, że wróciłeś na ślub brata i nawet do mnie nie zadzwoniłeś - powiedziała - zabolalo mnie to jak nic dotąd.

- Nie wróciłem na wesele Dave'a. Wróciłem do ukochanej kobiety. Nie wiedziałem tylko, jak mam ją zdobyć: przecież mnie nie chciała.

- Ależ chciała! - zaprzeczyła Shelley, uśmiechając się przez łzy. - Kocham cię. Pójdę za tobą, dokąd tylko zechcesz, kiedy tylko zechcesz. Pozwól mi jedynie być przy tobie.

- Nie musimy nigdzie odchodzić. Mamy dom.

- A twoje krajobrazy duszy, które cię wzywają? Co z nimi?

Cain całował jej czoło, powieki, wgłębienie poniżej kości policzkowej, kącik ust, puls bijący na szyi.

- Próbowałem zatracić się w jednym z tych krajobrazów. Myślałem, że to będzie łatwe. Zawsze tak było.

- Nie podobała ci się Atacama?

- To dzika, surowa kraina. Tylko kamienie, piasek i wiatr, a niebo tak puste, że serce się ścisza, gdy w nie spojrzysz. Wyszłe koryta rzek biegają do umarłego morza. Bezkresna pustynia, tysiące kilometrów kwadratowych i żadnej roślinności. Atacama zachwycała mnie.

Wargi Caina znowu odnalazły jej usta. Gdy się ponownie odezwał, jego oddech mieszał się rozkosznie z oddechem Shelley.

- Pewnego dnia znalazłem maleńkie źródło, nie większe niż moja pięść. Woda była chłodna i czysta. W szczelinie skalnej tuż przy źródle wyrosła roślina z jednym tylko kwiatem. Był on tak kruchy, a zarazem tak żywotny! Usiadłem i wpatrywałem się w niego. Patrzyłem i patrzyłem.

Ucałował rzęsy Shelley, na których wisiało jeszcze kilka łez.

- Gdy kwiatek zaczął więdnąć w straszliwej spiekocie, zdjąłem kapelusz i osłaniałem nim jego płatki, póki słońce nie zaszło. Potem opuściłem pustynię A'acama i powróciłem do jedynej istoty, która była jeszcze bardziej niezwykła i piękniejsza niż ten kwiat. Do ciebie.

Cain badał znów delikatnie i wnikliwie wnętrze ust Shelley, napawając się zarem i nieskrępowaną, słodkapiieszczotą jej języka złączonego z jego językiem. Jego palce rozgarniały włosy Shelley, dotykając ukrytej pod nimi gorącej skóry.

- Nie musisz błąkać się ze mną po świecie, żeby zatrzymać mnie przy sobie - powiedział z ustami przy jej ustach. - Wróciłem tu, by zostać z tobą.

- Ale ja też chcę poznawać świat. Już się nie boję.

~ Czego się bałaś? Mnie?

- Samej siebie. Dal wzywa mnie tak samo, jak ciebie.

W szarych oczach Caina zapalił się śmiech.

- Byłem tego pewny! Ale myślałem, że nigdy się do tego nie przyznasz!

- Skąd wiedziałeś? Czy to znowu ta mordercza intuicja?

- Nie. Sama mi to zdradziłaś.

- Kiedy?

- Gdy kupiłaś ten obraz.

Wskazał na wiszący nad łóżkiem wszechświat pełen gwiazd.

- Przyjrzyj się uważnie! - powiedział. - Ten widok przeraziłby zwykłą kurę domową.

Shelley wpatrywała się w niezliczone, kłębiące się gwiazdne perspektywy, słyszała wabiący ją zew nieznanego i nieodgadnionego.

- Masz rację - przytaknęła. - Po prostu bałam się do tego przyznać, bo potrzeba bezpieczeństwa była we mnie silniejsza od żądy przygód.

- Wiem. Właśnie dlatego wróciłem.

- Teraz zmieniłam się. Twoja bliskość jest jedynym domem, którego potrzebuję i pragnę.

- Jesteś tego pewna?

- Może odrobinę się ustakujemy, kiedy dzieci będą na tyle duże, że zapragną stabilizacji. A może nie? To już będzie zależało od dzieci. - Shelley przeniosła wzrok z obrazu na człowieka, którego kochała. - Chcesz, żebyśmy mieli dzieci, prawda?

Cain uśmiechnął się.

-A jak myślisz?

- Myślę, że gdybym zdecydowała się porwać Billy'ego, mogłabym liczyć na twoją pomoc.

Cain wyszeptał: - Shelley, kochanie moje. - Długie palce gładziły jej szyję, ramiona, piersi.

- Wolałbym, żebyśmy postarali się o własne - stwierdził. - Przyda się na świecie więcej kobiet takich jak ty.

Shelley nie była w stanie oddychać. Świat cały zamigotał i zapłonął, a ona rozkwitła pod pełnym miłości dotykiem Caina. Powiodła dłońmi po jego ciele, aż sprężył się cały i jęknął pod ich słodkim atakiem. Jego ręce także rozpoczęły wędrowkę, aż odnalazł cudowne, gorące źródło, które w niej biło, i poczuł jak rozkwita dla niego kruchy, lecz pełen życia kwiat.

- Chcę poznać krajobrazy twojej duszy - szepnęła łącząc się z ukochnym w uścisku.

- Zajmie to nam całe życie.

- Załuję, że czeka nas tylko jedno.

-A może nie? - mówił stapiając się z nią coraz ściślej z każdym uderzeniem serca i z każdym ich wspólnym ruchem, uwięziony w słodkiej głębi jej ciała. - Pomysł o wszystkich tych gwiazdach... o całym wszechświecie cudownych możliwości...

Wspólnie odkrywali najdoskonalszą z nich: świetlisty krajobraz duszy, miłość.